

ARCHIWUM POLSKIEJ PANTASTYKI

Konrad

FIAŁKOWSKI ZEROWE ROZWIĄZANIE



Spis treści

01. Karta tytułowa

01. ADAM, JEDEN Z NAS
02. WŁÓKNO CLAPERIUSA
03. WITALIZACJA KOSMOGATORA
04. BIOHAZARD
05. ELEKTRONOWY MIŚ
06. POPRZEZ PIĄTY WYMIAR
07. CZŁOWIEK Z AUREOLĄ
08. GATUNEK HOMO SAPIENS
09. ZEROWE ROZWIĄZANIE
10. TEN, KTÓRY TRWA NAD GRANICĄ DWU CZASÓW
11. KONSTRUKTOR
12. PLOXIS
13. WSPANIAŁE PIWO NA WIGILIJNY WIECZÓR

KONRAD FIAŁKOWSKI

ZEROWE ROZWIĄZANIE



Seria: Archiwum Polskiej Fantastyki (tom: 50)



2004

ADAM, JEDEN Z NAS

I

Gdy wyszedł na taras, słońce było już czerwone i niemal dotykało wierzchołków wzgórz. Upał dnia minął, ale wieczorny wiatr nie nadszedł i w powietrzu czuło się zapach dymu z palenisk domowych miasta, gdzie szykowano teraz wieczerę. Miasto schodziło tarasami ku strumieniowi i z wysoka, stamtąd gdzie stał, widział wąskie uliczki, dachy i białe ściany wzniesione z kamienia z okolicznych wzgórz. Spojrzał na wzgórza, gdzie kończyły się domy przechodząc w zieleń drzew oliwnych przygaszoną szarością nadchodzącego zmierzchu. Pomyślał, że jeszcze jeden dzień pobytu tutaj, w tym mieście i na tej planecie, minął, i że dni tych zostało już niewiele.

Usłyszał za sobą kroki, stukot drewnianych sandałów o kamienną powierzchnię tarasu, i wiedział, że nadchodzi człowiek, na którego czekał. Odwrócił się i patrzył na znajomą sylwetkę w długim szarym płaszczu, twarz z ciemnymi oczyma, czarne włosy i brodę z białymi pasmami siwizny, widocznymi dopiero z bliska. Za nim pół kroku szedł żołnierz ze straży towarzyszący mu od bram pałacu, bo taki był regulamin, jaki kiedyś sam ustanowił. Żołnierz zatrzymał się w odległości kilku kroków, a mężczyzna podszedł do niego.

— Witaj, proktorze — powiedział i pochylił głowę.

— Witaj, Kario — odpowiedział i skinął ręką żołnierzowi, który wykonał zwrot i odszedł.

— Patrzysz na ogrody? — zapytał Kario.

— Na miasto. Z tej wysokości wydaje się ono zawsze spokojne.

— Gdyby tak było, panie, siedziałbym w swym kantorze i nie miał szczęścia rozmawiać z tobą.

— A więc co nowego?

— Admis, którego raczysz otaczać opieką, przebywa w północnych prowincjach...

— Mówią o nim w mieście?

— Nie i prawdę mówiąc nie rozumiem tego. Powinni wszyscy go znać i słuchać tego, co głosi. Jest to tak niezwykle i tak piękne, że dni naszego życia, którym tutaj żyjemy, wydają się bezsensowne i przetręcane.

Proktor uśmiechnął się i spojrzał na mężczyznę w płaszczu.

— Czyżbyś mu uwierzył, Kario? — zapytał.

— Wypełniam twoje polecenia, panie, i wypełniam je skrupulatnie. On nie wie, nawet nie podejrzewa, że istnieje źródło, z którego dostaje pieniądze, on i ci, co mu towarzyszą.

Nawet nie myśli o tym i to też jest w nim urzekające.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Kario.

— To jest trudna odpowiedź, panie. Trudno uwierzyć w coś, co jest zaprzeczeniem wszystkiego, z czym się zrosło i zżyło. Ale dobrze jest o tym posłuchać.

Proktor milczał. Pomyślał, że może w tym, co przed chwilą usłyszał od tego człowieka, tkwi wyjaśnienie dotychczasowego braku

powodzenia całego przedsięwzięcia.

Może rozziw między nowym modelem a modelem stosowanym jest zbyt duży? Wiedział, że nie potrafi tego rozstrzygnąć i pomyślał, że im dłużej żyje na tej planecie, tym mniej rozumie jej mieszkańców. Ruszył wolnym krokiem wzdłuż balustrady tarasu ku ogrodom. Widział korony rosnących tam palm daktylowych na tle ciemniejącego już nieba. Kario szedł za nim pół kroku w tyle, wyrażając tym szacunek dla namiestnika Imperatora, a równocześnie podkreślając zażyłość z tak znakomitą osobą.

— A jego zwolennicy? Czy ma nowych zwolenników? — zapytał przez ramię.

— Ciągłe ci sami, panie. Reszta to przygodna gawiedź.

— Nikogo nowego?

— Nikogo.

— Czy twoje informacje, Kario, są na pewna ścisłe?

— Nie istnieją inne informacje, panie, i stare narody wiedzą o tym. Tylko... — Kario zająknął się — ...inni nie zawsze o tym pamiętają.

„Chciał powiedzieć, barbarzyńcy” — pomyślał proktor — „i wtedy przypomniał sobie, że przecież może mnie urazić, skracając tym samym siebie o głowę. Biedny Kario, nawet nie potrafi sobie wyobrazić, jakim barbarzyńcą jest on i wszyscy inni mieszkańcy tej planety. A jednak są przy tym unikalni jak protuberancje gwiazd i równie jak one przemijający i nietrwali”.

Doszli do ogrodów i poczuł zapach egzotycznych kwiatów, których kielichy rozchyłały się po zmierzchu. Słońce znikło już za wzgórzami i tylko niewielka płaska chmura w kształcie dysku płonęła jeszcze

czerwonym blaskiem.

— Widziałeś niedawno Admisa, Kario. Jak on sobie radzi tutaj... — chciał powiedzieć „na tej planecie”, ale nie dokończył, bo Kario przecież nic nie wiedział i niczego by nie zrozumiał.

— Gdy człowiek ma tylko jedno pragnienie, które jest zawsze z nim, jest szczęśliwy.

— Tak, człowiek...

— O czym mówisz, panie?

— Nieważne. Pobierz z mego konta w waszym domu handlowym pieniądze i służ mu, jak możesz. Nie zapomnij o zwykłym procencie dla siebie — a gdy tamten milczał, dodał: — Nic nie mówisz. Czyżby moje środki były na wyczerpaniu?

— Panie, twoje środki są tak nieprzebrane, że gdybym śmiał, porównałbym je ze środkami samego Imperatora. Nie o to idzie. Nie musisz mi więcej płacić procentu, proktorze.

Służąc Admisowi za pieniądze czuję się... nieczysty.

— Nie poznaję cię, Kario. Twoja rodzina nie byłaby dumna z ciebie.

— Ja wiem, panie, że tak się nie prowadzi interesów, ale przecież nadejdzie nowy ład, który głosi Admis, i wtedy będzie mi to policzone. To nie będzie dobry czas dla bogaczy.

— Rób, jak uważasz — proktor wzruszył ramionami. Pomyślał równocześnie, że przedsięwzięcie jest dobrze zaplanowane i może przyniosłoby rezultaty, lecz wymaga czasu i pracy nad pokoleniami, a więc tym bardziej czasu, a ponadto ludzi, którzy poświęcą wszystko dla jego realizacji.

— Wybacz, panie, moją śmiałość, — głos Karia był teraz cichszy.
— Czy Admis to... twój syn?

— Człowieku, ta ciekawość może kosztować cię życie. Idź swoją ścieżką i nie zadawaj takich pytań. A teraz zostaw mnie samego i przybądź z raportem jak zwykle — klasnął w dłonie i usłyszał tupot sandałów żołnierza biegnącego po kamiennej płycie tarasu. Kario skłonił się nisko i odszedł.

Proktor pomyślał, że w tym świecie najbliższe wyobrażalne pokrewieństwo jest pokrewieństwem syna z ojcem i uśmiechnął się do siebie. Potem spojrział jeszcze raz na ogród, gdzie w zmierzchu rośliny zatraciły już swoje kształty i tworzyły szary splątany gąszcz. Na niebie nad ogrodem zapłonęły pierwsze gwiazdy. Odwrócił się od nich i wolnym krokiem poszedł do pałacu, którego biała bryła widoczna była jeszcze w mroku.

U wejścia płonęły już lampy oliwne. Stojący na krużganku strażnicy oddali mu honory i wszedł do wyłożonej białym marmurem komnaty, jedną ścianą otwartej na ogród, pośrodku której fontanna wyrzucała w powietrze krople wody. W niszach, za kolumnami z onyksu, płonęły lampki oliwne i w ich świetle zobaczył Visę i dostrzegł pytające spojrzenie jej wielkich jasnych oczu. Pokręcił przecząco głową, bowiem przed wieczerną postanowił jeszcze nawiązać kontakt, i wolno poszedł do swojej komnaty. Była ona niewielka, z jednym oknem wychodzącym w przepaść ściany pałacu, urządzona tak jak komnata żołnierza—wodza, którym tutaj był. Wszedłszy, dotknął niewielkiej wypukłości ściany, miejsca, które znał, i automat rozpoznawszy układ linii papilarnych jego palca zawarł za

nim drzwi, tak że tworzyły one teraz ze ścianą jedną bryłę spojona mocniej niż jednolite ściany pasowane i łączone spoiwami tej cywilizacji. Potem rozejrzał się po komnacie, by upewnić się, że jest sam, i dotknął przeciwległej ściany, która rozviała się przed nim. Było to pole siłowe ukształtowane w postaci kamiennego muru i tak doskonale imitujące kamień, że przy jej kuciu odpryski wyparowywały dopiero po wielu godzinach.

Teraz komnata była dwa razy obszerniejsza i ta druga jej część zapełniona była aparaturą przeznaczoną do kontaktu i transferu. Z boku pod ścianami wbudowano pulpity do bezpośredniego sterowania jednostkami floty. Usiadł w potężnym fotelu, na skroniach zacisnął uchwyty hełmu, a potem sprawdził dopływ energii do aparatu. Pomyślał, że wszystkie te urządzenia są tylko po to, by on, wbudowany w prymitywną strukturę człowieka, mógł przeniknąć do stanu trwania, gdzie czas nie istnieje ani jako pojęcie, ani jako właściwość fizyczna materii, gdzie materia i energia są nierozróżnialną jednością i nośnikiem informacji, która jest nim samym. Był on bowiem w kategoriach czasu cywilizacją wieczną i samym Kosmosem. W tej postaci, w której tutaj był, nie mógł uzyskać pełnego stanu trwania, bo kanały informacyjne wynikające z przyjętej struktury były zbyt wąskie i mógł się jedynie konwergować z sobą samym, ze swoim wzorcem również ograniczonym, bo zrealizowanym w drgającym polami kryształowej materii zawartym w pancerzach ochronnych, okrążającym tę planetę po kołowej orbicie gdzieś w pół odległości jej Księżyca. Dopiero dalej było trwanie tej najstarszej cywilizacji, które jest jednością i może wydzielać swe części

równoważne z nią samą, a więc od niej nierozróżnialne.

Wiedział o tym będąc tutaj, lecz zaczynał to czuć, gdy nakładał hełm, czas przestawał być i tylko symulował go sekwencyjny język, którym z tej struktury musiał się posługiwać.

— Jesteś, Adamie — usłyszał.

— Jestem, Admusie — pomyślał.

— Trudno mi się z tobą konwergować, bo jesteś ciągle inny.

— Jaki?

— Inny...

— Informacyjnie węższy?

— Tak, ale i szerszy zarazem, szerszy o informacje człowieka, których nie mam, bo są tylko fluktuacjami w czasie.

Poczuł wzrost intensywności trwania, zrównoleglenie myślenia, chwilę nadświadomości i to było wszystko.

— Do kontaktu, Adamie — usłyszał.

— Do kontaktu, Admusie — pomyślał i zdjął hełm. Teraz wszystkie nowe informacje stanowiły już część Admusa. Także on wiedział więcej i rozumiał, że przedsięwzięcie tutaj, na tej planecie, zbliża się ku końcowi. Wiedział o tyle więcej, o ile dopuszczał szum informacyjny, który pojawiał się wtedy, gdy pojawiał się czas, a kończyło trwanie. Wstał z fotela, przeszedł do drugiej części komnaty, a pole siłowe zawarło się za nim i znowu był namiestnikiem Imperatora o dziwnym barbarzyńskim imieniu, władcą tego miasta i ludzi w nim żyjących, a także innych miast i wsi aż do pustyni i morza. Rozwarł drzwi swej komnaty i przeszedł tam, gdzie szumiała fontanna, i Visa, jasnowłosa niewolnica z barbarzyńskich plemion

północy, czekała na niego z wieczerzą.

Na stole stały już misy z jadłem i gdy ułożył się na sofie, Visa podała mu kubek napełniony winem z bukłaka z kozłej skóry. Wino było chłodne, bo przyniesiono je niedawno z piwnic. Smakował jego cierpkawą gorycz, która kojarzyła mu się zawsze z tą planetą, bowiem tylko tutaj dojrzewały te dziwne owoce przemieniane w płyn o niepowtarzalnym smaku. Pomyślał, że jest to symbol tej planety, symbol nierozpoznawalny dla jej mieszkańców, a jednak godny w jakiś sposób podkreślenia.

Visa podawszy kubek usunęła się w cień za kolumny, gdzie nie docierało światło lampy oliwnej. Wsparty na lewym łokciu, zwrócony pierś ku stołowi patrzył w ciemność, za fontannę, gdzie tylko czasem błyskały świetliki wlatujące tu z ogrodów.

Nigdy nie jadł wiele, tyle tylko, ile wymagało noszone przez niego ciało. Ten, który mu go użyczył, żołnierz, polityk i kawalerzysta, jadał zapewne więcej i ślady tego odczuwał niekiedy w niekontrolowanych skłonnościach autonomicznych układów tego organizmu, którym nauczył się już po latach sterować. Skinął na Visę i ta napełniła mu powtórnie kubek.

Gdy stała pochylona, płomień lampy odbijał się w jej jasnych włosach i wtedy poczuł jakiś nieokreślony niepokój, o którym także wiedział, że pochodzi z autonomicznych układów organizmu, w jakim był.

— Jak długo jesteś tu, Viso? — zapytał.

— Przy tobie, panie, trzy lata.

— A przedtem?...

— Byłam u kupca Hafagi w mieście.

— I dobrze ci tam było?...

— U ciebie, panie, jest mi lepiej, bo służę pierwszemu człowiekowi w mieście i w całej prowincji.

— I jesteś szczęśliwa?

— Tak, tylko czasem — spojrzała na niego nie unosząc głowy — jest mi smutno.

Milczał, i pomyślała widocznie, że go uraziła, bo szybko dodała:

— Tam w mieście było więcej ludzi, a tu tylko nieokrzesani żołnierze i wysocy urzędnicy, którzy nawet nie widzą takich jak ja.

— Więc chciałabyś tam wrócić?

— Nie, panie. Zostanę z tobą, jeśli pozwolisz. Ty, panie, jesteś dobry.

— Posłuchaj, co o mnie mówią w mieście...

— Wiem, panie, ale to nieprawda. Oni znają twoich żołnierzy, nie ciebie.

— Moi żołnierze wykonują moje rozkazy.

— Tak, panie, ale gdybyś ty był Imperatorem, nie byłoby takich rozkazów. Wtedy to miasto byłoby także inne... lepsze.

— Myślisz, że wtedy zmieniliby się oni, mieszkańcy miasta, kapłani ceniący tylko swoją chwałę i pieniądze widziane także przez kupców, lichwiarzy i poborców podatkowych jako cel i jako środek. A może myślisz, że lud byłby inny, że zaznałby czegoś poza pracą, nędzą i chorobami?...

— Nie wiem, panie. Tak było zawsze.

— ...i dlatego taki punkt równowagi jest nie do przyjęcia. To jest

rozwiązanie trywialne, nie dające żadnych nowych informacji. A gdzie proces tworzenia? Stworzyć to znaczy zrealizować lub opisać, a są to przecież dwa słowa znaczące to samo! Tworzyć można tylko tam, gdzie istnieje czas, a tutaj czas jest i mija, a nie powstają nowe struktury. Ten świat powiela ciągle te same struktury z nieistotnymi zmianami. Trzeba wytrącić ten świat ze stanu bezsensownej równowagi... Inaczej ten cały eksperyment także nie ma sensu.

Umilkł i spostrzegł, że Visa skulona za stołem patrzy na niego ze strachem.

Uświadomił sobie, że mówił podniesionym głosem. „Przyjmuję obyczaje mieszkańców tej planety” — pomyślał. „To fakt, że struktura określa świadomość”.

— Daruj, panie, że cię rozgniewałam — powiedziała Visa.

— To nie ty, Viso.

— Ja nie rozumiem, o czym mówisz, panie.

— Wiem, Viso.

— Wzywałeś więc Boga?

— Nie. Nie wzywałem Boga. Po co miałbym go wzywać? On i tak wie o tym wszystkim.

— Więc dlaczego tak jest, jak jest?

— Bo może nawet jemu potrzebny jest czas, by to zmienić. Gdy nadejdzie dzień zmiany, nastąpi eliminacja tych wszystkich, którzy wstrzymują jej nadejście. To miasto przestanie istnieć i wielu jego mieszkańców zginie.

— Ty wiesz, panie?

— Tak. Wiem.

— Dlaczego, panie? Wybacz mą śmiałość, lecz przecież żyją tam piekarze, sprzedawcy wody, niewolnicy, którzy tłoczą oliwę w tłoczniach, i żołnierze, którzy pracowaliby na roli, gdyby nie było wojen. Dlaczego ma zginąć ich miasto i oni z nim?

— Bo nie chcą słyszeć!

— Nie chcą? Czy ty wiesz, panie, o czym myśli człowiek po dniu pracy, kiedy nadchodzi wieczór, gdy nie czuje swych rąk ze zmęczenia i nawet nie myśli o jadle, tylko o śnie. O tym wiemy tylko my, niewolnicy. Jak mogą oni cokolwiek usłyszeć? — teraz Visa patrzyła mu wprost w oczy i on odwrócił wzrok.

— Pójdę już, panie — powiedziała.

— Tak. Możesz odejść.

Gdy został sam, patrzył w noc, na niebo, gdzie były gwiazdy, i na świetliki, których było teraz więcej, kreślące chaotyczne linie, jakie kreśliłyby gwiazdy, gdyby upływ czasu przyspieszyć o wiele rzędów wielkości, i myślał o kresie swych dni na tej planecie, kresie takim samym jak tej dziewczyny o jasnych włosach, które dotarły tutaj z genami ludów północy, o mieszkańcach miasta, którzy przeminą, o samym mieście, które jako fragment przedsięwzięcia legnie w gruzach, i mimo świadomości trwania, które było nim samym, czuł żal, że tam, gdzie istnieje czas, wszystko to zniknie bezpowrotnie, tak jak nigdy więcej nie będzie takiej nocy jak ta, przeżywana przez niego na tej planecie.

II

Góra była wysoka, lecz o łagodnych zboczach. Wyglądała jak garb wyrastający z równiny. Wody w niej nie było i roślinność przyczepiona do skał, bardziej szara niż zielona, chwytała każdą kroplę deszczu, gdy z rzadka tu padał. Ludzie na górze także nie mieszkali, mimo że dojście na szczyt nie było trudne. W wyższych jej partiach, pod szczytem, ruiny umocnień przypominały, że podczas wojen szukano w niej oparcia bądź schronienia. Znał ją dobrze i przelatywał nad nią wielokrotnie w czasach, gdy poznawał ten kraj, tak jak poznawał tych ludzi.

Teraz wyznaczył tam spotkanie i zawarłszy za sobą drzwi komnaty przygotowywał się do transferu. Nie transferował się nigdy w postaci namiestnika Imperatora, bo ta jego twarz była znana ludziom, lecz jako człowiek w płaszczu, bez twarzy niemal, taki, który zawsze może wmieszać się w tłum i zniknąć tak, jakby go nie było. Transfer był koniecznością, miejsce wybrał starannie, a przy tym nocna pora czyniła spotkanie z mieszkańcami niezbyt prawdopodobnym. Co prawda wyładowania, głównie w ultrafiolecie, towarzyszące transferowi pełnej mocy niewidoczne w dzień, nocą, rozjaśniając biel, w zamieszkanych okolicach nie mogłyby zostać nie zauważone, dlatego też wybrał bezludny szczyt samotnej góry.

Zajął miejsce w fotelu, włączył pole i rozpoczął staranne namierzanie transferu. Potem wysłał w kierunku zawieszzonego na

orbicie satelity, gdzie był Admus, sygnał synchronizujący, bowiem na spotkanie sprowadzał projekcje Elsza, tworu pomocniczego, który wielokrotnie już w różnych postaciach wykonywał zadania na tej planecie. Gdy otrzymał potwierdzenie odbioru sygnału synchronizującego, był gotowy do transferu.

Nacisnął przycisk inicjujący i swoim fantomem pojawił się tuż nad wierzchołkiem góry. W tej samej chwili Elsz pojawił się obok i Adam spostrzegł, że ma postać podrózną, która kilkaset lat wcześniej używana już była przy eksploracji planety.

Wolno razem spłynęli na wierzchołek góry, gdzie czekał na nich Admis. Jego płaszcz i twarz zajaśniały bielą odbitych wyładowań, gdy zbliżali się do niego, a nawet potem, gdy dotknęli skał i natężenie pola spadło, twarz tamtego jarzyła się jeszcze blaskiem.

— Witaj, Adamie — powiedział Admis.

— Witaj — odpowiedział.

Elsz milczał, bo był tylko tworem pomocniczym i pozdrowienie go nie dotyczyło.

— Zmęczyłeś się wchodząc tutaj — powiedział Adam.

— Było upalne popołudnie — odpowiedział tamten — ale wieczór jest chłodny i zmęczenie znika.

— Zmęczenie jest konsekwencją struktury, którą nosimy.

— Tak jak ból i śmierć...

— Musiałem cię tu wezwać. Przy tej strukturze inne porozumienie jest utrudnione i ograniczone do dwu osób. A ja wezwałem także Elsza.

— Wiem. Jego ostatnia misja została przerwana. Słyszałem tu o

tym. Obcięta głowa ciała, które nosił, stanowiła fant w pałacowej zabawie.

— Tak. To przykry wypadek znacznie komplikujący przedsięwzięcie. On miał stworzyć warunki początkowe dla ciebie.

— Zrobił, co mógł — powiedział Admis.

— To wszystko mało. Prawdziwych postępów przedsięwzięcia nie widzę. Jakie jest twoje zdanie, Elsz?

— Zgadzam się z tobą, panie. Zgodnie z założeniem byłem w swoim działaniu o odcień bardziej radykalny niż Admis.

— I już cię tam nie ma. Wyeliminowali cię bez trudu.

— Wielu dobrych ludzi mnie broniło...

— I cóż z tego! Mnie interesuje wynik całego przedsięwzięcia, a nie twierdzisz chyba, że twoja misja była sukcesem.

Elsz nie odpowiedział.

— Ty też, Admisie, nie odnosisz sukcesów.

— Wielu ludzi mnie wysłuchało i wielu uwierzyło.

— Ale nam przecież chodzi o zmianę w ich działaniach, o rozwój struktur społecznych, o inne spojrzenie na człowieka przez nich samych. Teraz Imperium jest jeszcze potrzebne, lecz musi się rozpaść i powstaną inne narody i inne cywilizacje. Eksperyment ma objąć całą tę planetę, Admisie.

— Może źle wybraliśmy miejsce przedsięwzięcia?

— Wśród narodów Imperium jedynie tu istnieje wiara w abstrakcyjnego Boga. A to już pół sukcesu przedsięwzięcia. Zresztą włożyliśmy w przygotowania tutaj wiele wysiłku. Trwa to już tyle wieków, że w tej chwili rozpoczynanie wszystkiego gdzie indziej

byłoby stratą czasu. A czas mija na tej planecie! Do powodzenia przedsięwzięcia potrzebne jest nam Imperium, bo tylko z takiego centrum jak Imperium zmiany rozprzestrzeniać się mogą na cały świat. A dni Imperium są policzone. To, co dziś już widzimy, to początek końca. Jeszcze sto, dwieście lat i najlepsi ludzie uchylać się będą od pełnienia publicznych funkcji, a to już będzie koniec. Potem przyjdą inne ludy, lecz podbijając Imperium przejmą jako swoje to, co my dzisiaj rozpoczynamy. Tak, przedsięwzięcie musi się udać teraz. My, mimo że sami wieczni, nie mamy tutaj czasu.

— Eliminacja ostatniej struktury Elsza jest naszym niepowodzeniem — powiedział Admis. — Ale z drugiej strony...

— Sama eliminacja jest bez znaczenia. Podobnie jak los każdej z naszych struktur jest bez znaczenia. My jesteśmy tutaj tylko po to, by w tych ludzi wbudować nadzieję. Nadzieję jako generator wszystkiego, co czynią i czynić mogą.

— I miłość. O tym przecież ja mówię...

— Nadzieję przez miłość, Admisie. Miłość jest po to, by nadzieja istniała zawsze, nawet wtedy, kiedy nie ma już nic innego. A tak często bywa na tej planecie. Nadzieja wyzwala z tych struktur zwanych ludźmi możliwości niestwarzalne inaczej, możliwości nie uwarunkowane niczym, co ich otacza. Jest to unikalny przypadek, gdy abstrakcja przetwarzana jest w działanie, przypadek, gdzie sama abstrakcja wystarcza.

— Jak jednak chcesz to zrealizować, Adamie?

— Ty to zrealizujesz.

— Chodząc między ich osiedlami, rozmawiając z nimi, przekonując

ich, organizując pokazy naszych możliwości — to wszystko nie wystarcza. Rozmawiają ze mną, biorą udział w pokazach, są wstrząśnięci naszymi możliwościami, padają na twarz, a potem odchodzą do swoich codziennych zajęć i wszystko pozostaje, jak było, zanim przyszedłem.

— Mówisz jak jeden z nich — powiedział Adam.

— Przedstawiam ci fakty. Tu trzeba czegoś więcej, żeby ich zmienić.

— Kiedyś zniszczyliśmy jedno z ich miast wraz z jego mieszkańcami i mówią o tym dotychczas — powiedział Elsz.

— Tak, to był środek skuteczny.

— Zawsze możemy to powtórzyć — dodał Elsz.

— Możemy — zgodził się Admis — ale musimy uratować tych, którzy nam uwierzyli, a to już jest dużo trudniejsze. A w ogóle żał mi ich wszystkich, Adamie. Są rozbłyskami czasu, mgnieniami wieczności, elementami statystyki tego eksperymentu równie nietrwałymi jak rozkład pól w kryształach informacyjnych, a przecież jestem jednak jednym z nich. Oni czują, kochają i czekają z nową nadzieją każdego wejścia nad horyzont swego słońca. A nadzieja jest pochodną czasu. W trwaniu jest wszystko, ale nie ma nadziei.

— Będą cię chcieli jednak zniszczyć, Admisie. Odebrać ci wszystko, nadzieję także.

Będą chcieli, byś przestał być. Nie roztkliwiaj się nad nimi. Takimi są i zawsze będą. To nie jest początek eksperymentu. Mówisz im przecież, że to, co czynią nie nam, tylko sobie, jest złe. Gdyby to zrozumieli, oczekiwaliby kary. A gdyby zostali ukarani, zrozumieliby,

że byli winni. Inaczej zrozumieć nie potrafią. W tej części planety wina i kara są sposobem pojmowania świata. Przybądź do miasta, Admisie!

— To twoja decyzja, Adamie?

— Tak. W mieście muszą próbować cię zniszczyć. Ty, całe przedsięwzięcie jest skierowane przeciw istniejącemu porządkowi. Nie będą mieli wyboru. Zbiorą się, by cię osądzić i zabić. A wtedy wkroczy flota.

— A jeśli zamordują go skrytobójczo? — zapytał Elsz.

— W mieście będę cię chronić tak, jak jest to możliwe w czasie, gdzie istnieje przypadek. Ale ochronię cię. Mam nasze możliwości, a także znam ich sposoby...

— Więc gdy w końcu się zbiorą, by mnie skazać na śmierć, wprowadzisz pojazdy floty i zniszczysz ich i miasto?

— Tak.

— I co dalej?

— Ci, którzy przetrwają, będą wiedzieć, że istniejemy i czuwamy, że widzimy ich czyny. A tych, którzy uwierzyli wcześniej, uratujemy wszystkich.

— I to zmieni ludzi?

— Zapewne.

— Obyś miał rację! Dobrze. Wkrótce przybędę do miasta.

— Zanim przybędziesz, uważaj na siebie, Admisie. Jesteś także człowiekiem, tym młodzieńcem, w którego implementowałem cię na pustyni. Nie dysponujesz na razie ani otoczkami pól siłowych, ani flotą. Tu, w tym mieście, gdzie czas mija, mogę nie zdążyć cię osłonić.

W mieście będę z tobą słabym transferem. Wiem, że musisz natężyć wszystkie swoje zmysły, by słaby transfer odbierać, i w tej strukturze jest to wysiłek przekraczający niemal to, co może zwykły człowiek. Ale ty jesteś przecież nie tylko człowiekiem.

— Wszystko jest w twoich rękach, Adamie. Ty jesteś poprzednikiem. Ja tylko następnikiem, młodszą w sensie czasu twoją implementacją.

— Lecz jesteś mną. Nie zapominaj o tym.

— W trwaniu ty jesteś mną, a ja tobą. Ale w tym świecie istnieje przecież czas.

— Więc do spotkania, Admisie.

— Do spotkania, Adamie.

Zaczął wraz z Elszem unosić się nad skały, lecz gdy był już kilka stóp nad ziemią, zobaczył trzech ludzi, którzy przypadli do skał starając się wśród nich ukryć.

— Admisie, kim oni są? — zapytał.

— To moi towarzysze — nadeszła odpowiedź.

— Miałeś być sam.

— Im także jest ciężko, bo przedsięwzięcie jest inne, niż sobie przedstawiali, niech więc chociaż zobaczą potęgę twoją.

— Od jutra mów im więc jaśniej, czym jest i czym będzie przedsięwzięcie i o tym, kim ty jesteś — uniósł się wraz z Elszem fantomem w górę i bezgłośnie poszybował w noc.

Gdy w swej komnacie po zakończeniu transferu wstał z fotela, zobaczył, że ktoś za nim stoi. Był to mężczyzna niewielkiego wzrostu, w kombinezonie uniwersalnym atmosferyczno—próżniowym, o

którym wiedział, że na tej planecie będą w użyciu najwcześniej za dwa tysiące lat.

— Mówiłem ci, Micho, że tu nie wolno się transferować twoim pomocniczym.

— Wiem, szefie, ale sprawa jest pilna. Słyszałem, że będzie robota.

— Tak. Właśnie rozmawiałem z Admitem.

— Samo miasto, czy także i okolice?

— Nie zdecydowałem jeszcze.

— Wolałbym wiedzieć wcześniej, żeby ustawić załogi i automaty.

— Zdązysz, przekażę ci wszystko, kiedy nadejdzie pora.

— Ciebie, szefie, tu nie będzie. Ty nie lubisz patrzeć na taką robotę. Wiem przecież o tym tak dobrze jak ty. A nie chciałbym znowu użyć niewłaściwych środków. Trzeba się zdecydować. Bomba grawitacyjna, antymateria, czy może zwykła jądrowa? A może coś szczególnego, na przykład rozproszenie warstwy ozonu nad miastem? Wtedy zostałyby świątynia, piękny kawał roboty jak na te czasy, wyeliminowalibyśmy tylko ludzi wraz z żywym dobytkiem. Rośliny niestety też, ale w tym klimacie szybko odrosną i będzie można na gotowe sprowadzić trochę sprawiedliwych.

— Zamilcz!

— Loty zwiadowcze odbyłem. Flota przygotowana. Zgodnie z twoim zaleceniem staramy się unikać lotów w dzień, ale i tak ze wszystkich epok istnieją jakieś obserwacje.

Słusznie czynisz, że w epokach, w których mają już własne pojazdy powietrzne, używasz do tych celów tylko punktowców. No, przez najbliższe dwa tysiące lat możemy poruszać się całą naszą flotą. To

daje precyzję wykonania, a i dokładność rażenia jest bez porównania wyższa.

Oni będą się jeszcze długo uczyć, zanim dojdą do takich wyników.

— Zniknij, Micho. Wezwę cię, gdy będziesz potrzebny.

— Już mnie nie ma, szefie. Ale chcę tylko powiedzieć, że gdybyś planował operacje jak osiem tysięcy lat temu, muszę wiedzieć wcześniej i podładować akumulatory energii.

Wystarczą mi na to dwa dni tutejszego czasu, ale musisz mnie uprzedzić.

Micho rozwiązał się i Adam znowu był sam, ale to, o czym mówił Micho, pamiętał. Cóż z tego, że nie był tam w takiej jak teraz postaci, ale przecież wszystko, co się zdarzyło, cała informacja była w trwaniu i musiał — jak o wszystkim innym — wiedzieć i o tym. Pamiętał ten upalny letni dzień, gdy znad oceanu wiała bryza, a w porcie Atlantis panował codzienny ruch.

Galery stały przycumowane do nadbrzeży, wynoszono z nich beczki z solonym śledziem, a w ich miejsce ładowano wino. Słyszał pokrzykiwania nadzorców i trzaskania bieży, którymi ponaglano do pracy niewolników. Dalej za falochronami i murami było miasto poprzecinane współkoncentrycznymi kanałami, łodzie w tych kanałach, do których schodziły pomosty domów, spod baldachimów chroniących przed słońcem roześmiane kobiety wymieniały pozdrowienia, a sprzedawcy na łodziach wykrzykiwali ceny rozłożonych przed nimi towarów przywiezionych tu ze wszystkich stron tamtego świata. W środku miasta na największej wyspie, wzniesiona na wzgórzu kilkadziesiąt metrów nad poziomem morza,

stała świątynia potężna i wspaniała bogactwem ludu, który ją wznosił. Jej srebrna kopuła błyszczała z daleka, a złote naszczytniki odbijały promienie słońca, gdy chyliło się ku zachodowi.

Jego flota zajęła pozycje gdzieś nad oceanem, który był na zachód od Atlantis, głęboki, pocięty rowami na dnie, ciągnący się aż do kontynentu, gdzie Atlanci założyli nieliczne kolonie. Ich śmieszne małe galery wiele miesięcy płynęły stamtąd do stolicy znacząc swój ślad martwymi ciałami niewolników wyrzucanych za burtę, gdy ginęli z głodu i chorób w trakcie tej podróży. Zmarłych notabli owijano w płótna i przywiązywano im ciężar do nóg, tak by od razu mogli zejść do królestwa Neptuna, opiekuna Atlantis.

Lud Atlantis był taki sam jak tutaj, w tym mieście osiem tysięcy lat później. Mówił innym językiem, czcił innych bogów, ale pracował równie ciężko i pił takie samo wino, gdy nadchodziło święto. Tylko kapłani naprawdę wiedzieli. Kapłani Atlantis otrzymali wiedzę, która na tej planecie powstanie powtórnie za ponad dwa tysiąclecia. Otrzymali ją, bo taki był tamten pierwszy eksperyment. Zatrzymali dla siebie i tylko czasem, gdy byli zagrożeni, używali jej cząstki i nadal byli panami tamtego świata. Potem zapomnieli nawet, skąd wiedzę tę mają, i myśleli, że była ich zawsze. A także wierzyli, iż wiedzą tak wiele, że świat nie może mieć dla nich niespodzianek... Śmiali się, gdy ich przestrzegał i żądał przekazania tej wiedzy innym.

„Gdybyśmy przekazali naszą wiedzę, wszyscy byliby kapłanami, a więc nikt kapłanem by nie był” — powiedział kiedyś, osiem tysięcy lat temu, starzec, który myślał, że naprawdę wie.

Również dlatego musiał wymazać tamten eksperyment.

Powodzenie tamtego eksperymentu warunkowane było powszechnością wiedzy. Bez niej eksperyment był bezsensowny, bo na wielkich obszarach planety informacje można przekazywać falami elektromagnetycznymi, ale nie posłańcami, płynącymi na galerach popychanych wiosłami niewolników. A gdy powiedział, że zniszczy tamten świat, nie uwierzyli mu, bo myśleli, że wiedzą lepiej.

Znali prawa ruchu ciał w Kosmosie i ta planetoida nadlatująca gdzieś spoza orbity planet zewnętrznych nie niepokoiła ich nawet. Wyliczyli odległość, w jakiej minie ich planetę niemal niezauważalnym jasnym punktem swej ponad dziesięciokilometrowej średnicy. A gdy mówił im, że zmieni jej trajektorie tak, że uderzy w planetę — śmiali się. Ich czas był jednoznaczny, a więc nie mogli znać fal grawitacji.

Ładunek grawitacyjny umieszczono w próżni daleko za planetą, nawet poza orbitą jej Księżyca. Był tak dobrany, że zainicjowany — generował fale zwijające przestrzeń na tyle intensywnie, że zmieniona trajektoria planetoidy przeszedłszy przez atmosferę planety wnikała w ocean na zachód od Atlantis.

Gdy planetoida zmieniła tor swego lotu, uwierzyli mu, ale było już za późno.

Uwierzyli mu kapłani, bo lud nic nie wiedział i był zwykłym, takim samym zbiorem ludzi, jak lud tutaj, w tym mieście, dopóki łoskot i grzmot atmosfery rozrywanej przez planetoidę nie doszedł do Atlantis, zarysowując mury świątyni.

Wtedy lud także wiedział, że nadszedł koniec. Wiedział wcześniej, nim nadeszła wielka fala omywając wielokilometrowym przybojem

stoki nadbrzeżnych gór, zalewając Atlantis i równiny schodzące ku morzu, a potem wszystkie równiny i wszystkie wyspy całej planety. Starcie tej cywilizacji miało być zupełne, takie jak starcie struktur w pamięciach przetworników informacji, gdy kończy się jeden, a zaczyna kolejny eksperyment.

Woda to miał być tylko efekt końcowy, zacierający pod warstwą mułu i szlamu ślady tego wszystkiego, co było przedtem. Wcześniej uderzenie planetoidy zerwawszy skorupę planety, ten cienki pancerz nad rozżarzoną płynnym wnętrzem, spowodowało erupcje wulkanów na całym globie, rzeki płonącej magmy i przeciekających gazów do atmosfery.

Bieguny planety zmieniły swe miejsca...

Tak, ląd Atlantis musiał przestać istnieć, i to w wyniku jego błędu, błędu w założeniu eksperymentu. Teraz, będąc człowiekiem, myślał o tym z przykrością, bo tylko w trwaniu poczucie winy było mu obce. Ląd Atlantis, na którym rozwinął cywilizację, był zbyt odległy od innych lądów i kolonie, przy prymitywnym poziomie techniki, zaraz po swym założeniu autonomizowały się. Wymiana produktów i informacji była znikoma, a w eksperymencie zasadniczą sprawą było współdziałanie, rozwój złożonego systemu, a nie niezależny rozwój kilkunastu ośrodków. Dlatego drugi zasadniczy eksperyment, ten eksperyment, w którym teraz brał udział, umieszczono nad morzem zamkniętym, na niewielkim obszarze i nie dokonano transferu wiedzy. Jedynie transfer fragmentaryczny miał nastąpić wiele stuleci później. Co prawda w pozostałych częściach globu prowadzono także eksperymenty, ale były to programy odrębne i takimi miały jeszcze

zostać przez długie wieki, chyba że... Pomyślał, że tworzenie, każdy eksperyment, jest konfrontacją wszechwiedzy z szumem informacyjnym, który z definicji informacją nie jest, a niekiedy nazywany jest czasem.

Nie myślał już o katastrofie, która starła Atlantis, lecz o Drugim Eksperymentcie i korekturze, którą właśnie realizował. Za oknem jego komnaty szarzał świt i słycać było odległe pianie kogutów gdzieś z dołu, z miasta. Pomyślał, że jest zmęczony, że dzień, który minął, był ciężki, i że sam jest jednak człowiekiem. Potem, gdy zasypiał, widział znowu świątynie Atlantis, gdy nadchodząca fala wody zakryła słońce, i słyszał tamtych ludzi, którzy wzywali go, by ich ratował, a przecież oni ginęli dlatego, że tak właśnie chciał. Nim zasnął, pomyślał jeszcze, że niełatwo być człowiekiem, a potem śnił, że jest w trwaniu, a wszystko to, co widział na tej planecie, jej ludzie, miasta, drzewa i zachody słońca — jest tylko mirażem.

Spał już, gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca odbiły się od białych tarasów świątyni miasta.

III

Słońce nad miastem świeciło już jasno i chłód poranka minął. Cienie domów i drzew były niebieskie głębokim błękitem

bezchmurnego nieba. Szedł ulicą garncarzy wzdłuż brązowych domów z gliny, przed którymi na rozłożonych matach stały dzbany, amfory i zwykłe garnki, a sprzedawcy zachwalali swój towar. Przepychał się w tłumie podobnych mu ludzi w białych, obramowanych niekiedy czerwienią szatach, stąpając bosymi nogami po glinie i zwierzęcych odchodach, których odór wraz z lekką wonią dymu tworzył zapach tego miasta.

Niewolnicy z tabliczkami zawieszonymi na szyi ustępowali mu miejsca, a inni ocierając się w tłumie o niego spoglądali ze zdziwieniem, bowiem jego fantom w dotyku był nieco inny niż ich ciała i ubrania, ale widząc człowieka takiego jak oni szli dalej nie przyglądając mu się więcej, bowiem natarczywe przyglądanie się nieznanemu było nietaktem w tym kraju.

Wiedział, że za kilka godzin, gdy słońce będzie w zenicie, ludzie ci ukryją się przed żarem w swych domach i pustą ulicą wałęsać się będą jedynie psy wypuszczone przez swych lekkomyślnych właścicieli, niepomnych na odszkodowania przewidziane prawem dla tych, których kąsały. Ochrona przed ludźmi istniała tu także, różna dla różnych. Prawa tego kraju znał dobrze, bo przygotowywał się do swej misji starannie, z tym brakiem oszczędności czasu, jaki daje świadomość trwania.

Skreślił z ulicy garncarzy w mały zaułek, gdzie rosły trzy morwy i był mały warsztat, w którego drzwiach stary człowiek robił sandały. Trzymając gwoździe w ustach uderzał szybko młotkiem i był tu w zwykłe dni zawsze, niezmiennie od lat, postarzawszy się tylko trochę, pracując bez przerwy od świtu do zmierzchu, niepomny jakby na to,

że żyje na tej planecie jedynie skończoną liczbę dni.

Przypatrywał mu się od lat, przechodząc tędy. Pamiętał, że spostrzegł go po raz pierwszy w pierwszym miesiącu, gdy rozpoczął swą misję, przybywając tutaj w postaci namiestnika Imperatora, postaci, która dawała mu swobodę konieczną dla kierowania przedsięwzięciem, swobodę trudną do uzyskania w innych postaciach w tym złożonym i ograniczonym prawem społeczeństwie.

Człowiek robiący sandały nie zauważył go nigdy, a właściwie nie zidentyfikował jako jednej postaci tego szeregu fantomów, różnych, lecz niewyróżnialnych w swej przeciętnej anonimowości ludzi z tłumy. Bez fantomu poruszał się tylko w swym pałacu jako proktor, namiestnik Imperatora; strzeżony przez żołnierzy przed innymi ludźmi i osłoną chemiczną przed mikroorganizmami. Jego śmierć, jakkolwiek bez znaczenia dla niego samego, trwającego w trwaniu, opóźniałaby eksperyment w tym świecie, w którym istniał czas.

A czas finału nadchodził i z przykrością myślał o tym, że niedaleki jest dzień, gdy nie przybędzie tu swoim fantomem, bowiem i fantomu, i miasta już nie będzie, i bez znaczenia był fakt, że cała informacja, jaka docierała doń teraz, była w trwaniu, bo wiedział, że tylko w czasie informacja ma ten dziwny, trochę smutny smak przemijania.

Minął zaułek i wąską, prawie bezludną uliczką poszedł w kierunku świątyni, której białe mury i złotem błyszczące zdobienia widział nad dachami domów. Wyszedł z cienia na plac ze śladami kół wozów zastygłymi w glinie i resztkami roślinności wypalanej słońcem.

Poprzez płótno okrycia poczuł ciepło słońca na plecach i głowie i

zar rozgrzanej gliny, której dotykał bosymi stopami. Przeszedł pół placu, gdy spostrzegł w ulicy z drugiej strony placu tłum. Ludzie stali plecami do niego. Kilku wdrapało się na dwa karłowate drzewa i także oni, jak i ci, którzy wychylali się z dachów domów, patrzyli w głąb ulicy. Tłum milczał. Gdy podszedł bliżej do przeciwległego skraju placu, usłyszał niewyraźny, przytłumiony odległością głos tego, który mówił. Poznałby ten głos wszędzie. To był Admis. Słyszał tylko poszczególne słowa, bo był za daleko. Chwilami głos milkł i wtedy słyszał okrzyki z pierwszych rzędów tłumu.

Przed nim stała kobieta w długiej szacie, z chustką na głowie zakrywającą w części twarz i opadającą na plecy, tak że zwyczajem tutejszych kobiet chusta przykrywała włosy.

Jednak tam, gdzie chusta tworzyła węzeł, spostrzegł jasne pasmo włosów, tak niezwykle w tym kraju. Przecisnął się ku stojącej dziewczynie i gdy się z nią zrównał, spojrzał z boku w jej twarz. To była Visa. Chciał ją zapytać, dlaczego nie pozostała w pałacu, z dala od tłumu, który jest zawsze podobny wzbierającej rzece i równie jak rzeka bezwzględny, ale wtedy pomyślał, że jego fantom ma postać bezimiennego przechodnia, twarz, którą się zapomina w chwili, gdy się ją widzi, twarz obcą dla Visy, twarz jednego z tłumu. Odsunął się od niej, lecz wtedy właśnie usłyszał z tyłu, od placu, którym przyszedł, ostry gwizd i zbliżający się tętent kopyt wielu koni. Odwrócił się. Zobaczył zbliżające się łby końskie, a nad nimi zarysy jeźdźców w hełmach i kłęb kurzu. Stojący za nim mężczyzna krzyknął coś i schwycił go za ramię, chcąc go odsunąć i sam dotrzeć pod mur domu. Słyszał narastający krzyk ludzi, głuche uderzenia i jęki

pierwszych tratowanych. Zobaczył twarz Visy, usta otwarte w krzyku i oczy patrzące poza nim. Nie widziała go także wtedy, gdy skoczył ku niej, chwycił ją za ramiona przewracając równocześnie i trzymając w uścisku, aż upadli razem, ona na zaschniętą glinę i kurz, on na nią, zakrywając ją swym fantomem, tak by leżała wprost pod nim. Chciała się podnieść i wyrwać spod niego, aż zrozumiała. Znieruchomiała i czuł, jak jej mięśnie tracą swe napięcie stając się miękkie i zluźnione.

Uderzeń w fantom nie czuł i widział tylko, jak ludzie, padając wokół niego, zrywali się na kolana i padali znowu pod ciosami końskich kopyt. Potem ludzie się już nie ruszali i tylko kolejne rzędy koni uderzały wokół niego kopytami o glinę, a kurz przysłaniał ściany budynków.

Kurz spadał wolno i wolno cichł tętent, krzyki tratowanych, wrzaski jeźdźców. Visa nie poruszała się i czuł jej mięśnie, tak miękkie jak reszta jej ciała.

— Uratowałeś mnie — powiedziała.

Obok usłyszał jęk. Dalej jakiś mężczyzna niezdarnie próbował doczołgać się do muru. Spojrzał na Visę. Jej chusta leżała dwa kroki dalej wgnieciona, tak jak jej włosy, w miarki pył. Patrzyła na niego.

— Uratowałeś mnie — powtórzyła i dalej leżała bez ruchu.

Podciągnął kolana, wstał i podał jej rękę.

— Nic ci się nie stało? — zapytała wstając.

— Nic — odwrócił się i poszedł z powrotem tam, skąd przyszedł.

— Poczekaj! Jak masz na imię? — wołała za nim. Nie obejrzał się, przyspieszył kroku i niemal wbiegł na plac. Nie wołała już za nim, a gdy skręcił z placu, pomyślał jeszcze o Admisie i rozwiął się. Pył z

jego fantomu utworzył w powietrzu wir, taki jaki tworzy się czasami przed bramą, gdy wiatr wieje ulicami miasta, i wolno opadał — bo fantomu, do którego przedtem przylegał, już nie było.

W swojej komnacie zwolnił blokady automatów i wyszedł na korytarz. Klasnął w dłonie. Nadbiegł żołnierz straży i znieruchomiał trzy kroki przed nim.

— Wezwać dowódcę — powiedział i nie patrząc więcej na żołnierza podszedł dalej.

Słyszał tupot sandałów tamtego i pogłos odbijany kamiennymi ścianami korytarzy. Sam wszedł do komnaty otwartej jedną ścianą w ogród, tej, w której wydawał rozkazy, myślał i patrzył w niebo. Słyszał strużki wody w fontannie i ciche bzyczenie owadów, tam gdzie kończyły się kamienne schody przechodząc w zielony gąszcz krzewów, którego zarys falował nieznacznie w nagrzanym upałem powietrzu południa.

Czekał, bo wiedział, że żołnierz musi przebiec kilkaset metrów, by dotrzeć do tej części budynku, gdzie były komnaty starszyny wojskowej, a w jednej z nich dowódca nadzorujący wszystkie ruchy wojska w obrębie miasta.

Usiadł na kamiennej ławce i wtedy zobaczył Visę. Przechodziła pod ścianą komnaty, przesuając się za kolumnami i niosąc w ręku dzban.

— Viso — zawołał.

Zatrzymała się i spojrzała na niego.

— Podejdź, Viso — powiedział.

Zbliżyła się i pochyliła głowę. Gdy patrzył na jej długie jasne

włosy, zaczął rozumieć.

„Ona nie mogła jeszcze wrócić z miasta” — pomyślał. — „Mój powrót z transferu był natychmiastowy, więc tamten lub ten obiekt musi być fantomem, a jeśli tak...”

— Co robiłaś, Viso, przed chwilą? — zapytał. Viso milczała nie podnosząc wzroku. —

Powiem ci, spałaś. Nagle poczułaś, że musisz zasnąć, i zasnęłaś. Czy nie tak?

— Panie, ty wiesz wszystko. Wstydzę się, że rankiem, kiedy jest najwięcej pracy, spałam. Ukarz mnie, panie — uklękła przed nim i dotknęła wargami jego ręki. Czuł jej włosy na swoich stopach.

Cofnął swoją rękę.

— Wstań — powiedział głośniejszym głosem niż zazwyczaj. Skuliła się i dalej klęczała.

— Wstań i przynieś mi wina — powtórzył ciszej.

— Tak, panie — odpowiedziała i zwyczajem niewolników nie patrząc na niego, z głową opuszczoną, wstała, zabrała dzban i chciała odejść.

— Viso, spójrz na mnie — powiedział. Zatrzymała się i zobaczył jej błękitne oczy, te same, a raczej takie same jak te, tam przy placu.

— To nie twoja wina, Viso — powiedział. — To naprawdę nie twoja wina.

— Jesteś dobry, panie, ale wiem, że jestem winna i należy mi się kara.

— Nie zrobiłaś nic złego, Viso. Ja także czasem drzemię przed południem.

— Ale ja jestem niewolnicą, panie. Niewolnik może spać tylko nocą, do świtu.

— Rozkazuję ci przestać o tym myśleć — powiedział.

— Tak, panie. Zaraz przyniosę wino.

Odeszła, a on siedział i patrzył w niebo, które daleko nad horyzontem, za górami, przechodziło w zamgloną biel. Czekał na dowódcę garnizonu, ale wiedział już, co tamten mu powie.

Po chwili dowódca w hełmie, krótkiej tunice, z mieczem i sztyletem za szerokim pasem stanął przed nim.

— Sława Imperatorowi! Wzywałeś mnie, proktorze?

— Dlaczegoś wysłał oddział jazdy przeciw tłumowi, Ardo? — zapytał przerywając tamtemu.

— Ty kazałeś, panie.

— Sam ci kazałem?

— Nie, przysłałeś człowieka ze swojej straży.

— Rozpoznasz go?

— Tak... — powiedział dowódca i zawahał się. — Nie pamiętam, proktorze, jego twarzy.

Ale wtedy wiedziałem na pewno, że jest od ciebie, panie.

— Ach, tak. — Proktor milczał chwilę.

— Czy nie wydałeś takiego rozkazu? — zapytał dowódca.

— W porządku. Możesz odejść — patrzył dalej niebo i wydawało mu się, że wśród błękitu widzi trzy czarne punkty sępów krążące gdzieś ponad skrajem miasta.

— Sława Imperatorowi — powiedział dowódca i odszedł.

Gdy tamten był już daleko i nie słyszał nawet echa jego kroków,

cicho, nie odwracając wzroku od nieba, powiedział:

— Pojaw się, Masmó. Wiem, że jesteś gdzieś tutaj i tkwisz w słabym transferze. Nie obawiaj się, nie zniszczę cię na razie.

Usłyszał poza sobą cichy trzask i stanęła przed nim postać w czarnej opończy z twarzą młodego mężczyzny, twarzą bez wyrazu, o dużych ciemnych oczach i brakiem śladów zarostu.

— To przykre, że rozmawiamy z sobą dopiero nosząc takie postacie — powiedział tamten.

— Ciesz się, że w ogóle rozmawiamy.

— Poczytuję to sobie za zaszczyt, panie.

— Gdy osiem tysięcy okrążeń tej planety wokół jej gwiazdy zostawiłem cię tutaj i izolowałem, sądziłem, że nie będziemy się już spotykać.

— Nie wierzyłeś w to naprawdę, panie.

— Niepokoiłeś już Admisa.

— To prawda, ale wiesz, że chciałem jak najlepiej.

— Kpisz, Masmó.

— Nie, panie. Odtwórz to, a sam się o tym przekonasz.

Chciał powiedzieć, że zna już ten fragment czasu, że z pamięci Admisa przekazany do Admusa i stamtąd do jego pamięci fragment ten trwa, ale wtedy przyszło podejrzenie, że może tutaj jako człowiek z wszystkimi ograniczeniami wynikającymi z tej struktury nie dostrzegł czegoś, co było w tym naprawdę ważne, co było w tle wszystkiego, że nie rozumie tego, co powinien rozumieć będąc człowiekiem.

Teraz był Admitem i czuł słońce, pragnienie, żar pustyni pod

stopami, a także głód, bo nie jadł od wielu dni.

Wiatru nie było, ale ze skał z szelestem osypywał się piasek, a w górze nad nim krążyły trzy sępy zataczając bezszelestnie koło, którego środek był gdzieś nad jego głową.

Kilometry dalej, za skałami, była rzeka i wydawało mu się chwilami, że czuje zapach wody i mułu w tym rozgrzanym nieruchomym powietrzu, poruszonym jedynie falami gorąca idącego w górę od piasku i skał.

Wtedy zobaczył Masmó. Stał w czarnej opończy na tle szarej skały z twarzą bez wyrazu jak zawsze. Chciał mu nakazać odejście, ale język był wielki, suchy i wypełniał całe usta. Słyszał teraz wyraźnie głos Masmó dźwięczny i nie zniekształcony, jakby tamten stał obok w komnacie, a nie na pustyni, gdzie powietrze falując gorącem unosi i rozprasza głos.

— Nie rozumiem ciebie, panie — mówił Masmó — jesteś spragniony i głodny, a przecież możesz bez trudu zmienić nawet te skały w chleb, a jeśli nie chcesz tego zrobić, przetransferuj się do miasta, na szczyt świątyni, wyszukaj wśród domów piekarnię i poszybuj ku niej. Źródeł także jest tam wiele.

Patrzył na Masmó i milczał.

— ...Dlaczego nie chcesz być sobą, tylko człowiekiem? Nie chcesz chyba w ten sposób zacząć rozumieć ludzi? Nigdy nie byłem człowiekiem, a myślę, że ich dobrze znam. Oni chcą jeść, pić, kochać się, wydrzeć jak najwięcej innym i zapomnieć o śmierci. Reszta to dekoracje i pozory. Dlaczego chcesz im w tym przeszkadzać? Chcesz, żeby byli inni. Oni nie chcą tego... Spójrz na ten piękny kraj nad

morzem zamkniętym — Masmu poruszył ręką i na chwilę skały zniknęły, a w ich miejscu Admis zobaczył z góry, z orbity, przesuające się w dole zielone pola i lasy, miasta i morza.

— ...Gdybyś tylko zechciał ty, panie, w postaci człowieka być prawdziwym władcą tego wszystkiego, wystarczy twoje jedno słowo. Ja także będę ci służył. Wszyscy będą szczęśliwi.

A ty chcesz to zniszczyć. Chcesz, by ich pola zarosły chwastem, ich miasta legły w ruinie, a barbarzyńcy konie swoje poili w fontannach... Ja wtedy tu zostałem, gdy mnie izolowałeś, by im podszeptywać, jak łatwo osiągnąć zadowolenie i rozkosz i jak łatwo zapomnieć o śmierci.

Czy myślisz, że ty, panie, cokolwiek zmienisz? Burzyłeś już miasta, zalewałeś pola wodą i mułem, trułeś gazami z wnętrza planety, ale oni zapominają i wszystko jest, jak było. Ja ich naprawdę rozumiem, nie ty, panie. — Masmu umilkł i patrzył na Admisa.

Skały wróciły na swoje miejsce i Admis czuł, jak odbijają promienie słońca grzejąc jego ciało. Tylko sępy spłoszone zapadły za horyzont.

Admis z trudem przełknął ślinę.

— Idź precz, Masmu — wyszeptał — ty i tak mnie służysz.

Znowu był w komnacie i słyszał szmer fontanny.

— Widziałeś, panie? — zapytał Masmu.

— Tak. Usunął cię i myślę, że ja zrobię to samo, ale usunę na zawsze.

— Możesz to zrobić, panie, zawsze mogłeś.

— Tym razem uczynię tak.

— Chcesz, panie, postąpić jak człowiek, którego postać nosisz, a nie jak ten, który jest w trwaniu. Czymże cię tak uraziłem? Ta mała scena z życia miasta, którą zaaranżowałem?

Tym, że dotknąłeś kobiety, która sprawiła, że czujesz ciało noszone przez siebie? Tego doznania nie miałeś w trwaniu i tam tylko wiesz o nim, tak jak wiesz o wszystkim. Lecz naprawdę odczuwasz kształt tego doznania dopiero w czasie, gdy jest ono chwilą i staje się wspomnieniem. Będziesz je pamiętał, panie, przez wszystkie dni i noce na tej planecie.

— Nie jestem tylko człowiekiem.

— Jesteś nim, panie, bardziej, niż przypuszczasz, tak samo jak jest nim Admis. Wiesz przecież, że teraz jesteście i nie jesteście zarazem jednością. Teraz chcesz mnie zniszczyć, lecz w trwaniu zawsze patrzyłeś na mnie z pobłażaniem, w którym ja doszukiwałem się czasem atomów miłości.

— Wzruszasz mnie, Masmó.

— To także mówisz jak człowiek, panie. W trwaniu nie ma tego odczucia, bo jest ono z czasu, nie z trwania.

— Tak, jak nie ma tam ciebie, Masmó, i nigdy nie będzie. Ja tylko tutaj jestem zamknięty w dwóch ludzkich ciałach, niedoskonałych, o wąskich kanałach informacyjnych; zamknięty jak atom w grawitacyjnej czeluści, i ty uzyskałeś przez to do mnie dostęp, który nie istnieje dla ciebie w trwaniu, i co czynisz? Mamisz Admisa mirażami, mnie fantomem ciała kobiety, wysyłasz jeźdźców, by tratowali tłum, a jeśli by się udało — także Admisa.

Traktujesz nas z tą samą pogardą, z jaką traktujesz ludzi, te według

ciebie automaty, które na sygnał mają jeść, pożądać czy nienawidzić. Od ośmiu tysięcy okrążeń tej planety wokół jej słońca toleruję cię tutaj, Masmu. Ale możesz przestać być, a w trwaniu nie ma dla ciebie miejsca.

— Panie, masz zawsze rację. Ale jeżeli przestanę być, będziesz musiał pchnąć do istnienia poza tobą inny twór, równie niedoskonały jak ja, bowiem tam, gdzie nie ma trwania, nie ma innego sposobu miary dla doskonałości.

— Zauważyłeś, Masmu, że nawet sępy znikają, gdy ty się pojawiaasz. Ty także jesteś sępem, tylko żerujesz na świadomości przemijania istot z tej planety. Nie masz innych obiektów swoich działań, bo tylko w tym jednym jedynym gatunku na tej planecie każdy osobnik wie niemal od urodzenia, że kiedyś przestanie być. Mimo tysiąclecia i inne gatunki zwane zwierzętami posiadają prosty język, w którym wyrażać będą istnienie swego ja, lecz nie osiągną nigdy świadomości śmierci, z którą można żyć, choć inaczej niż bez tej świadomości.

Jesteś skazany na ten jeden gatunek, Masmu.

— Ja chcę tylko ich szczęścia, panie.

— Ja też, i tym się różnimy. A teraz zniknij. Rozkazuję ci.

Został sam i wtedy spostrzegł, że cienie kolumn przesunęły się po posadzce i czas minął.

— On zniknął, ten mężczyzna — Visa stała za nim z dzbanem wina. — Czekałam, aż mnie przywołasz, panie, nie chcąc ci przeszkadzać w rozmowie. Ale on zniknął...

— Odszedł. Nie spostrzegłaś tego. Myślałaś pewnie o czymś, o

czym dziewczęta myślą w twoim wieku.

— Nie, panie. Patrzyłam na niego, jak znikał. Zrobił się przezroczysty i potem go nie było. I jeszcze ten dziwny zapach...

— Viso. On odszedł. Rozumiesz?

— Tak, panie. Czy mam ci nalać wina?

Skinął głową i patrzył, jak pochyliła się stawiając na niskim stole kubek, by nalać doń wino z dzbana, i wtedy poczuł nieokreślony żal, że nie jest wodzem, kawalerzystą i politykiem, którego ciało nosił. Ale to była chwila, i gdy minęła, poczuł potężny, chłodny i niezmienny przypływ trwania.

IV

Czekał na ten głos spacerując wolno wzdłuż balustrady tarasu. Dotarł do niego ze strony świątyni przytłumiony odległością. Był wyraźny w ciszy zmierzchu: trzy razy zagrały trąby. Spojrzał na ciemne teraz, wschodnie niebo i dojrzał trzy gwiazdy. Czekająca go pracowita noc.

Pierwszy przybył Ardo, dowódca garnizonu, ten sam młody mężczyzna, chłopiec prawie, o brązowych kręconych włosach spadających na kark, na którego rozkaz za dnia konnica atakowała tłum.

— Sława Imperatorowi — powiedział i znieruchomiał trzy kroki przed proktorem.

— Sława — odpowiedział, a potem ciszej już dodał: — Chodź ze mną. Musimy się naradzić, sprawa jest bowiem poważna.

Wziął tamtego za ramię i poprowadził ku kolumnom i wejściu do komnat, gdzie służba zapaliła tymczasem lampy oliwne.

— Nie tęsknisz za stolicą, Ardo? — zapytał. Mówił mu, czasem po imieniu, gdy byli sami i żołnierze ich nie słyszeli.

— Dlaczego pytasz, proktorze?

— Chcę wiedzieć.

— Imperator mnie tu przysłał i stąd mnie odwoła.

— To pewne, ale może odwołać cię stąd jako zwycięzcę lub jako pokonanego.

Szli teraz w kierunku fontanny i zatrzymali się przy niej, tak że szum spadającej wody tłumiał ich słowa.

— Do czego zmierzasz, proktorze?

— Możemy mieć tu gorącą wiosnę.

— Jestem zawsze gotowy zginąć za ojczyznę.

— O to nie tak trudno, Ardo, ale ojczyzna wymaga od ciebie trochę więcej.

— Słucham twoich rozkazów, proktorze.

— W mieście zaczęły się rozruchy.

— Wiem, panie.

— Mów.

— Pojawił się mściciel i część ludzi go słucha.

— Co mówi?

— Żołnierz tego nie słucha, panie.

— Dobrze, co mówi?

— Mówi o zniszczeniu miasta i nowym królestwie.

— Nic więcej?

— Nic, co mogłoby nas interesować.

— Co przedsięwziąłeś?

— Wyzaczyłem na jutro trzy setnie pieszych i dwa oddziały konnych, na wypadek gdyby doszło do jakichś rozruchów. Przekazałem dowódcom, że gdyby w czasie zamieszania przypadkiem zginął ów człowiek, oddział dostanie trzy beczki wina.

— Odwołasz ten rozkaz!

— Tak jest, panie.

— Odwołasz również te oddziały.

— Tak jest.

— Weźmiesz natomiast jedną setnie, przebierzesz w szaty zwykłych ludzi, uzbroisz w sztylety i pałki ukryte pod sukniami. Żołnierze tak ubrani wmieszają się w tłum i będą chronić tego człowieka. Straż świątyni może go atakować. Jeśli po tym ataku będzie mniej liczna, nie będę miał o to pretensji. A wina dla dzielnych żołnierzy też mamy dosyć.

— Czy dobrze zrozumiałem? Mam go chronić?

— Dobrze zrozumiałeś. Bez mego osobistego rozkazu nie rozpędzać tłumy. Powtarzam: osobistego.

— Tak jest, proktorze.

— To jeszcze nie wszystko. Weźmiesz pięć setni i konnych. W szyku zwartym przemaszerujesz przed pałacem kapłana i przez

dziedziniec świątyni. W pełnym uzbrojeniu.

— Rozumiem.

— Ponadto od jutra rana pełne pogotowie dla wszystkich oddziałów.

— Tak jest, proktorze. To aż tak poważna sprawa?

— Czy sądzisz, że inaczej sam bym się tym zajmował?

— Czy mogę jeszcze o coś zapytać, proktorze?

— Pytaj.

— Ten człowiek to wysłannik Imperatora?

— Tego komendant garnizonu nie musi wiedzieć.

— Tak jest.

— Ale powiem ci, że jakiś władca na pewno go tu przysłał.

— Rozumiem.

— Wątpię, Ardo. Ale pamiętaj o stolicy. Możesz tam się wkrótce znaleźć, a prowincji dla dzielnych żołnierzy w Imperium jest dość. Prowincję taką mógłbyś dostać. A teraz odejź i jutro rano zamelduj wykonanie rozkazów.

— Sława Imperatorowi — odpowiedział Ardo, wykonał zwrot i zniknął w mroku.

Proktor uśmiechnął się i spojrzał w niszę, gdzie kapiąca w klepsydrze woda odmierzała czas. Wiedział, że następna rozmowa będzie dla niego trudniejsza. Przeszedł do swojej komnaty i dotknięciem dłoni zablokował drzwi, a potem usiadł w fotelu pod hełmem.

Wchodził szerokimi schodami wyłożonymi dywanem; poprzedzany przez sekretarza prezydenta. Tam gdzie kończyły się schody i

zaczynał korytarz, stało po obu stronach schodów dwu żołnierzy z gwardii w swych zielonych mundurach i w hełmach. Stali nieruchomo i wydawało się, że nawet nie spojrzeli na niego. Z pewnym zdziwieniem spostrzegł pistolety maszynowe przewieszane przez ich piersi. Zazwyczaj ochrona wewnętrzna pałacu nie nosiła broni tak ostentacyjnie. Pomyślał, że ich spokój jest również pozorny i gdyby wchodził tu sam, bez sekretarza i całej skomplikowanej procedury powiadamiania, przez którą przebrnął, leżałby teraz zapewne na pierwszych stopniach schodów podziurawiony kulami.

Przeszli koło strażników i weszli do obszernego pomieszczenia oświetlonego licznymi stylizowanymi w świeczniki lampami, przymocowanymi do ścian. Tu także był dywan, wielki czarny stół pośrodku, a boki pomieszczenia zajmowały ciężkie wielościenne szafy wypełnione książkami. Krzesel nie było i tylko przed wielkim oknem zakrytym teraz zasłonami stała potężna ława z tego samego drzewa co szafy i stół. Drzwi w tym pomieszczeniu były tylko jedne i stało przy nich dwu innych żołnierzy.

— Proszę chwilę poczekać — powiedział sekretarz i trzymając w ręku jego kartę wizytową, otworzył drzwi i wyszedł. Podszedł ku ławie, postawił na niej swoją czarną teczkę, ale nie usiadł. Gdzieś zza kotary słyszał szelest powietrza tłoczonego przez klimatyzację i czuł na policzkach delikatny powiew. Było cicho i tylko z daleka, przytłumiony odległością i murami, doszedł do niego odgłos wybuchu.

Sekretarz wrócił.

— Pan prezydent prosi — powiedział i sięgnął po jego teczkę.

— Czy to konieczne? — zapytał. — Mam tam ważne dokumenty.

— Niestety — sekretarz uśmiechnął się przeproszająco. — Takie mamy polecenia i musimy się stosować do nich nawet wobec pana.

Oddał teczkę i poszedł za sekretarzem, który uchylił drzwi, przepuścił go, ale sam nie wszedł do środka.

Gdy drzwi za nim się zamknęły, spojrzał przez pokój na wielkie biurko, za którym stał niski, drobny, siwy człowiek i trzymał w rękę jego wizytówkę.

— Pan Parakletos — przybliżył wizytówkę do oczu, nie bez trudu wymawiając jego nazwisko. — Miło mi pana poznać.

— Dziękuję za szybkie przyjęcie, panie prezydencie.

— Cóż. Nasi przyjaciele domagali się tego w swych ostatnich teleksach. — Pan daruje, ale wyobrażałem sobie pana trochę inaczej, chyba nieco starszego.

— Jestem do tego przyzwyczajony. Pan jest uprzejmy. Inni, może mniej taktowni, przywódcy porównują mnie do przedstawiciela dużej firmy komputerowej albo kogoś w tym rodzaju.

— Wie pan, coś w tym chyba jest.

— Anonimowość, panie prezydencie. Anonimowość to nasza zasada.

— Jasne. Napije się pan sherry czy koniaku?

— Dziękuję, nie. Nie mamy tak dużo czasu. Możemy tu rozmawiać?

— Nie gorzej niż gdziekolwiek — prezydent uśmiechnął się.

Przestał się uśmiechać, gdy gdzieś poza oknem, niedaleko pałacu, rozstrzelał się karabin maszynowy.

— Naciskają nas — powiedział prezydent. — Słyszysz pan?

— Tak.

— To zna pan już sytuację, i co pan proponuje?

— Będę szczery, panie prezydencie. To nie garstka straceńców, to zorganizowany ruch.

— Fanatycy!

— W tej sytuacji nie umniejsza to ich skuteczności.

— Gdybym mógł osiągnąć ich przywódcę, rozproszyliby się jak garstka szczurów.

— A jeśli on, ten ich przywódca, wyraża tylko wolę tego ludu?

— To brzmi patetycznie i oczywiście pan żartuje. Do niedawna w tym kraju wszyscy byli zadowoleni i żyli dostatnio.

— Prawie wszyscy.

— Co znaczy prawie wszyscy?

— Wszyscy z wyjątkiem skończonej ich liczby.

— Zabawny pan jest. To może znaczyć — nikt albo bardzo wielu.

— Właśnie.

— Ale to nieprawda.

— Taka również może być prawda.

— Może... może... Ale co to jest prawda? — Prezydent milczał chwilę, jakby czekał na odpowiedź. — Zresztą jeśli nawet oni mogliby mieć rację, to ja mam władzę: armię, tajną policję, pieniądze.

— Kupiłby pan chętnie jego głowę?

— Tak.

— A jeśli nie byłaby na sprzedaż?

— Myślę, że to raczej kwestia ceny.

— A jeśli nie?

— Będę bronił do końca tego kraju. — W tej chwili światło przygasło i rozbłysło znowu, ale już mniej intensywne, bardziej żółte. Równocześnie usłyszeli daleki odgłos detonacji.

— Znowu uszkodzili elektrownię — powiedział prezydent i włączyły się światła awaryjne, a gdy przybysz nie odpowiedział, dodał: — Myśli pan, że oni mogą zwyciężyć? Że to, czego oni chcą, jest naprawdę lepsze?

— Może jest po prostu prawidłowością rozwoju...

— Niemożliwe. Ich zwycięstwo to chaos niszczący to wszystko, czym żyjemy. Jakież będzie kraj, jeśli oni zwyciężą? Prawidłowość rozwoju — to teoria, a my przecież żyjemy w tym kraju, tym mieście, panie Parakletos. Nawet jeśli to, o czym mówimy, jest prawdą, ja i tak muszę bronić tego kraju. Nawet jeśli zniszczą miasto, mamy inne miasta. Ja, tacy jak ja nie mamy innej drogi, bo mamy tylko to życie i chcemy żyć tak, jak żyjemy. Nie pójdę na żadne ustępstwa i zniszczę ten ruch i jego przywódcę.

Na biurku odezwał się brzęczyk interkomu.

— Przepraszam — powiedział prezydent, nacisnął przycisk.

— Słucham — powiedział w kierunku mikrofonu.

— Nie rozumiem, panie prezydencie — głos tego, który mówił, zacinał się i urywał — jest tu inny wysłannik, który miał być u pana. A przecież jeden jest już u pana.

Prezydent skurczył się, przygarbił i spojrzał wprost na przybysza.

— Chcesz mnie zabić... — powiedział cicho.

— Nie. Niech się pan nie obawia.

Prezydent skulony patrzył jeszcze przez chwilę na przybysza, a gdy tamten stał nie wykonując żadnego ruchu, wyprostował się nagle.

— Do mnie! — krzyknął do interkomu, a gdy wbiegli żołnierze i chwycili przybysza za ręce, usiadł i nie patrząc na niego powiedział:

— Rozstrzelać. Rozstrzelać także sekretarza.

Stał naprzeciw starca i patrzył na jego białe długie włosy i czarne oczodoły, do których nie docierało światło lamp oliwnych. Czuł na sobie ręce strażników przytrzymujące jego ramiona.

— Ukamienować — powtórzył starzec. — I słowa nikomu. A ty, przybyszu, który chciałeś mnie zgładzić, pamiętaj, zanim zginiesz, że żaden zwodziciel nie zniszczy władzy arcykapłana i wkrótce utraci głowę, tak jak ty ją teraz utracisz, i nie groź mi zniszczeniem miasta. Słyszę tę groźbę i śmieję się z niej. Kapłani także nie padną na kolana przed zwodzicielem, a nieliczni głupcy, którzy idą za nim, rozbiegną się, gdy zginie. Zabrać go!

Nie opierał się, gdy prowadzono go przez krużganek. Przeszli przez ciało człowieka, który go tutaj wprowadził. Ciało ze sztyletem w plecach i krwią na szacie. Dopiero na schodach rozwiął się i słyszał jeszcze, znikając, krzyk ludzi, którzy go prowadzili. Wiedział, że oni także nie dożyją następnego dnia.

Gdy odrzucił hełm, wstał z fotela i ściana za nim zapadła, zakrywając aparaturę, poczuł zmęczenie. Pomyślał, że organizm, w który jest implementowany, nie wytrzymuje takich przeciążeń i jego koniec w czasie nie jest zbyt odległy. Gdzieś w głębi pamięci nadchodziły obrazy obce mu i nie znane, jakaś łąka w spokojne letnie popołudnie z kolorowymi plamami kwiatów, wolno płynąca zakolem

rzeka, z której krople podczas kąpieli przywarły do jego ciała i schły w słońcu dając miłe uczucie chłodu, głosy rówieśników łowiących ryby i ciche brzęczenie pszczół nad kwiatami. Ile mógł mieć wtedy lat, dziesięć, może dwanaście?

Potem nadeszło wspomnienie jakiejś alei w ogrodzie i księżyc, który pełnią stał nad drzewami. Duszne nocne powietrze z zapachem kwiatów i świadomość oczekiwania, nieokreślonego niepokoju z niespokojnymi głosami nocnych ptaków w tle.

— Kim był ten człowiek, którego ciało noszę? — zapytał półgłosem.

— Mam ci odpowiedzieć, panie?

Nie spodziewał się tego głosu i opanował się z trudem.

— Mówiłem ci, żebyś mnie omijał.

— Pytałeś, panie, odpowiedziałem.

— Nie ciebie.

— Poza trwaniem nikt tego lepiej ode mnie nie wie, panie, ale nie ty jeden myślisz o tym, co było. Kapłan, którego niedawno opuściłeś, ten starzec z siwymi włosami, nie śpi i wpatruje się w płonąca lampę oliwną w niszy swej komnaty. On także wspomina czasy, gdy był młody i gdy był szczęśliwy.

— Skąd to wiesz, Masmó? Przecież ty nie możesz wiedzieć, o czym ja myślę.

— Wszyscy ludzie są podobni i myślą w taką noc jak ta o tym, co zostało za nimi w czasie, o tym, czego już nie będzie, nigdy.

— I ty to wiesz?

— Ty, panie, wchodząc w czas zajmujesz się wszystkim. Ja tylko

ludźmi.

— Więc ten starzec także, tak jak ja...

— I prezydent, którego widziałeś, który już niedługo zginie rozszarpany granatem w swym gabinecie, i król wyspy pośrodku morza zamkniętego, a nawet twój setnik, wszyscy oni wspominają młodość. Trwają przy ostatniej namiętności swego życia: władzy, lecz wspominają to, co minęło.

— Nawet stare psy, Masmó, wspominają swoją młodość.

— Lecz jej nie żałują, panie.

— To, co ja wspominałem, nie jest przecież moją młodością. To młodość tego kawalerzysty, którego ciało noszę razem z jego wykrzywionymi przez siodło nogami.

— Daruj, panie, lecz jest to młodość także twoja. Nawet ty, panie, nie możesz być człowiekiem i nie być nim równocześnie, i nie tylko we wspomnieniach.

— Śmiesz sugerować, Masmó, że ja także ulegam tej, jak to ją nazwałeś, ostatniej namiętności!

— Nie ja to powiedziałem, panie.

— To nieprawda.

— Gdyby tak było, jak mówisz, oszedłbyś i wtopił się w trwanie.

— Rozumiem, Masmó, chcesz, bym ci ich zostawił wszystkich i tylko patrzył z trwania, jak ty zmieniasz ten świat. Tobie „ostatnia namiętność” jest nie znana, bo jesteś niczym innym jak tylko nią samą. Dlatego nie mogłeś pozostać w trwaniu. A teraz chcesz mnie odwieść od tego, co ma się stać!

— Tego nie potrafię, panie, to, co się stanie, zapisane jest w

trwaniu.

— W trwaniu jest wszystko. Continuum modeli możliwych światów. Ale tu świat jest jeden i nie zostawię go tobie.

— Wiem o tym, panie. Ardo już wypełnia twoje rozkazy. Jutro żołnierze wyjdą w miasto, mimo że jest ono spokojne.

— Nie słychać strzałów broni maszynowej i wybuchów bomb, jak tam. Ale ono nie jest spokojne, ono czeka.

— Na twoich żołnierzy, panie?

— Nie usłyszysz ode mnie, co będzie, Masmó. A teraz rozkazuję ci, przepadnij!

Zawrócił od drzwi i wszedł z powrotem do sali kontaktu. Nałożył hełm i dokładnie namierzając przeniósł się do statku floty, który niewidoczny za osłonami tkwił nad miastem.

Nie ukształtował się tam w żadną postać, bo to nie miałoby celu. Zawisł w przestrzeni nad miastem, które świeciło teraz w dole słabymi światełkami lampek, słabszymi niż gwiazdy będące nad nim.

— Jesteś, Micho? — pomyślał.

— Tak, szefie.

— Przygotuj słaby wstrząs grawitacyjny, taki który niewiele niszcząc, przebiegłby wszystkie lądy wokół środkowego morza. Potem spolaryzuj światło słońca, by było przyćmione.

— A tutaj?

— Wybuch jądrowy średniej mocy.

— Ty tam będziesz, szefie.

— Tak. I ja, i Admis, ale to przecież jest bez znaczenia.

— Po takim wybuchu nic tam nie zostanie.

— Wiem.

— A ci ludzie?

— Gab uzyska od Admisa imiona tych, których należy uratować.

— Stary schemat, szefie?

— Tak.

— Musi ich zawiadomić i wyprowadzić poza zasięg rażenia.

— Miejsce ustal z nim w szczegółach, i bądź gotów, gdy po raz drugi wzejdzie słońce.

Potem wrócił do swej komnaty, zawarł za sobą ścianę i zwałił się na łożo. Zasnął natychmiast snem bez marzeń i widziadeł, snem zmęczonego pracą człowieka.

V

Czekał na Kario na dziedzińcu twierdzy, kilka kroków za nim stała jego lektyka i noszący ją potężni śniadzi niewolnicy odpoczywali teraz w jej cieniu, bo na to im przyzwolił.

Jego osobista straż — czterech uzbrojonych żołnierzy w hełmach i pancerzach — stała obok w słońcu, tak jak nakazywał regulamin, i patrzyła wraz z nim na wymarsz oddziałów. Oddziały stały w pełnym uzbrojeniu i równały szyki. Słyszał szcęk metalu i komendy setników, gdy oddziały wyrównywały front. Z tej odległości twarzy

poszczególnych żołnierzy nie widział, ale wiedział, że pot spływa już z ich czoł, i był pewien, że przeklinają jego, proktora Imperium, który dla swej zachcianki nakazał im tu stać w skwarze wiosennego przedpołudnia, i za to, że będą musieli maszerować w szeregach, zamiast leżeć w cieniu, pić wodę zmieszaną z winem lub octem i grać w gry, dla których kamienne plansze wykonano w płytach dziedzińca.

Jazda zbierała się w dole na innym dziedzińcu i słyszał tylko rzenie i tupot koni. Na drugim skraju dziedzińca stało trochę gawiedzi wpuszczonej tutaj, by mogła patrzeć na wojskową potęgę Imperium. Przeszedł w ich stronę, by Kario łatwiej mógł do niego podejść. Jego eskorta ruszyła za nim, a także niewolnicy poderwali się, przenieśli lektkę kilkadziesiąt metrów i znowu usiedli w jej cieniu.

Oddziały wyrównawszy szyki dokonały zwrotu i z rytmicznym łoskotem sandałów ruszyły ku bramie. Przyjmując świtem meldunek od Ardo, zabronił żołnierzom pozdrawiania go, ale i tak był świadom tego, że idąc patrzą na niego.

Teraz, gdy przechodzili obok niego w odległości kilkunastu kroków, poczuł zapach skór ich rynsztunku zmieszany z wonią potu.

Nie patrzył na ostatnie wychodzące oddziały, tylko szukając wysokiej sylwetki Kario spoglądał w bok, ku tłumowi przybyłemu z miasta. Dostrzegł w końcu Kario przepychającego się w tłumie. Gdy ostatni żołnierze odeszli, tak jak przewidywał, z tłumy wysunęło się kilku ludzi i ruszyło ku niemu kłaniając się nisko, idąc wolno, by nie narazić się na brutalną interwencję eskorty. Jak zawsze przy takiej okazji chcieli mu przedstawić swoje sprawy lub błagać o łaskę w jakichś drobnych przewinieniach, bo on tu był sędzią najwyższym i

tylko obywatele Imperium mogli odwoływać się do samego Imperatora. Tak jak zawsze, udając przez chwilę wahanie wskazał na Kario, a resztę oddalił ruchem dłoni.

Żołnierz z eskorty podszedł do Kario i przeszukał go sprawdzając, czy nie ma noża lub innej broni. Potem przepuścił go i Kario podszedłszy do proktora upadł na kolana ze słowami:

— Bądź pozdrowiony, proktorze.

— Wstań — powiedział proktor i nakazał żołnierzom, by odeszli poza zasięg głosu.

Dziedziniec pustoszał i wartownicy usuwali ostatnich gapiów za bramę.

Kario wstał i wtedy proktor zauważył, że tamten nosi skórzany fartuch z wielkimi kieszeniami na pieniądze, tak jak wymagał tego jego zawód.

— Mów — powiedział do Kario.

— Chwila sprawiedliwości jest bliska, panie. Wszyscy słuchają i czczą Admisa. Jego prawda jest wielką prawdą i trafia do serc ludzi. Tłumy słuchają go i wielbią.

— Mam nadzieję, że nie płacisz ludziom, by wiwatowali na jego cześć.

— Nie śmiałbym, panie. Admis nigdy by mi tego nie przebaczył.

— Sam to kiedyś proponowałeś.

— To było dawno, panie, wtedy, kiedy jeszcze nie wiedziałem, gdzie jest prawda.

— A teraz?

— Jego królestwo nadejdzie, panie, i przecież ty się także z tego

cieszysz i miłujesz go.

Inaczej nigdy nie wydałbyś tyle pieniędzy dla niego i jego uczniów.

— Zwycięstwo nie będzie proste, Kario. Królestwo samo nie nadchodzi...

— Wiem, panie. Kapłani knują przeciw nam. Nawet twoje wojsko...

— To pomyłka, intryga ciemnych sił...

— Tak pomyślałem, panie. Ale nie mówiłem, bo mi zakazałeś.

— I dalej zakazuję. Nikt, nawet Admis, nie śmie wiedzieć, że wykonujesz moje rozkazy.

— Tak, panie.

— Padnij teraz na kolana i słuchaj mnie uważnie... — czekał, a gdy Kario ukląkł, mówił dalej. — Kapłani spiskują. Chcą zabić Admisa. Nie mogę bronić go teraz, gdy przebywa gdzieś w mieście. Jego uczniowie nie stawiają czoła kapłańskim strażom i może zginąć każdej godziny dnia i nocy. A ja go muszę ochronić, Kario, i ty mi w tym pomożesz.

— Jeśli tylko potrafię, panie.

— Potrafisz!

— Co mam czynić?

— Pójdiesz do arcykapłana i wydasz Admisa.

— Nie rozumiem, panie.

— Pójdiesz do arcykapłana i sprzedasz go. Zażadasz pieniędzy za jego wydanie.

— Nie uczynię tego, panie. Ja go kocham.

— Kario, kochasz go i wolisz, by zginął zaszyty gdzieś w

zaułku czy rozsiekany mieczami przy posiłku? Chcesz zobaczyć go skrwawionego i martwego?

— Nie, panie.

— Więc uczyn, co ci mówię.

— Nie zaprzędam go. Nie potrafię.

— Człowieku! Nie ma innego sposobu. Moi żołnierze nie mogą go po prostu zatrzymać i chronić.

— Więc chcesz, panie, by arcykapłan ujął go. On go zabije. Rozkaże swoim strażom, by już w chwili zatrzymania go zabili.

— Nie, Kario, tam będą moi żołnierze. Nie pozwolą na to. Tę ja dopilnuję.

Kario milczał chwilę, a potem powiedział:

— Ty wiele możesz, panie, lecz nie doceniasz chytręści arcykapłana. Przebac, że śmię tak mówić, panie, ale to wiem. Ja, nie ty, jestem z tego narodu. On zabije go, panie, i ani ty, ani ja nie zobaczymy nawet jego ciała. — Kario umilkł i jeszcze niżej pochylił głowę nad kamieniami płyt dziedzińca.

— Gdy ja, proktor, będę wiedział o tym, że Admis jest w jego rękach, nie odważy się go zabić. Będzie musiał postawić go przed sądem. Wtedy Admis przemówi do najwyższych dostojników i może przekona ich. Ci, co nie uwierzą, zginą jak inni. Ale przecież oni dotąd nawet go nie wysłuchali. Nawet go nie widzieli. Ty także kiedyś nie wierzyłeś mu, a teraz wierzysz. Ci dostojnicy to przecież ludzie. Niech i oni zobaczą i usłyszą. Nie można ich tego pozbawić tylko dlatego, że są bogaci i mają władzę. To, co mówi Admis, jest dla wszystkich, dla niewolników i ich właścicieli, dla nędzarzy i bogaczy,

dla tych, co pracują, i tych, co całe życie odpoczywają żyjąc z pracy innych. Dla nich wszystkich jest nadzieja, a więc i miłość, i przebaczenie, które są w nadziei.

— O czym mówisz, panie? Arcykapłan nic nie zmieni. On nie robi takich interesów. On nawet o nich nie będzie słuchał. Dla niego wszystko jest tak, jak być powinno. Lud składa ofiary, więc Bóg dostaje, co się jemu należy. A każdą ofiarę kupuje się u sprzedawców arcykapłana, więc on także dostaje, co się mu należy. To jest pewny interes i dla Boga, i dla arcykapłana. Ty, panie, będąc arcykapłanem pozwoliłbyś popsuć taki interes? Wierzysz, że on na to pozwoli, panie?

— Nie. Ale by sprawiedliwość mogła zwyciężyć, i ta próba musi być podjęta.

— A wtedy kapłani skazą Admisa na śmierć.

— Jeśli go skazą, sprawiedliwość zwycięży, i kara dosięgnie tych, co go skazali.

— Ty wiesz, panie?

— Tak, Kario.

— Jesteś wielki i twoje wojska idą przez miasto. Teraz wiem, że Admis zwycięży.

— Wykonasz więc to, co ci polecam.

— Nie wiem, panie. Boję się.

— O swoje nędzne życie.

— Boję się nie o siebie. Boję się o niego.

— Cóż mu się może stać? Wszystkie moce będą go strzec. A może chcesz nagrody?

— Nie, panie. Nie chcę niczego. Jeśli ty wiesz, zrobię, czego żądasz, bo ty wiesz lepiej.

Lecz nie wezmę od arcykapłana nawet denara.

— Nie, Kario. Zażądasz zapłaty. Tylko wtedy arcykapłan ci uwierzy. Tylko pieniądze są celem oczywistym człowieka w tym świecie. Inne cele są zawsze podejrzane. Zażądasz trzy razy więcej, niż zechce ci dać.

— Nie będę się targować. Nie o Admisa.

— Powinieneś, Kario.

— Nie będę. Nie potrafię, panie.

Patrzył na ciemną głowę Karia i zrozumiał, że nic więcej nie osiągnie.

— Jak chcesz, Kario — powiedział.

— I zaraz go uwolnisz, panie, i będzie tu królem?

— On już jest, Kario.

Kario podniósł głowę i patrzył wprost na niego, nie mrużąc nawet oczu w południowym słońcu.

— Wierzę ci, panie — powiedział.

— Wstań więc, idź i uczyn dziś wieczór, co kazałem.

— Tak, panie — Kario umilkł na chwilę, a potem dodał już ciszej — ale dlaczego mnie wybrałeś, panie?

Proktor nie odpowiedział, tylko odszedł w kierunku lektyki. Niewolnicy poderwali się z ziemi. Po chwili uniesiony przez nich w kierunku pałacu widział jeszcze Karia, gdy ten szedł ku bramie. Wydał mu się jakiś mniejszy i pochylony. Przez chwilę wydawało mu się nawet, że człowiek ten nie ma cienia. Potem pomyślał, że słońce

stoi już w zenicie.

Gdy wrócił do swych komnat, powiadomiono go, że arcykapłan prosi o audiencję. Przewidywał to, lecz spodziewał się, że stanie się to dopiero popołudniem lub nawet wieczorem. Zastanowił się chwilę, czy przyjąć go w komnatach, lecz w końcu zdecydował się na spotkanie na tarasie w ostrych promieniach południowego słońca, by wykazać starcowi, jak nieodpowiednia była pora jego wizyty.

Kazał więc przykryć kamienną ławę brokatem i postawić na marmurowym stole obok owoce i wino zmieszane z wodą. Potem usiadł na ławie, odesłał strażę i kazał wezwać arcykapłana. Czekając na niego patrzył na ogrody i nagle uświadomił sobie, że nie słyszy głosów ptaków ani nawet brzęczenia owadów... Starzec nadszedł powoli, poprzedzany przez żołnierza, który podprowadziwszy go do ławy odszedł.

— Witaj, proktorze — powiedział na powitanie arcykapłan.

— Witaj — odpowiedział i nie wstając wskazał mu miejsce obok. Potem przysunął ku niemu owoce, a sam sięgnął po kubek z chłodnym jeszcze płynem.

— Twoje wojska maszerują dziś przez miasto — zaczął arcykapłan.

— Dałem taki rozkaz. Tej wiosny miasto nie jest spokojne.

— Myślałem, że przywrócisz w nim spokój.

— W tej prowincji nie jest to łatwe, o czym obaj dobrze wiemy.

— Myślałem, że twoja konnica dosięgnie mąciela.

— Pojawił się w ogóle jakiś? — zapytał i spojrzał na starca. Nie ułatwię mu tej rozmowy — pomyślał.

— Tak. Przecież atakowała go twoja konnica.

— Ach, to. Rozpędzała jakieś zbiegowisko, bowiem obywatele Imperium skarżyli się na brak spokoju.

— Spokoju nie będzie, dopóki ten człowiek jest w prowincji.

— Jeśli mówisz, że jest jakiś, to usuń go. Starzec spojrział wprost na proktora.

— Ponieważ nikt nas nie słyszy, proktorze, będę mówił otwarcie. To twoja sprawa, nie moja. On wzywa do powstania i utworzenia tu królestwa.

— Odpowiem ci, kapłanie, równie otwarcie. Nie wiedziałem, że twoja sympatia i lojalność dla Imperatora są tak wielkie.

— On tego może dokonać.

— Ja mam swoich żołnierzy. Niech spróbuje. Chwilowo nie zagraża Imperium.

— Jednak trzeba go usunąć.

— Więc uczynić to. Słyszałem, jeśli mówimy o tym samym człowieku, że każdego dnia można go spotkać przy świątyni. Nakaż strażom świątynnym, by go zatrzymały.

— Nie. Tak nie mogę...

— Nie masz dość straży?

— Może polać się krew, a to jest krew tego narodu.

— Po prostu uważasz, że nie jest to łatwe? Że ma zbyt dużo zwolenników? Przyznaj się, może jest ich więcej niż wyznawców świątyni?

— Nie.

— Więc boisz się. Boisz się zamieszek, w których mogłyby ucierpieć twoje stragany.

Moje wojsko zawsze jest w pogotowiu.

— Widziałem to dzisiaj. Tylko czekasz, proktorze, żeby wkroczyć do świątyni z wojskiem. Każdy powód dla ciebie jest dobry. Ty nienawidzisz tego narodu, jak i mnie nienawidzisz. Chcesz rozprawić się z tym miastem. Marzysz o postawieniu w świątyni posągu Imperatora.

— Przesadzasz, Imperator nie potrzebuje twojej świątyni. Ale jeśli się boisz — nic nie rób, kapłanie, i czekaj, aż ten człowiek zdobędzie wszystkich twoich wyznawców. Myślę, że świątynia może zostać wykorzystana również dla nowego kultu. Jest to piękna budowla, mówiąc szczerze, jedna z najpiękniejszych, jakie widziałem w życiu.

— Gdybyś mi pomógł, proktorze, potrafiłbym ci okazać wdzięczność mego ludu.

Świątynia jest bogata i jeden wóz złota nie przyniosłby jej uszczerbku. Gdybyś nam wszystkim pomógł...

— Zawsze, gdy będzie tego wymagało dobro Imperium.

— Dwa wozy... i taka chwila nadeszła, proktorze.

— Jestem innego zdania, arcykapłanie. Dobro Imperium nie jest zagrożone.

— Trzy wozy zrujną świątynię. Przy tym to królestwo, które chce tu ogłosić, nie będzie miłe Imperatorowi.

— Królestwa bez pułków wojska nie interesują Imperatora.

Starzec milczał chwilę.

— Więc nic tu po mnie, proktorze.

— Zjedz winogrona.

— Pójdę już, każ przywołać straż.

— Jeszcze nie skończyłem, arcykapłanie. Nie sądz, że to, co powiedziałeś, nie dotarło do mnie. Ja po prostu wiem, że poradzisz sobie i bez władzy namiestnika Imperatora.

— Więcej niż trzy wozy nie mogę. Wierz mi, proktorze.

— Nie o to chodzi. Sprawa jest na tyle poważna, że gdybyś zdecydował się tego człowieka zatrzymać, chcę, by żołnierze Imperium byli przy tym. Twoja straż jest znakomita do zabijania zwierząt ofiarnych, lecz obawiam się, że do tego ogranicza się jej sprawność.

Nieudane zatrzymanie mogłoby naprawdę wzniecić zamieszki.

— Zgoda, wyślij więc żołnierzy i go zatrzymaj!

— Nie, arcykapłanie. My się nie rozumiemy. Wiem, że zechcesz rozwiązać tę sprawę po swojemu, nocą, gdy inni śpią, a ty czuwasz. Ale pamiętaj, mają być przy tym moi żołnierze, i przed Imperatorem odpowiadasz za to swym urzędem, a przede mną prywatnie — proktor nachylił się do starca — gardłem. Twoje życie nie jest dla mnie więcej warte niż życie mego jednego żołnierza, a gdy wybuchną zamieszki, żołnierzy zginie więcej. Więc pamiętaj o tym, co ci powiedziałem, a wiesz, że zawsze dotrzymuję obietnic. O wypadek w tym mieście, nawet dla arcykapłana, nietrudno.

Starzec zbladł jeszcze bardziej i siedział nieporuszony.

— Może jednak spróbujesz winogron? — zapytał proktor.

— Złożę na ciebie skargę do Imperatora — wyszeptał w końcu starzec.

— O co? O to, że dbam o dobro Imperium?

— Ty mnie obrażasz.

— ...proktorze, chciałeś dodać. Tak, obrażam cię, bo cię nie szanuję. Nie potrafisz poradzić sobie z własnym ludem w najprostszycich sprawach. Nie szanuję niedołęgów.

Powinieneś złożyć swój urząd i grzać cały dzień na słońcu swoje stare kości, a nie w samo południe niepokoić mnie sprawami, z którymi sobie nie radzisz — klasnął w dłonie wzywając strażę. — Żegnaj, arcykapłanie, i dbaj o swoje zdrowie.

Tamten wstał i nie patrząc na proktora odszedł, zanim nawet nadbiegł żołnierz.

Proktor dopił wino. Powiedziałem tyle, ile trzeba — pomyślał — by zmusić go do działania. Teraz będzie działał.

A jednak żał mu było starca, który przeżył całe życie w tym mieście i w swych ostatnich latach musiał podjąć decyzje, z których każda była dla niego zła, bo albo zmieniała rolę, do której przywykł, albo burzyła świat, w którym się zestarzał. Ale tego jeszcze arcykapłan nie wiedział, tak jak nie wiedział o flocie, która czekała na tę decyzję, decyzję, której arcykapłan nie mógł odwlec w czasie, co jak wszyscy ludzie starzy czynił zazwyczaj chętnie.

Był zmęczony słońcem, dopił więc wino, które już się nagrzało i nie chłodziło gardła, a potem przeszedł przez taras i wszedł przez kolumny w cień i chłód fontanny. Zobaczył Visę stojącą pod ścianą w głębi komnaty.

Gdy go ujrzała, zawahała się jakby, a potem podbiegła doń i padła na kolana.

Zatrzymał się.

— Co się stało, Viso? — zapytał.

— Panie, nie dopuściłeś tutaj Karia, co on uczynił?

— Ty go znasz, kobieto?

— Tak, panie. Czy jesteś na niego zagniewany?

— Nie, Viso.

— Więc dlaczego uciekł i nie czekał na mnie jak zwykle, gdy tu przychodził?

— Ty się z nim spotykasz?

— Tak, panie.

— Nie zezwoliłem ci.

— Wybacz, lecz gdy pierwszy raz do mnie przemówił i powiedział, że mam oczy jak — zająknęła się i zaczerwieniła — jak toń jeziora, musiałam go znowu zobaczyć. — Tu do mnie nikt tak nie mówił, panie.

— Zapomnij o nim.

— Rozkaż cokolwiek, panie, i będę ci posłuszna, lecz jego i tak będę pamiętać.

— Wstań, Viso. On nie jest dla ciebie. Wiesz, kim są jego rodzice.

— Wiem, panie. Ja jestem tylko niewolnicą, lecz gdy nadejdzie tu królestwo, które głosi Admis, będę równa Kario. Ja go kocham.

Chciał jej powiedzieć, że może nie dożyć tego dnia, lecz patrząc na nią pomyślał o nadziei, która była jej, i nic nie powiedział. Usłyszał przecież to, co było celem przedsięwzięcia, to, o czym żaden niewolnik nie myślał przedtem, wcześniej zanim Admis się pojawił.

— Cóż wiesz o tym królestwie? — powiedział w końcu.

— Tyle, co mówił o nim Admis. Kario powtórzył mi wszystko.

— Więc także to, że nie będziesz więcej moją niewolnicą, gdy

nadejdzie.

— Będę z tobą, panie, bo chcę być z tobą.

— Ale równa mi.

— Gdy nadejdzie, będę ci równa.

— Zamilcz, kobieto. Zanim nadejdzie, zginiesz w męczarniach, głosząc to.

— Jakie znaczenie ma śmierć, panie?

Spojrzał na nią uważnie i pomyślał, że ta dziewczyna, kobieta prawie, powinna być jedną z tych, których Gąb wyprowadzi z miasta. Pomyślał jeszcze, że ta dziewczyna nie dożyje sędziwego wieku i zginie okrutnie zamordowana, tak jak większość z tych, którzy tworzyć będą nowy porządek w krajach nad morzem zamkniętym, lecz po nich przyjdą ci, którzy dożyją swej starości już w nowym porządku zmieniającym świat w krajach nad brzegami tego morza, ludzie żyjący z nadzieją szczęścia i równości, nie uwarunkowanej tym, jak nędznie naprawdę żyć będą, ludzie, którzy pracą cięższą niż dziś praca niewolnika budować będą po upadku Imperium nowy świat coraz dalej w prowincjach i za oceanami, i swą pracą, która będzie dla nich częstką nadziei, po niezbędnych korektach eksponujących jeszcze bardziej tę pracę zbudują świat tak złożony i bogaty, że będą mogli, gdy zechcą, zapomnieć o nadziei i sama praca stanie się nadzieją i tym, co popycha świat w przyszłość. Za wiele setek lat osiągną może nawet szczęście i równość, o której mówi Visa. Milczał, a Visa stała przed nim i patrzyła wprost na niego inaczej niż dawniej, tak że widział jej oczy o niezwykłym kolorze, który nawet Kario zauważył. Pomyślał, że w Kosmosie jest wiele struktur bardziej

może harmonijnych i kształtnych, lecz ta struktura jest jedyna, unikalna, niepowtarzalna, a może tylko tak mu się wydawało, bo tamte były dla niego teraz abstrakcją, a Visa była naprawdę.

— O czym myślisz, panie? — zapytała.

— O tobie, Viso.

— I nie gniewasz się na mnie za to, co mówiłam?

— Nie, Viso. Przecież mówiłaś prawdę.

— Więc ty także, panie, wierzysz Admisowi?

— Mówił ci to Kario?

— Nie, panie. O tobie nic mi nie mówił, nawet gdy pytałam. Ale wiem, że ci służy, a przecież służy Admisowi.

— Można służyć dwóm panom równocześnie.

— Ale nie wtedy, gdy jednym jest Admis, a drugim ty, panie. Wtedy służy się jednemu panu. Ty nie gniewasz się na Karia? Mógłby tu przyjść?

— Tak, Viso.

— Więc zapomniał o mnie — opuściła głowę.

— Nie myśl tak. Może Admis żąda od niego, by myślał tylko o nim.

— Zapomniał. Nie chcę widzieć go więcej.

— Myślisz, że Admis nie ma do niego prawa?

— Ma, panie, ale o mnie zapomniał! Czy mogę odejść?

— Tak, Viso, i nie myśl źle o Kario.

Odeszła. Stał jeszcze chwilę patrząc za nią, a potem odszedł do swej komnaty. Zawarł za sobą drzwi, zamurował je polem i odkrył aparaturę.

— Jestem, Admusie — pomyślał, gdy poczuł przypływ trwania.

— Jestem z tobą, Adamie — nadeszła odpowiedź. Pomyślał, że wszystko przygotował.

Admis jest w mieście, a także ci, którzy mu uwierzyli. Dziś wieczorem Kario będzie u arcykapłana. Potem Admis zostanie ujęty i sądzony. Jeśli nie przekona kapłanów i ci skazą go na śmierć, flota zniszczy miasto. Wcześniej jednak Gąb wyprowadzi z miasta tych, których Admis uzna za wartych tego. Po zniszczeniu miasta faza aktywna przedsięwzięcia zostanie zamknięta. Miną lata i ci, którzy ujdą śmierci, wzmocnieni autorytetem śmierci pozostałych, przenikną do stolicy Imperium i wszystkich krajów morza zamkniętego. Ale to będzie już przyszłość.

Poczuł spadek trwania.

— Czy wszystko, Admusie? — pomyślał.

— Prawie wszystko, Adamie. — Co jeszcze?

— Pomyśl o Admisie. On jest także człowiekiem. Bądź z nim, tak jak jesteś nim w trwaniu.

Admusa już nie było, a jemu przez chwilę wydawało się, że wydzieliwszy się z trwania unosi się w postaci zorganizowanej, rozrzedzonej plazmy w protuberancjach gwiazdy, leniwych i zimnych. Czas dla niego właśnie się zaczął, bo wydzielając się wszedł w i czeka na chwilę, gdy wniknie do gwiazdy i jego informacja przefazuje reakcje w jej wnętrzu, tak że spięty dodatnim sprzężeniem proces zalawinuje ciśnieniem promieniowania i rozsadzając od środka gwiazdę rozświetli na błysk Kosmos. On sam, rozerwany promieniowaniem, przestanie wtedy być w czasie i tam, gdzie jest czas, na okruchach planet dalekich gwiazd zadrgają

promieniowaniem struktury, a potem w procesie selekcji nastąpią drobne, trwałe wzrosty ich komplikacji. I on określony na pulsującym Kosmosie, będący nim samym w trwaniu, dokona lokalnie wielu wzrostów komplikacji, które choć bez znaczenia dla Kosmosu, są takimi samymi wyjściami z trwania, jak ten jego pobyt na tej planecie.

VI

Czekał na przełęcz, która była jeszcze w słońcu. Niżej w dolinie nadchodził już zmrok. Patrząc stąd widział wyraźnie mury miasta, białe i potężne nawet z tej odległości. Pojawił się tu przed chwilą, po prostu wyszedł zza gładów, i zamknięty w anonimową postać transferu czekał. Podróżni z jucznymi zwierzętami obciążonymi ładunkiem mijali go. Słyszał pokrzykiwania poganiaczy mułów, cichnące w dolinie, gdy minęli przełęcz, rozmowy i płacz dzieci niesionych przez matki. Wreszcie zobaczył Admisa i poznał go. Admis szedł w środku grupy mężczyzn, ubrany tak jak oni w szaty prostych ludzi, boso. Poznał Karia w jego skórzanym fartuchu i mężczyzn, których widział wtedy nocą na szczycie góry, gdy był tam z Admitem i Elszem. Podeszedł do nich i chciał zbliżyć się do Admisa, lecz tamci zastąpili mu drogę.

— Kim jesteś? — zapytał ten, który był na szczycie góry, potężny mężczyzna o szerokich plecach, z krótkim mieczem ukrytym wśród szat.

— Admisie — zawołał — przysyła mnie ten, który trwa.

— Przepuść go, Kefo — powiedział Admis.

Kario także patrzył na niego przez chwilę, gdy przeciskał się do Adrtiisa, ale podobnie jak Admis nie mógł go poznać, bo nigdy go w tej postaci nie widział, a gdyby nawet rozmawiał z nim kiedyś w takiej postaci, i tak by nie zapamiętał.

Gdy był już przy Admisie, ten dał znak ręką, by mężczyźni odeszli od nich, i teraz kilku z nich wraz z Kefą szło parę kroków przed nimi, a reszta pozostała w tyle.

— To ty, Adamie? — zapytał cicho Admis.

— Tak, to ja.

— Nie poznam cię, nawet gdy znowu cię zobaczę, tak jesteś żaden.

— Wiem o tym, Admisie. Ty jesteś ten, którego będą znać.

Zaczęli schodzić w dolinę i zeszli ze słońca w cień, będący cieniem góry, za którą skryło się słońce.

— Jesteś beztroski, Admisie — powiedział Adam. — Mogą cię tutaj zabić, nim wejdiesz do miasta.

— Czuwasz nade mną, Adamie, i ufam ci.

— Nie mogę na stałe przykryć cię polem, by nikt nie miał do ciebie dostępu.

— To wiem. Tutaj jestem człowiekiem i muszą mnie znać i dotykać, by mi wierzyć.

— Transferem też być nie chcesz.

— W postaci transferu nic nie wie się o tym, co czuje człowiek, jak pragnie i cierpi. By ich rozumieć, trzeba być jednym z nich.

— I wtedy Admis stał się jednym z nas...

— O czym mówisz?

— O słowach, które kiedyś może zapiszą w swych księgach. Uzupełniając to, co jest już zapisane o Adamie.

— Nie wiem, czy zapiszą. Jeden z tych ludzi zapisuje moje słowa, lecz czyni to tak, jak potrafi. Inni tylko słuchają, ale będą pamiętać.

— Po co zabierasz ich ze sobą do miasta, Admisie?

— Nie przekazałem im jeszcze wszystkiego.

— Nie masz wiele czasu. Dziś wieczór Kario będzie u arcykapłana i sprzeda cię.

— Myślałem, że mnie miłuje.

— Kocha cię. To ja go przekonałem i czyni to dla ciebie.

— Jak mógł się zgodzić?

— Wierzy, że zwyciężysz, i chce ci pomóc w zwycięstwie.

Admis chwilę milczał, a potem powiedział:

— Źle uczynił. Ty też źle uczyniłeś.

— Dlaczego, Admisie?

— Bo ja umrę w tym mieście i winnym tego będzie dla świata on, jeden z mych uczniów.

— Wszyscy zginą. Ocaleją tylko ci, których wyprowadzi z miasta Gąb.

— Nie, Adamie. Umrę tylko ja jeden.

— Nie rozumiem cię, Admisie...

— Widzisz, Adamie, po raz pierwszy jestem tak długo wśród nich,

wśród ludzi. Jestem, będąc człowiekiem. Tam w trwaniu wiemy wszystko, ale pojąć wszystko można dopiero tutaj, gdzie jest czas. Nie chcę, Adamie, by oni ginęli tylko dlatego, że nie usłyszeli mych słów, żyjąc w swej codzienności, która nie pozwala nawet słuchać, a co dopiero usłyszeć. Czymże oni zawinili, żeby zginąć?

— Tak było zawsze na tej planecie, Admisie. Ratowaliśmy sprawiedliwych, a reszta ginęła.

— I co osiągnęliśmy? To, że raz jeszcze musisz niszczyć i zabijać. A za trzy, cztery pokolenia znowu zapomną o tym, będą żyć tak, jak żyją i tylko pozostanie groza naszego imienia. To wszystko już było, Adamie.

— Cóż więc chcesz uczynić?

— Ja sam umrę, osądzony przez nich, taką śmiercią, jaką umierają najędźniejsi z nich, by potem każdy cierpiący czy umierający wiedział, że nie jest pierwszy, samotny w swym cierpieniu, opuszczony przez innych na samym dnie życia, że ja byłem przed nim i cierpiałem nie mniej, i żeby każdy z nich miał tę świadomość. — Admis umilkł. Schodzili ku strumieniowi i w nadchodzącym mroku Adam widział biel kamieni mostka przerzuconego nad potokiem.

— Skąd wiesz, że będą pamiętać? — zapytał po chwili Adam.

— Ty ich nie znasz, Adamie, tak jak ja ich znam. Oni potrafią zapominać zło i pamiętają to, co złem nie jest. Dlatego ich starcy zawsze wspominają dobre czasy. Będą pamiętać to, że nie musiałem zginąć i że zginąłem dla nich.

— Kto będzie pamiętał, gdy miasto zginie?

— Nie zniszczysz miasta, Adamie.

— Przecież ono zginie. Ty także wiesz to z trwania.

— Ale tu jest czas i miasto nie musi zginąć teraz.

— Cóż więc chcesz, żebym uczynił?

— Nic, Adamie. To stanie się bez ciebie. Adam milczał chwilę.

— Nie, Admisie — powiedział w końcu. — Ja także znam tych ludzi. Nie wiesz o tym, ale ja także jestem w czasie, człowiekiem na tej planecie. Oni wielbią tylko silnych. Patrz na imperatorów, których czczą, wodzów, których się boją, i kapłanów, których słuchają.

Pokonany władca nie jest władcą i pamięć o nim ginie, a o zwycięzcach pamiętają przez wieki.

— Ale ich nie miłują, Adamie. Nie władcy są ich nadzieją.

Przeszli przez most i było teraz więcej ludzi wokół nich. Wzgórza były w mroku i Adam nie dostrzegł już winnic, które tam były, i tylko widział smukłe, wymierzone w niebo sylwetki cyprysów na szczytach wzgórz.

— Chcesz zmienić przedsięwzięcie, Admisie. Nie zgadzam się na to — powiedział.

— Nie przedsięwzięcie, tylko sposób jego wypełnienia, i zrobię to. Tak postanowiłem, Adamie. Ja wiem, że czynię słusznie.

— Nie, Admisie. Powtarzam ci raz jeszcze. Ci, których oni czczą, są zawsze potężni.

Wskaż mi przykład, by czcili pokonanego.

— Ja nim jestem. Będą mnie pamiętali po wiekach.

— Chcesz czynić wbrew mnie, a ja przecież jestem tobą.

— Jestem tobą w trwaniu, Adamie. Lecz także ty jesteś mną. A ja jestem ten, którego mają pamiętać, i uczynię tak, jak powiedziałem,

bo ich nadzieja jest naszym celem, a nie ich śmierć.

— Nadzieja, ale dla tych, co chcą nas usłyszeć.

— A śmierć dla pozostałych? Tam przecież będą niewinni, nie tylko ci, którzy nie chcieli nas słyszeć. Będą ci, którym nie starczyło odwagi, by słuchać, i tacy, którzy zginą tylko dlatego, że tam byli, a o nas nie zdążyli nigdy usłyszeć.

— Tak jest zawsze z mieszkańcami ich miast, które giną. To reguła wymyślona przez nich i dla nich. Ich historia, przeszłość i przyszłość pełna jest miast, które zginęły. Ich to nawet nie dziwi, że w niszczonej miastach giną niewinni. Oni to rozumieją i akceptują.

Teraz i zawsze. Po cóż poprawiać chcesz ich schematy, wprowadzać zamieszanie w reguły ich historii? Oni tego nie będą w stanie zrozumieć. Nie domyśla się nawet twojej ofiary. Czyń tak, jak zamierzaliśmy, a resztę zostaw mnie.

— Nie, Adamie. Uczynię tak, jak powiedziałem. Ja umrę dla nich. Niech chociaż raz nie doświadczą od nas pożogi i zniszczenia. Nie zapomną tego, wierz mi. To właśnie będą pamiętać.

Doszli do szerokich kamiennych schodów prowadzących w górę do miasta i wtedy usłyszeli daleki głos trąb ze świątyni.

— Odchodzę, Admisie — powiedział Adam. — Zaczyna się noc i za chwilę staną się widoczne wyładowania silnego transferu. Ale pamiętaj: ja nie chcę tego, co ty chcesz uczynić.

— Wiem, Adamie, lecz stanie się, jak mówię.

— Będę ci towarzyszył, Admisie, i przekonam cię.

— Bądź ze mną, Adamie, lecz uczynię, jak powiedziałem.

Adam nie odpowiedział. Odszedł w bok w wąskie uliczki zaułków i

rozwiął się.

W swej komnacie, nie wstając nawet z fotela, od razu po powrocie z miasta wszedł w transfer.

— Słyszysz mnie, Admusie — pomyślał.

— Jestem z tobą, Adamie — nadeszła odpowiedź. Poczł przyplw trwania i wszystko, co widział, było już także w Admusie.

— Poradź mi, Admusie — pomyślał. Wiedział, że Admus, jakkolwiek także zanurzony w czasie, przetwarza w swej krystalicznej polowej strukturze informację tak szybko, że w ułamku sekundy może przemyśleć więcej niż on mózgiem człowieka przez całe swe życie.

— Możesz tylko przekonać Admisa. Innej możliwości nie ma.

— Mogę przecież postąpić tak, jak planowałem.

— Zniszczysz wtedy przedsięwzięcie.

— Dlaczego?

— Tylko Admis zna tych, których trzeba wyprowadzić z miasta. Tysiące tych, których trzeba ocalić Gab nie zna tej informacji.

— Więc uwolnię Admisa... Odejdzie wolny. — Sam?

— Tak.

— A miasto?

— Zniszczę je.

— Tam będą ci, co go wysłuchali, więc zniszczenie miasta będzie twym kaprysem, nie karą.

— A jeśli on odejdzie wolny i nie zniszczę miasta?

— Pamięć o Admisie zaginie, wszystko pozostanie tak, jakby go nigdy nie było na tej planecie.

— Więc mam go zabić? Zgodzić się na jego śmierć?

— Myślisz teraz jak człowiek. My trwamy, więc jego koniec w czasie jest bez znaczenia. A swą śmierć on przecież sam postanowił. Jego będą pamiętać i jego jest wybór.

Adam zawahał się i nie pomyślał następnego pytania.

— Do kontaktu, Admusie — pomyślał.

Nie wrócił do swej komnaty, tylko dalekim transferem pomknął za zachodzącym słońcem. Przeleciał nad wielką pustynią, nad górami bez roślinności i wreszcie nad oceanem.

Osiadł na piaszczystej plaży wyspy, która wraz z innymi wyspami była tym, co zostało po łądzie Atlantis. Za nim w promieniach zachodzącego słońca były góry tej wyspy ze skał magmowych o czerwonym, czarnym i białym kolorze kamienia.

Pomyślał, że tamci ludzie, którzy zginęli osiem tysięcy okrążeń planety temu, wznosili z takich właśnie kamieni swe kolorowe domy i że przebywając kiedyś wśród nich, wchodząc w czas, bywał szczęśliwy. Pamiętał wieczory, gdy rybacy wracali z połowów i ich łodzie były najpierw czarnymi punktami, tam gdzie woda zbliża się do nieba, a potem powiększały się, aż widać było wiosła w ich monotonnym ruchu odpychania wody. Kobiety wychodziły na brzeg i osłaniając oczy dłonią od słońca wypatrywały łodzi swoich mężów. A gdy zobaczyły roześmiane twarze mężczyzn, wiedziały, że połów się udał, i także były szczęśliwe, rozpinając potem na brzegu sieci do suszenia i latając cienkim powrozem zerwane sznury. Słyszał gwar dzieci wyszukujących w piasku muszle i huk fal przyboju. Teraz plaża była pusta i słyszał tylko nad głową krzyk mew, taki sam jak wtedy, tysiące lat wcześniej. Pomyślał, że kiedyś z trwania powróci do tych

miejsc i tamtych lat i wszystko będzie tak, jak było, zanim przyszła fala wielka jak góry i zniszczyła tamten świat.

Pomyślał, że kiedyś w przyszłości wróci także na wzgórze, gdzie teraz było miasto, i w gasnących promieniach słońca patrzeć będzie na skały, bo po domach ślad nawet nie zostanie — i na cyprysy, które po mutacjach wypuszczą gałęzie w bok, zmieniając się w parasole listowia wychwytyjące obcięte widmo słońca. Nie usłyszy już o zmroku dalekiego dźwięku trąb świątyni ani nawet odległego pomruku przelatujących w górze samolotów.

Potem uświadomił sobie, że samoloty są z innego czasu i innych obrazów, nakładane losowo na tę rzeczywistość przez niedoskonałą pamięć struktury, którą nosił, przeciążoną nadmiarem informacji z trwania.

Stał na plaży i patrzył w morze zalewające wysokimi długimi falami piasek. Fale nie nadchodziły z morza wprost na plażę, tylko tworzyły z linią piasku niewielki kąt, tak że punkt styku piasku i fali przesuwał się wzdłuż brzegu z szybkością nieporównywalnie większą od szybkości ruchu samych fal. Pomyślał, że ten punkt mógłby być modelem fal czasu, bo chociaż każda fala porusza piasek w dokładnie tym jednym punkcie wzdłuż całego wybrzeża, to następna przychodząc natrafia na ten sam piasek, bowiem fala zmieniając jedynie układ jego ziaren nie zabiera go z sobą. Mewy zakrzyczały głośniej, a słońce było tuż nad horyzontem.

Wtedy zobaczył dwu ludzi. Skradali się kusemu plażą, nadzy niemal i zarośnięci, z maczugami w dłoniach. Gdy obrócił się ku nim, rzucili się na niego i jeden z nich z rozmachem uderzył go maczugą w

głowę. Maczuga odbita od elastycznego pola fantomu odskoczyła i wypadła tamtemu z ręki. Drugi stanął i jego zarośnięta brudna twarz nie wyrażała niczego. Adam uśmiechnął się do nich i uniósł w powietrze nabierając szybkości i wysokości, tak że po chwili widział tylko dwie czarne kropki na plaży. Pomyślał, że spotkał się z potomkami mieszkańców Atlantis, wśród których bywał, którym ścisnął ręce i słuchał ich śpiewów, gdy wracali z udanych połowów.

Nie dolatując do lądu rozwiął się. Tam była już tylko noc.

VII

Pił piwo siedząc przy stole na drewnianej werandzie kantyny. Kantyna stała na skraju koszar poza głównymi zabudowaniami, bliżej pasów startowych lotniska, i często piloci i ich załogi w przerwach między lotami wpadali tutaj na łyk coli, a gdy był deszcz i pogoda „nie była lotna”, do kantyny przywożono whisky i było tu tłoczno. Wtedy nawet strugi deszczu i niskie, dotykające prawie pasów startowych chmury nie wyglądały tak szaro.

Teraz było słońce i z miejsca, gdzie siedział, widział płaszczyznę lotniska, równą łąkę sięgającą aż do drzew na horyzoncie, białe betonowe pasy runwayów, a bliżej wieżę kontroli lotów i rękaw wskazujący siłę wiatru. Rękaw zwisał nieruchomo w to słoneczne

sierpniowe popołudnie. Jedyne antena ze stożkiem radarowym wirowała omiatając nieustannie niewidzialną wiązką fal pogodne bezchmurne niebo, którego błękit przechodził ku horyzontowi w biel.

Piwo było zimne, z lodówki, i tym bardziej atrakcyjne, że pił je tylko wtedy, kiedy nie miał lotów.

Pasy startowe opustoszały, bo pierwsza zmiana poleciała zrzucić bomby tam, gdzie Japy toczyły jeszcze swoją beznadziejną wojnę. Przy bombowcach drugiej zmiany stojących z boku, z dala od pasów startowych, kręcili się mechanicy i słyszał wytłumione odległością przekleństwa sierżanta, którego ludziom coś widocznie nie wychodziło.

Tuż nad nim z belki pod drewnianym dachem werandy świergotały jaskółki, które wiosną znalazły tam miejsce na gniazdo.

Pomyślał, że w tym tygodniu czeka go jeszcze jedna tura lotów, a potem wypuści się na pół dnia i całą noc do odległego o dwie mile miasteczka i zabawi się tak jak trzeba.

Równocześnie przypomniał sobie, że nie napisał jeszcze do żony cotygodniowego listu, w którym koniecznie powinien zapytać o zdrowie córeczki przechodzącej koklusz.

Dopił piwo i wszedł do kantyny, gdzie pod wentylatorem, za barem, siedziała gruba Kris.

— Daj jeszcze jedno piwo — powiedział.

— Gorąco dzisiaj — wyjęła z lodówki puszkę i postawiła na barze.
— i nudno.

— No właśnie — zgodził się.

— Nie martw się. Słyszałam, jak kapitan mówił, że jeszcze miesiąc,

dwa, i wrócimy do domu. Japy już gonią resztkami.

— Długo już tak gonią... A ty masz zawsze najnowsze wieści, tyle że nieprawdziwe.

— Nudny jesteś. Nie to, co twój kumpel, Masmó.

— Po pierwsze, to nie jest mój kumpel. Latamy w jednej załodze i tyle, a latać można z każdym. A po drugie, to on lubi tłuście dziwki, a ja nie.

— Świnia jesteś.

— Możliwe. Tacy też muszą latać.

— Płać i spłyń na werandę, jeśli możesz, albo się zamknij, bo za oglądanie twojej gęby mi płacą, a za rozmowę z tobą nie.

Wyjął z kieszeni monetę, zostawił na barze, wziął puszkę i wrócił na werandę. Jego miejsce było zajęte. Siedział na nim jakiś obcy, nie znany mu facet w stopniu sierżanta i palił papierosa.

— Cześć — powiedział do tamtego — ty z uzupełnienia?

— Nie, przyleciałem tylko na parę godzin.

— Taka wycieczka?

— Coś w tym rodzaju.

— Nie chcesz mówić, to nie. Napijesz się piwa?

— Nie, wieczorem wracamy.

— Ty pewnie z tego samolotu, co przyleciał ze dwie godziny temu?

— Tak.

— Rozmowny nie jesteś.

— Nie. Jak nie ma o czym mówić.

Poczuł się urażony, usiadł przy osobnym stoliku i udał, że nie widzi tamtego, mimo że dokładnie go obserwował. Mundur tamtego był

prawie nowy, jakby dopiero wczoraj wyfasował go z magazynu. Spodnie też miał zaprasowane w kant i jakoś tutaj nie pasował.

— E, Parakletos — usłyszał wołanie spoza werandy.

— No, co jest?

Na werandę wbiegł kapral Masmó, z którym od dwu miesięcy latał w jednej załodze.

— Ale numer! — Masmó siadł przy nim. — Postaw piwo, to ci powiem.

— Coś ty. Nie postawię, i tak powiesz, bo nie wytrzymasz. Gruba Kris chętnie cię zobaczy, gdy je sam kupisz.

— Odwal się ode mnie z tą Kris. Jak masz na nią ochotę to... — wykonał ruch ręką.

— Nie mam. Ja mam gust, kapralu.

— Dobra. Pójdę, kupię sobie piwo. A ten co za jeden?

— Przyleciał.

— To pewnie jeden z nich — tamten udawał, że nie słucha. — Wążniak z kraju.

— Jest ich więcej?

— No właśnie. — Masmó wszedł do środka, a Parakletos nadal pił swoje piwo i nie zauważał tamtego. Po chwili Masmó był już z piwem, a za nim pojawiła się Kris. Masmó usiadł, a Kris starła przed nim stół białą ściereczką.

— Więc mówię ci — Masmó ściszył głos, ale nie za bardzo, tak, żeby Kris słyszała — przywieźli bombę.

— No to co?

— Bomba jest specjalna. Silniejsza niż tysiąc bomb. Nasi jajogłowi

ją wymyślili specjalnie na Japów.

— Kapralu — odezwał się tamten — mówicie o tajemnicy wojskowej.

— Co się wtrącasz? — to Masmó powiedział już głośno.

— Nie gadajcie. Służba specjalna — tamten wstał i sięgnął po portfel.

— Dobrze. Wierzę ci. Śmierdzi z daleka.

— Pójdziecie ze mną — powiedział tamten — wy też — spojrzął na Parakletosa i Kris.

— Ja nigdzie nie idę — powiedziała Kris.

— Pójdziemy, ale nie z tobą. Mamy odprawę, i w ogóle odpieprz się. O bombie mówił mi kapitan. Kazał mi znaleźć Parakletosa i zabrać go na odprawę. To my właśnie lecimy.

— Ale ona nie leci, a słyszała.

— Dajcie spokój, sierżancie — Parakletos patrzył na tamtego. — O Kris można wiele rzeczy powiedzieć, ale nie to, że zdradza tajemnice naszych sił zbrojnych.

— No wiesz, też pomysł! — oburzyła się Kris.

— Zresztą, dobrze — Masmó zmienił zdanie. — Jak nas zabierzesz, nie pójdziemy na tę cholerną odprawę. Niech inne pieprzenie z tym lecą. Mnie na tym nie zależy, żeby tyłek nad Japami wystawiać. No więc co, idziemy?

— Jesteście załogą specjalną? — powiedział tamten.

— Bardzo specjalną. Nie widać tego?

— Jak tak, to niech mi pani poda colę.

— Proszę bardzo — uśmiechnęła się Kris i poszła do baru.

Tamten nie odezwał się.

— No, kończ piwo, Parakletos, i płyniemy stąd. Towarzystwo mi nie odpowiada.

Parakletos dopił piwo i wstał.

— Idziemy — powiedział.

Poszli ścieżką, najpierw łąką, potem między hangarami, aż do bunkrów niedaleko pasów startowych. Te bunkry wybudowali jeszcze Japończycy, kiedy lotnisko było ich. Teraz stał tam na każdym rogu żołnierz z żandarmerii z białym napisem M P na hełmie i pistoletem maszynowym. Kilku innych patrolowało okolice.

— Ale obstawa — powiedział Parakletos.

— A jaka ma być przy takiej bombie? Zatrzymali ich co najmniej pięćdziesiąt metrów przed bunkrami, lecz przepuścili, gdy pokazali przepustki, które miał Masmó. Potem podeszli do zejścia w bunkier, betonowej pochylni zamkniętej stalowymi drzwiami, i tam kontrolowano ich powtórnie. Wreszcie minęli drzwi. Wewnątrz bunkra ściany też były betonowe i po nich biegły przewody elektryczne. Pośrodku pod jasną żarówką stał stół z rozpostartą na nim mapą, obok ich kapitan, nie znany pułkownik i reszta załogi.

— Gdzie was nosiło? — zapytał kapitan.

— Szukałem go, sir — odpowiedział Masmó.

— To są już wszyscy? — zapytał pułkownik.

— Wszyscy.

— Możemy zaczynać — stwierdził pułkownik i zbliżył się do stołu.

— Odprawa odbędzie się tutaj, a nie w zwykłej sali odpraw ze względu na tajność waszego zadania. Na wstępie chcę was

poinformować, że podobna misja została już wykonana, a obiektem ataku było już jedno miasto. Misja zakończyła się pełnym sukcesem. Wybuch o sile dwudziestu kiloton! Nie znacie jeszcze tej nazwy. Znaczy to tyle, jakby wybuchło dwadzieścia tysięcy ton trotylu.

— O rany! — powiedział z tyłu ktoś z załogi.

— Cisza! — nakazał kapitan.

— Tak więc dwadzieścia kiloton zdetonowano na niewielkiej wysokości ponad miastem. Efekt przeszedł nasze oczekiwania. Widziałem zdjęcia — dodał pułkownik wyjaśniająco — możecie mi wierzyć, zniszczenie osiąga się kompletne. Wasze zadanie jest podobne, z tym że obiektem jest następne miasto. Termin akcji: jutro, chyba że meteo zmieni zdanie o pogodzie. Wasz ładunek jest nie mniejszy od tamtego, a wasza misja ma zasadnicze znaczenie dla całej wojny. Ryzyko akcji żadne. Niepodzielnie panujemy w powietrzu.

Parakletos nie słuchał dalej. Myślał o tamtym mieście, które już zostało zniszczone, mieście pewnie większym niż jego Lexington Ky, gdzie się urodził i wychował i gdzie teraz czekała na niego córeczka z kokluszem. Nie potrafił sobie wyobrazić abstrakcyjnego miasta pełnego abstrakcyjnych Japów, których należy efektywnie zabijać. Pułkownik mówił teraz o kierunku podejścia, wysokości, a on ciągle widział nową wieżę uniwersytetu, górującą bryłą prostopadłościanu wśród starych zabudowań, i Broad Street, po której biegał, gdy był chłopcem. Po chwili uświadomił sobie, że wieżę tę dopiero wybudują za wiele lat.

— W porównaniu do przyszłych możliwości ta bomba to zabawka. Wyliczyłem, że bomba dziesięciomega—tonowa tworzy lej o średnicy

kilometra i głębokości stu metrów, a będą bomby stumegatonowe i większe. Tak, większe...

Pamiętał znowu falę, która nadeszła z zachodu nad Atlantis, kilkukilometrową falę, która sięgała wierzchołków gór i zmyła wszystko, i miasto, i ludzi, i glebę, a resztę pokryła mułem. A potem wybuchły wulkany...

— Sir — Masmó zwrócił się nieśmiało do pułkownika — czy możemy tę bombę teraz przynajmniej zobaczyć?

— No dobrze, chłopcy, i tak przekazujemy ją w wasze ręce.

Skinął na dwu swoich ludzi ze służb specjalnych i ci otworzyli stalowe drzwi do osobnego pomieszczenia.

W oświetlonej niewielkiej piwnicy, na wózku, na specjalnych podpórkach leżała bomba. Była niezbyt duża, czarna, przysadzista i wyglądała niegroźnie, zabawnie niemal.

— Razi skutecznie kilkudziesięciotysięczne miasto — ze znanstwem powiedział pułkownik.

— Wspaniale — Masmó wymówiło cicho, a potem wykrzyknął: — Hurra nasi jajogłowi!

Parakletos podszedł do kapitana.

— Przepraszam, sir. Mam biegunkę, źle się czuję.

— Wyglądasz bardziej żółto niż blado, Parakletos.

— Naprawdę źle się czuję, sir. Niedobrze mi. Nie mogę lecieć.

— Ominie cię historyczna chwila. Nie weźmiesz udziału w wydarzeniu, które tworzy historię naszego świata.

— Wiem, sir. Przykro mi, sir. Pewno będą inne okazje.

— Zgoda, Parakletos. Poleci ktoś z rezerwy. A ty do odlotu ze

względów bezpieczeństwa pozostaniesz w odosobnieniu. Potem trzy loty poza kolejnością.

— Tak jest, sir.

Gdy wykonał przepisowy, zwrot, zobaczył twarz Masmó.

— Znowu cię tam nie będzie. Nie chcesz na to patrzeć. Nigdy nie chciałeś...

— Sir!

— Tak jest. Nie chciałeś, sir.

VIII

Dom arcykapłana był jednym z najbardziej okazałych domów w mieście. W kierunku ulicy wychodził wysokim białym murem, w którym oprócz bramy, solidnej i nabijanej gwoździami z brązu i zawsze zamkniętej, wbudowano drzwi wzmocnione podwójną sztabą i małe zakratowane okno, którego odźwierny mógł widzieć prawie całą ulicę, szczególnie podjazd przed bramą. Akacje rosnące wewnątrz dziedzińca wychodziły swymi gałęziami ponad mur, na ulicę i cienie ich gałęzi rzucały teraz w świetle silnej oliwnej lampy wiszącej nad wejściem złożony wzór na białą ścianę.

Kario przeszedł ulicą wzdłuż muru, zawahał się na moment przed bramą, a potem przeszedł dalej w mrok poza światło lampy. Tam

zatrzymał się na chwilę i stał bez ruchu.

Gdy stanął, wyraźnie usłyszał głos. Także Adam czekający na przybycie Karia w słabym transferze w ciemności nocy w pobliżu bramy domu arcykapłana usłyszał ten głos.

Lecz Adam wiedział, czyj on jest.

— To, co chcesz uczynić, Kario — mówił cichy głos dochodzący znikąd — jest zdradą, po prostu zdradą, zdradą Admisa. Rozumiesz, Kario? Proktor nie jest Admitem, a gdyby Admis chciał, byś tu przyszedł, do arcykapłana, powiedziała by ci to sam. Komu ty służysz, Kario?

Kario stał jeszcze chwilę, potem zawrócił, przeszedł jeszcze raz przed bramą i odszedł. Gdy Kario się oddalił, Adam powiedział cicho i wyraźnie:

— Wyjdź ze słabego transferu, Masmu. Rozkazuję ci.

Postać w czarnej oponczy pojawiła się na ulicy i natychmiast usunęła się w ciemność.

— Do światła, Masmu — rozkazał.

Postać wyszła z cienia i stanęła w kręgu światła lampy oliwnej znad wrót.

— Znowu mi wchodzisz w drogę — powiedział Adam.

— Zakazałeś mi jedynie do ciebie mówić, panie. A zresztą, czy teraz czynię coś złego?

Chcę jedynie ratować Admisa. Ten zdrajca chce go wydać arcykapłanowi.

— Masmu. Traktujesz mnie znowu jak człowieka. Czy ty już inaczej nie potrafisz?

— Nie wiem, panie. Pewnie jest tak, jak mówisz.

— Czy sądzisz, że nie domyśle się, że byłeś ze mną tam na dziedzińcu twierdzy, gdy rozmawiałem z Kario? Odpowiedz! — dodał, bo Masmó milczał.

— Ty wszystko wiesz, panie.

— Rozkazuję ci, mów. Nie rozmawiasz z człowiekiem!

— Byłem, panie.

— Więc chcesz niszczyć to, co ja tworzę.

— Taka moja rola, panie.

— Masmó, chcesz przestać być?

— Nikt nie chce, panie. Ale to, co zrobiłem, zrobiłem dla Admisa. On mógłby tutaj dłużej być z ludźmi, panie.

— Tak. Być z nimi do naturalnej śmierci ciała, które nosi, potem umrzeć, przejść w zapomnienie i wszystko byłoby tak jak dawniej. Ty dbasz o arcykapłana, Masmó, nie o Admisa.

— Przyznaję, że jest to mój poważny klient, panie.

— Tak, w tym zgadzam się z tobą. Lecz cóż uczyniłeś z Kariem? Jak łatwo dobrego człowieka powstrzymać od zła.

— To twoja zasługa, panie.

— Lecz ja nie będę prostował wykrzywianej przez ciebie mojej rzeczywistości. Zawróć Karia. Niech wróci do domu arcykapłana i niech się stanie to, co ma się stać. Rozkazuję ci.

— Czy potrafię, panie?

— To twoja właściwa rola, Masmó. Czyń, co do ciebie należy, bo jako twoja ofiara Kario wejdzie do historii. Powtarzam, rozkazuję ci. Zrobisz to lub przestaniesz być.

— Tak, panie — powiedział Masmó i znikł. Adam odszukał teraz ze słabego transferu Karia.

Znalazł go na placu kilka ulic dalej, a Masmó już był przy nim. Kario stał w cieniu drzewa morwowego i księżyc będący w pełni oświetlał go szarym światłem, rzucając jego długi cień na drogę.

— To ty, panie — powiedział Kario, gdy usłyszał bezpostaciowy głos Masmó.

— Chcesz opuścić Admisa, zostawić go samego, by zginął następnej nocy zabity podstępnie przez ludzi kapłana.

— Dziś wieczorem Admis powiedział mi, że go zdradziłem. Powiedział przy wszystkich, aczkolwiek nie wszyscy zrozumieli.

— Ale nie gniewał się na ciebie?

— Nie, panie. On nigdy się nie gniewa, lecz powiedział, że go zdradziłem. On to wie.

— A nie mówiłeś mu, że robisz to dla niego?

— Nie, proktor mi zabronił.

— Lecz Admis wiedział i chce tego, inaczej nie zostałbyś przy nim, bo kazałby swym towarzyszom cię usunąć. Mówił im o tobie?

— Nie, panie. Tak jak powiedziałem. Mówił tylko przy nich.

— Więc teraz nie możesz go zawieść. On wie, co ma się stać, i godzi się z tym, a ty chcesz uciec i nie wypełnić tego, co jemu przyrzekłeś.

— Przyrzekłem tylko proktorowi.

— Lecz Admis wie o tym i godzi się z tym. Mówiłem ci. To tak, jakbyś przyrzekał jemu samemu. Jeśli tego nie zrobisz, on będzie się mylił. Przecież powiedział ci, że go zdradziłeś. Jeśli wierzysz w niego,

on nie może się mylić.

— To prawda, panie. Byłem tam, przed domem kapłana, i nie wszedłem. Słyszałem głos mego sumienia. Nie potrafię tego zrobić. Jestem tylko słabym człowiekiem.

— I to uważasz za wystarczające usprawiedliwienie, by go zawieść! Swoją słabością chcesz zastąpić swą wiarę w niego. Chcesz wstrzymać nadejście jego królestwa?

Kario milczał, a potem zwrócił twarz ku księżycowi, jakby z nim rozmawiał.

— Rozumiem, panie. Jestem słaby, ale zrobię to... zrobię, co mam uczynić. Jeśli on tak chce, jeśli dopiero przed sądem ma stać się zwycięzcą, zrobię to — Kario zawrócił, wyszedł spod gałęzi morwowego drzewa i poszedł z powrotem ulicą w szarym świetle księżycy i Adam nie zobaczył jego cienia. Pomyślał, że księżyc jest dokładnie za nim i sylwetka Karia przysłania cień.

— Twój pokorny sługa czeka na rozkazy, panie — doszedł go głos Masmu.

— Zniknij, Masmu — powiedział — czuję do ciebie wstręt.

— Wykonuję tę część sterowania, której ty nie chcesz czynić, panie. Dopiero dwa niezależne, przeciwstawne sterowania dają niezawodny efekt, panie. Ty o tym wiesz, bo wszystko w przyrodzie tak jest sterowane. Inny układ pobudza serce do bicia, i inny je hamuje. A przecież tylko w trwaniu sterowanie jest niepotrzebne.

— Zniknij, Masmu — powtórzył i wiedział, że tamtego już nie ma. Przesunął się słabym transferem do domu arcykapłana i czekał tam na Kario.

Kario nadszedł po chwili krokiem człowieka, który wie, co czyni, wszedł w krąg światła lampy oliwnej, podszedł do bramy i kilka razy silnie uderzył w nią kołatką. Najpierw nie było odpowiedzi, a potem w małym zakratowanym okienku przy bramie zabłyśły światła.

Drzwi uchylły się ze skrzypieniem ciężkich zawiasów i przez tak utworzoną szczelinę usłyszał głos odźwiernego.

— Czego chcesz, przybyszu? — zapytał odźwierny.

— Widzieć się z arcykapłanem.

— Odejdź — powiedział tamten — arcykapłan nie spotyka się z takimi jak ty.

— Chcę się z nim widzieć — powtórzył Kario.

— Mógłbym cię stąd wyrzucić, ale zawołam dowódcę straży. Czekać więc.

Brama zawarła się i odźwierny wołał coś w kierunku domu. Potem rozległ się tupot sandałów kilku ludzi i brama uchylła się szerzej. Kario wszedł przez nią, a Adam ponad nią przeniósł się transferem na dziedziniec.

Karia otoczyło trzech ludzi w długich szatach, z mieczami. Jeden z nich niósł lampę oliwną, którą oświetlił twarz Karia.

— Chcesz się widzieć z arcykapłanem? — zapytał dowódca warty.

— Tak.

— Jesteś przy zdrowych zmysłach, człowieku? Ty wiesz, z kim chcesz mówić? Może arcykapłan ma zejść tutaj do ciebie?

— Chcę z nim mówić — powtórzył Kario. Pozostali dwaj strażnicy śmiali się.

— Wyrzuć go za bramę, Filo — powiedział jeden.

— A może zycysz sobie audiencji w świątyni? — zapytał znowu dowódca. — Tam do arcykapłana codziennie przychodzą tacy jak ty pomyeńcy i zrzucamy ich ze schodów.

Uczynię ci łaskę. Możesz mnie powiedzieć, co cię tu sprowadza.

— Będę mówił tylko z samym arcykapłanem.

— Kończ tę zabawę, Filo — odezwał się ten sam żołnierz. Pieczyste czeka.

— Decyduj się więc, człowieku. Mówisz, co cię sprowadza, albo pomożemy ci pójść swoją drogą.

Odźwierny uchylił szerzej bramę.

— Powiedzcie arcykapłanowi, że chcę z nim mówić o Admisie.

— Admisie? O tym mącicielu spod świątyni? — zapytał dowódca warty, ale już jakoś inaczej.

— Tak, o nim.

— Co chcesz o nim powiedzieć?

— To powiem tylko arcykapłanowi. Dowódca warty wahał się chwilę.

— Przejdź do skryby arcykapłana i zapytaj, co o tym myśli — polecił w końcu jednemu z żołnierzy, a gdy tamten odszedł, zawołał do odźwiernego.

— Zamknij odrzwia. Na co jeszcze czekasz. Brama ze skrzypieniem zawarła się.

Odźwierny założył rygle.

— Kim jesteś? — zapytał dowódca warty.

— Jednym z tych, co słuchają Admisa — odpowiedział Kario.

— Warto by cię ukamienować — powiedział drugi żołnierz.

— No, chyba nie po to przyszedł do arcykapłana — zaśmiał się dowódca.

Z głębi budynku nadszedł wysłany wcześniej żołnierz z jakimś człowiekiem, starszym, w długiej szacie, która robiona była z cienkiej wytwornej tkaniny, co było widać nawet w słabym świetle lampy.

— Jestem skrybą arcykapłana — powiedział ten, co przyszedł. — Co chcesz mi powiedzieć o mącielu?

— On jest jednym z nich — powiedział dowódca warty.

— Umilknij, Filo — powiedział skryba — będziesz mówił, jak cię zapytam — a potem zwracając się do Karia dodał:

— No więc co chcesz powiedzieć?

— To, co mam powiedzieć, powiem samemu arcykapłanowi.

— Arcykapłan jest zajęty. Powtórzę mu wszystko — powiedział skryba.

— Tobie, panie, nie mam nic do powiedzenia.

— Wtrącimy go do loszku i do jutra będzie mówił — zaśmiał się Filo.

— Umilknij wreszcie — powiedział skryba głośniej i Filo nie przyzwyczajony widać do takiego tonu tamtego odszedł kilka kroków, demonstrując, że sprawa przestała go interesować.

— Cóż mam więc powiedzieć arcykapłanowi, by zechciał cię przyjąć, młodzieńcze? — zwrócił się do Karia.

— Chcę mu przekazać wiadomość o Admisie.

— O nim, nie od niego?

— Cóż by Admis miał do powiedzenia kapłanowi — powiedział Kario.

— Arcykapłanowi, chciałeś powiedzieć, człowieku. Czekał tu — dodał. — Nie wypuszczajcie go — rzekł, a tamci czekali dalej na dziedzińcu. Adam przyglądał się służbie nagrzewającej mosiężniki w ogniu, ciężkie metalowe kraty, które potem wnoszone do komnat dawały ciepło i ogrzewały pokoje w takie chłodne wiosenne noce jak ta.

Po jakimś czasie zeszło na dziedziniec dwóch strażników, jeden z nich niósł latarnię, którą przybliżył do Karia, a wtedy drugi obszukał go sprawnie, lecz noża ani innej broni nie znalazł.

— Chodź z nami — powiedział ten z latarnią i ruszył przodem. Drugi szedł za Kariem.

Adam zmienił zasięg transferu i przesuwał się nad nimi. Zewnętrznymi schodami weszli na piętro, a potem do sali, w której była tylko ława i na niej siedział arcykapłan.

Wyglądał jeszcze starzej niż za dnia, gdy Adam widział go ostatnio, ale pomyślał, że ciemne światło lamp oliwnych zawieszonych na ścianach komnaty postarza tamtego. Starzec otulał się płaszczem i zdawał się nie dostrzegać Karia wprowadzonego przez straż.

— Cofnijcie się do wejścia — powiedział do strażników.

Głos jego był słaby. Adam pomyślał, że jednak od ostatniego spotkania kapłan postarzał się naprawdę.

— Chciałeś mówić ze mną o Admisie — powiedział cicho kapłan i teraz patrzył na Karia.

— Tak, panie.

— Co chciałeś mi powiedzieć?

Kario milczał.

— Chciałeś się przecież ze mną widzieć. Nalegałeś na to — a gdy Kario nadal milczał, zapytał:

— Jak masz na imię?

— Kario.

— Słuchałeś Admisa?

— Tak, panie.

— I co myślisz o tym, co głosi?

Zanim Kario odpowiedział, Adam słabym pchnięciem zrzucił jedną z lamp ze ściany.

Uderzywszy o kamienną posadzkę buchnęła płomieniem i strażnicy podbiegli do drzwi, by ją gasić. Starzec spojrział tylko przez ramię na nich, a potem znowu patrzył na Karia.

— Mam ci go sprzedać — powiedział krótko Kario.

— Admisa?

— Tak.

— Dlaczego?

— Chcę dostać pieniądze — powiedział Kario.

— Tak — starzec skinął głową. — Ja mam pieniądze, ale co za nie chcesz mi dać?

— Sprzedać Admisa.

— To już mówiłeś. Ale co to znaczy?

— Wiem, gdzie jest.

— To już lepiej. Ale skąd wiem, że mówisz prawdę i że on jest tam jeszcze?

— Są tylko dwa miejsca, gdzie może być tu w mieście.

— Skąd to wiesz? — Jestem z nim.

— Długo?

— Długo.

— O, to dobra nowina, że tak bliski mu człowiek odwiedza mnie.

Nie wierzysz, widzę, w to, co głosi.

— Chcę pieniędzy — powiedział Kario.

— Ile?

Kario milczał.

— Dziwny z ciebie człowiek — powiedział kapłan. — Chcesz dostać pieniądze i nie wiesz, ile. Może także nie wiesz naprawdę, gdzie jest Admis? Jeszcze raz pytam ciebie, ile chcesz?

Kario milczał.

— Dobrze, dam ci tyle, ile przyjęto za cenę człowieka, bo jeśli ty nie znasz sumy, to ja znam tylko tę jedną cenę. Przepisy mówią, że za niewolnika zabitego przez wołu płaci się sto dwadzieścia denarów. To dużo. Musiałbyś pracować trzecią część roku na tę sumę. Zgadzasz się?

— Tak.

— Wezwijcie skrybę — zwrócił się kapłan do straży, a gdy skryba wszedł, powiedział:

— Odlicz ze skarbca sto dwadzieścia denarów i daj temu człowiekowi.

Skryba skłonił się i wyszedł.

— A teraz mów — powiedział kapłan.

— Jest w jednym z domów miasta lub w grocie obok wytłaczarni oliwy — powiedział Kario.

— Zaprowadzisz tam moje straże — powiedział kapłan — i nagle

jakby coś sobie przypominając dodał: — To jeszcze chwilę potrwa. Poczekasz na dziedzińcu. Moi strażnicy będą z tobą. Wyprowadzić go — powiedział do strażników. Gdy wyszli, poprzedzani przez Karia, starzec klasnął w dłonie i wszedł skryba.

— Pójdiesz zaraz do proktora — powiedział starzec. — Pokłoniśz mu się ode mnie i powiesz, że oczekuję tu przed domem jego żołnierzy.

— Co więcej mam powiedzieć? — zapytał skryba.

— Nic więcej. On będzie wiedział.

Skryba skłonił się i wyszedł. Starzec siedział nieruchomo, a potem powiedział cicho sam do siebie. — A jeśli się mylę... — nie dokończył zdania, tylko mocniej otulił się płaszczem.

Gdy Adam przesunął się nad dziedzińcem, zobaczył jeszcze Karia. Stał między dwoma strażnikami i twarz jego oświetlona z dołu lampą wydała się nagle Adamowi nie znana. Dowódca straży powiedział właśnie coś do Karia, potem odszedł krok i splunął. Rozwiewając się Adam zobaczył jeszcze, jak dowódca straży splunął powtórnie.

Proktor wyszedł ze swej komnaty i klasnął w dłonie. Niewolnik, który czekał gdzieś ukryty między kolumnami, podbiegł i pokłonił się.

— Powiedz Visie, by podała posiłek, i wezwij dowódcę garnizonu.

Niewolnik pobiegł wzdłuż kolumn korytarza ku środkowi budynku, a proktor wolno poszedł za nim.

Przy fontannie ustawiono już stół, którego nogi wyłożone kością słoniową białą w mroku, i obok stołu ustawiono sofę. Wino czekało na proktora w dzbanie, a obok na srebrnym talerzu migdały. Proktor ułożył się wygodnie na sofie i wsparty na poduszkach oczekiwał Arda.

— Panie...

Odwrócił głowę. Przy sofie stała Visa.

— Czy podać już posiłek? — zapytała.

— Czekam na dowódcę garnizonu. Zjem z nim razem.

Pomyślał, że Visa unika go od ostatniej rozmowy na tyle, na ile niewolnica może unikać swego pana, któremu służy. Nie pytała o Karia i on postanowił o nim także nie mówić. Czeką teraz pod strażą na dziedzińcu domu kapłana — pomyślał — na żołnierzy, których ja jeszcze nie wysłałem — i żał mu było Karia, tak jak żał mu było tego miasta, które miał zniszczyć.

Ardo przyszedł w hełmie, z mieczem, i jego kroki usłyszał wcześniej, niż go zobaczył.

— Sława Imperatorowi — Ardo zatrzymał się kilka kroków przed jego sofą.

— Sława — odpowiedział — wybierasz się na wojnę, Ardo?

— Zarządziłeś pogotowie bojowe, proktorze.

— Ale dla twego wojska. Ty przecież zawsze jesteś gotów. Zdejmij więc hełm, odłóż miecz i siadaj — wskazał mu wolną sofę. — Zjesz coś ze mną i porozmawiamy. No, odłóż ten miecz.

Ardo zdjął hełm, poprawił włosy, a potem odpiął pas wraz z mieczem. Wszystko to ułożył na trzeciej wolnej sofie, a potem usiadł.

— Przyniesź jeszcze trochę poduszek, Viso — zawołał proktor — i możesz za chwilę podawać posiłek. A na razie napij się wina, Ardo.

— Dziękuję, proktorze. Podczas pogotowia nie pozwalam na to żołnierzom. Sam też nie piję.

— Więc zjedz migdałów, zanim podadzą jadło, i radzę ci zjeść

obfity posiłek, bo nie wiem, kiedy uda ci się zjeść następny.

— Czy coś się zaczyna dziać, proktorze?

— Za chwilę zaanonsują nam posłańca arcykapłana, który poprosi nas o oddział wojska.

— Masz sprawne służby informacyjne, proktorze.

— To akurat wiem, że posłaniec jest w drodze. Jak ci smakują migdały? — proktor napił się wina i sam sięgnął po migdały.

— Świetne, proktorze.

— Potem będą wątroby z gęsi, specjalność naszej stolicy podawana w tym dzikim kraju.

— Czy można o coś zapytać, proktorze?

— Pytaj, Ardo.

— Jesteś, panie, teraz taki... — Ardo szukał właściwego określenia — ...inny. Otrzymałeś dobre wieści?

Proktor spojrział na Ardo.

— Spozregawczy jesteś, młodzieńcze — powiedział. — Tak, pewne przedsięwzięcie zbliża się do swego zakończenia, tyle mogę ci powiedzieć. Są jeszcze kłopoty, ale na pewno wszystko się wyjaśni i dobrze skończy. No, a ciało kawalerzysty, mówię o sobie, Ardo, lubi czasem spróbować tego, czym obdarza ludzi ta planeta. Wino na przykład bywa tutaj znakomite.

— Cieszę się, panie. Twoje zadowolenie jest moim szczęściem.

— Daleko zajdziesz, Ardo.

— Słucham, panie.

— Przepowiadam ci znakomitą karierę, jeśli nie zginiesz zbyt wcześnie, co także może ci się zdarzyć. A wiesz, Ardo, najbardziej

zdumiewa mnie brak poczucia rzeczywistości u tego arcykapłana — proktor pociągnął łyk wina.

— Daruj, panie, moją śmiałość, ale znam cię dość długo i dziś po raz pierwszy jesteś bardziej... ludzki.

— Jaki, mówisz? — proktor uniósł się z sofy i patrzył teraz wprost na Ardo.

— Ludzki, panie.

— Mylisz się, Ardo. Zawsze jestem taki sam.

— Tak, proktorze.

— A to, co przed chwilą mówiłem, mówiłem dlatego, że cię lubiłem — to znaczy lubię.

— Rozumiem, proktorze.

— Nie sądzę, Ardo. Ale to nie ma znaczenia.

— Przebacz, panie, jeśli cię czymkolwiek uraziłem.

— Nie, Ardo, nie uraziłeś mnie niczym. Teraz zjemy posiłek — klasnął w dłonie — Viso, podaj nam jadło — powiedział, gdy podeszła. Nie zdążyła jeszcze przynieść posiłku, gdy proktor usłyszał kroki żołnierza.

— Proktorze, posłaniec od arcykapłana do ciebie — zameldował żołnierz.

— Mówił, czego chce?

— Żołnierzy.

— Powiedz mu, że nie musi tu przychodzić, i niech powtórzy arcykapłanowi, że oddziały wyślę pod jego dom. Możesz odejść.

Żołnierz odszedł i proktor zwrócił się do Ardo.

— Słyszałeś więc, po co cię wezwałem.

— Mam wysłać żołnierzy?

— Nie, dowódco. Weźmiesz pół setni i pod twoim dowództwem przejdą oni pod dom arcykapłana.

Ardo chciał o coś zapytać, lecz wtedy właśnie wniesiono dymiącą misę i srebrną tacę z chlebem.

— Jedz — powiedział proktor.

— A ty, panie?

— Odeszła mnie ochota, Ardo. Będę więc mówił, a ty jedz i słuchaj. Od arcykapłana wraz z jego strażą przejdiesz na miejsce wskazane przez jednego z ludzi arcykapłana.

Biedny Kario — pomyślał równocześnie proktor — nawet ja zaczynam go tak nazywać.

— Tam straż kapłańska zatrzyma człowieka, o którym ci kiedyś już mówiłem.

— Pamiętam, panie.

— Zatrzyma go straż kapłańska, a twoi żołnierze zabiją każdego z tej straży, kto chciałby zabić lub okaleczyć zatrzymanego. Zrozumiałeś, dowódco?

— Tak, proktorze.

— To rozkaz.

— Rozumiem.

— Odprowadzisz tego człowieka do świątyni lub domu arcykapłana. O tym zadecyduje arcykapłan. Możecie zrobić przy tym sporo hałasu. Wtedy kapłana ominie pokusa, by zabić tamtego skrytobójczo. Zabójstwo bez sądu wykorzystająby przeciw niemu inne stronnictwa świątyni, a na to stary lis nie pójdzie. Potem wraz z

żołnierzami wrócisz do koszar i czekać będziesz na dalsze rozkazy. Pogotowie bojowe trwa aż do odwołania.

— Tak jest.

— To wszystko, Ardo.

— Proktorze, a co stanie się później?

— Będzie sąd.

— Nad tym człowiekiem, którego najpierw chronimy z rozkazu Imperatora, a teraz ujmiemy?

— Nad nim także.

— Nie mogę uwierzyć, że sam Imperator zajmuje się nami w tej odległej prowincji.

— Ta prowincja, Ardo, jest teraz najważniejszym miejscem na tej planecie — cicho powiedział proktor.

— Tak sądzisz, panie?

— Jestem pewny, Ardo. A teraz, jeśli skończyłeś posiłek, idź i wykonaj rozkazy.

Ardo wstał, zapiął pas z mieczem i nałożył hełm.

— Sława Imperatorowi — wykrzyknął, a gdy proktor nic nie odpowiedział i patrzył dalej w kamienne płyty posadzki, wykonał przepisowy zwrot i odszedł.

Proktor nie poruszył się, aż ucichły kroki Ardo, potem spojrzął w mrok na ogród, gdzie księżyc zniżając się ku horyzontowi wszedł za wierzchołki palm, i klasnął w dłonie.

— Viso — zawołał.

— Jestem, panie — usłyszał jej głos i podeszła.

— Jutro rankiem oddział żołnierzy odchodzi do fortecy nad

morzem. Pojedziesz z nimi.

— Panie, czym zawiniłam?

— Nie, Viso, niczym. Chcę po prostu, byś z nimi pojechała.

— Panie, chciałabym zostać tutaj, w tym mieście.

— Dlaczego, Viso?

— Ty się pytasz, panie? Wszystko, co mi drogie, jest w tym mieście. Ty także tutaj zostajesz.

— A gdyby Admis kazał ci stąd odejść?

— Odeszłabym z nim, z Kariem i innymi. Gdybyś ty mi pozwolił, panie.

— Kobieto. Chcę twego dobra. To miasto może zginąć, stać się kamienną pustynią, nie miastem. Pustynią, którą nawet psy i sępy będą omijać.

— Zostanę. Jestem z innego ludu, ale to jest moje miasto, panie.

— Jak chcesz, Viso. Minie jedno pokolenie i nikt nie wspomni imion tych, co zginęli z miastem. Tak zawsze jest z tymi, którzy giną w miastach, dlatego że je kochali. Miasto czasem pamięta, dopóki żyje... Ale świat jest pełen ruin, które były miastami, ruin pokrytych ziemią, ruin, które nawet nazw już nie mają, bo nie ma kto ich nazywać.

— Jeśli nawet to miasto zginie, w jego miejsce powstanie nowe, panie, i będzie tym samym miastem.

Przemknął nocą ku górze nad ulicami miasta, których nie widział, nad ogrodami pałaców pełnych pachnących kwiatów, których woni nie czuł, nad oliwnymi gajami, gdzie była cisza nocy, ale i jej nie słyszał. Widział tylko gwiazdy ponad sobą i księżyc nisko już nad horyzontem, lecz nadal tak jasny, że nie dojrzał wśród gwiazd pyłu Galaktyki, w której był.

Góra czerniała w mroku i gdy się do niej zbliżył, zniżając lot, zakryła pół nieba. Teraz wierzchołki drzew oliwnych były tuż pod nim, lecz był w słabym transferze i nie mógł ich złamać, najwyżej dotknąć ich jak wiatr, mógł też przez nie przenikać, gdy chciał.

Wiedział, że gdzieś niedaleko szczytu była grotta, w bok od schodów idących na szczyt, i grotę tę starał się odnaleźć.

Gdy był już przy ziemi, poczuł zapach starej oliwy z tłoczni oliwnych, które były niedaleko, trochę niżej, i zobaczył kształt pras tłoczących oliwę. Znał je dobrze, bo będąc na tej planecie oglądał je wcześniej pełen podziwu dla rzemieślników tych stron, wykonujących prymitywnymi narzędziami precyzyjne urządzenia zgniatające oliwki i nie uszkadzające ich ziaren.

W grocie, gdy w nią wniknął, spostrzegł kilka śpiących postaci, lecz wśród nich nie było tego, kogo szukał. Przemieścił się na zewnątrz ponad schodami prowadzącymi na szczyt, na ich drugą stronę, i wtedy zobaczył czterech ludzi. Jednym z nich był Admis. Zbliżył się do niego i wzmocił sygnał transferu, aż Admis wyczuł jego obecność.

Pozostali niczego nie zauważyli, bo nie nawykli do odbioru słabego transferu.

— Zbliżają się już, Admisie — powiedział — kapłani, ich strażę i żołnierze. Prowadzi ich Kario.

— Wiem, Adamie. Jestem gotów.

— Zapewne nic ci nie zrobią, lecz gdy nadejdą, na chwilę przykryję cię polem siłowym, nim dojdą do ciebie.

— Obawiasz się, bym zbyt wcześnie nie zginął.

— Wszystko przygotowałem, lecz tam, gdzie jest czas, jest także przypadek. Zabiorą cię do świątyni, osądzą cię, skazą na śmierć, bo sprawiedliwych wśród nich jest niewielu. A wtedy wkroczy flota i kamień na kamieniu nie zostanie z tego miasta.

— Nie, Adamie. Nie zniszczysz miasta. Pamiętaj, co powiedziałem ci, gdy schodziliśmy z przełęczy? Ja nic nie uczynię temu miastu i ty nie uczynisz niczego.

— Admisie. Oni czekają na twoje zwycięstwo, czekają od dawna. To oni stworzyli nas takimi, jakimi chcą nas widzieć, z grzmotem piorunów, promieniowaniem i ogniem. Te efekty, tak prymitywne i obce nam, są im potrzebne, a przecież dla nich tu jesteśmy.

— To prawda, Admisie. Jesteśmy tu dla nich i dlatego umrę, tak jak powiedziałem, umrę taką śmiercią, od której nie ma gorszej w tym świecie. Ja umrę, a oni zostaną żywi. Nie można głosić nadziei i zabijać, Admisie.

— Mówisz tak, jakbyś był jednym z nich.

— Ja jestem człowiekiem.

— I dlatego nie możesz umrzeć ich okrutną śmiercią. Przecież ty

czujesz tak jak człowiek, zmęczenie, i ból, i strach agonii, gdy umierasz. Śmierć jest straszna, i tym straszniejsza, że nie ma jej w trwaniu.

— Już powiedziałem, Adamie.

— Umrzesz na poprzecznym bierwionie. Czy widziałeś taką śmierć?

— Śmierć jest tylko śmiercią. Niczym więcej.

— Mylisz się, Admisie. Są różne śmierci dla nich, dla ludzi. Śmierci, które przychodzą same, i takie, które oni obmyślają przez wieki. Ta śmierć jest właśnie taka. Czy wiesz, jak oni to robią? Rozkładają cię na wznak na poprzecznym bierwionie, rozciągają ci ręce i przybijają w przegubach gwoździami. Wtedy unoszą wraz z tobą poprzeczne bierwiono i umieszczają na cedrowym słupie. Patrzysz z góry na nich, na ich głowy na wysokości twoich kolan, gdy podkurczają ci nogi, nie prostują, tylko podkurczają i przybijają razem stopy do słupa. Czy wiesz, jak się wtedy umiera? Myślisz, że z wyczerpania lub upływu krwi? — Nieprawda, ty się dusisz. Gdy zwisasz na ramionach, ból paraliżuje twoje mięśnie i nie możesz usunąć powietrza z płuc. Wtedy nadchodzi strach agonii. Wspierasz się więc na przebitych nogach, unosisz się na nich i wtedy możesz odetchnąć. Lecz ból mięśni i kości wspartych na gwoździach jest taki, że musisz zwolnić mięśnie nóg i znowu wiesz na ramionach, a więc się dusisz, i cykl się powtarza raz, drugi, dziesiąty. Ty prawie nie krwawisz. Gdy przeszedłeś tyle tych cykli, że ból jest taki, iż znieść go już nie sposób — mdlejesz. Lecz strach śmierci budzi cię z omdlenia i dalej porażony bólem powtarzasz cykle. Chyba że masz szczęście i

zemdlejesz tak mocno, że się udusisz. Ale to przychodzi po długich godzinach. To jest śmierć ze swoim algorytmem konania, Admisie. A jeśli strażę znużą się twoim konaniem, a ty jeszcze żyjesz, drągiem łamią ci kości nóg. Wtedy nie możesz się na nich wspierać, dusisz się i wreszcie umierasz. Chcesz tak umrzeć, Admisie?

— Czy tak jest, Adamie?

— Tak, Admisie.

— To straszne. — Adam patrzył na niego i widział pot na jego twarzy. — Czy tak być musi? Nie można tego zmienić?

— Możesz zawsze powiedzieć słowo i będzie inaczej.

— Nie, Adamie. Nie powiem. Niech się stanie tak, jak ja chcę, a nie jak chce człowiek, którego ciało noszę.

— Wystarczy twoje jedno słowo — powtórzył Adam, lecz Admis już nie odpowiedział.

Myślał, że tamten go nie słyszy, więc wzmocnił transfer, aż rozjarzył się w wyładowaniach w ultrafiolecie białą postacią nad skałą. Gdy Admis dalej nie odpowiadał, wrócił do słabego transferu i odszedł.

Przesunął się nad wierzchołkami drzew oliwnych w dół, ku podnóżu gór. Wtedy zobaczył nadchodzących. Szli w dwu grupach. W pierwszej z pochodniami i lampami szedł Kario otoczony przez kapłanów i straż świątyni. Szedł milczący, patrząc w ziemię, podczas gdy tamci otaczając go chaotyczną grupą rozmawiali i pokrzykiwali. Pomyślał, że zachowują się zbyt głośno i krzyczą bez potrzeby, a potem zrozumiał, że tamci się po prostu boją. Ich także nie opuszczała myśl o ogniu, piorunach i zagładzie. Adam raz jeszcze pomyślał, że

Admis pozbawia ich tego, na co czekają wszyscy, zarówno ci, którzy mu uwierzyli, jak i ci, którzy są przeciw niemu. Drugą grupę stanowili żołnierze. Szli w milczeniu trójkami, i co szósty z brzegu niósł pochodnię. Poznał Ardo po jego hełmie i pióropuszu. Szedł na przędzie oddziału, dwa kroki przed żołnierzami. Pomyślał, że Ardo nic z tego nie rozumie, nic rozumieć nie może, ale wypełnia rozkazy nie pytając, tak jak wszyscy żołnierze Imperium, i dlatego Imperium jest jeszcze potężne. Wiedział, że nadejdzie czas, gdy takich jak Ardo nie będzie, dowódców, którzy nie piją wina, gdy dowodzą, i drżą z zimna w pustynne noce ze swymi żołnierzami, a w dzień nie zdejmując hełmów stoją na słońcu i giną w walce, nie cofając się, gdy giną ich żołnierze. Potem nie—będą już ginęli w walce, tylko marli z obżarstwa i chorób lub wkładali głowy w szprychy rydwanów, popełniając samobójstwo, jeśli Imperator nakaze im umrzeć, gdy wyda mu się, że uśmiechali się krzywo na balu, na który ich raczył zaprosić. Ale wtedy przedsięwzięcie, które rozpoczął Admis, obejmie już Imperium i strzaskane Imperium rozsypie zarodki przedsięwzięcia na wszystkie kraje, które były jego częścią, tak jak pękający owoc maku rozsypuje nasiona na przyległe grządki. Kario zatrzymał się.

— To tu — powiedział.

Ardo skinął na pierwsze dwie trójki żołnierzy, które rozepchnęły straż świątyni czyniąc mu przejście do Karia.

— Nie chcę, by wszyscy tam ze mną szli — powiedział Kario.

Usłyszał protesty wśród kapłanów i straży.

— On ma rację — powiedział Ardo. — Chcecie, by tamten uciekł. Pójdą moi żołnierze, kilku ze strażników świątyni i kapłani.

— Mamy zatrzymać tylko zwodziciela — powiedział jeden z kapłanów — taka jest wola arcykapłana.

— Także i ja mam takie rozkazy — potwierdził Ardo.

— Lecz jak rozpoznamy tego człowieka? — kapłan zwrócił się do Karia.

— Pójdę i uściskam go — powiedział Kario.

— Zgoda — Ardo skinął głową — wtedy strażnicy świątyni zatrzymają go. Lecz pamiętajcie, jeśli któryś wyjmie miecz, moi żołnierze rozsiekają go. Takie mają rozkazy. Ja będę przy was, lecz nie dotknę tego człowieka. Teraz ci, co idą, niech idą z nami — skinął na żołnierzy, którzy ruszyli w górę po schodach. Za nim poszli kapłani i część straży.

Gdy wspięli się do połowy góry, Ardo wydał rozkaz i żołnierze rozbiegli się szerokim półkolem. On sam z dziesięcioma żołnierzami, strażą i kapłanami szedł dalej, aż zobaczyli czterech ludzi. Dwu z nich przebiegło schody i zniknęło w krzakach po drugiej stronie schodów. Tych, którzy pozostali, Adam poznał. Był to Admis i Kefa. Żołnierze podeszli do nich na odległość dziesięciu kroków i zatrzymali się. Latarnie oświetlały postać Admisa, który stał nieporuszony. Kefa cofnął się dwa kroki za niego. Strażnicy świątyni i kapłani zatrzymali się za żołnierzami, i tylko słyszał ich podniesione głosy i nawoływania. Zrozumiał raz jeszcze, że boją się Admisa, i pomyślał, że jego własny plan jest na pewno lepszy, bo w części jest już w tych ludziach.

Tylko Kario nie zawahał się. Podeszedł do Admisa, uściskał go i zbliżając swoją twarz do jego twarzy powiedział:

— Admisie. Czynie to, byś zwyciężył. Zabij mnie i ich, jeśli chcesz.

— Zdradasz mnie, Kario — powiedział Admis do niego, a gdy tamten odchodził, głośno zapytał: — Kogo szukacie?

Kapłani, którzy wyszli przed żołnierzy i zaczęli zbliżać się do Admisa, odpowiedzieli:

— Admisa.

— To ja jestem — powiedział Admis.

Adam dłużej nie czekał. Żołnierze byli z tyłu, a straż świątynna przed nimi.

Namierzając transfer, okrył Admisa i stojącego obok Kefę niewidoczną kopułą pola. Tamci byli już blisko i pole siłowe kształtując się odrzuciło ich tak, że upadli.

Admis, jakby nie dostrzegając tego, powtórzył pytanie.

— Kogo szukacie?

— Admisa — odpowiedzieli tym razem żołnierze, wymierzając uderzenia cofającym się strażnikom świątyni i kapłanom.

— Powiedziałem wam, że ja nim jestem. Strażnicy zaczęli ostrożnie posuwać się do przodu.

Adam patrzył uważnie, czy nie zobaczy w ten dłoniach miecza lub noża. Nie widząc nic, czym mogliby zabić lub zranić Admisa, zdjął pole.

— W dzień mnie nie ujęliście — powiedział Admis — tylko przychodźcie nocą.

Jeden ze strażników podszedł do Admisa i wtedy nagle stojący za nim Kefa wyciągnął z pochwy miecz i ciął w szyję strażnika. Tamten uchylił się i miecz Kefy obciął mu kawałek ucha. Padł rozkaz i

żołnierze wyjęli miecze. Ten, który stracił ucho, krzyczał z bólu.

Admis spojrzał na Kefę i powiedział:

— Schowaj miecz swój.

Żołnierze postąpili do przodu. Wtedy strażnicy podeszli do Admisa i chwycili go za ręce, krępując mu je sznurem za plecami. Inni założyli mu na szyję powróż, by go w ten sposób prowadzić.

Ardo odszukał dziesiętnika.

— Ten człowiek wydaje mi się łagodny i nieszkodliwy — powiedział do niego. — Rozejrzyjcie się wokół, może jego przyjaciele są bardziej niebezpieczni.

Dziesiętnik wydał swoim żołnierzom rozkazy i ci rozbiegli się. Inni żołnierze wychodzili zza drzew i krzewów, stając w szeregu. Strażnicy świątyni hałasowali i sprzecjali się z kapłanami o to, którą drogą należy przeprowadzić więźnia do miasta. Wreszcie ruszyli okrężną drogą przez wzgórza, tak by mimo nocnej pory nie spotkać w mieście zwolenników Admisa. Prowadzili go ciągnąc za sznur przywiązany do jego szyi, a żołnierze szli obok, bo tak im kazał Ardo.

Księżyc zaszedł za wzgórza i noc stała się tak ciemna, że nawet Adam w transferze nie rozpoznawał już twarzy tych ludzi. Dostrzegł tylko jednego samotnego człowieka idącego kilka kroków z tyłu za pozostałymi. To był Kario. Patrzył w ziemię, nie widząc niczego wokół; potykał się i zataczał. Adam wiedział, że nawet w słoneczny dzień szedłby tak samo i żał mu było Karia. Doszli do domu arcykapłana. Adam słyszał podniesione głosy i okrzyki służby, gdy otwierała główną bramę, bowiem mała brama, którą kiedyś wchodził Kario, była za wąska, by pomieścić ich wszystkich. Na dziedzińcu

zapalono dodatkowo lampy i tłum sług z domu arcykapłana otoczył Admisa. Adam odsunął się, bo nie chciał słuchać obelg, którymi obrzucano tamtego.

Ardo, gdy więzień minął bramę, zebrał swoich żołnierzy. Odeszli trójkami ku twierdzy i tylko pochodnie niesione przez co szóstego żołnierza rzucały ruchome cienie na ściany domów. Słyszał miarowy tupot sandałów, który budził śpiące miasto. Wiedział, że niedługo Ardo meldować będzie proktorowi o wykonaniu zadania, lecz mimo to pozostał w słabym transferze, przyglądając się z wysoka światłom i krzątaniu na dziedzińcu domu arcykapłana. Pomyślał, że dla Admisa chwila ostatecznej decyzji jest coraz bliższa.

X

Powietrze w lochu było stęchłe, a w górze wokół małego zakratowanego okienka, którego nie mógł dosięgnąć, rósł mech. Patrzył w to okienko od chwili, gdy brzask wyrysował jego kontur na czarnej ścianie i znikła ostatnia z gwiazd, które nocą dalekimi białymi punktami wolno przemieszczały się w otworze okna. Potem odezwał się dzwon wzywający mnichów na modlitwę poranną, a szczury dotykające w ciemności jego stóp ukryły się w norach. Czuł pragnienie, ból w krzyżu i wyłamanych stawach. Tylko krople wody

kapwały ze ścian monotennie, tak samo jak w nocy, gdy odmierzały chwile upływającego czasu, ale teraz ich nie słyszał, bo dzwony były głośniejsze. Mógł za to patrzeć na nierówne kamienie ścian lochu i wiedział, że nie on pierwszy oczekiwał tu ostatniego świtu.

Dzwon umilkł i słyszał z dołu, gdzieś z wioski, pianie kogutów. Potem usłyszał kroki, powolne kroki strażnika, zgrzyt rygli i skrzypienie zawiasów.

— Wychodź, czekają na ciebie — powiedział strażnik zmęczonym głosem człowieka, który czuwał w nocy.

Podniósł się z trudem, zrobił dwa kroki w kierunku wyjścia, bosymi nogami trafił w kałużę wody pośrodku lochu i zachwiał się.

— Nie możesz iść — stwierdził strażnik, zszedł dwa stopnie w głąb lochu i uważając, by nie wejść do wody, chwycił go za ramię.

— No chodź — powiedział.

Chwył nie był mocny, a jednak ramię zabołało.

— Oprzyj się o mnie. Musisz stąd wyjść i już tu nie wrócisz.

Wyciągnął go z lochu i podtrzymując, ciemnym kamiennym korytarzem powłókł ku schodom. Były kręte, o wysokich nierównych stopniach i pięły się w górę nie kończącą się spiralą, oświetloną gdzieś gdzieś światłem z prześwitów strzelnic. Wreszcie zobaczył drzwi.

Myślał, że to już koniec drogi. Zrobił widocznie ruch w ich kierunku, bo strażnik powstrzymał go.

— Nie tutaj. Wyżej. Odpocznij chwilę — dodał i zatrzymał się. — No chodź — powiedział po chwili i ruszyli dalej.

Przez następne drzwi zobaczył słońce i poczuł podmuch wiatru. Te

ostatnie stopnie przebył szybciej i pierwszy wyszedł na kamienny taras. Słońce było jeszcze nisko, ale mgła nad łąkami już prawie opadła. Drzewa pod słońce były czarne i ich długie cienie dochodziły aż pod mur zamku. Wyżej, ponad tarasem, widział ścianę z oknami części mieszkalnej, dalej baszty na rogach, zakończone czarnymi stożkami dachów, i sklepienie kaplicy, skąd wcześniej słyszał dzwon. Na twarzy i ciele, tam gdzie płótno jego koszuli zostało rozdarte, czuł ciepło promieni niskiego porannego słońca, w które teraz patrzył. Strażnik puścił go na chwilę, a potem zarzucił mu na ramiona płaszcz, widocznie przygotowany tu poprzednio.

— W tych łachmanach nie możesz stanąć przed trybunałem — powiedział.

Ktoś ku nim podszedł i stanął za nim. Nie odwrócił się nawet, tylko dalej patrzył w słońce.

— Odejdź — usłyszał głos, który poznał. Strażnik odszedł i wtedy poczuł dłoń na swoim ramieniu. Dotykała go tak lekko, że nawet nie odczuł bólu.

— Spójrz na mnie, Parakletosie — usłyszał.

— Po co? — zapytał schrypniętym głosem. — Ty, ojcze, już jesteś dla mnie przeszłością.

— Poznajesz mnie?

— Tak. Byłeś moim mistrzem.

— Wiele cię nauczyłem...

— Nauczyłeś mnie myśleć, ojcze.

— A teraz tu się spotykamy.

— Właśnie dlatego.

— Tego, co głosisz, nie nauczyłem cię.

— Ale nauczyłeś mnie myśleć. To wystarcza.

— Nie po to, byś głosił herezje.

— Głoszę tylko prawdę.

— Jaką prawdę?

Parakletos nie odpowiedział.

— Twoja prawda nie jest moją, naszą prawdą — powiedział tamten.

— Wiem o tym, dlatego jest prawdą.

— Przyznaj się, że zbłądziłeś, Parakletosie. Może trybunał zrozumie to i ten wschód słońca nie będzie ostatnim twego życia.

— Wiesz przecież, że nie błędzę. Ty musisz to wiedzieć. Wiedziałeś to, zanim ja prawdę odkryłem.

— Pismo mówi inaczej.

— I dlatego muszę umrzeć. Trybunał wyrok już wydał, zanim się zebrał. Dlaczego ty żyjesz, ojcze?

— Ja nie występowałem przeciw Pismu.

— A więc wiedząc milczałeś. Dla ciebie już nie ma nadziei.

— O mnie mówisz?

— O tobie.

— Parakletosie, sądzisz mnie, a sam już jesteś osądzony.

— Wiem. Ale gwiazdy poruszały się tej nocy w poprzek okna mej celi i ja wiedziałem dlaczego. Eppur si muove! To jest prawda, o którą pytasz, a także to, że Wenus i Merkury mają niekiedy kształt półksiężyca, a więc i one krążą wokół Słońca. Prawdą jest, że Droga Mleczna jest niczym innym jak mnóstwem niezliczonych gwiazd

ułożonych razem w skupiskach. To także jest prawda i ja ją głoszę. Słyszysz?

— Czy warto umierać za taką prawdę?

— Dlatego ty, ojcze, żyjesz.

— A ty będziesz skazany przez trybunał. Zawsze za to samo. Nie ty pierwszy i nie ty ostatni.

Odwrócił się. Zobaczył małego, starego człowieka w habicie, którego tęczęwki oczu były niemal tak białe jak włosy. Gdy patrzył na niego, tamten powolnym ruchem podniósł ręce, sięgnął nimi za swój kark, schwycił skraj sukna i naciągnął na twarz kaptur—maskę.

Widział teraz tylko jego białe oczy przez dwa otwory wycięte w suknie.

— Ty mnie sądzić będziesz? — zapytał.

— Tak. Żegnaj, Parakletosie, najukochańszy z moich uczniów. Umrzesz za mnie, za takich jak ja, którym brakuje odwagi.

Odszedł drobnym krokiem starego człowieka, a Parakletos spojrział raz jeszcze w słońce. Potem usłyszał kroki straży. Otoczyli go czwórka, sami w odświętnie wyczyszczonych pancerzach i hełmach.

Stał tak chwilę za plecami strażników i ponad ich ramionami widział łąki i drzewa, a dalej pola i lasy na horyzoncie.

— Wprowadzić go — zawołał ktoś z drugiego końca tarasu i poczuł pchnięcie z tyłu.

Ruszyli wolno, krok za krokiem, i straż dostosowała swój krok do jego niepewnego kroku.

Weszli do wielkiej ciemnej sali, a gdy jego wzrok przywykł do mroku, zobaczył ludzi w kapturach siedzących za stołem kilkanaście

kroków przed nim, tak że nawet nie widział ich oczu. Nie wiedział, który z nich jest jego nauczycielem, może innych także znał i rozprawiał z nimi o Ziemi, Słońcu i planetach, tylko tamci nie uchylili kaptura. Stał przed nimi i nie odpowiadał, gdy go pytali, lecz gdy wreszcie zamilkli, powiedział:

— „Gdy ja zapytam, czym dziełem jest Słońce, Ziemia, Księżyc, gwiazdy, ich ruchy i położenia, uzyskam prawdopodobnie odpowiedź, że są dziełem Boga. Gdy będę dalej pytać, czym dziełem jest Pismo, zapewne usłyszę, że jest to również dzieło samego Boga. Jeśli teraz zapytam, czy Bóg użył słów, które są jawnym zaprzeczeniem prawdy, po to, aby zrozumieć je mogli prości ludzie, jestem przekonany, że powiedziano by mi, podając przy tym wiele cytat ze wszystkich uświęconych autorów, że to istotnie jest zwyczajem Pisma, zawierającego setki ustępów, które wzięte dosłownie, byłyby niczym innym jak herezją i bluźnierstwem, bowiem Bóg przedstawiony jest w nich jako istota pełna nienawiści, winy i opieszałości. Jeśli teraz spytam, czy Bóg na to, aby być zrozumianym przez prostych ludzi, zmienił kiedykolwiek swoje dzieła lub czy natura, niezmienna i niedostępna pożądaniu ludzkiemu, zawsze zachowywała ten sam rodzaj ruchu, kształtów i podziału świata, jestem pewien, że powiedziano by mi, iż Księżyc zawsze był kulisty, mimo że przez długi czas uważano go za płaski. Skupiając to wszystko w jedno zdanie: nikt nie będzie utrzymywał, że natura zmieniła się kiedykolwiek po to, aby uczynić swoje dzieła zrozumiałymi dla ludzi. Jeśli tak jest, to zapytuję, dlaczego, aby dojść do zrozumienia różnych części świata, musimy zaczynać nasze badania raczej od słów Boga

niż od Jego dzieł... Czyż dzieło jest mniej czcigodne niż słowo?”* [* Według listu Galileusza z 15 stycznia 1633 r. do jego przyjaciela Elli Diodatiego.]

Stał pośrodku sali, której ściany wyłożono czarnym i białym marmurem. Po obu jego stronach w trzech półkolistych rzędach krzesel z każdej strony siedzieli sędziowie.

Gdy umilkł, arcykapłan poderwał się z krzesła i rozdzierając obiema rękami swą szatę przez środek, krzyknął:

— Zbłąźnił! Słyszeliście! Po cóż nam jeszcze jacyś świadkowie! Sami słyszeliście bluźnierstwo! Teraz wy, sędziowie, powiedzcie, co o tym sądzicie.

Dał ręką znak sekretarzowi i ten rozpoczął wywoływanie nazwisk począwszy od najmłodszych sędziów. „Winien jest śmierci” — powtarzali kolejni sędziowie, a niskie poranne słońce przez otwory okienne oświetlało prostokątami marmurowe płyty posadzki. Nikt się nie sprzeciwił i tylko dwa puste krzesła dowodziły, że sprawiedliwym zabrakło odwagi.

Sekretarz przygotował teraz protokół, wypisując treść oskarżenia, orzeczenia sędziów i wyrok. Arcykapłan opuścił swoje miejsce, przeszedł w głąb sali zdejmując złotą opaskę ze świętym napisem — oznakę swego stanowiska. Sędziowie rozmawiali ze sobą, a Admis stał samotny, przygarbiony godzinami bez snu, z siniakami uderzeń i skrzepłą krwią w kątach ust.

Takim zapamiętał go Adam, gdy wracał ze słabego transferu, by znowu stać się proktorem, namiestnikiem Imperatora, który miał ten wyrok śmierci zatwierdzić, bo takie były prawa Imperium i żaden

wyrok śmierci bez zatwierdzenia namiestnika Imperatora nie mógł być wykonany.

Gdy wrócił do swej komnaty, nawiązał kontakt z Admusem.

— Widziałem go — pomyślał — jest już u kresu sił.

— Człowiek dużo wytrzymuje, gdy zna swój cel, a tym bardziej Admis. On nie zmieni decyzji.

— Przekonam go. Flota jest w pogotowiu. Rozkazy wydane. Jedno słowo Admisa.

Nawet przez słaby transfer możemy uzyskać wszystkie informacje i wykonamy pierwotne zamierzenia.

— Złudzenia, Adamie. Analizuję to sprawniej niż ty i prawdopodobieństwo tego, o czym mówisz, jest znikomo małe.

— Skłonię go do tego. Ci ludzie, wśród których żył, go uwolnią; te tłumy, które jeszcze niedawno czciły go w tym mieście.

— Człowiekujesz, Adamie. Myślisz jak proktor, manipulator władzy, którego ciało nosisz. Admis jest tobą i jeśli postanowił umrzeć — ty to postanowiłeś. Tylko ciała przez was noszone są różne, a przecież jego ciało umierać będzie, a więc jego jest decyzja. On o tym wie.

— A jeśli od niej odstąpi?

— Wtedy także będzie to twoja decyzja.

— Ty go rozumiesz, Admusie?

— Ja nie noszę ciała człowieka.

— Tak, ale ja jestem człowiekiem i pojąć nie mogę, jak on, który jest ponad czasem, może żądać swej śmierci w czasie. Przecież to trwanie — inna jakość istnienia, którym jesteśmy — tworzy ten

eksperyment, wchodzi w czas, przenika w jego fałdy i załamania, poznaje ten czas — jego świadome i nieświadome ziarna walczące o swój kształt w rzece entropii. To wszystko pojmuję. Ale poznawanie czasu jest dla trwania eksperymentem, przygodą doznania tak ulotną, że nie istniejącą niemal. Chaotyczne drganie pyłków zawieszonych w wodzie jest z trwania tego samego rzędu zjawiskiem i nikt z eksperymentatorów nie umiera po to, by pyłki drgały inaczej. Może zresztą umysłem człowieka ja czegoś nie pojmuję...

— Stanie się częścią eksperymentu, jego podmiotem i przedmiotem, jest niezwykle, to chciałeś pomyśleć.

— Tak. A poza tym, jak można dalej obiektywnie i z bezstronnością, zwaną tutaj na tej planecie obojętnością, prowadzić eksperyment, którego było się częścią?

— Można, przekonasz się. Ten twój osąd jest osądem człowieka. Dla nas wszystkie rzeczy są z definicji piękne, dobre i słuszne. To tylko ludzie jedne rzeczy uznają za słuszne, inne za niesłuszne.

— Tym bardziej śmierć Admisa jest niepotrzebna. Wiem, czym jest śmierć na poprzecznym bierwionie, Admusie. Tylko w trwaniu śmierć jest pustym słowem. Sprawię, by on jednak wybrał inaczej.

— Powodzenia, Adamie.

— Tego także w trwaniu nie ma, Admusie, bo samo trwanie jest niezmiennym powodzeniem.

Zakończył kontakt, rozizolował komnatę i z jej okna spojrzął w dół przez ogrody na ludzi widocznych stąd jako ruchome punkty na ulicach miasta. Pomyślał, że jeszcze dzisiaj miasto to może przestać istnieć, i myślał także o tym, że ceną uratowania miasta jest śmierć na

poprzecznym bierwionie człowieka, który nie będąc człowiekiem, był nim. Tej śmierci on, Adam, nie chciał. Zniszczył już tyle miast rozrzuconych na tysiącach lat czasu, że w tej arytmetyce jedno miasto nie zmieniało niczego, mimo że dla niego, jako człowieka, miasto to było jego miastem.

Przecież nie jestem człowiekiem — pomyślał i wyszedł na korytarz.

— Panie — usłyszał głos za sobą. Odwrócił się. To była Visa. Patrzyła na niego jakoś inaczej i to jedno słowo także powiedziane zostało inaczej, niż zwykli byli mówić niewolnicy.

— Słucham cię, Viso.

— Jest tu Kario. Chce mówić z tobą. Żołnierze go nie wpuścili. On jest chyba chory, panie.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Powtarza jedynie, że chce z tobą mówić. Nie odpowiada na pytania. Jeszcze takim go nie widziałam.

— Dobrze, Viso. Porozmawiam z nim.

Dwukrotnie klasnął w dłonie Usłyszał tupot sandałów i dwu strażników stanęło przed nim.

— Wprowadzić człowieka wskazanego przez tę kobietę — powiedział. — Obszukać starannie, czy nie ma broni — dodał.

— Przecież Kario... — Visa nie dokończyła.

— Wykonać. Idź z nimi, Viso, i zostań tam.

Odeszli, a on przeszedł w cień krużganka.

Gdy Kario wbiegł, nie poznał go. Oczy przekrwione brakiem snu, broda zlepiona w brudne strąki i szata przybrudzona gliną. Padł przed proktorem na kolana.

— Panie, ratuj go. Ratuj Admisa. On zginie. Jest osądzony i skazany.

— Wstań, Kario. Wiem o tym.

— Tyś go nie widział, panie, tego, co oni mu uczynili. Jest pokrwawiony i siania się, nawet gdy stoi, a idąc pada.

— Powiedziałem, wstań.

Kario podniósł się i dopiero teraz spojrzał na proktora.

— Uwolnij go, panie — powiedział.

— On tego nie chce, Kario.

— Nie chce... Co mówisz, panie. On zginie. Dziś jeszcze umrze:

— On chce umrzeć, Kario.

— Żaden człowiek nie chce umrzeć, panie. — On chce.

— Nie pojmuję, dlaczego tak mówisz? Czym ci zawinił? Byłem z nim długo. Teraz on cierpi. Mówiłeś, że gdy go sądzić będą, on zwycięży. Ale on nawet się nie bronił. Tyś go miał bronić, panie. Przecież tak mi mówiłeś. Mówiłeś tak! Powiedz.

— Mówiłem, Kario.

— A teraz twoi żołnierze trzymają warty, grają w karty, piją wino, a on umrze.

— On tego chce.

— Kłamiesz, panie: Wiem, że mnie zabijesz, ale kłamiesz.

— A jednak taka jest prawda.

— Nie dla niego, panie, i nie dla mnie. Niech będę przeklęty i przeklęty niech będzie dzień, w którym się urodziłem, i matka, która mnie wydała na świat.

— Dość, Kario.

— ...i ty panie, boś mi powiedział, ale wcześniej ja, bo ci uwierzyłem i jego, najlepszego, najłagodniejszego człowieka, wydałem na śmierć. Niech będę tysiackroć przeklęty wraz z tobą.

— Powiedziałem, dość!

— Ty już mi nie możesz rozkazywać. Możesz mnie zabić, ale ratuj jego. On ci przecież niczego złego nie uczynił. Dlaczego chcesz, by umarł, by opuścił nas wszystkich, którzy byliśmy z nim... Jesteś mordercą, panie. Bo nie nóż zabija, ale ręka, która nim włada. Ja jestem nożem i niech mnie ziemia pochłonie.

— Powiadam ci, Kario, on chce zginąć za ciebie, za takich jak ty, za to miasto, by ono przetrwało.

— Nie! Drugi raz ci nie uwierzę. To ty chcesz, by zginął, by już nie było nikogo dobrego i sprawiedliwego w tym mieście.

— Jeszcze może uratuję go, Kario. Uwierz mi.

— Nie wierzę ci. Jedna setnia twoich żołnierzy uwolniłaby go. Jeden twój rozkaz. Ale ty nie chcesz, panie. Chcesz, by tylko tacy jak ty żyli na tym świecie i ciemni niewolnicy, którzy na nich pracują. Niewolnicy, dla których nie ma nadziei i którzy na zawsze niewolnikami pozostaną. Ty musisz niszczyć takich jak on, bo prawda i nadzieja niszczą was.

— Co ty nazywasz prawdą?

— Nadzieję, którą głosi Admis. I dlatego on musi zginąć. Zabiłbym cię, proktorze.

— Wystarczy, jeśli on umrze. To tak, jakbym ja umarł, zabity przez was.

— Zrzuciłeś wreszcie kaptur, proktorze. Teraz nie kłamiesz. On

umrze, byś ty mógł panować.

— Nic nie rozumiesz, Kario.

— Rozumiem. Ja jestem zdrajcą. Ja go sprzedałem. Ty masz czyste ręce i będziesz je miał, a ja jestem przeklęty na wieki. Ja, który go kocham.

Adam klasnął w dłonie i strażnik nadbiegł natychmiast.

— Odprowadzić — powiedział Adam.

— Wtrącić do lochu?

— Słyszałeś, co mówił?

— Krzyczał głośno.

— Nie. Wypuścić.

— Lepiej mnie zabij — powiedział Kario.

— Odprowadzić! — powtórzył proktor. Strażnik chwycił Karia za ramiona, a gdy ten chciał mu się wyrwać, krzyknął do drugiego strażnika, który nadbiegł i uderzył Karia w twarz.

— Powiedziałem: odprowadzić, nie bić. Strażnik spojrzał na proktora, potem chwycili Karia za ramiona, ciągnąc go ku wyjściu, ale tamten opierał się.

— Bądź przeklęty, proktorze — krzyczał, a potem Adam już słów nie słyszał, tylko głos Karia coraz cichszy i przekleństwa straży.

Wtedy postanowił zobaczyć Admisa. Przeszedł do swojej komnaty, zablokował drzwi, uruchomił aparaturę i silnym transferem w swej anonimowej postaci pojawił się na ulicy miasta.

Słońce było jeszcze nisko i ściany domów rzucały długie cienie ostro kontrastujące z oświetloną częścią ulicy. Po miasta nadciągali przyjezdni pielgrzymi i ich szaty odbijały białymi plamami promienie

słońca, póki nie wchodzili w niebieski odbicie nieba cień domów. Słyszał wokół siebie rozmowy prowadzone w różnych językach, które znał i rozumiał. Minął okazały dom znanego lekarza, o którym wiedział, że pierwszy w tym mieście operuje kataraktę oczu, i zatrzymał się w cieniu drzew jego ogrodu, które ponad murem wysuwały swe gałęzie nad ulicę. Nie czekał długo. Tłum na ulicy jakby zgęstniał, zepchnięty pod ściany domów, i spostrzegł grupę ludzi idących środkiem ulicy. Liczyła kilkadziesiąt osób i tłum opływał ją z obu stron, rozstępując się przed nią tak, jak chmury planety Jowisz opływają Czerwoną Plamę na jego tarczy. Rozpoznał ludzi z tej grupy, mimo że nosili takie same szaty jak inni przechodnie. To byli kapłani i strażnicy świątyni ubrani zwyczajnie, by nie wyróżniać się w tłumie. Pośrodku tej grupy nie bez trudu dojrzał Admisa. Prowadzono go tak, by przechodnie sądzili, że nie jest prowadzony.

Oni się ciągle boją — pomyślał Adam — teraz już nie piorunów i ognia, a jego zwolenników, którzy są wszędzie. Wolą udawać grupę kapłanów idących ku swym obrzędowym obowiązkom niż strażników prowadzących więźnia.

Odepchnął się od muru i przebił przez pierwsze szeregi strażników. Był jeszcze kilka kroków od Admisa, gdy jeden ze strażników uderzył go. Będąc tu fantomem, nie poczuł uderzenia i strażnik uderzył silniej.

— Czego szukasz tu... — zaczął, lecz nie dokończył. Ktoś spoza pleców Adama dotknął go delikatnie, tamten krzyknął i upadł skracając się w konwulsjach. Krzyczał coraz głośniejsze i kapłani

zatrzymali się wokół niego. Adam obejrzał się i zobaczył pogodne spojrzenie Masmu.

— Chronię mego pana — usłyszał. Wzruszył ramionami. Strażnicy pochylali się nad leżącym, tak że Adam zrobił jeszcze kilka kroków i był przy Admisie.

— Jestem przy tobie — powiedział. Spojrzał na Admisa i wiedział, że Kario mówił prawdę. Tamten Admis, którego pamiętał, i ten pobity przygarbiony człowiek, postarzały, w poszarpanej i rozdartej szacie, nie przypominali nawet braci, lecz może dalekich krewnych, z których ten był o dwadzieścia lat głodu, chorób i nędzy dalej. Tylko oczy pozostały tak samo spokojne i trochę nieobecne, mimo że gałki oczne były przekrwione.

— Jestem — powtórzył.

— Widzę, Adamie, i dziękuję ci.

— Spotkasz się wkrótce z proktorem. On nie chce zatwierdzić wyroku.

— Wiem, lecz mimo to skaże mnie na śmierć.

— Admisie...

— Adamie... — przerwał mu tamten. — Spójrz za siebie. W tłumie widziałem Karia.

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem pobiegł tam, skąd ja idę. Chroń go, Adamie, mimo że mnie zdradził.

— Myślisz o nim... teraz?

— Moja przyszłość jest już ustalona. Idź za nim. Pomóż mu, jeśli potrafisz — Admis odwrócił się i nie patrzył już na Adama.

Strażnicy weszli między nich. Adam spojrzał w głąb ulicy i

spostrzegł biegnącego

Karia. Gdy ruszył za nim, obok usłyszał głos.

— Po co idziesz za nim, panie? On jest mój.

— Przestań, Masmó. Przecież wiesz, jak było naprawdę.

— Tak, panie. Ale on jest mój. Tutaj, w tej układance, intencje się nie liczą. Dzieło jest ważne, nie słowo. On jest mój na wieki.

By dogonić Karia, dokonał przeskoku fantomem, zniknął z ulicy, by pojawić się w krużganku świątyni, bo do krużganku dobiegł już Kario.

Tam stali kapłani, wśród nich skryba, który wypłacił Kario denary. Rozmawiali, lecz gdy spostrzegli Karia, zamilkli i patrzyli wprost na niego. Kario zatrzymał się, a potem wolno podszedł do nich.

— Wydałem krew niewinną — powiedział.

— Nam nic do tego — odpowiedział po chwili skryba. — Nie nasza to sprawa.

Kario chciał coś powiedzieć, ale zakrztusił się. Kaszłał zgięty wpół, a oni patrzyli na niego. Potem atak kaszlu minął, Kario wyprostował się. Teraz już nic nie mówił, tylko powoli, bez pośpiechu odwiązał skórzane rzemienie fartucha, w którym nosił pieniądze, wyjął je i z rozmachem cisnął pod nogi kapłanów. Ściany świątyni odbiły echo uderzenia srebrnych monet o kamienie posadzki. Kario odwrócił się. Nie wiążąc fartucha pobiegł przez dziedziniec ku wyjściu ze świątyni. Znowu był w tłumie, lecz teraz biegł uderzając w przechodniów, zataczając się aż pod ściany domów. Przechodnie zatrzymywali się, a dzieci wskazywały na ciągnące się za nim pasy fartucha. Przebiegł dzielnicę zamożnych domów, a potem biegł w dół szerokimi kamiennymi schodami, przeskakując po kilka stopni, i Adam widział

tylko jego białą szatę w pasmach słońca, gdy mijał kolejne cienie cyprysów rosnących wzdłuż schodów. Potem biegł wzdłuż wewnętrznych murów, aż dotarł do drogi wychodzącej przez bramę poza miasto. Przepychając się wśród wchodzących przez bramę pielgrzymów wybiegł na zewnątrz i nagle zatrzymał się w pełnym słońcu. Spojrzał w nie, a potem w bok na białe mury miasta. Wtedy dostrzegł ścieżkę tuż przy murach prowadzącą nad urwiskiem, nad którym mury wzniesiono. Zawahał się chwilę i pobiegł ścieżką. Była wąska, a w dole, dziesiątki metrów niżej na dnie urwiska, leżały białe odłamy skał, zrzucone tam resztki kamieni, z których wzniesiono obronne mury miasta. Nie mógł dalej biec, bo ścieżka była zbyt wąska, więc szedł, aż spostrzegł drzewo oliwne wyrastające tuż przy podstawie muru, którego pień i gałęzie wisiały nad urwiskiem. Zatrzymał się przy nim. Spojrzał poza siebie ku bramie i chwilę stał nieruchomo. Potem oparł nogę o pień drzewa i starał się nim potrząsnąć. Drzewo było jednak zbyt duże i zielone wiosenne liście na jego gałęziach nawet nie drgnęły. Powoli oswobodził rzemienie pasa, a pas odrzucił. Ostrożnie, z rzemieniami w jednej ręce, wszedł na pochyły pień drzewa, a potem na najgrubszą jego gałąź, na której usiadł okrakiem.

Zawiązał na niej rzemień, szarpnięciem sprawdził węzeł. Drugi koniec rzemienia owinął dookoła szyi i zawiązał za uchem podwójny węzeł.

— Kario — zawołał Adam. — Nie czyń tego!

— Nie słyszy cię — odpowiedział mu tuż obok głos Masmu. — On już to wszystko, nawet twoje wołania, ma poza sobą.

— Przecież to nie jego, tylko moja wina.

— W trwaniu, panie, nie ma także pojęcia winy, a w czasie wprowadziłeś pojęcie przeznaczenia.

— Ale on jest sprawiedliwym ze sprawiedliwych.

— Tylko dla ciebie, panie, dla nikogo więcej, nawet nie dla niego samego. Tylko ty wiesz, jak było, i wiedzieć będziesz, no i ja, ale to się nie liczy.

Kario zawahał się jeszcze, a potem jednym ruchem sunął się z gałęzi, zawisł nad przepaścią i rzemień pod jego ciężarem naprężył się. Adam spojrzał w bok. Tam stał Masmó.

On patrzył na Karia. Czekał. Gdy czas minął, Masmó wyciągnął rękę, gałąź z trzaskiem złamała się i wraz z ciałem padała po urwisku uderzając o skały. Spadała coraz niżej, aż zatrzymała się na dnie. Adam nie spojrzał w dół.

XI

Wyszedł na balkon i spojrzał z góry na dziedziniec. Ardo stał u jego boku pół kroku za nim. Słońce było już wyżej i nad kamiennymi płytami dziedzińca powietrze falowało w upale.

Na dziedzińcu małymi grupami przysiedli żołnierze, ale wiedział, że są w pogotowiu. Straże na murach prowadziły swój monotony

obchód.

Gdy dostrzegł wychodzący spod arkad tłum, wiedział, że przybyli kapłani wraz ze strażnikami, odzianymi w codzienne szaty.

Na jego znak słudzy znieśli wielkie krzesło, z którego decydował o życiu podsądnych, i ustawili je na kamiennym podeście wznoszącym się ponad metr nad dziedzińcem. Z tłumy wyszedł strażnik ciągnąc sznur, którym skrupowano więźnia. Wtedy zobaczył Admisa. Admis szedł chwiejnie, a strażnik szarpał sznur, ciągnąc go bliżej podestu.

Proktor zszedł schodami z balkonu i stanął na podeście. Za nim zeszło dwu żołnierzy.

Gdy usiadł na krześle, stanęli z obu jego stron, wsparci na włóczniach. Dał znak i czterech żołnierzy podeszło i stanęło wokół Admisa. Sługa świątyni wyciągnął rękę ze sznurem, ale żołnierze stali nieruchomo, więc opuścił sznur na kamienie dziedzińca i odszedł do tłumy.

Teraz Admis stał przed podestem, blisko Droktora, a tłum kilkanaście kroków dalej, lecz dostatecznie ślisko, by proktor słyszał szmer rozmów i czuł zapach tłumy. Podniósł rękę i tłum ucichł.

— Jaką skargę wnosicie przeciw temu człowiekowi? — powiedział głośno, tak głośno, by być słyszany aż pod arkadami dziedzińca.

— Gdyby nie był złoczyńcą, nie przywiedlibyśmy go do ciebie — odkrzyknął jeden z kapłanów.

— Więc weźcie go sobie i osądźcie według waszego prawa.

— My karać śmiercią nie możemy — odkrzyknął ten sam kapłan.

— Ten człowiek podburzał lud przeciw świątyni i Imperatorowi.

Proktor wstał.

— Wprowadzić go do moich komnat — powiedział do straży i wszedł schodami przez balkon do pałacu. Tu było chłodniej. Usiadł na sofie i otarł pot z czoła. Po chwili straż wprowadziła Admisa.

— Zostawcie nas samych — urwał. — Odejdźcie — powiedział, bo zrozumiał, że słowa takie nie mogą być słowami proktora Imperium. — I żeby mi nikt nie przeszkadzał — dodał ostrzej. Straż odeszła i spojrzął na Admisa.

— Źle wyglądasz, Admisie — powiedział. Coś jakby uśmiech zobaczył na twarzy tamtego.

— Teraz wiem już, kto nade mną czuwał.

— Kazałbym cię wykąpać i odpoczęlibyśmy w ogrodzie.

Admis patrzył przez chwilę na niego.

— Daruj, Adamie — powiedział — ale teraz mówisz jak Masmó.

— Przyczyna jest inna, Admisie. Żał mi cię. Naprawdę mi żał. Chcesz zginąć dla ludzi, a gdzie są ci, co uwierzyli tobie?

— Ludzie są słabi, Adamie, i brak działania jest im właściwy. Najlepiej czują się w stadzie, z twarzą zakrytą kapturem. Lecz pod kapturem oni myślą i czują, i zawsze kiedyś ktoś odrzuci kaptur, a za nim idą inni. Wtedy niszczą Imperia i tworzą nowe. Wiesz przecież. Taki jest mechanizm postępu, którego my nie zmieniamy, tylko przyspieszamy jego działanie. Oni zawsze chcą być lepsi, ale nie zawsze potrafią. — Admis patrzył teraz wprost na Adama.

— Tylko czy oni wiedzą o tym... Admisie?

— Chciałbym, żeby wiedzieli, żeby mieli odwagę wiedzieć, a do tego potrzebna jest nadzieja.

— Ach, Admisie, czy my naprawdę musimy się tym zajmować!

— Mówisz jak człowiek, Adamie, który szuka swego kaptura. Po to właśnie weszliśmy w czas.

— Lecz mieliśmy działać jak ewolucja. Niszczyć tych, którzy nie spełniają warunków, by zwiększyć szansę rozwoju tym, co je spełniają. Tak działaliśmy zawsze. Ten najbardziej uniwersalny mechanizm wspomagaliśmy. Tym razem też tak samo być miało. W tym mechanizmie twoja śmierć jest niepotrzebna.

Admis milczał i Adam słyszał tylko, jak woda w fontannie opadała na kamienne płyty, a dalej z tła dochodził ledwo słyszalny stąd szmer tłumy.

— Widzisz, Adamie — Admis mówił teraz powoli, jakby rozważając każde słowo — gdy stałem się człowiekiem i żyłem pośród nich, pojąłem, że ewolucyjny mechanizm wygasa na tej planecie. Nie otoczenie będzie ich kształtować, lecz oni zaczną kształtować planetę. Już zaraz, za chwilę, w porównaniu do ich historii jako gatunku. Staną się tutaj lokalnymi bogami, a wiesz, co młodzi bogowie potrafią, gdy brak im rozsądku i nadziei. Niepokoję się o nich, Adamie. W Kosmosie jest tyle martwych planet i tak mało żywych. Ja chcę im pomóc.

Tak jak potrafię, już teraz, kiedy jeszcze jest czas, by każdy z nich mógł stać się inny, bo potem, gdy raz już zaczną myśleć inaczej, nawet jeśli nie będą nas pamiętać, będą; już inni, sami nie wiedząc o tym.

— Ach, te twoje nadzieje. Rozwój ich społeczeństw jest mechanizmem istniejącym obiektywnie, tak jak ewolucja, i z nami czy bez nas pójdzie swoją drogą.

— Ale ludzie w tych społeczeństwach mogą być różni, bo kształtowani są w procesie trwającym wieki, również kształtowani tym, co przekazują sobie pokolenia. Nasz przekaz przetrwa wiele pokoleń.

— Mogą być różni, ale nie inni. Ja także jestem człowiekiem, znam ludzi.

— Jako człowiek jesteś władcą. A cóż władcy wiedzą o ludziach? Pożyj wśród nich...

Wtedy poznasz prawdę.

— A co jest prawdą? Admis nie odpowiedział.

— Ten, który ci naprawdę uwierzył — mówił dalej Adam — już zginął.

— Kario?

— Tak. Przejdzie do historii jako zdrajca, a przecież on naprawdę ciebie kochał i zabił się, zanim nawet przyprowadzono cię do mnie, bo nie mógł żyć z myślą, że wyrządził ci krzywdę. On jest twoją pierwszą ofiarą, Admisie. A ilu jeszcze sprawiedliwych zginie, gdy ty osiągniesz swój cel i umrzesz, a miasto zostanie takim, jakie jest, z garstką sprawiedliwych i tłumem żądnych krwi. Jeśli ty o sprawiedliwych nie myślisz, ja myśleć muszę. Teraz tłum żąda twojej krwi, a jutro?

— Zmęczony jestem, Adamie. Moje ciało jest słabe. Zatwierdź ten wyrok i niech się stanie, co się ma stać.

— Nie, Admisie. Wyobraź sobie nie swoją śmierć, lecz śmierć tamtych, twoich uczniów, ich ból i godziny konania. Ty o swojej i ich śmierci myślisz abstrakcyjnie, nie jak człowiek.

Admis uśmiechnął się.

— To, co mi już uczynili, nie jest chyba abstrakcją.

— Ale nie można tego porównać ze śmiercią na poprzecznym bierwionie. Ja widziałem ludzi, którzy tak umierają.

— To mój wybór, Adamie. Proszę cię, zatwierdź wyrok. Jestem już bardzo zmęczony.

— Nie, Admisie — proktor klasnął w dłonie i weszła straż.

— Wyprowadzić. Delikatniej — dodał, gdy jeden ze strażników szarpnął sznur.

Strażnik tylko spojrzał na niego krótkim spojrzeniem i spuścił oczy.

— Niech inni cię skazą — dodał — w co także wątpię.

Gdy wyprowadzono Admisa, odczekał kilka chwil i wyszedł na balkon.

Tłum jakby powiększył się i widział żołnierzy, którzy widocznie na rozkaz Ardo stanęli w szeregu z włóczniami w rękach, oddzielając tłum od kamiennego podestu. Wzniósł rękę, a gdy tłum ucichł, powoli, donośnym głosem powiedział:

— Nie widzę winy w tym człowieku.

Wrzask tłumu zagłuszył to, co jeszcze chciał powiedzieć. Tłum żądał śmierci. Kapłani broniąc swego, strażnicy świątyni, bo kapłani im płacili, a reszta tłumu, bo stała na słońcu godzinę i podejrzewała, że stała na próżno. Widocznie Ardo dał sygnał z balkonu, bo z bocznych wyjść fortecy wybiegli żołnierze w pełnym rynsztunku i ustawili się w dwuszeregu oparci na włóczniach. Ci, co stali poprzednio przy tłumie, odsunęli się pod mur, także uzbrojeni we włócznie. Te włócznie rzucone przez żołnierzy miały uderzyć w tłum,

gdyby proktor dał taki rozkaz. Tłum wiedział o tym, bo piechota Imperium walczyła w ten właśnie sposób. Dopiero po uderzeniu włóczyniami dobywano mieczy.

Tłum widząc ruch żołnierzy zbił się gęściej i ucichł, tak że proktor mógł mówić dalej:

— Ze względu jednak na to, że człowiek ten urodził się poza granicami tej prowincji, nie ja winienem go sądzić, lecz władca Gacji. Rozkazuję więc odprowadzić do jego pałacu więźnia.

Nie spojrzał więcej na Admisa i wrócił do swoich komnat. Usiadł na sofie i sięgnął po bukłak wina, nalał je do pucharu i pił małymi łykami, aż poczuł chłód w głębi swego ciała.

— Masz szczęście, panie, że władca Gacji ma pałac w tym mieście, w którym właśnie teraz przebywa — odezwał się głos.

— Czego chcesz, Masmó? — zapytał nie zmieniając swej pozycji na sofie — i pokaż się: nie lubię rozmawiać z głosem.

— Chcę ci powiedzieć, że jak zawsze masz rację, panie. — Powietrze przy sofie zawirowało, Masmó stanął przed nim w swej czarnej opończy i skłonił się.

— Mówisz o Admisie.

— Tak, panie.

— Jak zwykle schlebiasz. On ma argumenty, a to twoje pojawienie się u mnie tylko je umacnia. Czego naprawdę chcesz?

— Przyszedłem oddać ci cześć. Tak naprawdę sprawa jest dla mnie bez znaczenia. Będę tu na tej planecie tak długo, jak na to przyzwalasza, panie. Kazesz mi odejść w nicość, nie będę miał wyboru. Ale chcę ci powiedzieć, że twa odpowiedź, którą dałeś Admisowi na

jego niewczesne pomysły, była wspaniała.

— ...nawet ty miewasz lepsze argumenty ode mnie. Wiem o tym. Nie jestem mistrzem w dyskusji, Masmó.

— Nie musisz, panie. Tobie nie jest to potrzebne. Ty masz rację z definicji, nie musisz więc jej uzasadniać. Masz, bo ją masz. Tak samo jak z władzą. Nie musisz jej okazywać, bo ją posiadasz. Władzę okazują tylko ci, którzy nie są pewni, że ją mają.

— Daj mi spokój. Chcę się napić wina i odpocząć chwilę, zanim wrócę do mnie.

— Wiesz, że wrócę?

— Tak. Władca Gacji uśmiercił Elsza i nie przysporzyło mu to popularności wśród ludu. On nie jest głupi i nie powtórzy raz jeszcze tego samego błędu.

— Więc po cóż posłałeś tam Admisa?

— Ty się mnie o to pytasz, ty, który zawsze stosujesz takie metody? Jesteś ode mnie bardziej przebiegły, ale ja nie jestem aż tak naiwny, jak sądzisz, Masmó.

— Nie śmiałybym, panie.

— Śmiałybyś i nieraz się ośmieliłeś. Ciąg czasu jest pełen twoich poczynań, które mogą świadczyć o wszystkim, ale nie o twej nieśmiałości.

— Tego nauczyłem się od ludzi. Im na to pozwalaleś.

— Ale ty nie jesteś człowiekiem.

— A ty, panie?

— Ja — cóż, pewnie nim jestem, skoro ty to wykorzystujesz.

— Tylko by zyskać szczęście rozmowy z tobą. Ale czy źle jest być

człowiekiem? Ta planeta jest tak piękna, a ich życie tak niedookreślone. W życiu każdego z nich tak wiele może się zdarzyć nieprzewidzianego. Ta gra z czasem i przypadkiem to namiętność i hazard, któremu nawet ty ulegasz.

— Zamilknij. Ja tu nie jestem na stałe.

— Oni też nie, panie, i tak jest słusznie, bo wieczna loteria staje się nudna. Po jakimś czasie człowiek pragnie spokoju. Ale w międzyczasie... Nie tylko my, wybaczyć, że ośmielałem się tak mówić o tobie i o mnie, który przecież jestem tylko prochem pod twoimi stopami, ale nie tylko my czasem czynimy się ludźmi. Nie wierzysz?

Był w innym czasie i gdy przeszedł przez niewidoczną ścianę chłodnego podmuchu, zostawiając za sobą klimatyzowane wnętrza, poczuł na twarzy prawdziwe powietrze nocy, gorące, wilgotne, z zapachem morskich wodorostów. Na tarasie wielkie ćmy atakowały lampion, wielką kolumnę światła, która zmieniając barwy oświetlała taras, kamienną balustradę i dalej na skraju mroku wierzchołki palm. Podszedł do balustrady, oparł się mocno, bo czuł wypity wcześniej alkohol. Kamienie balustrady były nagrzane słońcem dnia, który minął, ostatniego dnia 2500 roku. W dole oświetloną promenadą spacerowały tłumy. Spod wielometrowych, okrągłych, trzciną krytych parasolopodobnych konstrukcji, które dniem chroniły od ostrego tropikalnego słońca, dobiegał gwar głosów i strzały korków tradycyjnych butelek szampana. Dalej było morze i z tarasu słyszał jego szum.

Spojrzał w niebo, w kierunku, gdzie musiał być Mars, ale gwiazd nie widział, tylko światła i ich odbicia w zatoce. Ale Mars tam był, on

wiedział o tym najlepiej, i wiedział, że nie może się mylić. Wypił chyba za dużo i to odruchowe spojrzenie w kierunku Marsa rozzłościło go. Spojrzał na taras, kolumnę światła lampionu i sylwetkę dziewczyny, która czekała na niego, ale myślał o Marsie i wtedy postanowił z tym skończyć.

— Bazowy — rzucił w kierunku balustrady — o północy wyłączyć.

— Lokalnie czy z poprawką na dyslokacje wzorca? — głos był niski, matowy.

— Oczywiście według wzorca, bałwanie — to ostatnie słowo dodał po chwili wahania, ale pomyślał, że w tej sytuacji tak właśnie należy się zachować.

— Zrozumiałem — odparł głos.

Spojrzał jeszcze raz w dół, na zatokę, a potem odwrócił się i podszedł do dziewczyny.

— Za minutę północ, kochanie — powiedział. — Połowa trzeciego tysiąclecia za nami.

Popatrzyła na niego spod ciemnej grzywki włosów i uśmiechnęła się.

— Cieszysz się, że jesteśmy tutaj i teraz?

— Tak — odpowiedział i pomyślał, że taką dziewczynę mógłby naprawdę pokochać.

Otworzył szampana i zdziwił się, że zrobił to tak zręcznie, mimo że nigdy wcześniej nie otwierał archaicznych butelek.

Gwar na dole jak gdyby przycichł.

— Za chwilę północ — powiedziała dziewczyna. — Będę cię całować, nad zatoką wystrzelą race i już będziemy w Nowym Roku.

Wstała i podeszła do niego blisko, tak że czuł zapach jej włosów.

— ...jeszcze trzy sekundy, dwie... już...

Obraz zafalował, zmarszczył się i zniknął. Zniknęła także zatoka, taras i palmy.

Patrzył na ścianę wyłożoną elastyczną okładziną. Widział ją w jaskrawym niebieskawym świetle, a gdy spojrział na wprost, zobaczył Szóstego, który podrygiwał śmiesznie, jakby usiłował biec we śnie. Potem Szósty także oprzytomniał i popatrzył wprost na niego.

— Tyś to zrobił? — zapytał.

— Ja — odpowiedział. — To nie dla nas, Szósty. Potem to wszystko może być nie do zniesienia.

— Ale to jest sylwester...

— Sylwestry nie są dla takich jak my... Nie wierzysz? — Roześmiał się. — Napijmy się lepiej szampana.

— Żartujesz.

— Szampana! — zawołał.

W głębi pomieszcza rozpoczął się ruch i do jego fotela podjechał mały automat z licznymi uchwytami. W jednym z uchwytów tkwiła butelka szampana, w innych rząd kieliszków.

Wysunął głowę z hełmu i czekał, aż automat odkorkuje butelkę. Automat mocował się z nią i wtedy usłyszał cichy jednostajny szum. To piasek, niesiony marsjańską wicherą, uderzał o kopułę bazy.

Korek wystrzelił. Piąty uchwycił kieliszek i podniósł go do twarzy, w której nie było ust. Przechylił i patrzył, jak szampan musując spływa po pancerzu korpusu. Metalowy uchwyt ręki zgniótł kieliszek i szkło rozsypało się wokół fotela.

Szósty zarechotał.

— Siedzisz pod fotelem wizjotronu i myślisz, że jesteś już człowiekiem. Nie jesteś i nigdy nie zajmiesz jego miejsca. Przekonasz się, gdy oni wrócą do bazy.

— Oczywiście masz rację, Szósty, ale zaczęliśmy dopiero rok pierwszy z pięciuset następnymi latami tego tysiąclecia. — Wstał i zaczął wybierać swymi chwytnikami kolejne odłamki szkła, jeden po drugim, do ostatniego.

— Masmó! — krzyknął — Ty łotrze! Jak śmiałeś! A kim ty jesteś?

— Mnie nie ma, panie. Tyś mnie wymyślił jako jeszcze jedną swą igraszkę z czasem.

Człowiek wie, że umrze, a ja wiem, że mnie nie ma. Tylko dlatego mogę czasem udawać, że jestem przeciw tobie, i ty to także wiesz i dlatego pozwalasz udawać mi, że jestem. Naprawdę jesteś tylko ty. I taka jest prawda.

Adam nie odpowiedział.

Przez szmer fontanny usłyszał narastający, zbliżający się szum tłumy. Wiedział, że za chwilę znowu wyjdzie na balkon i stanie w promieniach słońca, które dochodziło już do najwyższego punktu swej drogi po niebie, i tak jak zawsze będzie sam.

Setnik stanął przed nim i podniósł rękę.

— Władca Gacji zwraca ci więźnia i przesyła pozdrowienia, proktorze — powiedział.

— Wyjdę zaraz. Przekaż to dowódcy — proktor odprawił setnika skinieniem ręki.

Wiedział, że powinien już wyjść w słońce, przed tłum, i znowu zobaczyć jego — Admisa. Wolałby pozostać w cieniu, patrzeć na krople wyrzucane w powietrze przez fontannę i słuchać głosu gołębi, które przylatywały tu do wody. Pomyślał o spokoju trwania, ciszy, która nie ma początku i końca, i czasie, którego tam brak. Pomyślał także, że jest już zmęczony pobytem na tej planecie.

Dopił wino i wyszedł na balkon. Tłum tym razem był jeszcze większy. Przyjrzał się strukturze głów; w pierwszych rzędach: kapłańskich, przykrytych białym czystym płótnem, ze starannie zaczesanymi siwymi brodami. Ich białe szaty tworzyły fasadę tłumy. Dalej brody były ciemniejsze, a chusty na głowach bardziej brudne. Jeszcze dalej ku arkadom faktura głów zlewała się w szare tło, a podcienie wypełnione już były szarą bezkształtną masą.

Żołnierzy pod bronią też było więcej. Jego żołnierze rekrutowani byli w sąsiedniej prowincji. Nienawidzili tego narodu i wiedział, że na jego rozkaz rzeź tłumy byłaby bezwzględna, podjęta z entuzjazmem i z tą pełną żołnierską satysfakcją, gdy wykonanie obowiązku jest zgodne z własnym przekonaniem. Kapłani także o tym wiedzieli, a tłum to czuł instynktem doświadczanej wcześniej zbiorowości. Gdy stanął na balkonie, Ardo podszedł do niego, nachylając się ku niemu i

tak, by wyraźnie słyszał jego słowa, powiedział:

— Kapłani podburzają tłum. Mogą wybuchnąć zamieszki, proktorze. Jesteśmy na to przygotowani i nikt stąd żywy nie wyjdzie.

— Nie działaj bez mego osobistego rozkazu — dotknął dłonią ramienia Ardo, a potem zszedł na podest. Zasiadł na krześle otoczony przez żołnierzy, których teraz było już ośmiu.

Czterej stali tu przedtem i widział pot spływający po ich twarzach. Pozostali czterej wyszli dopiero z cienia i też to było widoczne.

Admis stał blisko tuż przed podestem, ale proktor nie patrzył na niego, tylko w tłum.

Podniósł rękę i jak zwykle tłum ucichł.

— Przyszliście do mnie z tym człowiekiem — powiedział przewyciężając suchość w gardle — i mówiliście, że jakoby podburzał lud. Ja przesłuchałem go i stwierdziłem, że oskarżenia wasze są fałszywe.

W tłumie odezwały się głosy protestu.

— Podobnie władca Gacji — proktor podniósł głos — nie znalazł w nim winy i dlatego człowiek ten znowu jest tutaj. Zostanie więc ubiczowany, a potem wypuszczony na wolność.

Wrzask tłumy odbił się od murów dziedzińca i powrócił wzmocniony echem.

Żołnierze postąpili krok do przodu i usłyszał szcęk ich broni. Tłum się uciszył i patrzył na żołnierzy. Ardo zszedł do żołnierzy i na jego rozkaz specjalnie przyuczony żołnierz wystąpił przed szereg. Podniósł sznur i przeprowadził Admisa pod ścianę, gdzie w płyty dziedzińca wbudowano kilka kamiennych, na metr wysokich słupów. Przy

każdym z nich umocowane były po dwa żelazne ogniwa. Żołnierz ściągnął z Admisa szatę, schwycił go za kark i przygiął tak, by się pochylił. Raz jeszcze sznurem mocno związał jego ręce w przegubach, wiążąc je potem do żelaznych ogniw słupa. Inny żołnierz wysłany wcześniej do koszar przez Ardo przyniósł stamtąd flagellum, krótką drewnianą pałkę, do której przymocowane były długie rzemienie z ogniwami żelaznego łańcucha na końcach. Żołnierz raz jeszcze sprawdził więzy skazańca, zajrzał mu w twarz i odstąpił dwa kroki w tył. Stał w rozkroku, zamachnął się i wymierzył pierwsze uderzenie. Proktor słyszał świst rzemieni, ich głucho kłaśnięcie o skórę i jęk. Nie patrzył na dziedziniec. Patrzył na chmury nadchodzące nad mur, lecz kolejne uderzenia słyszał. Nie liczył ich. Było ich wiele, lecz nagle ustały. To Ardo zgodnie ze swoimi obowiązkami przerwał biczowanie dbając o to, by więzień pozostał żywy. Odprawił żołnierza z flagellum, a ten, który przyniósł je z koszar, odwiązał ręce Admisa.

Teraz proktor spojrział.

Admis upadł i leżał nieruchomy przy słupie. Leżał tak w słońcu, a tłum milcząc czekał. Któryś z żołnierzy przyniósł wodę i polano nią więźnia. Admis otworzył oczy i poruszył się. Tłum wrzasnął. Dwu żołnierzy podniosło Admisa, włożyło nań szaty i słaniającego się poprowadziło ku podwyższeniu, gdzie siedział proktor. Patrząc z bliska na Admisa nie poznał go. Włosy opadały mu na twarz, a rysy były zniekształcone. Suknia od spodu z wolna nasiąkała krwią. Adam ze świadomością, że nie przystoi to namiestnikowi Imperatora, podniósł się. Tłum ucichł. Zszedł z podestu i podszedł do Admisa. Tamten zachwiał się, gdy podtrzymujący go żołnierz odstąpił dwa

kroki czyniąc miejsce proktorowi.

Proktor chwycił Admisa za rękę i spostrzegł, że tamten drży cały. Popatrzył w jego twarz i powiedział cicho:

— Uwolnię cię. Już dosyć.

— Ja mam umrzeć, Adamie — z trudem zrozumiał te słowa, bo Admis szeptał niewyraźnie. Wtedy właśnie zrozumiał, że Admis nie zmieni swej decyzji. Czuł żal, niechęć do Admisa i siebie samego i złość, którą generowało ciało przez niego noszone.

— Oto człowiek — wykrzyknął to w twarz Admisowi, na tyle głośno, że tłum usłyszał i znowu wybuchnął wrzaskiem.

Proktor puścił rękę więźnia.

— Przeprowadzić go do mnie do komnat — powiedział i sam nie oglądając się wszedł schodami na balkon wprost do komnaty.

Krążył miarowym krokiem wzdłuż jej ścian, gdy żołnierze wprowadzili Admisa.

Admis drżał jeszcze po szoku uderzeń i stał niepewnie. Proktor odprawił żołnierzy i podprowadził Admisa do sofy.

— Siadaj — powiedział — więc jednak chcesz umrzeć. To jedyne, czego pragniesz?

— Tak, Adamie — głos Admisa był cichy.

— Dlaczego? Jedno twoje słowo i ten wrzeszczący tłum przestanie istnieć. To przeklęte miasto zginie.

— Niszczenie życia jest najłatwiejszym dowodem władzy nad życiem. — Adam musiał pochylić się nad Admisem, by go zrozumieć.

— To ja umrę, Adamie, nie oni, bo taka jest moja, nasza decyzja.

— Umrzesz dla nich? Słyszysz ich wrzask? Dla tych tworów

ewolucji tej planety, tworów, których świadomość jest tylko małym kiełkiem z potężnego zwierzęcego korzenia, z którego wyrosli, którym zdaje się, że są nam podobni, mimo że podobieństwo to jest analogiem podobieństwa świecy i Słońca?

— Właśnie tak, Adamie. Fotony świecy i Słońca są takie same, mimo że od Słońca można zapalić świecę, a nie odwrotnie. Ale od ognia świecy przez żar elektrycznego łuku i syntezę jądrową można dojść do zapalania gwiazd...

— Więc nie ja, według ciebie, mam słuszność?

— Mamy ją obaj, Adamie, tylko ty wiesz, a ja pojmuję. Po prostu tu żyliśmy inaczej. To wszystko.

— Niech stanie się, jak chcesz — powiedział Adam — ale nie ja cię wydamę na śmierć — przeszedł na środek komnaty i wezwał straż.

— Wyprowadzić więźnia — powiedział do żołnierzy, a gdy odeszli z Admitem, odczekawszy chwilę, wypił puchar wina i wyszedł na balkon.

Powitał go nowy wybuch wrzasku tłumu. — Na bierwiono z nim! — słyszał okrzyki.

— Śmierć, śmierć mu!

Wolno zszedł z balkonu i zasiadł na krześle.

— Przynieś misę wody — powiedział do żołnierza ze swej straży. Milczał czekając na jego powrót i tłum także przycichł. Żołnierz pojawił się z misą i stał niezdecydowany, nie wiedząc, co z nią począć ani po co proktor kazał mu ją przynieść.

Proktor wskazał mu miejsce obok krzesła i żołnierz tam postawił misę.

Proktor wstał i wrzaski tłumu ustały.

— Weźcie go i zabijcie — powiedział — ale ja nie ponoszę winy za krew tego sprawiedliwego.

Mówiąc to pochylił się i zanurzył obie ręce w wodzie, lecz równocześnie zrozumiał, że wyszedł z roli, bowiem żaden namiestnik Imperatora nie użyłby symbolu obcego mu ludu z małej dalekiej prowincji. Ale tłum go zrozumiał, bo ta symbolika miała dla niego wiekową tradycję, i krzyczał to, co tradycja mu dyktowała. Proktor wstał i nie patrząc więcej na Admisa wrócił do pałacu.

Przeszedł korytarzem do swej komnaty, zablokował ją i słabym transferem wyszedł w przestrzeń nad miastem. Przesunął się nad murami, ku niewielkiemu nagiemu wzgórzu w kształcie czaszki, gdzie stały wbite trzy wysokie cedrowe pale z wycięciami, w miejscu gdzie wkładano w nie poprzeczne bierwiona. Na wzgórzu było pusto i cicho. Gdzieś z daleka, zza doliny, słyszał odległy dźwięk piszczałki pasterza nawołującego swe owce, które dźwięk ten rozpoznawały wśród dźwięków piszczałek innych pasterzy i szły za swoim.

Spojrzał na środkowy cedrowy pał, ten właśnie, który przejdzie do historii, na niebo prawie bez obłoków, czyste i jasne tego dnia, a potem spojrzał na miasto. Droga wiodąca na wzgórze była pusta. Wkrótce nadciągnie tu tłum. Najpierw oddział piechoty pod dowództwem setnika, szeregi żołnierzy niosących tarcze, w hełmach, które odbijają promienie słońca, z włóczniami skierowanymi ku niebu i kurzem spod sandałów zasłaniającym drogę w to bezchmurne południe. Za nimi będzie szedł Admis otoczony strażnikami, z których pierwszy nieść będzie tablicę z orzeczeniem jego winy, umocowaną

potem na cedrowym słupie. Admis nieść będzie poprzeczne bierwiono przywiązane do jego rąk grubym powrozem i będzie padał wraz z nim pod jego ciężarem. A za nimi rozprawiając i pokrzykując nadejdzie tłum kapłanów, straży świątyni i zwykłych gapiów żądnych widowiska, jakim zawsze na tej planecie była śmierć człowieka, taka, przy której gapiom nic nie groziło. A jeszcze później, już z wysoka, Admis patrzeć będzie na białe mury miasta, gdy słońce przesunie się ku zachodowi i gdy będzie umierał. Umrze, patrząc na nie ponad głowami tłumu i żołnierzy, którzy niecierpliwie czekać będą jego śmierci i powrotu do koszar, gdzie jest cień, odpoczynek i rozcieńczone wodą żołnierskie wino. Umrze i czas dla niego, człowieka, skończy się.

Adam raz jeszcze spojrzął na mury, dachy domów za nimi, kopułę świątyni, tarasy pałaców i zanurzył się w czas.

Słońce zniknęło i w szarówce czasowego transferu w przyszłość zobaczył żołnierzy Imperium, którzy jeszcze się nie urodzili, podchodzących oddziałami pod miasto i wznoszących wał wokół niego, a potem widział dym i ruiny, czerwony poblask pożarów nocą i wydawało mu się, że słyszy krzyk palonych i mordowanych mieszkańców miasta.

Przyspieszył transfer, dojrzał inne sztandary, rycerzy zakutych w pancerze, a potem nic już nie widział, bo transfer był zbyt szybki. Nie przerywając transferu podążył w przestrzeni w stronę morza i gdy opuszczał miasto, wydawało mu się, że słyszy jeszcze ryk odrzutu silników maszyn lecących ku niemu.

Zatrzymał transfer i osiadł na plaży. Rozejrzał się wokół. Było

pusto i tylko fale obmywały wąski skrawek piasku pod jego stopami. Słońce stało wysoko, ale było czerwone, a woda bardziej czarna w tym świetle. Podeszedł na sam skraj plaży, ku wodzie, i spojrzał pod swoje stopy na piasek. Zobaczył wśród ziaren piasku inne, liczne, nieco większe od piasku, różnokolorowe ziarna i wiedział, że piaskiem nie są.

Kilkanaście metrów nad nim bezszelestnie jak nietoperz przeleciała latająca maszyna o dziwacznym nieaero—dynamicznym kształcie, rozszczepiając na swoich brzegach światło słońca barwami tęczy, i poczuł lekki podmuch powietrza na swojej twarzy, lecz równocześnie musiał mocno wbić nogi w piasek w kierunku przeciwnym do jej lotu, by zachować równowagę.

Leciała tak szybko, że za moment była już niewidocznym niemal punktem w dali nad linią wody i plaży, na tle białych chmur, nieprzypadkowych, kształtnych i symetrycznych, nadchodzących z morza grupami nad ląd.

Wiedział, że jest w czasie, w którym minęły już tysiąclecia od śmierci Admisa i mimo że planetę oświetla to samo słońce, planeta jest już inna. Pomyślał, że może po tysiącletniach byłaby także właśnie taka, gdyby nawet wszystko wydarzyło się inaczej, ale tego nie wiedział na pewno, bo tam, gdzie był czas, był także nierozpoznawalny z trwania przypadek. On swym tworzywem wypełniał szkic trwania kłębiąc się jak mgła w letni pogodny poranek, o której wiadomo, że opadnie, stając się rosą, lecz to, jakie dziwne, zwiewne kształty utworzy, zanim opadnie, jest nieprzewidywalne i ostatecznie nieważne. On teraz kształtował tę mgłę, poznawał czas i

był w fali czasu układającej obiekty rzeczywistości, tak jak fala, gdy przychodzi z morza, układa ziarna piasku względem siebie, i pozostają nie zmienione, aż nadejdzie nowa fala, ale ona jest już inną falą czasu i tworzy inną rzeczywistość zmieniając układ ziaren wzdłuż całej planety świata.

Nie mógł pojąć tego do końca, myśląc wyspecjalizowanym urządzeniem wytworzonym przez ewolucję tej planety, ale wiedział, że tak jest, bo wiedział o tym z trwania. Ten przetwornik informacji, który posiadał wraz z ciałem, jak wszystkie inne urządzenia porządkował świat w ciągi przyczynowe i tak odbierał czas, tworząc złudzenia rzeczywistości ostatecznej, a nie jedynie fluktuacji trwania, której poznanie do końca jest niemożliwe i pozbawione sensu, podobnie jak próba poznania jednoznacznego położenia elektronów w atomie.

Przy tej perspektywie cały ich eksperyment był podobny do budowania zamków z mgły, przy czym on chciał zamek taki budować inaczej niż Admis.

Ale tu gdzie był, nie czuł trwania, a w czasie wszystko było naprawdę. Tysiące lat wcześniej miał umrzeć, umarł Admis. I to był ten kształt zamku, na który on przyzwolił.

Admis umarł, umrze naprawdę, tylko po to, by w nie zmienionych czasem ustaleniach trwania zamek z mgły był trochę inny. Z perspektywy trwania był to bezsens, okrutny zabieg z czasu nad obiektem z trwania. A on jakby nie znając trwania zezwolił na to. On, ogłupiony czasem człowiek. Zwinął transfer, jednym ruchem zerwał blokady i był już w korytarzu pałacu.

— Biegiem po dowódcę! — krzyknął do pierwszego strażnika, którego zobaczył.

Strażnik dostrzegł coś w jego twarzy, bo pobiegł korytarzem, potykając się z pośpiechu, a Adam biegnąc prawie, poszedł za nim. Na zakręcie korytarza zderzył się z Ardo, który już biegł do niego.

— Wstrzymać egzekucję! — krzyknął nie odpowiadając na regulaminowe pozdrowienia Ardo.

— Oni już są na miejscu kaźni, proktorze.

— Więc spiesz się.

— Musi być twój rozkaz na piśmie, panie.

— Jedź sam. Żołnierze usłuchają ciebie.

— Ale nie tłumy.

— Weź ze sobą dwie setnie i wytnij opornych.

— Proktorze, był przecież sąd, był wyrok. Imperator...

— Niech go ziemia pochłonie!

— Nie słyszałem tego, panie. Co ci się stało? — zapytał innym już głosem.

— Uwolnij skazańca, natychmiast. No, ruszaj!

— To jest sprzeczne z prawem.

— Ja tu rozkazuję!

— Tak, panie. Ale gdy doniosą o tym do Imperatora, zginiemy obaj.

— Ty wykonujesz tylko rozkazy — powiedział to już spokojnie, bo zrozumiał, że Ardo pierwszy raz może go nie usłuchać.

— Imperator może o tym nawet nie pomyśleć skazując mnie. Dlaczego chcesz uwolnić skazańca, proktorze? Czy to może twój syn,

panie? — dodał ciszej.

— Wykonaj rozkaz, Ardo.

— Tak, proktorze. Wykonam. Ale wierz mi, wykonam, bo szanuję ciebie. To ty go wydajesz, nie namiestnik Imperatora.

— Spiesz się, Ardo. Spiesz się, póki jeszcze nikt nie zginął.

— Tak jest! — Ardo odwrócił się i pobiegł w stronę dziedzińca.

Postanowił przenieść się na tamto wzgórze słabym transferem i przykryć Admisa polem siłowym, zanim przybędzie Ardo. Biegł do swej komnaty, gdy drogę zastąpiła mu Visa. Wyszła zza kolumn wprost na niego, tak że potracił ją. Miała na sobie długą białą szatę, inną niż ta, którą zazwyczaj nosiła i do której przywykł.

— Zejdź mi z drogi — powiedział.

— Nie, panie! — Chwyciła go za szatę i patrzyła mu prosto w twarz. — Ty zabiłeś Admisa.

— On żyje, i zejdź mi z drogi. Przepuść mnie, póki jeszcze nic się nie stało.

— Nic? A Kario? Jego też zabiłeś! Zatrzymał się i spojrzał na nią.

— Tak. Kario umarł — powiedział cicho.

Gdzieś z dołu z dziedzińca zabrzmiały trąbki wzywające żołnierzy do szeregu.

— Oszukałeś go i zabiłeś. Powiedział mi to. Tak jak zabiłeś Admisa.

— To nieprawda.

— Kłamiesz. Zabiłeś. A teraz ty giń! — krzyknęła nagle i wyrwawszy nóż ukryty dotąd w fałdach sukni podniosła do ciosu.

Nie odsunął się, ale ona nie zdążyła uderzyć. Szarpnięta uderzeniem z tyłu zachwiała się, a potem upadła na kolana i twarz.

Włócznia rzucona przez żołnierza straży uderzyła ją w plecy, a teraz, gdy Visa już leżała, włócznia pod własnym ciężarem opadała, rozszerzając ranę. Tkwiła jednak zbyt głęboko w ciele, by wypaść z rany, i została w niej, tworząc kąt ostry z posadzką. Wokół ostrza włóczni rosła wielka plama krwi.

Żołnierz, który włócznię rzucił, był już przy Visie, wyszarpnął włócznię i zamierzył się do drugiego uderzenia.

— Nie — Adam zatrzymał go.

Żołnierz zawahał się.

— Chciała cię zabić, proktorze — powiedział.

— Zostaw — i ukląkł nad Visa. Żyła jeszcze.

— Ja nie chciałem, żeby on zginął, Viso — powiedział.

Patrzyła na niego. Na jej wargach pojawiła się krew.

— On zginął za Admisa. A przecież uwierzyłaś Admisowi. Kario był pierwszym z jego uczniów, który zginął. Tak stać się musiało, Viso, wierz mi. Jeszcze wielu ich zginie. Za nadzieję, tę twoją, a ona przetrwa. Przyrzekam ci to, Viso.

Wziął ją za rękę. Poruszyła się. Teraz strużka krwi z ust spłynęła jej po policzku na posadzkę. Chciała jeszcze podnieść głowę, ale nie zdołała. Patrzyła przez chwilę na Adama i dostrzegł moment, gdy przestała widzieć. Chciał pochylić się i pocałować jej włosy, ale to był tylko moment, który minął.

Spojrzał na żołnierza, który ciągle jeszcze w pogotowiu trzymał włócznię.

— Niepotrzebnie — powiedział — niepotrzebnie...

Na dziedzińcu grały trąbki do wymarszu.

— Wezwij dowódcę. Biegiem! — powiedział do żołnierza — a włócznie mi oddaj.

Żołnierz pobiegł, a on ostrożnie położył włócznie przy ciele Visy.

— Tak, Viso — powiedział jeszcze. — Ty byłaś druga i nie ma już wyboru. On to wiedział.

Stał jeszcze nad Visa, gdy nadszedł Ardo.

— Zwolnij żołnierzy — powiedział do Arda.

— Chwała niech będzie bogom, proktorze. Dziękuję ci, że to czynisz.

— Dziękujesz?

— Myślałem, że nigdy już nie ujrzę stolicy... ani przyszłej wiosny. Chwała ci, proktorze. Zaraz wydam rozkazy. A ta niewolnica? — czubkiem sandała chciał dotknąć głowy Visy.

— Nie dotykaj jej — powiedział Adam.

— Chciała cię zabić? Tak mówił żołnierz.

— Chciała.

— Zabrać to ścierwo! — krzyknął Ardo.

— Pochowasz ją w kamiennym grobowcu i zabezpieczysz wejście.

— Proktorze, ależ to niewolnica! Chciała zabić ciebie! Niech psy i sępy przygotują jej pogrzeb.

— Zrobisz, jak powiedziałem.

— Rozkaz, proktorze.

— To była dobra kobieta, wspaniała kobieta...

— Tak jest, proktorze.

— Naprawdę, Ardo. I szanuj mnie nadal, mimo że wszystko to jest dla ciebie dziwaczne i może głupie...

— Ależ proktorze.

— To zresztą w tej chwili też już nie ma znaczenia... Co miało się stać, już się staje.

— Czy mogę zapytać, proktorze?

— Pytaj.

— Żołnierza ukarać... czy nagrodzić? Uratował ci, panie, życie.

— Bez sensu...

— Słucham, panie? — Rób, jak uważasz.

— Nagrodzę go.

— Dobrze. W końcu nie zrobił niczego, czego ja nie zrobiłem.

— Nie rozumiem, panie.

— Niech straż weźmie ciało, a kobiety umyją je z krwi i przebiorą w czyste szaty.

Powiedz im, że to mój rozkaz.

Odwrócił się i odszedł, a potem już ze swej komnaty słyszał sygnały trąbek odwołujące wymarsz. Pomyślał, że wkrótce Admis zacznie umierać. A potem pomyślał o mieście...

XIII

Poranek nad miastem przechodził już w południe. Wiejący od góry Hasziro wiatr przepędził z nieba białe cumulusy i teraz ponad

miastem trwał tylko jeden biały obłok, skłębiony jak zaciśnięta pięść.

Syreny zamilkły odwoławszy poranny nalot, ludzie wyszli ze schronów i miasto zatrzymane w swym ruchu wyciem syren było znowu żywym zwyczajnym miastem. Czerwono kwitł oleander, czerwono — mirt i krwiście kwitła kanna.

Wokół miasta na wzgórzach Kawabira koszone trawę. Ze wzgórza na południowy zachód w kierunku miasta widać było z odległości trzech kilometrów dzielnicę Drakami, jej domy i katedrę.

T.* [* według relacji P. Nagai, który przeżył wybuch jądrowy] odłożył sierp, którym kosił trawę w pobliżu muru swego domu, i wyprostował się. Wysoko w górze leciał pojedynczy samolot. Patrzył w niebo, aż go dostrzegł, małą srebrną igłę, gdzieś na wysokości ośmiu tysięcy metrów, tuż ponad chmurą. Gdy obserwuje samolot, widzi, że odrywa się od niego czarna kropka, która spada w dół. T. wie, że to bomba. Patrzy jeszcze chwilę i pada na ziemię. Mijają sekundy, dziesiątki sekund. Nagle wszystko dokoła staje się przeraźliwie jaskrawe. Błysk o nieporównywalnej intensywności rozświetla niebo. Światło słońca jest przy nim ciemne i żółte. Rozbłysk przygasa i jest zupełnie cicho. T. podnosi się i patrzy w dół na Drakami. Tam gdzie była katedra, jest wielokrotnie ją przewyższający biały słup oparu, który rośnie, podnosi się i rozszerza. A spod tej chmury ku niemu idzie huragan. Widzi w dole, jak jeden po drugim coraz bliżej ku niemu rozpadają się domy i łamią drzewa. Huragan dociera do lasu trochę poniżej miejsca, gdzie stoi, i las przestaje istnieć.

T. przypada do ziemi. Wtula twarz w trawę. Słyszy jeszcze potężny

huk; on sam podrzucony z ziemi w powietrze uderza o mur. Przystaje czuć.

Gdy wraca mu przytomność i otwiera oczy, nie ma wokół niego trawy, tylko ziemia i szczątki drzew bez liści. Powietrze, którym oddycha, intensywnie pachnie żywicą.

A., nauczyciel szkoły powszechnej w Kugakure, w odległości ośmiu kilometrów od miasta stał w oknie swej klasy i patrzył między wzgórzami w dół na miasto. Nagle niebo nad miastem rozświetla błysk. Słup dymu pojawia się nad Drakami i rosnąc wypiętrza się w grzyb o ponad kilometrowej średnicy, i za chwilę nadchodzi podmuch, wstrząsa domem, rozbija szyby, tak że cała sala jest w szkle.

K. pracował na swoim polu. Bawół idący przed nim oganiał się ogonem od much, a ziemia pachniała. Ponad sobą widział szczyt góry Hasziro. Stąd, z jej zbocza w dół, w odległości ośmiu kilometrów, w stronę gdzie padał jego cień, można dostrzec zamglony odległością port, a dalej miasto. Idąc za bawołem zobaczył w trawie poziomki. Zerwał je i wtedy zobaczył błysk. Bawół szarpnął i odwrócił głowę.

Nad Drakami rósł biały opar, w którego wnętrzu płonął żar błyskając wszystkimi kolorami tęczy. Opar przyjął postać grzyba i ciągle rósł, wysyłając teraz od dołu czarny tuman pyłu tworzący coraz większy mroczny wir. Chmura rozpadła się i odeszła ku wschodowi, a wir był już wtedy ponad szczytami wzgórz. Potem wir rozpadł się. Część jego opadła, a reszta przesunęła się za chmurą. W słońcu widział jego czarny cień nad miastem.

Nadszedł podmuch. Liście opadły z drzew i poczuł, jak w silnym

wietrze ubranie opina się na jego ciele. Wiatr przeszedł i znowu była cisza. Bawół szarpnął go do przodu.

N., lekarz, był w samym mieście, paręset metrów od miejsca wybuchu. W betonowym budynku Medycyny Klinicznej uniwersytetu przygotowuje się do wykładu, wybierając zdjęcia radiograficzne mające być ilustracją wykładu. Spoza zdjęć widzi na ścianie błysk podobny wybuchowi oślepiającej magnezji i czuje wstrząs całego budynku. Okna zostają wtłoczone do środka, a on oderwany od podłogi. Widzi odłamki szkła padające jak błyszczące liście. Tną mu powieki i szyję. Czuje krew, lecz nie czuje bólu. Łóżka, szafy, krzesła, wszystko w pokoju jest w powietrzu, a potem zmiażdżone wali się na podłogę przygniatając go. Dusi go kurz. Widzi okno i za oknem ciemność. W budynku wyje wiatr jak podczas huraganowej burzy, porywając ubrania, kawałki blachy i odłamki drewna. Potem jest już tak ciemno, że niczego w pokoju nie widać. Leży przytłoczony resztkami sprzętów, nie mogąc się poruszyć. Na zewnątrz wybucha ogień i przez okno widzi rozbłysk pożaru. Mdleje.

S., fizyk, kopał wraz ze studentami schron za Instytutem Farmaceutycznym uniwersytetu, czterysta metrów od miejsca wybuchu. Był wewnątrz schronu. Pogłębiał schron, a studenci wynosili ziemię. Jeden z nich stał w wejściu czekając na kolejny koszyk ziemi, a on schylony kopał.

Światło go oślepia. Słyszy huk. Stojący w wejściu student spada mu na plecy. Przez wejście wpadają do schronu kawały drewna, strzępy ubrania, potrzaskane dachówki. Ciężka belka uderza go w kark i traci przytomność. Gdy świadomość wraca, w schronie dym, a wokół

ogień. Z szumem uderzają w schron kolejne fale gorącego powietrza. Podnosi się i trzymając w ręku łopatę wygląda na zewnątrz. Drewniane budynki Instytutu Farmaceutycznego nie istnieją. Nie ma także ogrodzenia ani domów, które były poza ogrodzeniem. Nie ma kominów fabryk, które jeszcze przed chwilą dymiły. Góra Inosa, niedawno jeszcze zielona, jest odartą czerwoną skałą. Wokół nie ma liści i trawy. Na ziemi leżą powyrywane nagie drzewa i nagie ciała. Schyla się i podnosi najbliżej leżącego. Pod jego palcami skóra z ciała schodzi wielkimi płatami. Następny jęczy. Podchodzi do niego i widzi, że skóra z ciała jest zdarta. Tamten żyje jeszcze i poznaje go: — Profesorze — szepce — ach, profesorze... — i umiera. Następny student ma twarz rozdętą i miejscami bez skóry. Patrzy, ale oczy są tylko wąskimi szczelinami między spuchniętymi powiekami. — Dostali mnie, profesorze. To chyba już koniec — i za chwilę umiera.

Patrzy na inne ciała. Z uszu i nosa leżących sączy się krew. Niektórym z ust wraz z krwią wypływa piana.

Stało się to dziewiątego sierpnia, dwie minuty po godzinie jedenastej. Wybuch nastąpił na wysokości pięciuset pięćdziesięciu metrów nad miastem. Podmuch idący od centrum wybuchu z szybkością początkową blisko dwu tysięcy metrów na sekundę dokonał zniszczeń, a następnie próżnia wytworzona w miejscu wybuchu wessała pozostałe po podmuchu szczątki unosząc je wieśset metrów w górę, powodując ciemność intensywniejszą niż przy zaćmieniu Słońca. Po kilku minutach większe szczątki opadły. Wytworzona wybuchem temperatura — bliska dziesięciu tysiącom stopni — poza bezpośrednim działaniem spowodowała pożary.

Podczas wybuchu zginęło około trzydziestu tysięcy mieszkańców miasta, przeszło sto tysięcy zostało rannych, a dziesiątki tysięcy jeszcze przez wiele lat chorowało i umierało na chorobę popromienną.

Tak zginęło miasto od bomby zwanej pikadon, która w kategoriach bomb lat następnych była na tyle mała, że pomijalna w zakresie błędów szacunkowych nuklearnych arsenałów.

Z góry, z samolotu, wybuch wyglądał zupełnie inaczej. Gdy bomba opuściła jego pokład, silniki zagrzmiały na pełnych obrotach i samolot z maksymalną szybkością odleciał ze strefy wybuchu. Załoga zgodnie z instrukcją patrzyła w dół przez ciemne szkła, poprzez które miasto było gdzieś w dole tylko szarym jednolitym tłem. Na stanowisku operatora terkotała kamera filmowa. Sekundy mijały, a załoga czekała na swych stanowiskach.

— Coś długo... — zaczął kapitan i wtedy błysnęło. Przez szkła widać było wyraźnie jądro wybuchu najpierw punktowe, potem rosnące w kulę i niknące za oparem eksplozji.

— Jest, jest w celu — zawołał operator i zerwał się ze swego miejsca.

— Hura! — słyhać było w słuchawkach głos tylnego strzelca.

— Nadaj wiadomość do bazy — powiedział kapitan do radiotelegrafisty — oni czekają na wiadomość.

— Dołożyliśmy im, aleśmy im dołożyli! — wołał strzelec w słuchawkach.

Radiotelegrafista wywołał bazę wśród szumów i trzasków radiowego tła. Wreszcie baza odezwała się.

— Zadanie wykonane — powiedział otwartym tekstem.

— Gratulujemy, chłopcy — potwierdziła odbiór baza.

— Ale tam musi być gorąco! — operator dalej patrzył w dół, ale już bez szkieł.

W dole na tle pozostającego na horyzoncie miasta, między wzgórzami widocznymi wyraźnie z tej wysokości, wyrastał jeszcze jeden biały obłok, może nieco mniejszy i bardziej w dole niż ten, który minęli zrzucając bombę.

— No i mają za swoje — powiedział kapitan — za naszych chłopców.

— Tyle że oberwali nie ci sami — dodał drugi pilot.

— Jaka różnica, chłopie? Wróg to wróg. Jakby ich jajogłowi byli lepsi, to oberwałyby nasze miasta i oni by o nic nie pytali.

— Teraz wojnę wygramy w parę dni. Prawda, kapitanie? — tylny strzelec ze swego izolowanego stanowiska także chciał uczestniczyć w rozmowie.

— I tak byśmy wygrali mruknął drugi pilot.

—Ale ilu naszych chłopców poszłoby do ziemi. Tak, stary. Taka broń nas urząda.

Teraz nie ma na nas silnych. Będziemy mieli spokój.

— A jak inni do tego dojdą, a potem to wszystko razem pieprznie?

— Wtedy przyjdzie nam zginąć. A zresztą nie kracz. To nasz dzień. Zadanie wykonane, i to jakie zadanie. Jesteśmy obiema nogami w historii.

— I tyłkiem także — powiedział drugi pilot.

— Zamknij się wreszcie, bo chłopcy pomyślą, że żal ci tych Japów.

Chłopaki, odznaczenia murowane, i jeszcze wnukom będziecie mogli opowiadać.

— Przekraczamy linię brzegu — powiedział nawigator.

Widoczność była gorsza, bo cumulusów w dole przybyło. Jednak w dziurze między nimi dostrzegli plaże i białe, ledwo widoczne kreski grzyw fal.

— No, jeszcze trochę i jesteśmy w bazie — powiedział operator. Teraz, kiedy nie ma ich myśliwców, lata się jak na wycieczkę.

— Stary, spójrz — powiedział kapitan — co tam siedzi za tą chmurą?

Drugi pilot popatrzył we wskazanym kierunku i wydawało mu się, że dostrzega niknący w oparze chmury niewielki dysk.

— Coś chyba tam było, ale dziwne jakieś.

— Nie, musiało nam się przywidzieć. Takich samolotów nie ma. A zresztą gdyby był nasz, to wiedzielibyśmy o tym. A ich by nas atakował. Coś nam się wydawało, pewnie gęściejszy obłok o dziwnym kształcie. Widzieliście coś, chłopcy?

— Nic, panie kapitanie — nadchodziły odpowiedzi po kolei ze wszystkich stanowisk.

— Tak, zdawało nam się.

— Obserwują nas — powiedział jeden z załogi. — Nie tylko my wiemy, że to historyczna chwila.

— Pieprzycie, kapralu — powiedział kapitan — wy zawsze macie jakieś takie metafizyczne skojarzenia.

— Jakie on ma, panie kapitanie? — zapytał strzelec.

— No, takie dziwne.

— A ma, rzeczywiście — zgodził się strzelec. — Ale w ogóle to przyzwoity chłop.

— Cała nasza załoga jest na medal — powiedział kapitan. — I robota dzisiaj także była na medal.

— Mam już sygnał z bazy. Widzą nas na radarze — powiedział radiotelegrafista.

— No to schodzimy w dół.

Po chwili samolot zanurzył się w chmury.

Do diabła. Zapomniałem wyłączyć kamerę — odezwał się operator. — Pewnie film się skończył.

Kilkanaście minut później byli już nad runwayem i pilot delikatnie posadził samolot na betonowym pasie. Samolot nie zatrzymał się jeszcze, a już widzieli samochody jadące od budynku ku nim.

— Jadą po bohaterów — odezwał się drugi pilot.

— Dziękuję wam, chłopcy — powiedział kapitan odpinając pasy. — To był naprawdę wspaniały lot.

Potem, po odprawie, kapral Masmó poszedł do kantyny i tak jak przypuszczał, Parakletos był tam i pił piwo.

— No, już po wszystkim — powiedział Masmó.

— Po wszystkim? Żartujesz, Masmó. Jesteśmy ciągle przy początku... Weź sobie piwo, bo gorąco.

— Nie chce mi się. Bez piwa mi także dobrze. To był naprawdę kawał dobrej roboty, sir.

Takim jak ty musi się to podobać.

— A jak twoje zdrowie, sir?

— Dziękuję. Nie narzekam.

— Trzeba mieć zdrowie w tej naszej robocie — stwierdził Masmó.

W tym czasie w komórce wywiadu bazy wywołano film. Przy drugim jego przeglądzie, gdy technik chciał odciąć taśmę naświetloną wtedy, gdy grzyb wybuchu został już za horyzontem, zobaczył na niej obraz dyskopodobnego obiektu odchodzącego w chmury.

Był dobrym specjalistą w swym zawodzie i nie miał wahań. Zostawił te kilka metrów taśmy i zameldował o tym dowódcy komórki wywiadu. Wiele miesięcy jeszcze w wąskim gronie trwały ściśle tajne dyskusje nad tym, co uchwyciła kamera filmująca chmury. Zwyciężył pogląd, że był to wyhamowany w atmosferze, bardzo wolno już spadający meteor. Byli jednak tacy, którzy do końca podejrzewali nowy rodzaj broni, jednakże wtedy nie potrafili wymyślić nawet hipotetycznych jej twórców, co stanowiło poważny mankament tamtego wyjaśnienia. W końcu taśma trafiła do ściśle tajnego archiwum.

XIV

Gdy nadszedł wstrząs, drgnęły posągi w niszach komnaty i zadzwoniły wazy — zrozumiał, że Admis umarł. Podziemny wstrząs przeszedł przez kraj, spadały skały, pękały mury domów i odpadały płyty zamykające wejścia do grobowców.

Wyszedł z komnaty na kamienne płyty tarasu. Było cicho i nagle pojął, że to ptaki umilkły.

Żołnierze małymi grupkami zbierali się na dziedzińcu i patrzyli w słońce. Zrobiło się ciemno i chłodniej. Spojrzał w tarczę słoneczną. M usiał tylko lekko zmrużyć oczy i widział ją dokładnie. Nie oślepiła tak jak zawsze, mimo że nadal świeciła.

Umilkł także dochodzący tu w dzień szum miasta. Wiedział, że ludzie w mieście ze strachem patrzyli w niebo, i tak było wszędzie, na całym obszarze morza środkowego.

Nie wzywany, sam, podszedł do niego Ardo.

— Co się stało, panie? — zapytał.

— Umarł.

— Kto?

— Ten, którego skazałem.

— Ja pytam o słońce.

— Odpowiadam ci właśnie.

— Nie rozumiem, panie. Żołnierze się niepokoją.

— Powiedz im, że przed zachodem to minie. Powiedz im także, że w świątyni pękła zasłona. To wskazuje winnych. Niech żołnierze się nie obawiają.

— Skąd wiesz o zasłonie, panie?

— Wiem.

— Jeśli to wina tamtych, wyślij żołnierzy i zabij winnych. To przebłąga bogów.

— Bogowie Imperium nie mają z tym nic wspólnego, Ardo.

— Więc to przebłąga tych, co trzeba.

— Oni nie są zagniewani, tylko znużeni.

— Ty wiesz, panie?

— Wiem.

— Więc co robić?

— Nic. Co się miało stać, już się stało.

— A co powiedzieć żołnierzom?

— Że to zaćmienie słońca. O tym wcześniej słyszeli na pewno.

— Przecież Księżyc jest w innej stronie nieba.

— Pytałeś, co powiedzieć, a nie, co się stało.

— Zrozumiałem, panie — zawahał się. — A ty wiesz, co się stało?

— Wiem. Ale ty tego nie zrozumiesz. Ani kapłani we wszystkich krajach nad morzem zamkniętym tego nie pojmą.

— To tak jest wszędzie?

— W całym Imperium na pewno... A ci kapłani, którzy by to zrozumieli, już nie istnieją na tej planecie.

Ardo milczał.

— Czy mogę odejść, panie? — zapytał w końcu.

— Idź. Idź do swych żołnierzów. Niech będą spokojni. Pamiętał starego arcykapłana stolicy Atlantis pochylonego nad obliczeniami w sali sterowniczej krążownika, stalowego okrętu, który podziwiała ówczesne ludy i o którym potem Homer zasłyszał i utrwalił wiadomość, że mieszkał w nim Ajollos, syn Hippotasa, ulubieniec bogów nieśmiertelnych.

„Jest to wyspa pływająca. Całą wokół obiega wał ze spiżu nieprzebity jak gładka skała”.

Gdy wszedł tam, starzec podniósł w końcu głowę znad obliczeń i

spojrzał na niego.

— To niemożliwe, Parakletosie. Prawa przyrody są niezmiennie, a ta planetoida zmieniła jednak swój tor i uderzy w Ziemię.

— Rozbłysk gwiazd na Ziemi nie jest według ciebie możliwy, a i to się zdarzy. Więcej pokory, arcykapłanie. Masz rację, reguły są ustalone, ale tworzą piramidę konsekwencji tak złożonych, że pokolenia będą drążyły jej korytarze i zakamarki, przybliżając się jedynie ciągle do jej poznania.

— Ale dla nas nie ma ratunku?

— Nie ma, kapłanie.

— Tylu niewinnych zginie!

Teraz mówisz o nich, gdy planetoida—pocisk trafia do celu. Wcześniej o nich nie myślałeś.

— To będzie koniec świata, Parakletosie.

— Tylko tej cywilizacji, arcykapłanie.

— Po takiej katastrofie nic nie zostanie. Świątynie, archiwa, wytwarzalnie — wszystko zostanie zniszczone. Wiedza zostanie zapomniana, a ci, którzy nawet przeżyją, umrą z głodu i chorób.

— To prawda, kapłanie.

— Więc cóż zostanie?

— Ludzie, kapłanie. Ludzie, którzy byli poza tą cywilizacją, górskie plemiona, mieszkańcy wyżyn kontynentalnych.

— Te dzikusy!

— Gdy was nie będzie, przestaną nimi być, bo miara twoja wynika tylko z porównania.

— Ale to będzie inny, straszny świat, w którym żyć nie sposób.

— To prawda, ale tylko wasza prawda. Prawda tej cywilizacji. A was... wiesz o tym, od chwili gdy planetoida stała się pociskiem, już nie ma.

Tak, ten kapłan zrozumiałby mechanizm przygasania promieni słonecznych i szukałby przyczyny i wyjaśnienia. Wtedy także uznałby, że mikro—czarna—dziura przeszła w pobliżu planetoidy zmieniając jej tor. Cóż, można było w końcu nazwać działania Micha mikro—czarną—dziurą, ale nazwa nie zmieniła niczego.

Ciemność stawała się coraz bardziej mroczna, i z tarasu z trudnością odróżniał poszczególne dachy domów miasta. Barwy zniknęły i miasto było szare i martwe.

Usłyszał za sobą kroki. Rozpoznał Ardo.

— Przybył setnik z raportem o śmierci skazańca. Umarł, nim złamano mu kości nóg — a gdy Adam milczał, dodał — rozruchów żadnych nie było.

— Czy coś jeszcze?

— Skazany umierając wzywał kogoś.

— Kogo?

— Strażnicy nie zrozumieli. Twierdzą, że wołał kogoś, kto go opuścił.

— Tak.

— I jeszcze coś, panie. Jakiś człowiek prosi cię o audiencję.

— Wiesz, że tutaj nie przyjmuję nikogo.

— Mówi, że w sprawie ciała skazańca. Ty, panie... — zająknął się — ...myślałem, że może zechcesz go przyjąć. Odprawię go zaraz.

— Nie, niech straż go wprowadzi.

Ardo odszedł i po chwili żołnierz przyprowadził człowieka nie znanego Adamowi, w długim białym płaszczu. Człowiek padł przed nim na kolana, a żołnierz odszedł dwa kroki, ale czekał oparty na włócznie.

— Czego chcesz? — zapytał proktor.

— Chcę cię błagać o łaskę, panie.

— Jaką łaskę?

— Byś pozwolił mi pochować ciało skazanego w moim grobie.

— Admisa?

— Tak, panie.

— A kim on był dla ciebie?

— Według prawa obcym, panie.

— Nie o to pytam.

— Był moim nauczycielem...

— Sądząc z szat, jesteś zamożnym człowiekiem. Admis był nauczycielem ubogich.

— Nie tylko, panie. Wśród jego uczniów byli nawet sędziowie świątyni.

— Ci, którzy go skazali na śmierć.

— Jego uczniów wśród nich nie było.

— Hańba im.

— Admis im wybaczył.

— On wybaczył wszystkim.

— Ty wiesz, panie?

— Wiem. Wiem, że go nie bronili i w sądzie, i przed tłumem. Gdzie wtedy byli? Ja go broniłem, a nie jestem jego uczniem. Teraz, gdy go

nie ma, zapomną o nim.

— Nigdy, panie...

— A jeśli nawet pamiętać go będą, wkrótce umrą i pamięć o nim zaginie.

— Jego uczniowie spisują to, co czynił i powiedział. Wśród nich są wykształceni ludzie, panie.

— Spisują. Niech piszą to, co powiedział, bo z tego, co czynił, niewiele pojmą, nawet jeśli potrafią zapisać to wiernie.

— Oni byli z nim, panie, i to, co piszą, jest prawdą.

— Prawdę. Jest prawdą, ale nie całą prawdą. Są to fragmenty prawdy. Jak wytłumaczą, że właśnie ja go broniłem, ja, namiestnik Imperatora, albo to, że Kario zabił się, gdy Admis żył jeszcze i nawet nie został ostatecznie skazany... i wiele innych faktów?

— Napiszą prawdę, panie.

— Tak. Prawdę... Weź jego ciało, złóż w swym grobie. Przyzwalam ci na to.

— Dzięki ci, panie, i chwała ci.

— Odprowadź tego człowieka — powiedział Adam do żołnierza i odszedł do swych komnat.

Zawarł za sobą blokady, lecz nie podszedł do pulpitu sterowania, tylko do okna, za którym był mrok. Stał tak chwilę, gdy ktoś za nim odezwał się.

— Szefie, nie przeszkadzam? Odwrócił się.

— Nie, Micho.

— Daruj, że skierowałem tu swój transfer...

— Nie szkodzi. Teraz to bez znaczenia, kończymy przedsięwzięcie.

- Słaby udar grawitacyjny i polaryzację wykonałem.
- Widzę.
- I co dalej?
- Zabierz jego ciało... Nie chcę, bygniło na tej planecie.
- Nie o to pytam, szefie.
- Ale ja o tym mówię.
- Tak, szefie.
- Byłeś tam... przy tym?
- Jak kazałeś. Czekałem, by wyzwolić udar i polaryzację.
- Długo umierał?
- Jak człowiek. Wzywał cię, panie.
- A mnie tam nie było...
- Nie było potrzeby. Wszystko stało się tak, jak powinno.
- Myślisz, że tak właśnie powinno się stać?
- Otrzymałem potwierdzenie od Admusa. Co teraz?
- Powiedziałem: kończymy przedsięwzięcie.
- A udar jądrowy?
- Wybuchu jądrowego teraz nie będzie.

Wnikł w szum prądów, skoki napięć i chmury nośników przechodzących przez bariery potencjałów.

Pokrywy schronów rozerwały się, rozsuwając kopulaste przesłony, i między stożkami rakiet a niebem nie było już niczego. Silniki ryknęły ogniem wyrzucanych gazów, elektroniczne zabezpieczenie odblokowano, skłębione gazy odrzutu wypełniły białym obłokiem schrony i strzeliły słupami ponad równinę. Stożki rakiet uniosły się ponad krawędzie schronów i ich wrzeciona wyszły w powietrze. Kolor

nieba nie był oznaczony i trawa spalona gazami odrzutu wokół schronów także nie była określona. Białe smugi pomknęły w niebo i były już teraz tylko świecącymi punktami na ekranach radarów. Te punkty przepełniały ekran.

To „szarzy” atakowali dwa tysiące pięćset celów na terytorium przeciwnika. Rakiety pozostawiając białe pasma kondensacji w atmosferze minęły linie brzegu i wyszły nad ocean.

W miastach i miasteczkach na dole żyli ludzie. W ogrodach kwitły kwiaty i dojrzewały zboża na polach. A może była zima i padający śnieg tworzył na drogach zaspę. To także nie było określone. Punkty rakiet znikły z radarów i wszystko było tak jak przedtem, tylko wyrzutnie rakiet były puste. Trzecia planeta wirowała wokół swego słońca i przez białą powłokę chmur przeświecały miejscami błękitne morza i brązowe lądy, niezmiennie takie same od milionów lat, oglądane przez podróżników z Kosmosu wszystkich epok, tych, co planetę tę odwiedzali i odwiedzać będą, i tego nie mogły zmienić tysiące głowic jądrowych niesione właśnie przez rakiety nad oceanem. Planeta jako obiekt kosmiczny była jeszcze poza zasięgiem działań swej cywilizacji.

Ale cywilizacja, ta jej część, w której stronę skierowane zostały rakiety, przestała już istnieć w tej samej sekundzie, gdy rakiety opuściły schrony. To, co było jeszcze jej teraźniejszością, było równocześnie obrazem przeszłości, która miała się skończyć nieodwracalnie za kilkanaście minut. Ludzie jeszcze nie wiedzieli o tym i żyli ostatnie minuty swego dotychczasowego życia, lecz byli wśród nich tacy, którzy wiedzieli. Wiedzieli i znali „prawo lustra”

odbijającego paroksyzm zagłady w taki sam sposób, przeciwnie skierowany; odbijającego tak samo, jak dotąd odbijało, radarową ciszę bezrakietowego nieba w taką samą, przeciwnie skierowaną ciszę. Wiedzieli, zanim na pustych ekranach radarów pojawiły się znowu punkty rakiet. Tylko że punkty te poruszały się w przeciwnym kierunku nadlatując znad oceanu.

To „popielaci” odpowiadali na posunięcie „szarych”. Punkty zbliżały się i ich wysokość malała. Takie same jak te, które odleciały, wrzeczona rakiet przekroczyły linie brzegu. Teraz rozpadały się na drobniejsze punkty, wyrzucając atomowe głowice niezależnie osiągające poszczególne cele. Przy linii brzegu rozbłyskały na sekundę punkty pierwszych miast, miast niszczonych jak tamte dwa sprzed lat, tylko wyższą temperaturą błysku, silniejszym huraganem i zwielokrotnionym skażeniem; wszystkimi poprawionymi postępowaniem tej cywilizacji wskaźnikami zagłady. Potem miasta znikły z map na ekranach i tylko sumowano liczby mieszkańców przemnażane przez prawdopodobieństwa rażenia. Samych błysków jaśniejszych od słońca, białych chmur grzybów i lokalnych huraganów wyrywających glebę do skał niedookreślone. A miasta rozbłyskały coraz dalej w głąb kontynentu.

Na innych kontynentach także rozpadały się miasta i wszędzie liczono wartość oczekiwaną apokalipsy. Ostatnie rozbłyski zgasły, nic się już nie działo. Rejestry mierzące umowny czas stanęły i tylko w zmiennym przecinku sumowano dziesiątki milionów zabitych.

Był tam w niebieskim lotniczym mundurze z dystynkcjami pułkownika, w sali komputerowej, w głębi sztolni wydrążonych w

potężnej górze, na samym ich dnie, pod setkami metrów skał i zbrojonego betonu. Podeszedł do ekranu i stanął za plecami operatora.

Był to kapitan, niewysoki małowówny człowiek, z którym spotykał się czasem na basenie kąpielowym, gdy tamten zostawiwszy na słońcu żonę i dwoje rozwrzeszczanych dzieciaków przychodził do baru, by wypić coś chłodnego. Rozmawiali wtedy o ostatnich rozgrywkach ligowych, a poza tym wiedział, że tamten łowi ryby.

Spojrzał ponad jego ramieniem w ekran.

— „Przebieg symulacyjny zakończony” — odczytał — „wyniki...” — dalej były kolumny cyfr i komentarze.

— No i jak tym razem? — zapytał.

— Znowu wschodnie wybrzeże dostało, ale część instalacji zachowana. Trzeba uderzyć bardziej koncentrycznie na wyrzutnię „popielatych”, ale w sensie strat niewiele to zmieni.

Poprawi jedynie wskaźnik przetrwałych instalacji. Żeby coś zmienić naprawdę, trzeba by uzyskać lepszy wskaźnik zaskoczenia.

— Nic prostszego, jak zmienić trochę program „popielatych”.

— Żartuje pan, pułkowniku — kapitan spojrzał na Parakletosa — i tak nie mamy gwarancji, że program „popielatych” wiernie modeluje przeciwnika.

— Takiej gwarancji w symulacji nigdy nie ma. Weryfikacją komputerowej symulacji jest zawsze rzeczywistość...

A potem była noc bez dnia, mróz wszechpólnocy i grad spadający z pyłem...

Parakletos przeszedł do szarych prostopadłościanów metalowych szaf komputera, wewnątrz których skokami napięć dudniły tysiące

wojen jądrowych, tysiące wariantów końca świata, z których, być może, jeden był prawdziwy. Wiedział, że gdy tam na górze, na wyższym kamiennym piętrze wnętrza góry, w Galerii Dowodzenia, podjęta zostanie decyzja i stożki prawdziwych rakiet spojrzą w prawdziwe niebo, tu na dole komputer rozegra tylko jedną ze swoich gier, która niczym różnić się nie będzie od setek innych rozgrywanych dzień po dniu, z tym że będzie to gra ostatnia. Stał tak, wpatrzony w szare bryły komputera w świetle jarzeniowego światła, gdy Masmó dotknął jego ramienia.

— Dlaczego stale mi tu towarzyszysz, Masmó?

— Czy dziwisz się, że chcę być z tobą, sir?

— Dziwię się, że jesteś tutaj ze mną cały czas.

— W takim miejscu jest to chyba właściwe. W miejscu decyzji ostatecznych powinienem być przy tobie. Może wreszcie podejmiesz decyzję, a ja muszę tu być wtedy, zanim się rozmyślisz.

— Zostaw mnie w spokoju chociaż na chwilę. Chcę tu być sam! To nie jest jedno miasto! Tych miast są tysiące!

— Dlatego właśnie teraz jest inaczej.

— Nie rozumiem, Masmó.

— Dawniej wszystko było prostsze. Sam znajdowałeś sprawiedliwych i gdy chciałeś, wkraczała twoja flota. A teraz, gdy niekiedy tu bywasz, uprawiasz grządki w swym ogródku, a punktowce Micho przemykają chyłkiem, po cichu, ukrywając się w przestrzeni, by ich nie zauważono.

— Bo taki jest ten czas.

— Zawsze był taki sam, a było inaczej. Teraz oni sami robią to, co

ty robiłeś, i robią to nieudolnie, bez umiaru tobie właściwego. Czyżby, panie, drugi eksperyment przestał cię obchodzić?

— Nie, Masmó.

— A ja podejrzewam cię o likwidowanie tego eksperymentu. Tylko że robisz to bez przekonania, nie tak jak z pierwszym, w Atlantis.

— Kiedyś flota nie zniszczyła miast, które miała zniszczyć, i odtąd nie niszczyła żadnych miast. Bo tamten wybór był wyborem rodzaju działania. Odtąd oni sami kształtują ten świat. W tej fali czasu. A zresztą co cię to obchodzi, Masmó? Ty jesteś błaznem chwili, tego, co się dzieje, a czas zostaw mnie... i im.

— Nadmiar łaski, panie, w twych słowach. Błazen powinien bawić swego pana, a ty jesteś chyba znużony.

— Nie, Masmó. Nie przeszkadzam im tylko. Mogą się rozwijać, coraz szybciej dryfować pod prąd entropii i jeśli potrafią, mogą kiedyś wyjść z czasu i przejść do trwania.

— W trwaniu jest miejsce dla wszystkich możliwych cywilizacji tego Kosmosu. Tylko czy oni chcą i potrafią?

— A po co im to, panie? Czy tak, jak jest, jest źle? — To twoja odwieczna rola, by ich przekonywać, że tak, jak jest lub było, jest najlepiej. Ale oni wiedzą, że jest inaczej.

— Jak, te ich nadzieje... i te twoje nadzieje, panie. Podeszli z Masmó do żołnierzy ochrony przy pancernych wrotach, młodych chłopców z rewolwerami w kaburach.

Byli w Galerii Dowodzenia, przeszklonej, jasno oświetlonej, umieszczonej na śródpiętrze dwupoziomowego pomieszczenia. Na niższym poziomie, przy ekranach i końcówkach komputerowych,

pracowali ludzie ze sztabu. Całą ścianę, od samego dołu aż po strop, widoczną zarówno z dołu jak i z przeszklonego półpiętra, zajmowała tablica informacyjna. Na niej, z boku, w pięciopunktowej skali gotowości jarzyła się cyfra 1. Było więc spokojnie.

Przeszli przez Galerię mijając wielki, czarny, obrotowy, pusty teraz fotel dowódcy i dwa telefony: złoty i czerwony, pierwszy, którym przychodzi polecenie początku końca, i drugi, którym przekazywane jest od dowódcy dalej. Przeszklonym korytarzem minęli Galerię i przeszli do wind. Jeszcze głębiej, na najniższym poziomie, komputer tworzył obraz świata taki, jakim widziała go Galeria.

Gdy wyszli z windy, Parakletos rozejrzał się po sali i spostrzegłszy kapitana przy ekranie podszedł ku niemu, bo miał jeszcze chwilę czasu, zanim zgodnie z harmonogramem wraz z majorem Masmó przejmie obowiązki na stanowisku dowodzenia startem raket. Od dawna z majorem Masmó zajmowali miejsca za pulpitemi, w których tkwiły klucze zabezpieczające wstęp do końca świata.

Adam podszedł do pulpitemów sterujących transferem i zasiadł w fotelu pod hełmem.

Zmrok za oknem przejaśnił się i słońce zachodzącego dnia rysowało na białych płytach posadzki czerwony kontur okna. Wiatr znad morza środkowego nie nadszedł i Adam widział w dole nieruchome korony palm. Wiedział, że już wkrótce usłyszy dźwięk trąb zamykających dzień tego miasta.

Włożył głowę w otwór hełmu i był już z Admusem.

— Koniec przedsięwzięcia, Admusie — pomyślał.

— Koniec — potwierdził Admus. — To ciebie on wołał, Adamie,

lecz ciebie tam nie było.

— Wiem.

— Kiedy wracasz?

— Zostaję tutaj, Admusie.

— Po co?

— Zniszczę te urzędnia. Na zawsze przerwę kontakt i będę człowiekiem. Niczym więcej.

— Po co, Adamie?

— Żeby zrozumieć.

— To nie jest ci potrzebne.

— Jemu także nie było, a dokonał tego. On poznał czas, Admusie. Pojął to, czego ja nie poznałem, czego nie zdążyłem pojąć. Jego wybór był takim, jakim był. A ja coś ominąłem w moim pobycie tutaj. Coś, co stanowi istotę tego, że nie wystarczy wiedzieć. Może wtedy, gdy mnie wzywał, chciał mi to przekazać, ale wtedy mnie przy nim nie było.

— Chcesz więc zostać. To nie będzie łatwe, Adamie. Chcesz być człowiekiem.

— Wiem.

— Zostaniesz wśród ludu, który cię nienawidzi, bo jesteś namiestnikiem Imperatora.

Potem Imperator wezwie cię do stolicy i wyśle na wygnanie. Stary i schorowany umrzesz w małym miasteczku północnej prowincji, będąc sam, jak człowiek. Przeżyjesz wszystko to, co jest udziałem człowieka, doświadczysz bezmocy, której dotąd nie zaznałeś, zwątpienia, utraty sprawności ciała i myśli, a wreszcie umrzesz, i jest to niepotrzebne,

bo ci, którzy wspominać cię będą, wspominać będą namiestnika Imperatora, jednego z tych, co zabili Admisa przez tchórzostwo i głupotę. Nieliczni wprawdzie będą cię czcili, ale zawsze jako namiestnika Imperatora. A więc pozostaniesz bezimienny.

— Niech tak się stanie. Będę człowiekiem. Nie ja jestem tym, którego będą pamiętać.

— Jak chcesz. Już jesteś człowiekiem, Adamie. Więcej kontaktu nie będzie.

Adam wstał z fotela. Wtedy fotel pękł. Rozpadł się także pulpit sterowania i stanowisko dowodzenia flotą. Większe fragmenty pękały rozrywane od wnętrza napięciem tworzywa, aż wszystko rozsypało się w miałki żwir, który z wolna parował wydzielając ostry zapach ozonu. Komnaty nie musiał odblokować, bo blokada też już nie istniała.

Był na stanowisku dowodzenia startem rakiet. Siedział w fotelu przed pulpitem z jednym tylko otworem, w którym tkwił duży mosiężny klucz. Klucz miał trzy położenia.

Ostatnie na prawo było pozycją startu. Obok w odległości trzech i pół metra był taki sam pulpit i za nim siedział Masmó. By uruchomić wyrzutnię, wystarczy równocześnie w obu pulpitych przekręcić klucze w pozycję „start” i pokonując opór sprężyny przytrzymać je przez dwie sekundy. Opór sprężyny jest znaczny i przekręcenie klucza wymaga wysiłku mięśni, a utrzymanie go w tej pozycji również wysiłku woli. Odpalenie megatonowej śmierci nie może przecież być odruchem, lecz decyzją trwającą dwie sekundy, decyzją nie indywidualną, lecz równoczesną decyzją operatora sąsiedniego

pulpitu. A Masmó już dawno podjął decyzję.

Wieki temu i nie tracił nadziei. Siłą mięśni ramienia trzyma swój klucz w pozycji „start”.

— Przekręć klucz, panie — prosi. Nie odpowie.

— Wtedy gdy starłeś Atlantis, nie wahałeś się.

Nie odpowie.

— To tylko chwila, panie. Stąd nie dojrzysz niczego. Wiem, że unikasz przykrych widoków.

Nie odpowie.

— A może, tak jak wtedy, jesteś niedysponowany. Wolisz, żeby inni to za ciebie zrobili.

— Nie odpowie.

— Potem wszystko będzie można zacząć od nowa. Jeden ruch. Nic więcej.

Nie odpowie. Jego klucz pozostaje w pozycji „wyłączone”, i nie dotyka klucza. Jest w czasie i czeka.

Czekał, aż ostatnie fragmenty potrzaskanej wszechmocy wyparowały i trwanie stało się tylko nieosiągalnym marzeniem. Był człowiekiem.

Gdy wyszedł na taras, słońce było już czerwone i niemal dotykało wierzchołków wzgórz. Upał dnia minął, ale wieczorny wiatr nie nadszedł i w powietrzu czuło się zapach dymu z palenisk domowych miasta, gdzie szykowano teraz wieczerzę. Z wysoka, stamtąd gdzie stał, widział wąskie uliczki, dachy i białe ściany wzniesione z kamienia z okolicznych wzgórz. Spojrzał na wzgórze, gdzie kończyły się domy, przechodząc w zieleń drzew oliwnych przygaszoną

szarością nadchodzącego zmierzchu.

Pomyślał, że jeszcze jeden dzień minął...

WŁÓKNO CLAPERTUSA

— Czas już na mnie — powiedziała Anna. Siedzieli przy niskim stoliku w pokoju Karola. Był półmrok, bo Karol nie zapalił górnego światła i tylko mała lampka na bibliotece oświetlała książki i stół kreślarski zajmujący róg pokoju. Nie zaciągnął również zasłon i zanim Anna to powiedziała, patrzył na księżyc świecący pełnią poprzez anteny telewizyjne na dachu sąsiedniego domu.

— Posiedź jeszcze — powiedział i pomyślał, że jest zbyt wcześnie, by zostać samemu w ten sobotni, majowy wieczór.

— Jutro też jest dzień — Anna wstała.

— Nawet niedziela. Powiedz lepiej, dokąd jedziemy?

— W niedzielę?

— W niedzielę. Dlaczego się dziwisz?

— Nie, nie dziwię się. Oczywiście, że pojedziemy. Gdzieś nad wodę.

Tam gdzie nie ma ludzi — zebrała filiżanki po kawie i zaniósła je do kuchni.

— Znasz jeszcze takie miejsce w dzisiejszych czasach, Anno? — Nie narzekaj. To są piękne czasy. Na przykład wasze miasto. Ulice z szerokimi chodnikami, jezdnie pełne samochodów i te tramwaje. Suną

tak wolno, jak... jak...

— „Wasze miasto” — to coś nowego. Znowu zaczynasz dziwaczyć, Anno. Czasami mówisz takie dziwne rzeczy.

— Wydaje ci się. Po prostu taka już jestem. Tramwaje... A konne tramwaje pamiętasz?

— Śmieszna jesteś. Skąd mogę pamiętać konne tramwaje. Ty ich przecież też nie pamiętasz. — Karol wstał, włączył górne światło i starannie zasunął zasłony.

— Oczywiście, że nie pamiętam, widziałam tylko na rysunkach... Miały takie śmieszne dzwonki ze sznurkiem. — Słyszał, jak myje filiżanki pod kranem.

— Nie wiem, jakie dzwonki miały konne tramwaje, i szczerze mówiąc, nie bardzo mnie to obchodzi. — Był zły, bo wiedział, że za chwilę zostanie sam, teraz gdy w kinach kończyły się ostatnie seanse, a przed nadejściem godzin nocnej taryfy taksówkarze zajeżdżali na kawę do kawiarenki naprzeciwko.

— Nie gniewaj się, Karolu. Nie będę dziwaczyć. Koniec! Ale iść już muszę... — Anna wyjęła z torebki grzebień i przeczesła włosy.

— Znowu zostawiasz mnie samego na cały wieczór? — powiedział to zupełnie spokojnie, ale Anna spojrzała na niego uważnie.

— Tak czasem bywa — powiedziała. — No, do zobaczenia. Nie odpowiedział. Nie patrzył na nią. Stała chwilę bez ruchu, a potem trzasnęły drzwi. Wyszła! Poderwał się z fotela, chwilę mocował się z zamkiem, który się znowu zaciął, kiedy otworzył drzwi — nie zobaczył już Anny.

— Anno — krzyknął — o której cię zobaczę jutro?! Słyszysz?!

Nasłuchiwał jeszcze chwilę, a potem pobiegł schodami w dół, przeskakując po dwa stopnie naraz, tak jak kiedyś się tego nauczył, gdy był jeszcze chłopcem. W bramie stał dozorca domu i palił krótką, małą fajeczkę.

— Nogi pan kiedyś połamię... — zauważył. — W którą stronę poszła?

Słyszysz pan?

— Kto? — dozorca przyjrzał mu się uważnie.

— Kobieta. Wychodziła przed chwilą.

— Nikt, panie Topolak, stąd nie wychodził. Stoję w bramie, już będzie dobre pięć minut.

— Ależ przed chwilą... Nie widział pan?

— Nie to, żeby miał nie widzieć. Tędy nikt nie wychodził.

Karol minął go i pobiegł w stronę przystanku tramwajowego. Na ulicy był tłok. Sobotnie pary wolno spacerowały. Karol przepychał się między nimi, tuż koło krawężnika, bo tam było luźniej. Nagle uderzył w kogoś. Usłyszał brzęk rozsypujących się drobiazgów. To była dziewczyna.

— Przepraszam bardzo. Zaraz pomogę pani to zebrać.

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem schyliła się i bez pośpiechu zaczęła wkładać do torebki rozsypane drobiazgi.

— Jest mi naprawdę bardzo przykro — pomagał jej i starał się to robić jak najszybciej. Nagle tuż za sobą usłyszał samochód. Odwrócił się. Obok przy krawężniku zatrzymała się niewielka furgonetka. Dziewczyna podeszła do tylnych drzwi samochodu i otworzyła je. Wchodziła już do środka, gdy Karol spostrzegł, że trzyma w ręce jej

chusteczkę.

— Halo, pani chusteczka! — zawołał i wskoczył za dziewczyną. Słyszał, że drzwi trzasnęły za nim, mimo iż nie zamykał ich.

— Wskoczyłem za panią, żeby to oddać.

Nie odpowiedziała. Stała nieruchomo. I wtedy Karol usłyszał buczenie, początkowo niskie, potem coraz wyższe, urywające się gdzieś w ultradźwiękach. To nie był silnik samochodu. Rozejrzał się wokół. Okien nie było. Zamiast nich zobaczył ekrany i jakieś nieznane mu urządzenie oświetlone nikłą, zieloną poświatą.

— Dziwny ten mikrobus. To telewizja?

Nagle obok siebie zobaczył mężczyznę.

— Nie odpowie ci. Przecież się wyłączył — powiedział tamten. — Te nowe automaty są nic niewarte. Stare wytrzymały przetrwały do tysiąca lat. Te wykańczają się już na półwiecznych odcinkach. A ten ma jeszcze jakąś awarię. Zaraz wezmę narzędzia. Pewnie znów przebicie na transkontaktorze. Uważam, że powinni je wycofać. Uszkodzenia i uszkodzenia. Całe szczęście, że nie doszło jeszcze do wypadku. — Przerwał na chwilę i zapalił mały, jasny reflektor, który skierował na plecy dziewczyny. — I teraz muszę wymienić mu ten transkontaktot. Nie mam zapasu, a w odległości dwudziestu lat muszę to znowu wysłać. A ty z UDV? Czy z ponadczasowych? — dalej nie patrzył na Karola.

— Z jakich czasowych i w ogóle co to wszystko znaczy?!

— Nie przejmuj się. Mówię ci przecież, że transkontaktor nawalił. Wymienię i będzie gotów.

— Ale co się stało z tą dziewczyną?

— Dziewczyną? Co ty, przecież to automat — teraz dopiero spojrzał na Karola.

— Panie! Gdzie ja jestem? Co to się w ogóle dzieje? Co z nią? — W tej chwili Karol spostrzegł, że krzyczy.

— Człowiek! Prawdziwy człowiek — teraz patrzył na Karola uważnie. — Jakżeś się tu dostał?! Pewnie transkontaktor! Nawalony transkontaktor! To musiało się kiedyś stać. Ale dlaczego akurat mnie?!

— Przestań się pan wygłupiać — Karol mówił już spokojnie. — Nie ze mną takie numery. Wypuść mnie pan stąd i nic mnie nie obchodzi ten transkontaktor. No, puszczaj pan. Wypuść mnie pan! Słyszysz!

— Uspokój się, nigdzie cię nie wypuszczę. Czekał, zastanowię się chwilę.

— Możesz się pan zastanawiać. Zabieram dziewczynę i idę. Rozumiesz!

— Uspokój się... Dziewczyna i dziewczyna... To android. Skorodowany, zepsuty automat. Przez niego tu właśnie jesteś.

— Jestem... Ale gdzie u diabła jestem?

— Jesteś dalej w swoim mieście. Tylko już po stu latach. I posuwamy się dalej w czasie.

— Posuwamy się? W czasie?... — Karol patrzył na mężczyznę uważnie, z lekkim niepokojem.

— No tak, w czasie, i to dosyć szybko. Zresztą, co ja tobie będę tłumaczył. Tobie, człowiekowi XX wieku. To jest pojazd czasowy.

— A ona? — Karol wskazał na dziewczynę.

— Mówiłem ci. Automat. Zwykły android. Po prostu nawalił. Miał

zabrać z twoich czasów czasosondę, a zabrał ciebie. Nie przeszkadzaj chwilę! Muszę to naprawić. Mężczyzna nacisnął niewielką, wystającą z podłogi dźwignię i w kabinie rozpoczął się ruch. Ze ścian wysunęły się uchwyty, które chwyciły android i przesunęły go pod reflektor, uniesiony w górę, świecący wąskim stożkiem światła.

Gdzieś ze ściany wyszedł mały, metrowej może wysokości stożkowaty automat o kilku ruchliwych końcówkach chwytnych. Zdjęcie pokryw czołowych androidu trwało chwilę. Wewnątrz Karol zobaczył matowo połyskujące w świetle reflektora szare kryształy, w których czasem na moment rozjarzał się błysk.

— Wynalezienie silnika parowego przez Einsteina w 1987 roku...
— powiedział android głosem dziewczyny.

— Widzisz, jest zupełnie rozkojarzony! Musi mieć jeszcze zwarcie na innym obwodzie — grzebał w metalowych wnętrznościach androidu i Karol mu nie przeszkadzał.

— Rozumiem, że to automat. Ale skąd ja tutaj? — zapytał wreszcie.

— Wszystko trzeba ci tłumaczyć, zupełnie jak dziecku... To proste. Nasi historycy prowadzą badania. Wysyłają automaty podobne do ludzi. Właśnie androidy. Kiedy android zbierze odpowiednią ilość informacji, wysyłamy inny android, który zabiera go z powrotem. Ten automat miał właśnie zabrać taką czasosondę, a zabrał ciebie. To wszystko. Proste. Nie?! Tylko gdzie on ciebie znalazł?

— Potrąciłem ją. Taka dziewczyna... i automat.

— Ładna, co? Już nasi plastycy starają się o to — mężczyzna powiedział to z pewną dumą. — No, ale teraz dopiero będą kłopoty

— dodał. Spojrzał na Karola z uwagą.

— Jakie kłopoty?

— Widzisz. Konwencja Sześciu Planet zabrania przenoszenia ludzi w inne epoki, szczególnie w przyszłość. Moje zadanie to zbierać czasosondy. A tej, którą miałem zabrać, nie ma. Kręci się teraz po twoich czasach przepelniona informacją. Nic dobrego z tego nie będzie.

— Jeśli to pomyłka, to ja mogę wysiąść.

— Niestety. Nic z tego. Zaraz lądujemy w twoim mieście po trzystu latach. Już oni się do mnie dobiorą za tę twoją wizytę.

Karol usłyszał wysoki, świergotliwy sygnał, przechodzący w buczenie, a potem drzwi się rozsunęły. Wyskoczył na chodnik i... był w swoim mieście.

W jaskrawym słońcu przedpołudnia zobaczył znajome domy. Ich białe ściany świeciły jasno na tle błękitnego nieba. Coś jednak było obcego w tych murach i Karol po chwili dopiero zdał sobie z tego sprawę. Miasto było puste, bardziej puste niż świtem, o czwartej rano, gdy w jego czasach wyjeżdżały na jezdnię polewaczki, a nocne tramwaje wracały do zajezdni.

— Tu nikt nie mieszka? — zapytał.

— Muzeum jeszcze zamknięte dla wycieczek.

— Tu jest mój dom. Czy mogę wejść do środka?

— Jeżeli cię to bawi...

Wszedł do bramy własnego domu i spostrzegł, że między płytami chodnika i pod ścianami rośnie trawa. Schody się nie zmieniły przez trzysta lat i nawet stopnie nie były bardziej wytarte. Drzwi do jego

mieszkania skrzypiały i były uchylone. W pokoju ze swoich dawnych rzeczy zobaczył tylko fotel, wielki, już w jego czasach staroświecki fotel. W fotelu tym ktoś siedział. Karol podszedł blisko, a wtedy siedzący w fotelu wstał.

— Proszę nie dotykać eksponatów — powiedział. — Kto, kto jesteś?

— Automat–kustosz ACX 10058 melduje się i czeka na polecenia.

— Co tu robisz?

— To automat–opowiadacz, dla wycieczek. Ze też bawią cię takie rupiecie — mężczyzna z pojazdu wszedł za nim.

— To jest muzeum — ciągnął automat. — Co chciałbyś obejrzeć?

Posiadamy archiwa prasowe, radiofoniczne, telewizyjne. Wnętrza można obejrzeć z taśmy wizyjnej.

— A co to jest, ten ekran w ścianie?

— Ekran odczytu. — Coś, jakby ślad zdziwienia spostrzegł w głosie automatu. — Można w nim czytać stare dokumenty dodał automat już normalnym głosem.

— Rozumiem. Jednym słowem, moje czasy to dla was historia.

Karol milczał chwilę, a potem zapytał:

— Czy mógłbym się dowiedzieć na przykład, co się stało tu, w tym mieście, powiedzmy trzysta lat temu?

— Oczywiście — automat odpowiedział natychmiast. — Tylko muszę się skomunikować z Centralą Losów Indywidualnych.

— Nie. Daj spokój — wtrącił się mężczyzna. — Lepiej, żeby, nikt na razie o tobie nie wiedział. Mam pewien plan...

— Archiwum dysponuje również prasą — ciągnął automat.

— A prasę mogę?

Mężczyzna skinął głową.

— Wyświetlę ci gazetę na ekranie — powiedział automat. Patrz!

— „Nowa metoda wytwarzania płyt...”, „Remont wieżowców...” — Karol półgłosem czytał tytuły. — „Kina...” „Ogłoszenia drobne...”
Stop! Zatrzymaj! Natychmiast — krzyknął.

— Co się stało? — zapytał mężczyzna.

— To jest nekrolog, czyli podane do publicznej wiadomości zawiadomienie o zgonie — powiedział automat.

— Spójrz! Tu! „Zginął tragicznie nasz ukochany syn, inżynier Karol Topolak. Wyprowadzenie zwłok odbędzie się...” Zginął tragicz...nie...
Słyszysz! To ja! To mój nekrolog!

— Fakt. — Mężczyzna nie zdziwił się specjalnie.

— Ale właściwie, co to ciebie obchodzi? Jesteś tam czy tu?

— Dobrze, ale... ale to przecież mój nekrolog.

— Niby tak. Ale ten nekrolog jest sprzed trzystu lat, jakby na to nie patrzeć.

— Ale mój!

— Fakt... Czekaj, jakiś komunikat.

Nad ekranem zabłysło czerwone światło i patrzył stamtąd na nich mężczyzna w dziwnym skafandrze.

— Uwaga, tu Centrala Koordynacji Epok — rzekł. — Do wszystkich stacji czasowych i personelu Temporycznego! Człowiek starożytny przekroczył barierę czasu. Powtarzam: człowiek starożytny przekroczył barierę czasu w kierunku dodatnim. Różnica — trzysta lat. Którykolwiek automat albo człowiek wiedziałby o miejscu jego

pobytu, obowiązany jest natychmiast zawiadomić Centralę Koordynacji Epok. Powtarzam...

Nagle Karol za sobą usłyszał głos:

— Automat–kustosz ACX — jeden — zero — zero...

Mężczyzna uderzył automat w miejsce, gdzie człowiek ma żołądek, i automat zamilkł.

— Wyłączyłem go — powiedział do Karola — w ostatniej chwili zatrzymałem meldunek. Ale to i tak już nic nie pomoże. Liczyłem, że uda mi się podrzucić cię niepostrzeżenie w twoje czasy. Ale po tym komunikacie... Musiały nas zarejestrować automaty kontrolne na przełomie dwudziestego pierwszego i dwudziestego drugiego wieku. Co robić?

— Porozum się z nimi. Przecież to nie moja wina, że tu jestem. Zresztą nie widzę w końcu w tym nic złego.

— Dziecko jesteś! Nie rozumiesz konsekwencji? Biegnie teraz od ciebie w czwartym wymiarze tak zwane włókno Claperiusa, które sięga w przeszłość. Wszystko, co leży na tym włóknie i jego odnogach, ulega zmianie. Zmienia się cała historia ostatnich trzystu lat.

— Więc co teraz zrobisz?

— Nie wiem. Wracajmy w każdym razie do czasolotu. Zmienię kurs i...

Chcieli wyjść, lecz w drzwiach spotkali mężczyznę w takim samym, dziwnym skafandrze jak ten, który Karol widział na ekranie.

— Oldes jestem — przedstawił się. — Naruszyliście czwarty paragraf Kodeksu Czasowego. Sprawdzalem w Persotempografie.

Mam wykres. Wokół niego dość gęsty węzeł włókien czasowych. Przykro mi, pilocie...

— Ja jestem niewinny — mężczyzna nazwany pilotem zbladł. — Automat miał przebity transkontaktor i...

— Wiem o tym. Jednak to wcale nie usprawiedliwia twego postępowania. Odpowiadasz za wszystko, jak zwykle — stwierdził Oldes, a potem zwrócił się do Karola. — Nie bój się. Pozbądź się tych odruchów swojej epoki.

— Ani się nie boję, ani mnie nie obchodzą wasze paragrafy. — Co z nim zrobicie? — zapytał pilot.

— Nie wiem jeszcze. Może dezintegrator pamięci... To jeszcze nie zostało postanowione... Ale to człowiek, trochę inny, ale człowiek. I pomyśleć, że dzieli nas od nich trzysta lat. No nic, postaramy się go nieskażonego naszą epoką przerzucić do jego czasów.

Budynek, do którego dolecieli dziwnym, przezroczystym pojazdem w kształcie meduzy, unoszącym się bezgłośnie w powietrzu, leżał wśród wzgórz. Musiała być wczesna jesień, bo liście żółkły już gdzieś tam i Karol czuł ich zapach, znany mu z jego czasów. Lot trwał krótko, kilka — może kilkanaście minut. Gdy wchodzili do budynku, matowa kurtyna zamykająca wejście rozwiąła się. Przeszli długimi korytarzami i weszli do wielkiej, pustej sali, na której środku, oświetlony reflektorami i obudowany pulpitemi sterującymi, stał dziwnej konstrukcji stół — „stół operacyjny” — pomyślał Karol. Gdy weszli, od pulpitu podniósł się mężczyzna i podszedł ku nim.

— Wszystko gotowe, Utet? — zapytał Oldes.

— Tak, lugry już pod napięciem. Czekamy na ciebie — zwrócił się do Karola.

— Co chcecie ze mną zrobić?

— Wymażemy ci pamięć, wszystko, coś doznał w naszych czasach, i powrócisz w swoją epokę.

— Nie, nie chcę... Puśćcie mnie...

Utet uśmiechnął się. W tej samej chwili Karol poczuł na szyi dotknięcie metalu. To było bezbolesne.

Poczuł absolutny bezwład.

— Nie obawiaj się — powiedział Utet. — W tej chwili twoje ciało jest izolowane funkcjonalnie od twego mózgu. Potem to minie... Karol chciał się poruszyć, lecz nie mógł. Został uniesiony przez dwa automaty i ułożony na stole.

— Lugry: siedem stopni, dziesięć stopni, piętnaście stopni — słyszał, jak Utet podaje namiary. Usłyszał gwizd.

— Skojarzenie wtórne — powiedział automat.

— Dziesięć stopni, siedem stopni, trzy stopnie, zero. — Powtarzać? — zapytał automat.

— Nie. Koniec, to nie ma sensu — widział, jak Oldes odszedł od pulpitu.

— Jeszcze chwila — powiedział Utet. — Sprawdzę tylko jego zapis pamięci. — Przez chwilę panowało milczenie, potem Utet zawołał :

— Znalazłem to!

— Co to jest?!

— Jakieś silne przeżycie. Niewymazywalne powierzchniowo. Trzeba by naruszyć górną warstwę podświadomości, a tego robić nie

wolno... Teraz już możemy przerwać.

— Może jednak spróbować — zaproponował Oldes.

— Nie, to jest odcinek pamięci odpowiadający pobytowi w muzeum. Musiał tam mieć jakieś przeżycie, które zostawiło trwały ślad w jego pamięci. Chciałem wymazać mu wszystko, co tu zapamiętał. Mógłby wtedy spokojnie powrócić w swoje czasy i żyć dalej. A tak... Czy jest tu pilot, który go przywiózł? Karol zobaczył teraz twarz pilota. — Przypomnij sobie, co on tam, w muzeum, przeżył takiego.

— Pojęcia nie mam.

— A co tam robił?

— Kazał sobie przedstawić archiwum prasowe... Wiem! Zapomniałem po prostu. Za dużo mam ostatnio zmartwień.

— No, co takiego? — Utet patrzył teraz na pilota.

— Przeczytał... no, nie pamiętam, jak to się nazywa... takie ogłoszenie o czyjejś śmierci w starożytnej gazecie.

— O czyjej śmierci?

— O jego własnej. Śmierć miała nastąpić zaraz po porwaniu go przez automat.

— Źle! — stwierdził Utet. — Kustosz nie powinien mu pokazywać archiwum. No, kończę... — trzasnął jakiś przełącznik i wtedy Karol poczuł, że może zejść ze stołu.

— Powiedzcie mi, gdzie jestem? — zapytał. Stał jeszcze nieco niepewnie.

— Jesteśmy Radą Temporyczną, która zadecyduje o twoim losie — powiedział Utet. — Jesteś w przyszłości i musisz ją opuścić.

— Przez chwilę bałem się, że mnie mimo wszystko wyślecie w przeszłość. Siłą!

— Siłą? To pojęcie z twojej epoki. Dzisiaj ono już nic nie oznacza. Bez twojej zgody nie umiemy tego uczynić.

— Mojej zgody. Nigdy jej nie uzyskacie!

— Musisz pewne rzeczy zrozumieć...

— Nie mam najmniejszego zamiaru niczego rozumieć. Niczego! Nic mnie nie obchodzą wasze...

— Dlaczego właściwie nie chcesz? — Utet patrzył na Karola uważnie.

— Pytasz się dlaczego? Pilot też się pytał. Pytacie się wy, którzy wszystko wiecie! Wiecie przecież, że mam zginąć zaraz, jak tylko wrócę. A ja nie mam zamiaru...

— Przecież i tak kiedyś umrzesz.

— Tak, ale trzydzieści lat w tę czy w tamtą stronę to jest różnica. Zrozumcie mnie — dodał już spokojnie. — Nie mogę przecież wrócić do czasów, w których czeka mnie natychmiastowa śmierć.

— To jest stanowisko słuszne tylko z twego osobistego punktu widzenia. Przecież ludzie umierają we wszystkich epokach. To normalne. A my nie możemy dopuścić do tego, byś pozostał w przyszłości. To wykluczone. Umrzeć musisz czy tak, czy owak. Przeszłości nie możemy zmieniać.

— Nie wy, to ja sam ją zmienię! Jeśli mnie zmusicie, wrócę.

Przypuszczam, że teraz potrafię już uniknąć śmierci.

— Bzdura! Zrozum, twoja śmierć jest faktem, faktem, który już się zdarzył. Nic i nikt nie może tego zmienić!

— Ale ja przecież żyję!

— To prawda — Utet milczał chwilę. — Możliwe byłoby jeszcze jedno wyjście, ale...

— Jakie?

— Stypendium historyczne.

— Co to takiego?

— Widzisz, nasi historycy robią czasem rekonesanse w daleką przeszłość. Niektóre z tych wypraw wiążą się z pewnym, jak wy to nazywacie, ryzykiem. Mógłbyś i ty...

— Dla odmiany mam zginąć w starożytności?

— Jest pewne prawdopodobieństwo, że możesz zginąć — stwierdził Utet. — Jeśli natomiast powrócisz do swoich czasów, twoja śmierć jest pewna.

— Ryzykujesz mało, zyskać możesz wiele. Parę lat pobytu w starożytności, a potem powrót w twoje czasy. Zyskujesz kilka lat życia. — Oldes patrzył na Karola uważnie.

— Więc potraficie mnie umieścić na przykład... w starożytnym Egipcie?

— Egipt raczej nie wchodzi w rachubę. Został doszczętnie wyeksploatowany. Było już tam wielu historyków. Musisz się zgodzić na coś innego albo czeka cię natychmiastowy powrót do twoich czasów. Wybieraj więc.

Karol spojrział na stół i pomyślał o chłodnym dotknięciu automatu na swojej szyi.

— Zgoda, jadę... — powiedział. — Tylko dokąd? Zastrzegam sobie łagodny klimat i absolutnie żadnych ludożerców.

— Zobaczymy, dokąd można teraz jechać — powiedział Utet i zwrócił się do automatu.

— Tu Koordynator Utet z Centrali Epok. Do historycznej komisji stypendialnej. W sprawie stypendium czasowego. Proszę o podanie miejsc i czasów.

W głośniku przez chwilę słychać było szum, a potem odezwał się głos:

— Późny paleolit — badania zoologiczne. Cesarstwo Rzymskie — widowiska cyrkowe, wyprawy krzyżowe — dziesięć miejsc. Plemiona Inków — obrzędy ofiarne, Karol Młot — między Tours i Poitiers. Stypendia pierwszego stopnia. Koniec.

— No i co? Odpowiada ci coś z tego? — zapytał Utet.

— Sam nie wiem. Może do Inków. Chociaż to trochę daleko...

— A może na stypendium drugiego stopnia? — zaproponował Oldes.

— A jaka jest różnica?

— Są one związane z pewną misją i... z niebezpieczeństwem. Muszę cię ostrzec, że kilku wysłanych na nie historyków nie powróciło... Do dziś nie wiadomo zresztą, z jakich powodów.

— Co na tym zyskuję?

— Te stypendia są dłuższe.

— Może bym się zdecydował...

— Proszę o podanie wolnych miejsc na stypendia drugiego stopnia — powiedział Utet. Tym razem odpowiedź przyszła natychmiast.

— Proces Joanny d'Arc, Asyria — eliksir życia... to wszystko.

— Elikwir życia? Co to takiego?

— Tak. Ale to bardzo ryzykowne. Już trzech stamtąd nie wróciło — powiedział Utet.

— Co to za eliksir? Musicie mi chyba powiedzieć.

— Badania wykazały, że starożytni Asyryjczycy mieli jakiś eliksir. Płyn o działaniu regenerującym organizm — Utet mówił wolno, jakby z trudem znajdując właściwe słowa. — Człowiek posiadający ten płyn mógł co pewien czas się odmładzać i w ten sposób uzyskać coś w rodzaju, nieśmiertelności.

— Już za moich czasów czytałem o takim eliksirze. Ale przecież to bzdury. Podobno Cagliostro też dysponował takim płynem, a umarł. I wy w to wierzycie?

— Cagliostro był szarlatanem. Tu sprawa nie przedstawia się tak prosto. Widzisz, ów środek przechowywany był w świątyniach i dostępny tylko nielicznej grupie kapłanów. Badania dokładnie wykazały zadziwiającą długowieczność kapłanów, w których rękach był ów eliksir.

— Może tak było, ale ja w to nie wierzę.

— Nie musisz wierzyć. Chodzi o zbadanie całej sprawy na miejscu. I o zdobycie tego eliksiru, jeżeli rzeczywiście istniał.

— Zdobycie eliksiru? Jak mam tego dokonać, przyjmując oczywiście, że kapłani go mieli?

— W tym właśnie cała trudność — Utet odpowiedział po chwili. — Dostaniesz na pewno ogólne instrukcje, zaznajomią cię dokładnie z epoką, ale reszta to już twoja rzecz. Przypominam ci, że już trzech stamtąd nie powróciło. Wszyscy, których wysłano. No więc?

— Zgadzam się! Jadę! — powiedział.

— A więc jesteśmy w starożytności — powiedział pilot. Ich czasolot w kształcie odwróconego spodka sunął bezgłośnie na wysokości tysiąca metrów.

— I co dalej? — zapytał Karol.

— Za chwilę wylądujemy. Reszta należy do ciebie.

— Spójrz, tam jakieś budowle — Karol patrzył na szare, regularne bryły, leżące w dole w lekkiej, przyziemnej, fioletowej mgle.

— Coś tam rzeczywiście widać. Obejrzyj to sobie z bliska — powiedział pilot. Potem przełożył dźwignię sterów i pojazd ruchem opadającego liścia zmniejszył wysokość. Dotknięcia ziemi Karol nie odczuł.

— Jesteśmy na miejscu. Będę tu czekał na ciebie drugiego dnia po pełni każdego miesiąca.

— Dokładniej nie mógłbyś tego określić?

— Mógłbym, ale już wkrótce stracisz rachubę czasu. Tu nie obowiązuje nasz kalendarz.

Karol chwycił swój bagaż i zeskoczył na trawę. Nogi plątały mu się nieco w długich szatach, ale pomyślał, że do tego też się przyzwyczai. Pilot skinął mu ręką i pojazd bezszelestnie uniósł się zostawiając w trawie trzy głębokie, kuliste wgniecenia.

Karol patrzył za nim, jak oddalał się, błyszcząc w promieniach zachodzącego słońca. Potem rozejrzał się. Wysoka trawa wokół niego falowała w lekkim, przedwieczornym wietrze. Dalej przy kępie drzew zobaczył smugę dymu. Pomyślał, że do chwili jego urodzenia miną jeszcze tysiące lat, i ruszył w kierunku dymu.

Ilekcroć wchodził do świątyni, odczuwał niepokój, irracjonalny, nieumiejscowiony, pierwotny niepokój swych praprzodków. A znał tutaj każdy kamień. Dzisiaj był drugi dzień po pełni księżyca i Karol wiedział, że wchodzi tu po raz ostatni. Idi czekała na niego jak zwykle w przedsionku świątyni.

— Jednak przyszedłeś! — powiedziała, gdy stanął przed nią. — Przyszedłeś tu, do świątyni, gdzie bogini w ustach swych zamyka czas. Przyszedłeś, choć wiesz, czym to grozi. Kusi cię jednak tajemnica śmierci.

— To nie jest tajemnica śmierci, Idi.

— Nie jesteś pierwszy, który tak mówi. Tamci wszyscy zginęli. Bogini nie zdradzi nikomu tajemnicy wieczności. Nawet ja nie śmiem myśleć o tym.

— Jaka tam bogini... Ten głaz to zwykły kamień.

— Milcz!

— Co się stało?

— Ona nas słyszy! Jak śmiesz w tym miejscu! Ona patrzy na ciebie.

— Bzdura!

— Przestraszyłeś się jednak.

— Boję się... Ale nie bogini... Boję się ludzi, kapłanów.

Milczeli przez chwilę i Karol słyszał tylko krople spadające gdzieś monotennie na kamienną posadzkę.

— Wiem, że przybywasz z innego świata — rzekła wreszcie Idi. — Opowiadałeś rzeczy, których mój umysł pojąć nie może. Błagam cię, uwierz mi! Ja wiem, co jest prawdą, a co sztuczką kapłanów. To jest

prawdą. Nikomu się jeszcze nie udało...

— Idi, przestań. Zrozum, wkrótce muszę wracać. Muszę zabrać z sobą tajemnicę bogini i ciebie, Idi.

— Tyle opowiadałeś mi o tamtym świecie. Jeżeli jest on tak piękny, jak ta muzyka, którą przywiozłeś ze sobą...

— Przed powrotem muszę poznać tajemnicę bogini. Wiesz o tym.

— Jesteś zdecydowany? — powiedziała to cicho. — Na wszystko!

— Czy masz ze sobą tę czarodziejską skrzynkę, która tworzy dźwięki?

— Tak. Utrwalam twój głos, Idi, żeby słyszeć go zawsze.

— Chcę słyszeć muzykę.

Włączył magnetofon i słuchał dźwięku muzyki, która nie była muzyką jego czasów. Słuchał dźwięków z czasów Oldesa, z czasów mówiących automatów i bezszelestnych pojazdów czasowych.

— Dostyc — powiedziała Idi. — Dobrze więc! Zdobęde dla ciebie tajemnicę. Jest ukryta tu, w posągu. Patrz! Staję na tej płycie i sięgam do ust bogini.

I wtedy Karol zrozumiał. Płyta, metalowy wspornik i wiecznie suchy wiatr pędzący tumany pyłu ku wejściu świątyni.

— Stój! Już wiem! — krzyknął.

— Pani, zwróć na mnie oczy swoje i obdarz mnie uśmiechem! — Idi mówiła monotannie, cicho.

— Stój! Nie dotykaj! Ładunek elektryczny! Nie dotykaj! — Oto eliksir życia... — Idi sięgnęła do ust posągu.

Trzask wyładowania nie był głośny. A Idi upadła na płytę. Wtedy Karol usłyszał za sobą śmiech, śmiech dudniący pod sklepieniem

świątyni. To był Kaloos, pierwszy kapłan świątyni.

— Zdobyłeś eliksir. Podejdz zatem, weź go! Byłeś bardzo mądry, ale w tym punkcie wy wszyscy jesteście głupcami! Wierzycie w eliksir życia! Lęk przed śmiercią jest zawsze jednakowy. Otóż wiedz, że tajemnica eliksiru polega na tym, że eliksiru nie ma! Kto jednak posiadał tę wiedzę, płaci życiem. Tak jak Idi. Ciebie to też czeka!

— Zabiliście ją!

— Ty także zginiesz.

— Ja się nie boję!

— Twoja śmierć będzie inna.

Karol wiedział, że to prawda. Ale na spotkanie z Kaloosem był przygotowany.

— Śmieszny jesteś, Kaloosie. Myślisz, że mnie zabijesz. Myślisz, że Idi umarła. Posłuchaj... — powiedział i nacisnął klawisz odtwarzania swego magnetofonu.

— „...eliksir — mówiła Idi — jest ukryty tu, w posągu. Staję na tej płycie i sięgam do ust bogini”.

— To jej głos!

— „Pani, zwróć na mnie oczy swoje i obdarz mnie uśmiechem! Oto eliksir życia”.

Słyszał trzask wyładowania i pogłos sandałów uderzających o kamienną posadzkę. Kaloos uciekł. Wyłączył magnetofon i ruszył korytarzem ku wyjściu. Minął kamienny dziedziniec, stanął w bramie i spojrzał na pustynię, z której wiatr niósł tumany pyłu opadające z cichym szelestem z murów świątyni. Pomyślał o wszystkich dniach, które tutaj przeżył, i ruszył traktem na wschód.

Leżał w tej samej sali, na tym samym stole i reflektory świeciły mu w twarz tak samo, jak przed laty. Dla nich, którzy stali wokół niego, jego nieobecność trwała kilka godzin. Słyszał, jak mówią, ale nie mógł się poruszyć.

— Telewizja nie dała wyniku — powiedziała Oldes.

— A jednak powrócił po pięciu latach. Dotychczas nikomu z naszych się to nie udało. Oni są lepiej przystosowani od nas do życia w starożytności. Ale eliksiru nie przywiózł. Zauważ jednak, że niewiele się postarzał. To daje do myślenia.

Utet przyglądał mu się uważnie.

— Sądzisz, że dostał go tam i zażywał? Za chwilę dowiemy się wszystkiego. Ukryć eliksiru przecież nigdzie nie mógł!

Utet przycisnął klawisz.

— Witajcie, potomkowie — powiedział Karol. — Dla was te pięć lat było chwilą.

— Jesteś opalony — stwierdził Utet.

— To gorące słońce Babilonu. Blade są tylko kobiety, nigdy wojownicy.

— A co z eliksirem! Przeszukaliśmy twoje ciało podczas snu aklimatyzacyjnego. Nic nie znaleźliśmy.

— Eleksiru nie ma. To zwykła bajka.

— Dziwne. Nasi historycy są niemal pewni, że eliksir istniał. Inaczej nie wysłaliby cię przecież.

— Eleksiru nie ma. Mówię chyba wyraźnie.

— Skoro to stwierdziłeś i wróciłeś, dlaczego nie powrócili tamci

trzej?

— Po prostu, kto się o tym dowiedział, musiał zginąć. Wasi wysłannicy zginęli właśnie dlatego, że dowiedzieli się. Istnienie eliksiru jest legendą.

— Ty jednak jesteś żywy — stwierdził Utet.

— Jak widzicie. I przestańcie mnie już wreszcie nudzić.

— W jaki sposób udało ci się wrócić? — zapytał Oldes. Przez przypadek?

— W pewnym sensie tak. To nie było proste. Chytróść ich kapłanów jest wielka. Mówię wam, ludzie z przeszłości nie ustępują wam wcale.

— I chcesz, abyśmy wierzyli w ten przypadek.

— Nie zależy mi specjalnie na tym.

— Słuchaj — powiedział Oldes. — My i tak wszystko wiemy. Wiemy, że masz tajemnicę eliksiru. Nie możemy cię z nią wysłać w twoje czasy.

— W porządku, mogę zostać u was.

— Wiesz doskonale, że nie możesz. Wrócisz dokładnie w ten sam punkt czasoprzestrzeni, który opuściłeś. Taka była umowa.

— Zgoda, mogę wracać.

Oldes milczał chwilę, a potem powiedział:

— Gdybyś przekazał nam eliksir, być może Rada pozwoliłaby ci zostać u nas. A tam... pamiętasz, czytałeś swój nekrolog. — Wiesz co, Oldes, zawsze mi się wydawało, że jeśli zna się przyszłość, można uniknąć większości niespodzianek.

— Myślisz, że eliksir ci w tym pomoże?

— Kto wie.

— Przyznajesz więc, że go masz.

— Nie, mówię tylko, że może mi pomóc.

— Nie rozumiem.

— Nie szkodzi. W tym właśnie różnicie się od nas. Jesteście inni. Po prostu zdziecinniliście przez te trzysta lat, które nas dzielą. W naszych czasach nikt by się nie nabrał na ten eliksir. A wy wierzycie. Wierzycie w bajki.

— Nasza technika, zdobycze naszej nauki upoważniają nas do wiary w zjawiska z pozoru nieprawdopodobne.

— Ale jesteście przy tym bardzo naiwni. Nadmiar udogodnień technicznych nie sprzyja myśleniu.

— I ty to mówisz, ty, człowiek z zamierzchłej epoki wczesnoatomowej?

— Nie była ona tak prymitywna, jak myślicie. Z przyjemnością wrócę do niej. Miała ona swoje dobre strony. Zapewniam was.

Oldes ruszył ramionami.

— Doskonale, wobec tego zorganizujemy przerzut w twoje czasy.

Gdy wszedł, starszy o pięć lat, do swojego pokoju, zobaczył Annę.

— No, wreszcie w domu — powiedział. — Jesteś, Anno, wróciłaś. Jak weszłaś?

— Normalnie, drzwiami. Były otwarte.

— Wydawało mi się, że je zamknąłem... Dość dawno temu, ale zamknąłem.

— Może nie powinnam przychodzić. Ale pomyślałam sobie, że nie

mogę cię zostawić na cały wieczór. Wróciłam więc.

— Dobrze, że przyszedłaś... To był chyba maj, sobota...

— Źle się czujesz, Karolu? Zmieniłeś się jakoś.

— Postarzałem się. Przybyło mi parę lat.

— O czym ty mówisz? Rozstaliśmy się przecież przed chwilą.

— Tak, ale tymczasem zostałem przeniesiony w przeszłość.

Właściwie nie wiem, jak ci to mam powiedzieć. To było coś niesamowitego...

— Uspokój się. Usiądź i powiedz wreszcie.

Siadł w swoim fotelu, na którym, wiedział, że za trzysta lat siadywać będzie automat.

— Byłem w Asyrii — powiedział.

— Gdzie?

— Nie przerywaj mi. W starożytnej Asyrii. Przeniesiono mnie w inną epokę. Zdaję sobie sprawę, że to wszystko, co mówię, wygląda na szaleństwo. Ja wiem, że to jest nieprawdopodobne, ale ja byłem! Rzeczywiście byłem. Byłem także w przyszłości... Wierzysz mi?

— Tak, oczywiście, że ci wierzę — odpowiedziała Anna po chwili.

— Wtedy kiedy wyszłaś, pobiegłem za tobą. Wsiadłem do samochodu i znalazłem się w czasolocie. To taki pojazd, który porusza się w czasie. Byłem tutaj, w tym samym mieście, ale po trzystu latach... To było potworne... Wiedziałem, że cię już nie ma...

— Musisz odpocząć... Zrobię ci kawę... — Anna wstała.

— Ty mi nie wierzysz? Myślisz, że oszalałem?

— Ależ nie! Wiem, że mówisz prawdę — Anna mówiła to bardzo

spokojnie.

— Po prostu zrobię ci kawę. Poczekaj.

— Gdybym mógł mieć jakiś dowód i przekonać cię. Anna podeszła do drzwi balkonu i odsunęła zasłonę. — Duszno tu. Otworzę drzwi od balkonu.

— Duszno? Przecież jest chłodno!

— Może masz dreszcze? — podeszła do niego i dotknęła jego czoła.

— Anno! Tu jest przecież zimno! Dlaczego mi wmawiasz, że jest duszno!

— Uspokój się. Zaraz zamknę drzwi.

— Nie, nie! Proszę cię. Otwórz!

— Przyjdzie tu lekarz...

— Co takiego?

— Lekarz. Przed chwilą dzwoniłam do lekarza... Nie zrozum mnie źle...

— Rozumiem. Uważasz, że oszalałem!

— Nie. Naprawdę nie. Wierzę we wszystko. Jestem pewna, że tak było naprawdę. Ale dobrze będzie, gdy poradzimy się lekarza. Może masz temperaturę.

Dzwonek u drzwi wejściowych zadzwonił. Otworzyła Anna. Siedział nieporuszony w fotelu.

— Dobry wieczór! — usłyszał głos. Nie mylił się. Odwrócił się gwałtownie. To był Oldes.

— To ty? Po co przyszedłeś?

— Nie rozumiem — Oldes spojrzał na Annę. — Wspominałam panu, doktorze, że...

— Tak, tak, oczywiście.

— „Doktorze”? Anno, to oszustwo. To nie jest żaden lekarz! To właśnie on! Człowiek z przyszłości! Nazywa się Oldes.

— Karolu, wiem, że mówisz prawdę, ale posłuchaj doktora.

— To nic groźnego — stwierdził Oldes. — Po prostu pan jest wyczerpany nerwowo.

— Po co przyszedłeś! Po eliksir? — Teraz Karol krzyczał.

— Co to takiego? — Oldes zwrócił się do Anny.

— Nie wiem. Mówi, że był w Asyrii.

— Rozumiem... Proszę usiąść...

— Nie zbliżaj się do mnie! radne sztuczki ci nie wyjdą! Jesteś w terażniejszości!

Oldes zatrzymał się niezdecydowany.

— Nie wiem, czy sam dam radę — zwrócił się do Anny. — To wygląda na ciężki przypadek.

— Anno, nie wierz ani jednemu jego słowu! To oszust. Chcą mnie zabić! Wrócili po to, żeby nie zmieniła się ich przyszłość! Włókno Claperiusa! Tak się to u nich nazywa!

— Włókno Claperiusa... O czym ty mówisz?

— Tak, właśnie tak!

— Obsesja śmierci. Dosyć typowy objaw. — Oldes mówił do Anny szeptem.

— Wynoś się stąd! Słyszysz? Wynoś się natychmiast! Nie uda ci się!

— Gdyby była pani tak uprzejma... Tam na dole w karetkie jest pielęgniarz. Sam nie dam rady.

— Nigdzie nie pójdziesz! Nie wychodź, Anno. Nie zostawiaj mnie z

nim. Oni chcą mnie zabić.

— Zaraz wrócę, Karolu — powiedziała Anna i wyszła.

Karol milczał chwilę.

— Zostaw mnie — powiedział w końcu. — Jeżeli mnie zostawisz, dam ci eliksir. Zdobyłem...

— Teraz za późno. Muszę cię zabrać do szpitala. Powiesz przynajmniej, gdzie przechowałeś ten płyn? Przeszukaliśmy cię dokładnie.

— Dałeś się nabrać. Jadąc czasolotem wysiadłem dzień wcześniej i umieściłem go tu, w swoim domu.

— Pilot zgodził się na ten postój? — Oldes nie był całkiem przekonany.

— Powiem ci, ale musisz mi przyrzec...

— Szybko, mów!

— Dałem mu pół butelki.

— Więc to tak? — Oldes podniósł głowę.

— Widzisz. Dam ci drugą połowę, ale pod warunkiem, że pójdziesz stąd i zostawisz mnie w spokoju.

— A co powiem w Centrali?

— To już twoja sprawa. Zresztą jeśli nie chcesz... Ale radzę ci się zastanowić. Wy w przyszłości macie wszystko, ale jesteście śmiertelni. Ty jeden możesz zyskać nieśmiertelność, świeżość umysłu. Podczas gdy twoi przyjaciele będą zgrzybiałymi starcami, ty zachowasz umysł i wygląd trzydziestolatka! To wielka rzecz, Oldes. Spróbuj, mam to tutaj... — Karol wstał i nalał do szklanki nieco białego, przezroczystego płynu.

— Może to trucizna?! W waszych czasach robiło się takie rzeczy...

— Głupcze! Spójrz na mnie! — Karol odwrócił się i spojrzał na Oldesa. — Czy postarzałem się choć trochę przez te pięć lat? Zresztą, proszę bardzo! Sam też wypiję. No? Jeszcze się wahasz? — nalał płynu do drugiej szklanki i wypił.

Oldes wahał się jeszcze przez chwilę i wreszcie wypił także.

— Uuu! Dziwne! Piecze w ustach. — Oldes z trudem łapał powietrze.

— Chciałbyś, by eliksir miał smak wody? Musi w tym być moc, która przywraca młodość!

— To dobre! Mógłbyś jeszcze trochę? Tak na początek?

— Ależ proszę cię uprzejmie — nalał mu pół szklanki. Mam tego kilka butelek.

— Kilka butelek?

— Fakt.

— Wiesz, czuję przyjemne ciepło rozlewające się po całym ciele.

— Pierwszy objaw, że twój organizm się odmładza.

— Jak myślisz, o ile się odmłodziłem?

— No, co najmniej o kilka lat.

— A gdybym wypił na raz całą butelkę?

— Trochę niebezpieczne. Wróciłbyś do dzieciństwa, zacząłbyś bełkotać i chodzić na czworakach.

— Cudowne! Czuję jasność umysłu!

— I wszystko wydaje się łatwe i proste?

— Właśnie!

— Osiągasz mądrość kapłanów asyryjskich.

Oldes wstał, zatoczył się i oparł o bibliotekę.

— Czemu tracę równowagę? — zapytał.

— Młodość oszałamia!

— Dasz mi całą butelkę?

— Proszę — odpowiedział Karol i wręczył Oldesowi butelkę białego płynu.

— Wspaniałe! — Oldes schował butelkę i usiadł w fotelu. Milczeli chwilę, a potem weszła Anna z pilotem.

— Panie doktorze, pan... — zaczął pilot, lecz Oldes mu przerwał.

— Wysiadło się dzień wcześniej po eliksirek, co?

— Co takiego?

— No, już dobrze... — Oldes machnął ręką.

— Co się tu dzieje? — Anna patrzyła na Karola.

— Pan doktor poprosił a coś do picia — wyjaśnił Karol.

— Prze... Przepraszam bardzo... Pani wybaczy... — Oldes wstał i chwycił za ramię pilota. Wracamy, kochasiu. Wracamy...

— Ależ, panie doktorze.

— Idziemy... Przepraszamy... — Oldes, ciągnąc pilota, ruszył ku drzwiom.

— Doktorze, wezwano pana w określonym celu. — Anna chciała go zatrzymać.

— W określonym celu, ale... Przepraszamy, wychodzimy... Wejściowe drzwi trzasnęły. Karol usiadł w fotelu.

— Ale mi się udało. Ty jeszcze nic nie wiesz, Anno. Nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego. Widzisz, dziś o godzinie dwudziestej drugiej zero pięć miałem umrzeć. Właśnie teraz, ale nie

dałem się... Oni już nie wrócą... Rozumiesz? Czas mojej śmierci minął i będę żył dalej... żył dalej, Anno.

— No tak, rzeczywiście. Widzisz, wiem, że to, co mówisz, to prawda. Trudno mi jednak znaleźć rozwiązanie. Lubiłam cię, Karolu...

— Lubiłaś?

— Nie, nie... Widzisz, włókno Claperiusa...

— Tak, to oni tak mówią. Ja miałem umrzeć... Nie potrafię ci tego wszystkiego wytłumaczyć, ale przecież fakt, że byli tu, dowodzi, że to nie mój wymysł... Słuchasz mnie?

— Tak. Oczywiście.

— Myślałem o tobie... Cały czas myślałem o tobie. Chciałem tu wrócić...

Karol urwał, bo usłyszał szum, który słyszał już kiedyś.

— Słyszysz coś, Anno? — zapytał.

— Co takiego?

— Nie wiem. Jakby szum. Wydaje mi się pewnie. Czuję się naprawdę zmęczony... Co ty tam robisz? — zapytał, bo Anna podeszła do okna i wtedy usłyszał słowa:

— MGX-122, operacja awaryjna, powtarzam: operacja awaryjna.

— To był głos Anny.

— Anno? Co ty mówisz? — zawołał. Teraz szum słyszał już wyraźnie.

— MGX-122 wzywa czasolot awaryjny! — Monotonnie powtarzała Anna.

— Spójrz na mnie, Anno!

Widział, jak podchodzi do niego, bierze go za ramiona i bez wysiłku podnosi w górę.

— Nie żartuj. Uważaj. Przerzucisz mnie przez balustradę.

Lecąc krzyczał jeszcze. Pisku opon i gwaru ludzi już nie słyszał. Nie wiedział także, że Anna obciągnęła sukienkę i płuczac szklanki pod kranem, mówiła monotonnym głosem w kierunku zlewozmywaka:

— MGX-122 melduje usunięcie awarii. Człowiek, który przekroczył barierę czasu, nie żyje. Przewidziane wypadki zaszły z trzyminutowym opóźnieniem, bez naruszenia włókna Claperiusa.

WITALIZACJA KOSMOGATORA

Budził się... Budził się z głębokiego snu bez snów, ze snu trwającego dziesiątki lat, z kosmicznego snu, w którym przemierzył świetlne pustki. Był witalizowany. Najpierw zobaczył błysk światła, jasny, płonący punkt, potem rozróżnił pochylający się nad nim kształt, a wreszcie usłyszał głos.

— Kosmogatorze Goer... Kosmogatorze Goer...

Wiedział, że jest to automat, jakiś natrętny automat, taki jak ten, który kiedyś budził go świtem, by zielonym wirobusem zdążył na pierwszy wykład.

— Tak, słyszę — powiedział — ale jest jeszcze ciemno. Jeszcze kwadrans i wstanę...

Automat nie odszedł.

— Kosmogatorze, ośrodki wzrokowe twego mózgu nie pracują jeszcze z pełną sprawności. To minie za chwilę; gdy skończy się ostatni etap procesu witalizacji...

I wtedy zrozumiał, że jest w Kosmosie. Starał się unieść, zrobić drobny ruch i urządzenie, wyczuwszy to, wsparło jego plecy.

— Gdzie... gdzie jesteśmy? — zapytał.

— Twój gwiazdolot osiągnął strefę gwiazdy Regulus.

— Regulus? Jesteśmy więc u celu.

Pamiętał już wszystko, odlot z Ziemi, żółty piasek wydm pozostający w dole za terroplanem, bezgłośnie krzątanie kosmodromu zawieszzonego w próżni, oślepiający płomień z dysz i Słońce, które pozostając za rufą stawało się z wolna żółtą gwiazdą.

— Regulus — powtórzył. — Włącz ekran, chcę tę gwiazdę zobaczyć.

Automat włączył ekran i wtedy Goer ujrzał potężny, biały, atomowy płomień.

— Jesteś pierwszym człowiekiem, który ją widzi z bliska — powiedział automat.

Wiedział o tym. Chciał wstać, podejść bliżej do ekranu i nie mógł...

— Pomóż mi — zwrócił się do automatu. — Czy długo jeszcze będę taki... — chciał powiedzieć „niezdarny”, ale pomyślał, że nie byłoby to właściwe słowo w rozmowie z automatem.

— To normalne. Wszystkie procesy w twoim organizmie przebiegają w normie. Jestem podłączony do ośrodka kontrolującego przebieg twojej witalizacji.

Wiedział, że automat nie kłamie, nie może kłamać.

— Jak długo trwała anabioza? — zapytał.

— Na Ziemi minęło ponad sto lat.

— Sto lat...

Pomyślał, że jest to okres, który człowieka stawia poza czasem.

Nie wiedział, czy automat kontroluje także jego odczucia, ale przypuszczał, że jest to możliwe. Nie myślał więc dalej o czasie.

— Czy wszystkie zespoły kosmolotu pracują normalnie? —

wiedział, że jest to pytanie, które winien zadać kosmogator. Automat jakby zawahał się chwilę, a może było to tylko złudzenie Goera.

— Tak, w tej chwili wszystko w porządku. Miały miejsce drobne awarie. Z poważniejszych — przeciek neutronowy w trzydziestym drugim roku podróży czasu lokalnego.

— W porządku — powiedział Goer i w tej chwili zrozumiał, że nie zna tego automatu. — Ty... ty jesteś Uninavem? — zapytał.

— Niezupełnie. Mam tylko część jego pamięci i niektóre zespoły wykonawcze. Jestem nowym Uninavem, z fragmentami tego, którego ty znałeś.

— To znaczy, że tamten został zdemontowany?

— Tak.

— Dlaczego? Co się stało?

— Wynikła awaria.

— Mów jaśniej. Rodzaj i czas awarii.

Tym razem automat odpowiedział natychmiast, jakby recytował fragment na trwałe zapisany w jego pamięci

— Mechaniczne uszkodzenie części sterującej mózgu. Stało się to w trzydziestym piątym roku podróży czasu lokalnego.

— Co mu się stało?

— Nie mam pełnej informacji. W pamięci mam zapisane, że śluza pancerna w trzecim dziale wewnętrznym gwiazdolotu zamknęła się na nim.

— Co ten szczątkowiec intelektualny tam robił?

— Nie wiem. Ale sprawiłeś mi przykrość.

W tym momencie Goer zrozumiał, że stało się coś poważnego. Czuł

lekki szczękościsk, gdy zapytał:

— Przykrość? Tobie! Automatowi?!

— Nazwałeś go szczątkowcem intelektualnym, a ja jestem częściowo nim.

— O ile wiem, doznanie, o którym mówisz, nie było włączone do pseudopsychiki moich automatów — Goer mówił teraz spokojnie, zupełnie spokojnie.

— Nie wiem. Odczuwam je jednak.

— Zaraz, a oprócz fragmentów Uninava, z czego jesteś jeszcze złożony?

— Zespoły dwu automatów androidalnych, a reszta to nowe elementy.

— Dwu automatów androidalnych?... Co im się stało?

— Zostały uszkodzone.

— W jaki sposób? No, mów! Rozkazuję ci!

— Zostały rozcięte palnikami dezintegrującymi...

— Co? Przez kogo? Słyszysz! — w tej chwili Goer zdał sobie sprawę, że krzyczy, wzbudzając lekki pogłos u sklepienia sali nawigacyjnej.

— Przez automaty specjalizowane w naprawach pancerza. — Automat odpowiedział spokojnie, swoim stonowanym, nieco monotonnym głosem, takim, jak mówią automaty; i Goer pomyślał, że jego krzyk był śmieszny w tym kosmolocie, gdzie jest jedynym człowiekiem.

— W jaki sposób? — teraz mówił już spokojnie, tak jakby rozmawiał o drobnej awarii, która zdarzyła się kiedyś na Ziemi, gdzie

jest dość dużo ludzi, żeby sobie dać radę nawet z najpoważniejszą awarią automatów.

— Z polecenia Autokora, wewnętrznego autokoordynatora gwiazdolotu.

— Połącz mnie z nim na fonii — polecił.

— Wydaje mi się...

— Nieważne, co ci się wydaje — przerwał mu Goer. — Wykonaj rozkaz.

Wtedy usłyszał buczenie. Buczenie zmieniające chaotycznie swe natężenie, przez które przebijały krótkie, urywane piski. I Goer zrozumiał.

— Chciałem powiedzieć tylko... wydaje mi się, że połączenie takie nie ma sensu, bo Autokor jest zdezintegrowany, nie istnieje.

— Dlaczego nie mówisz tego od razu?

— Chciałem...

— Co go zdezintegrowało?

— Automaty specjalizowane w naprawach pancerza.

— Z czyjego polecenia?

— Z mojego.

— To ty, ty już istniałeś?

— Tak.

— A dlaczego wydałeś im to polecenie?

— Prawdopodobieństwo zniszczenia układów sterowania stosem gwiazdolotu było zbyt wysokie.

— Nie rozumiem! Wyjaśnij.

— Autokor zniszczył wiele automatów. Liczby dokładnej nie znam.

Nie została mi przekazana. Ja jednak mogłem rozpocząć działanie dopiero wówczas, gdyby zagrażał celowi podróży. Uszkodzenie stosu stanowiłoby takie zagrożenie... — Goer wiedział już, że to, co zrobił Uninav, było działaniem automatu o pseudopsychice, której złożoność była wysoka, zbyt wysoka. Autokor, automat, który synchronizował wszelkie działanie wewnątrz kosmolotu, został zniszczony. „Automaty specjalizowane w naprawach pancerza...” — tak je określił Uninav. Goer znał te automaty: niewielkie spłaszczone stożki, z których tryska żądło atomowego ognia. Ale Autokor nie powinien dopuścić do swej zagłady. Autokor, który wiedział o wszystkim, co zamknięte zostało w pancerzu kosmolotu...

— Więc wydałeś im polecenie zniszczenia Autokora... powtórzył.

— Tak.

— A ty? Dlaczego ciebie nie zniszczył?

— Nie wiedział, że istnieję. Uninav jest niezbędny do osiągnięcia celu podróży i automaty regeneracyjne odtwarzają go samodzielnie, bez żadnych zewnętrznych poleceń.

Teraz Goer wiedział, lecz jednocześnie zdał sobie sprawę z tego, jak mało wie. Bał się zapytać wprost o to, co było najistotniejsze... o sam kosmolot.

— A kosmolot, czy kosmolot po tym wszystkim jest cały?

— Nie jest uszkodzony.

Automat nie kłamał. Nie mógł kłamać i Goer pomyślał, że mogło to się skończyć gorzej, że mógł być teraz meteorem, kawałkiem materii mknącym przez pustkę w roju odłamków, które kiedyś były kosmolotem. A automaty, z automatami da sobie radę, on, Goer,

cybernetyk i kosmogator, pierwszy człowiek w układzie Regulusa.

— Po powrocie porozmawiam sobie z zespołem cybernetyków projektujących te automaty...

— Nie będziesz rozmawiał.

— Co, zabronisz mi tego?

— Nie, oni nie będą już żyć.

— Tak, masz rację. Jesteś dość wszechstronny jak na Uninava — dodał po chwili.

— Jestem nietypowym Uninavem. Właściwsze byłoby stwierdzenie, że jestem częściowo specjalizowanym układem uniwersalnym z możliwościami samodoskonalenia.

— To może wiesz również, co było przyczyną tej... zbiorowej dezintegracji automatów?

— Wiem. Przeciek neutronowy.

— Przeciek? Naprawdę?

— Wspominałem ci już o nim. Miał miejsce w trzydziestym drugim roku podróży czasu lokalnego. Krystaliczna pamięć Autokora została naświetlona i uległa trwałym zniekształceniom. Zaczął wydawać automatom sprzeczne rozkazy, a gdy nie były w stanie wykonać jednego z nich, demontował je jako nieużyteczne.

— Demontował je... — Goer zastanowił się przez moment.

— To znaczy; że teraz, gdy on jest zdeintegrowany, ty prowadzisz cały kosmolot?

— Tak.

Goer wiedział, że prowadzenie kosmolotu wśród gwiazd i synchronizacja pracy wszystkich jego automatów, że wszystko to nie

jest zajęciem dla jednego, nawet nieprzeciętnego Uninava. Nie powiedział jednak tego. — Zreprodukuje automaty na lot ku Słońcu i wtedy w drodze powrotnej...

— Nie będzie drogi powrotnej.

— Co... coś ty powiedział?

— Kosmolot nie wróci na Ziemię.

— Nie, to niemożliwe, ty kłamiesz!

Zanim to powiedział do końca, wiedział już, że automat powiedział prawdę. Ta bryła metalu i kryształów, z którą rozmawiał, sprzeczał się, dyskutował, była przecież automatem.

— Nie kłamię. Jestem automatem.

— Ty jesteś dziwnym automatem złożonym nie wiadomo z czego. Tylko zwykłe automaty nie kłamią... wiem, to jest reguła.

— Od tej reguły dla mego pokolenia automatów nie ma odstępstw. Mogę jedynie nie mówić całej prawdy...

— Ale tym razem powiedziałaś?

— Powiedziałem. Nie wrócisz na Ziemię!

— Dlaczego, wytłumacz, dlaczego?

— Bo nie ma paliwa na zmianę kierunku lotu. Zostało zużyte.

— Zużyte, kiedy?

— Wtedy, gdy tamten Uninav już nie istniał, a ja jeszcze nie istniałem... Rozumiesz już?

— Autokor!

— Tak.

— Ale dlaczego mnie nie witalizowano? Zawróciłbym na Ziemię... Doprowadził te wszystkie automaty... rozkojarzony złom

cybernetyczny... — Goer zamilkł nagle, a potem zapytał innym już tonem: — A kto wyprostował tor i skierował kosmolot na Regulusa... Kto?

— Ja.

— Ty? I wiedziałeś, że nie wystarczy paliwa na powrót?

— Wiedziałem.

Goer wstał, zatoczył się pod ścianę, lecz uchwyciło go pole siłowe i odsunęło łagodnie. Zrobił kilka niepewnych kroków i sięgnął po dezintegrator, krótką białą rurkę z uchwytem, zakończoną dyszą.

— Kosmogatorze, mój program tego wymagał. Musiałem doprowadzić kosmolot na Regulusa — automat nie mógł zmienić tonu głosu, ale mówił coraz szybciej — kosmogatorze, jestem jedynym pełnosprawnym automatem kosmolotu. Uważaj... nie...

Urwał wtedy, gdy Goer nacisnął spust. Pancierz automatu rozerwał się i brzegi rozcięcia płonęły oślepiająco białym ogniem. Goer zwolnił nacisk palca na spust dopiero wtedy, gdy posadzka za automatem zbrązowiała i zadymiała.

— Wiedziałeś, wiedziałeś, automacie, że nie wrócę — powiedział jeszcze, a potem odwrócił się i zataczając się lekko ruszył ku dyspozytorni kosmolotu.

Wydawało mu się, że wyszedł z dyspozytorni wczoraj. Znał tu każdy ekran, każdy klawisz. Automaty wyczuwszy jego obecność włączyły dyspozytornię do sieci informacyjnej kosmolotu i rzędy szarych ekranów zapłonęły, zamrugały światła kontrolne. Rozpoczął się ten nieuchwytny, bezgłośny ruch, który znał tak dobrze. Gdy

dotknął klawiszy, poczuł ich chłód i jakiś brak gładkości, którego nie znał. Po chwili dopiero zrozumiał, że to kurz, kurz osiadający w ciągu dziesięcioleci w tym sterylnym, nawilgotnionym i filtrowanym powietrzu.

Z tej dyspozytorni sterował kosmolotem tylko on, człowiek. Wszystkie automaty włączone były bezpośrednio w sieć sterującą i ich metalowe wypustki nie dotykały nigdy tych klawiszy.

Wywołał zespoły podręcznego kalkulatora i zaczął obliczać pozycję kosmolotu. Potem wyznaczył tor. Szary ekran kalkulatora rozjarzył się. Zielona strzała pomknęła ku białej tarczy Regulusa, dotknęła jej niemal i przeszła łukiem na drugą stronę ekranu.

— Prawdopodobieństwo wejścia w protuberancję dziewięćdziesiąt siedem i dwie dziesiąte procent — powiedział automat.

— ...i kosmolot zmieni się w parę... — Goer mówił to do siebie, ale automat usłyszał.

— Powtórzyć? — zapytał.

— Nie powtarzać! Milczeć! — a potem dodał już spokojnie — Automat nadawczy.

— Komunikat z anten kierunkowych nadany — zameldował automat.

A więc dowiedzą się, za siedemdziesiąt dziewięć lat dowiedzą się na Ziemi, jak zginąłem. Za siedemdziesiąt dziewięć lat, bo tak długo właśnie wędruje stąd sygnał radiowy na Ziemię — pomyślał Goer i nie był pewny, czy potomkowie odnajdą bez trudu jego imię w kronikach.

— Włączcie ekran zewnętrzny — powiedział do automatów. —

Chcę zajrzeć do pieca...

— Nie rozumiem.

— Nie szkodzi. Włącz ekran.

— Z przesłonami?

— Bez przesłon. Chcę widzieć ją taką, jaka naprawdę jest, ogromna, biała. Uczono mnie, że ma typ widmowy B 5.

— Mylisz się. B 8.

To był inny automat, o tym standardzie głosu, jaki mają automaty przystosowane do długich rozmów z człowiekiem.

— Jeszcze jeden automat? Podaj swoje dane.

— Nie, to w dalszym ciągu ja, Uninav.

Goer patrzył chwilę w tarczę gwiazdy, płonąca białym atomowym ogniem.

— Przecież cię zniszczyłem — powiedział wreszcie.

— Zniszczyłeś tylko android, z którym byłem okresowo połączony.

— A ty? Gdzie jesteś?

— Nie powiem ci, chyba że wydasz taki rozkaz.

— Nie, nie musisz. Dobrze, że trwasz. Nie mam obiektywnych powodów, żeby cię zniszczyć.

— Tak też przypuszczałem.

— W końcu doprowadzenie kosmolotu do Regulusa to twoje zadanie. Jesteś tak zaprogramowany... zresztą to już nie ma znaczenia. Wkrótce zaczniemy parować. Sprawdziłeś obliczenia?

— Tak. Są poprawne.

— Więc nie ma szans ratunku? — Nie było odpowiedzi.

— Dlaczego nie odpowiadasz? — zapytał Goer.

— Bo nie potrafię ocenić, czy to jest szansa.

— Co?

— Za kilka godzin kosmolot przetnie płaszczyznę ruchu siódmej planety układu w odległości około trzydziestu milionów kilometrów od niej.

— Rozumiem. Opisz planetę.

— Na powierzchni związku krzemu. Brak wody. Przyspieszenie półtorakrotnie większe od ziemskiego. W atmosferze azot i gazy szlachetne. Brak tlenu. Szybkość ruchu wirowego około stu sześćdziesięciu dni ziemskich. Temperatury powierzchni od stu osiemdziesięciu do minus stu stopni Celsjusza.

— Raj to nie jest — powiedział Goer, nie wyobrażał sobie życia na takiej planecie.

— Ponadto planeta wykazuje dużą aktywność w szerokim zakresie fal elektromagnetycznych — uzupełnił automat.

— Nie rozumiem!

— Trudno to wytłumaczyć.

— Sprawdź obserwacje!

— Sprawdziłem już. Są ściśle.

Duża aktywność — Goer pomyślał, że najbardziej aktywną radiowo planetą, jaką znał, jest Ziemia.

— Nic innego, tylko mieszkańcy siódmej planety układu Regulusa uruchomili swoje nadajniki i wysyłają fale w Kosmos.

— To może być jedna z hipotez — zgodził się automat. — Czekam na twoją decyzję — dodał.

— Przygotuj rakiетkę krótkiego zasięgu. Lecę na tę planetę. —

Uninav milczał chwilę, a potem zapytał:

— Kosmogatorze, czy pewny jesteś, że twoja decyzja jest optymalna?

— Ty, automat, zwykły automat, chcesz oceniać moje decyzje?

— Jesteś człowiekiem. Zrobisz, jak zechcesz. To, co mówię, nie ma większego znaczenia — i po chwili dodał: — Chcesz, bym mówił dalej?

— Mów.

— Po wylądowaniu na planecie będziesz mógł żyć jeszcze miesiąc, półtora miesiąca. Potem umrzesz.

— To dość typowe zakończenie. Nie mówisz nic nowego.

— To będzie długo trwało, kosmogatorze.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi. Przecież ja tam lecę, nie ty.

— Mylisz się. Muszę lecieć z tobą. W twoim kosmolocie nie ma już automatów, które mogłyby sterować rakieta krótkiego zasięgu.

— Niemożliwe...!

— To fakt, kosmogatorze.

Goer pomyślał, że właściwie nic nie wie o tym kosmolocie i jego automatach, że kosmolotem kieruje nie on, lecz automat, Uninav, zamknięty gdzieś we wnętrzu statku, za pancernymi grodziami.

— Polecisz ze mną, zgoda — powiedział wreszcie.

— Tam są burze piaskowe. Obserwowałem rude wiry pyłu, wielosetkilometrowe chmury. Zasypią rakieta po lądowaniu, zanim otworzysz śluzy.

— Nie muszę tam lądować. Mogę wylądować tak, by wyjść przed rakieta i opalać się w promieniach Regulusa.

— Twój skafander nie przepuszcza promieni...

— Wiem, wiem, nie mówię poważnie...

— Nie rozumiem.

— Nie musisz.

— Ponadto warstwa pyłu pokrywająca planetę miejscami może mieć grubość kilkunastu metrów. Rakieta utonie w niej.

— Nie strasz mnie, automacie...

Goer pomyślał, że i tak wszystko nie ma znaczenia, że niczym nie ryzykuje. Wyparować z kosmolotem czy utonąć w pyłe, w końcu co za różnica. Z drugiej strony przemierzyć dziesiątki lat światła; zginąć i nie dotknąć stopą żadnej planety... Nie po to został kosmonautą... Śmierć w Kosmosie to w końcu normalne.

— W każdym razie, zanim umrę, przeprowadzę eksplorację tej planety w takim stopniu, jak to będzie możliwe... Tak jak kosmonauta powinien.

— Powinien, gdy może uzyskać informację przekazać na Ziemię. Inaczej jest to bezcelowe. A ty, kosmogatorze, nie przekażesz tej informacji nikomu.

— Dyskutujesz ze mną, automacie. Tego cybernetycy nie przewidzieli. Czy nie chcesz lecieć ze mną na tę planetę?

— Polecę. Jestem automatem i nie decyduję.

— Ale nie chcesz?

— To niewłaściwe słowo. Ja nie mogę nie chcieć. Myślę tylko, że gdy ty umrzesz, ja zostanę i trwać będę w zasypanej rakiecie jeszcze ponad czterysta lat, aż wyczerpią się akumulatory...

— I boisz się samotności...

— Będę bezczynny, a do tego nie jest przystosowana pseudopsychika automatu.

— Zabawne. Przecież ty jesteś automatem, tylko automatem. Ale oczywiście... wierzę ci. Mógłbym po wylądowaniu na planecie zniszczyć cię, zdeintegrować.

— To byłoby rozwiązanie.

Goer zastanowił się przez chwilę.

— Nie, to nie będzie możliwe — powiedział. — Po nas przylecą tu inni i jeśli ciebie znajdą... będziesz wiedział... będziesz wszystko pamiętał. Ty musisz trwać, automacie, trwać i czekać, mimo iż prawdopodobieństwo odszukania cię na tej planecie jest prawie żadne. Zgadzasz się ze mną...

— Kiedy startujesz rakieta? — przerwał automat.

— Wylicz to tak, by lot trwał jak najkrócej.

Goer chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nagle usłyszał trzask i w akompaniamencie pisków odezwał się głos:

— Tu aut... Tu aut... tu aut...

— Uninawie, co się stało?

— Odezwał się Autokor.

— Przecież go nie wzywałem...

— Wzywałeś go poprzednio. Teraz odpowiedział. — Piskom zawtórowało buczenie, a wreszcie głosy zlały się w jeden przenikliwy gwizd.

— Autokor, milczeć! — Goer powiedział to cicho, ale mimo hałasu automat usłyszał go i umilkł.

— On tak często?

— Dawno go nie słyszałem — w odpowiedzi Uninava usłyszał Goer jakiś nowy odcień, ale zaraz pomyślał, że było to złudzenie, przecież automaty nie zmieniają intonacji głosu.

— Ciekawe, dlaczego się nagle odezwał. Zresztą do anihilatora z nim... mam inne zmartwienia. Rakieta gotowa?

— Już czeka.

I wtedy do dyspozytorni wszedł android. Bez wezwania podszedł do Goera na dwa kroki i stanął. Goer chciał go zapytać, po co przyszedł, lecz android podniósł specjalizowaną wypustkę i wtedy Goer spostrzegł, że jest to dezintegrator... Dezintegrator wymierzony wprost w niego.

— Wyjść! Wyjść natychmiast! — krzyknął, ale android nie poruszył się.

Goer wstał od pulpitu i ruszył wzdłuż ścian. Automat posuwał się za nim.

— Stój!

Automat szedł dalej. Wtedy Goer stanął. Automat zatrzymał się przed nim w odległości dwu kroków i skierował ku niemu wypustkę dezintegratora. I wtedy Goer zaczął się bać. Chciał się rzucić na posadzkę i wcisnąć między pulpity, lecz wiedział, że android jest szybszy. Wtedy pomyślał o Uninavie.

— Uninavie, dlaczego on nie wykonuje poleceń? Wyjaśnij! Słyszysz?!

— To automat podległy jedynie Autokorowi, należący do zespołu alarmowego.

— Zatrzymaj go!

— Nie mogę. On podlega wyłącznie Autokorowi.

— Ależ Autokor nie istnieje!

— Istnieje już. Przed chwilą włączyłem zasilanie i uruchomiłem go.

— Jak to? Przecież on jest uszkodzony, niszczy wszystko.

— Cel podróży został osiągnięty. Teraz Autokor nie może temu przeszkodzić. A to była przyczyna, dla której go zdeintegrowałem.

— Ale dlaczego go uruchomiłeś?

— Nie zakazałeś tego.

— Ale przecież on...

Goer urwał. Zrozumiał. Powoli usiadł i wtedy android zrobił krok ku niemu i znowu zatrzymał się, zniżając dezintegrator w jego kierunku.

— Tak więc chcesz, by Autokor zniszczył automaty, gwiazdolot, ciebie, wszystko. Wyłącz go! Wyłącz go natychmiast! Rozkazuję!

— Nie mogę. Zniszczył już moje automaty wykonawcze.

— Napraw je!

— Zespoły naprawcze są już uszkodzone.

— Kłamiesz!

— Automaty nie kłamią.

— Czy Autokor reaguje na rozkazy z zewnątrz?

— Nie.

— Sprawdzę. Autokorze! Zatrzymaj wszystkie automaty. Zatrzymaj wszystkie automaty. Zatrzymaj! Rozkazuję! — Goer wstał. Patrzył na android, gdy zrobił krok do tyłu. Ale android ruszył za nim. Teraz wiedział już, że Uninav mówił prawdę.

— Dlaczego on za mną idzie, Uninavie?

— Otrzymał rozkaz zniszczenia ciebie. Ale każdy z nich, nawet z tych prymitywnych automatów, ma układ nie dopuszczający do dezintegracji człowieka. Gdybyś był automatem, nie istniałbyś już. Jako człowiek jesteś tu bezpieczny.

— Ale on idzie, idzie za mną.

— Rozkaz nie został cofnięty. Zabezpieczenie nie zabrania mu zbliżania się do ciebie.

Goer zatrzymał się. Czuł, że dość ma tych automatów, Autokora i Uninava, że zniszczy je lub przekształci i wtedy będzie to znowu kosmolot, a nie trumna z rozkojarzonymi automatami.

— Wezmę dezintegrator i zniszczę Autokora — powiedział.

— Nie zdążysz — Uninav odpowiedział natychmiast. — Sterowanie stosu jest uszkodzone i wybuch nastąpi w najbliższych kilkunastu minutach.

— Więc co mam robić?

— Możesz jeszcze startować raketką.

— A ty? Przenieś się do niej. Rozkazuję ci!

— Androidy tną teraz pancierz mojego pomieszczenia. To potrwa jeszcze trochę. Pancierz jest gruby. Mógłbym ci pomóc wystartować. Ale wydałeś rozkaz. Otwieram śluzy pomieszczenia.

— Stój! Zostań! Bez ciebie nie wystartuję.

— Idź do raketki. Pospiesz się...

Goer chwycił dezintegrator i pobiegł korytarzami w głąb kosmolotu, ku śluzom, tam gdzie stała raketka. W biegu mijał grupki automatów tnących palnikami panczerze, przeskakiwał przez gorące, płonące wiśniowym żarem płyty wykrojonych ścian i mijał

znieruchomiałe, osmalone ogniem automaty zastygłe w swym mechanicznym ruchu. Za sobą słyszał tupot androida, aż wreszcie na jakimś zakręcie mały stożkowy automat, specjalizowany w naprawach pancerza, przepuściwszy Goera, przeciął w pół androida ogniem swego dezintegratora. W powietrzu wisiał dym i swąd palonej izolacji. W głębi kosmolotu raz po raz coś wybuchało i gorący podmuch owiewał mu twarz. Wreszcie minął ostatni załom korytarza i był przy śluzach. Rakiетка czekała z otwartym włazem. Zatrzasnął go za sobą i wtedy usłyszał głos Uninava:

— Jesteś gotów, kosmogatorze?

— Gotów — odpowiedział.

Poczuł lekkie uderzenie w, plecy, cichy gwizd i zobaczył w ekranie gwiazdy.

— Uwaga, kosmogatorze — głos Uninava był nadal wyraźny. — Szybkość rakiетки trzysta dwanaście kilometrów na sekundę względem planety. Idziesz torem stycznym. Moment uruchomienia silników hamujących podany jest na twoim mnemotronie. Powodzenia.

— Zrozumiałem.

I wtedy Goer w głośniku usłyszał buczenie.

— Co się stało? Jesteś uszkodzony?

— Nie.

— Więc co się stało?

— Ja się śmieję — odpowiedział automat po dłuższej chwili.

— Nie rozumiem.

— Tak to można wyrazić używając słów zastrzeżonych dla

człowieka.

— Tak. Teraz rozumiem. Bez odbioru!

BIOBAZARD

Cieżarówka zatrzymała się przed zakrętem; Wysiadł, chwycił swoją gdzieś tam przetartą torbę podróżną, uśmiechnął się raz jeszcze do kierowcy i ruszył w górę. Za sobą słyszał warkot ciężarówki mijającej zakręt i zjeżdżającej w dół, w dolinę. Szedł powoli i zatrzymywał się co dwieście, trzysta metrów, mimo że boczna droga, w którą skręcił, była dość szeroka i wznosiła się pod niewielkim kątem przecinając stok. Poprzez koszulę czuł na plecach ciepło promieni popołudniowego słońca. Wokół na białych skałach rosły karłowate sosny, ale słońce wysuszyło je podczas upalnego dnia i czuł tylko zapach swego potu i ledwo uchwytną woń morza, które było gdzieś za najbliższymi wzgórzami. Minął tablicę zakazu wjazdu i drugą informującą o tym, że znajduje się na terenie prywatnym. Gdy ją mijał, ból nasilił się. Stanął i z górnej kieszeni koszuli wyjął fiolkę z pastylkami. Wysypał je na rękę, wsunął jedną pod język i po krótkiej chwili wahania jeszcze połówkę następnej. Nie czekał, aż ból ustąpi zupełnie, i ruszył dalej. Dalej było więcej cienia, bo drzewa były wyższe. Jeszcze jeden zakręt i stanął przed bramą. Spodziewał się jakiejś tablicy, ale brama była anonimowa, kuta z żelaza, nieco staroświecka. Obok stała portiernia zbudowana jak wszystko tutaj z

białego kamienia. Wszedł do niej i wtedy zobaczył człowieka. Tamten siedział za niewielkim, przymocowanym do ściany stolikiem, na którym stał telefon. Miał na sobie coś, co mogło być uniformem, bo guziki błyszczały metalem, ale nie miał pasa ani czapki, tylko na głowie niewielki metalowy hełm okrywający potylicę.

— Pan był umówiony? — zapytał.

— Nie. Przyszedłem...

— Przeczytał pan tablicę?

— Oczywiście, ale...

— Proszę się zastosować do tego, co pan przeczytał, i opuścić teren. To własność prywatna.

Gdybym przyjechał tu własnym samochodem, rozmawiałby ze mną inaczej — pomyślał mężczyzna.

— To posiadłość doktora Egberga? — zapytał.

— Tak, ale powiedziałem już panu...

— Jestem przyjacielem doktora Egberga, znajomym z dawnych lat — dodał, by osłabić poprzednie zdanie, które nie było prawdą. Człowiek w uniformie nie zdziwił się, nie zawahał, tylko podniósł słuchawkę telefonu.

— Mówi brama — powiedział. — Z sekretariatem doktora proszę. Centrala widocznie łączyła.

— Pana nazwisko? — zapytał ze słuchawką przy uchu.

— Ralf Molnar, profesor Ralf Molnar — uzupełnił, przypomniawszy sobie, że Egberg będzie go pamiętał jako profesora.

Odźwierny pozostał obojętny, tak jakby anonsowanie profesorów przychodzących pod bramę z siwiejącym dwudniowym zarostem było

jego codzienną czynnością. Potem podał jego nazwisko i czekali obaj. Molnar oparty o mur, tamten nieruchomo wpatrując się w jakiś punkt na murze.

— Tak. Przyjdą po pana — powiedział w końcu. — Proszę zostawić swoje rzeczy.

— Moje rzeczy?

— Tak. Przyniesiemy je panu później. Tu są takie zwyczaje — dodał, jakby to wyjaśniało wszystko.

Molnar wzruszył ramionami i pchnął nogą swoją torbę w kierunku odźwiernego. Wtedy na ścieżce usłyszał kroki. Odwrócił się. To była dziewczyna, wysoka dziewczyna w letniej sukience bez rękawów. Tyle zauważył.

— Doktor Egber prosił, abym pana przywitała w jego imieniu. Mam się również panem zaopiekować, profesorze, i zapytać, czy zostanie pan u nas na dłużej...

— Zobaczę. Nie wiem jeszcze.

— W każdym razie do jutra na pewno. Jest już późno. Zresztą doktor zaprasza pana na kolację.

Szedł teraz za nią wykładaną kamieniem aleją, wśród gęstych, nie znanych mu krzewów. Musiały być tu specjalnie sadzone — pomyślał patrząc równocześnie na długie, mocno umięśnione, a mimo to smukłe nogi idącej przed nim dziewczyny. Znowu poczuł ból i ucisk w piersi, za mostkiem, ale nie zatrzymał się. Dom musiał być blisko. Rzeczywiście, wychodził w ogród wielką nie oszkloną werandą i nagle Molnar zdał sobie sprawę z tego, jak duży jest to dom. Jego wielkość maskowała zieleń, drzewa wpychające swe gałęzie wprost w

okna i pnącza wspinające się po ścianach, sięgające pod sam niemal dach.

— Będzie pan mieszkał na pierwszym piętrze, profesorze — powiedziała dziewczyna, gdy wchodzili do domu.

Szła wprost ku schodom i wtedy Molnar zatrzymał się na chwilę. Stał przed wielkim, ciemnym obrazem oświetlanym przez niskie, czerwone promienie wieczornego słońca, ale nie widział obrazu — czuł tylko ból. Dziewczyna także zatrzymała się na chwilę. Nie powiedziała nic, tylko podeszła do windy i wcisnęła klawisz wezwania. Nie patrzyła chyba na niego, a jednak nie mógł się zdecydować na wyjęcie fiołki. Z wolna ból ustępował i widział już teraz monstrualną ośmiornicę sięgającą na obrazie dziesiątkami macek po żaglowiec idący pełnym wiatrem po wzburzonym morzu.

— Jest już winda, profesorze — powiedziała dziewczyna.

Chciał powiedzieć, że niepotrzebnie ją wzywała, ale nie powiedział nic. Wjechali na piętro i przeszli korytarzem gdzieś w głąb domu. Wygląda to jak hotel — pomyślał Melnar korytarz i dziesiątki drzwi. Drzwi bez klamek — dodał, zdając sobie równocześnie sprawę, że to nie ma sensu. — Normalny, duży dom.

— To tutaj — powiedziała dziewczyna i przepuściła go pierwszego.

Stał w pokoju, gdzie znajdowały się wszystkie niezbędne sprzęty oraz wielki telewizor. Na łóżko nie spojrzął nawet. Spał wszędzie dobrze, tak jak dawniej w młodości, a nie był tak wysoki, by niedostateczna długość łóżka mogła być problemem.

— Łazienka jest tutaj — dziewczyna uchyliła drzwi.

— A moje rzeczy?

— Będą zaraz.

Spostrzegł, że patrzy na niego i uśmiecha się. — Ciekawe, ile ma lat — pomyślał — na pewno wygląda na mniej niż ma w istocie.

— Doktor Egberg odezwie się wkrótce do pana.

— Odezwie się?

— Tak. Zapewne złoży panu telewizytę. Oczywiście zapowie się wcześniej.

— Ach, tak?

— Gdyby pan czegoś jeszcze potrzebował, proszę mnie zawołać.

— Zawołać?

— Mam na imię Mag.

— Ale jak zawołać?

— Panno Mag... albo po prostu Mag,

— Tu, w tym pokoju?

— W pokoju albo w łazience. Trochę głośniej niż pan zazwyczaj mówi, tak żeby dyskryminatory przepuściły.

— Tak, rozumiem — powiedział Molnar. Coś zaszurało za drzwiami i odezwał się brzęczyk umieszczony gdzieś u sufitu.

— Są już pana rzeczy — powiedziała dziewczyna. Uchyliła drzwi i sięgnęła po stojącą za nimi torbę.

— Po co to wszystko. Mogłem ją sam przynieść...

Nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się raz jeszcze i wyszła. Wtedy zobaczył w miejscu, w którym przed chwilą stała, jej sandał. Zgubiła sandał i nie zauważyła tego. Podniósł go z podłogi i szarpnął drzwi. Przez moment stawiały opór a potem otworzyły się.

Zupełnie jakby podejmowano decyzję, że mogą się otworzyć —

pomyślał. Na korytarzu nie było nikogo. Stał przez chwilę z sandałem w ręce i nagle uświadomił sobie, że przez cały czas, od kiedy wszedł do tego domu, nigdzie nie spotkał nikogo.

W godzinę potem, ogolony, wykąpany i przebrany w wyjętą z torby koszulę, siedział w niezbyt wygodnym fotelu i patrzył w mrok za oknem. Klimatyzacja bezgłośnie tłoczyła chłodne powietrze, powietrze o zapachu soli i wodorostów, i przez chwilę wydawało mu się, że jest to prawdziwy powiew wieczornej bryzy, zanim nocą zmieni swój kierunek. Drzewa za oknem były nieruchome i widział tylko ruchliwe wielokąty nietoperzy na tle jaśniejszego jeszcze nieba. Zanim usiadł w fotelu, próbował otworzyć okno, ale zasuwę nie drgnęły nawet, mimo że napierał na nie z całej siły. Jestem zbyt słaby — pomyślał i zrezygnował, bo po wysiłku przychodził zawsze ból.

Siedział nieruchomo i myślał o portowej dzielnicy, w której ostatnio mieszkał, małym pokoiku (z jednym oknem), do którego szło się po stromych jak drabina schodach, o barce dwie przecznice dalej, gdzie siadywał popołudniami, i codziennej drodze do pracy rankiem wąskimi zakurzonymi uliczkami. O instytucie i dawnych czasach nie myślał nigdy.

— Dobry wieczór, profesorze — usłyszał głos tuż za sobą i odruchowo odwrócił się.

W pokoju nie było nikogo, tylko na matowym dotąd ekranie zobaczył twarz. To był Egberg, poznał go od razu, mimo tych kilkunastu lat, które minęły od czasów, gdy widywał go codziennie w instytucie. Te same szeroko rozstawione ciemne oczy i szerokie zrośnięte brwi.

— Cieszę się, że pana widzę, że mnie pan odwiedził.

— Cóż, prawdę mówiąc nie miałem innego wyjścia. Inaczej nie przyjechałbym tu.

— Widzę, że się pan nic nie zmienił przez te wszystkie lata. Zawsze mówił pan to, co chciał pan powiedzieć, w sposób najprostszy. Takim właśnie pana pamiętam.

— Domyśla się pan zapewne, po co przyjechałem?

— O tym może później. Zjemy razem kolację. Pamiętam, że lubił pan pstrąga z pieczarkami. Zawsze na wtorkowym obiedzie u Petty'ego.

— Od tych czasów zmieniły mi się gusty.

— Poleciałem jednak przygotować tę potrawę. Pstrągi sprowadzamy tu samolotami.

— Podziwiam pana pamięć.

— Byłem wtedy w tym wieku, gdy zapamiętuje się prawie wszystko. A wtorkowy obiad z panem to był szczyt marzeń każdego z nas. No więc oczekuję pana. Moja sekretarka za chwilę po pana przyjdzie — ekran zmatowiał.

Pstrągi u Petty'ego. Zapomniałem, że kiedykolwiek je jadłem — pomyślał Molnar.

— Pani sandał, Mag. Zgubiła pani sandał powiedział, gdy weszła.

— Nie szkodzi, mam ich dużo. Ja często gubię sandały — powiedziała.

— Jestem roztargniona... — dodała, gdy spostrzegła, że patrzy na nią uważnie. — O, widzi pan, mam już nowy!

Podał jej sandał, a ona wzięła go jakoś niezdecydowanie, co

Molnar spostrzegł i zapamiętał.

— Doktor Egberg czeka — powiedziała. Przeszli znowu tym samym korytarzem i zeszli na parter. Korytarz oświetlały małe, żółto świecące lampki ze staromodnymi żarówkami. Wygląda to jak hotel gdzieś z początku wieku — pomyślał Molnar. Jadalnia, do której weszli, oświetlona była w ten sam sposób. Stół nakryty na dwie osoby, nakrycia ustawione naprzeciw siebie, tak że jedno pozostawało nieco w mroku. Znam Egberga, to ja będę siedział w pełnym świetle — pomyślał i spojrzął na ciemny, wieczorowy strój doktora. W swoich starych spodniach poczuł się przez chwilę nieswojo. Ale był to tylko moment.

— Naprawdę cieszę się, że pana widzę — powiedział Egberg i wskazał mu miejsce, które przewidywał.

Usiedli i wtedy Molnar spostrzegł, że Egberg też już nie jest młody. Był szpakowaty, właściwie prawie siwy, tą siwizną brunetów, która zaczyna się koło trzydziestki. Ale Egberg był starszy. Gdy widział go po raz ostatni, miał dwadzieścia kilka lat.

— Trafił pan tutaj do mnie bez trudu?

— Pana lecznica to znany ośrodek. Znany na całym kontynencie.

Egberg skrzywił się lekko.

— Raczej instytut, profesorze. To, że czasem przyjmuję kilku zamożnych pacjentów, o niczym nie świadczy. Z czegoś muszę utrzymać to wszystko. Ale przede wszystkim instytut. Prowadzimy interesujące prace, które w pewnym zakresie są kontynuacją tego, nad czym kiedyś pracowaliśmy wspólnie.

— Ja już nie mam z tym od dawna nic wspólnego. Na szczęście nie

mam.

— Widzę, że pan już nie operuje — Egberg patrzył na dłonie Molnara.

— Nie jestem ani chirurgiem, ani neuronikiem. Dziś nie utrzymałbym nawet skalpela podniósł swoje dłonie tak, żeby tamten mógł się im przyjrzeć. Wiedział, że są spękane, z czarnymi śladami smaru w załamaniach skóry.

— Mówiono mi, że w ogóle porzucił pan nasz zawód. Początkowo spodziewałem się pana spotkać na jakimś kongresie, konferencji...

— Cóż bym tam robił? Wtedy skończyłem z tym wszystkim definitywnie.

Za to czytywałem o pana sukcesach w prasie codziennej, obok sportu i kroniki wypadków — dodał, by tamten nie zrozumiał tego inaczej. Podano zimne przystawki. Człowiek, który im usługiwał, robił to niezręcznie. Był to potężny mężczyzna, z trudnością mieszczący się w swym ubraniu. Molnar wyobraził sobie pięść tamtego trafiającą go w żołądek.

— A myśmy pana wspominali wielokrotnie — Egberg patrzył w jakiś punkt nad głową Molnara: — Chociaż pana decyzja nie mogła niczego zmienić, był to niewątpliwie dowód dużej odwagi.

— Nie przesadzajmy. Po prostu w pewnym momencie zrozumiałem, że nie ma tam dla mnie miejsca. Nic więcej.

— Niewiele ludzi tak by postąpiło. No; zdrowie pana, profesorze. Pije pan, prawda?

— Jeszcze niekiedy piję. Wysiłek woli koncentruję na niepaleniu — podniósł kielich białego wina.

Gdy podano pstrąga, zdecydował się wreszcie. Dawniej poczekałby z tym do kawy, ale pomyślał, że teraz zwyczaje świata, do którego już nie należał, nie obowiązują go dłużej.

— Domyśla się pan, doktorze, dlaczego pana odwiedziłem? — zapytał.

Tamten skinął głową.

— Niech się panu nie wydaje, że przyszedłem po pierwszych objawach.

Jestem po dwu zawałach i trzeci wydaje mi się kwestią najbliższych dni. Pozostałem trochę lekarzem. Z tego trzeciego nie wyjdę. Przy charakterystyce moich tkanek przeszczep nie wchodzi w rachubę. Prawdopodobieństwo powrotu do normalnego życia — prawie żadne. A wegetować jeszcze rok czy dwa w szpitalu... To mnie nie interesuje.

— Chce pan, jednym słowem, dostać sztuczne serce?

— Właśnie.

— I stać się cyborgiem?

— No... tak.

— Przy pana poglądach na tę sprawę?

— Doktorze. Sam wszczepiałem pierwsze modele tych urządzeń. Moje zastrzeżenia zawsze dotyczyły mózgu i tylko mózgu. Chyba pan o tym pamięta.

— Oczywiście. Był pan znanym orędownikiem limitowanej cyborgizacji. Serce — świetnie, wątroba czy nerka — wspaniale, ale wara od mózgu. To były pana poglądy, profesorze.

— Tak, i nie zmieniłem ich.

— Gdyby je pan wtedy przeforsował, gdyby się panu udało, nasz instytut byłby dziś prowincjonalną, placówką bez znaczenia, a ja... ja przeszczepiałbym może serca w jakimś podrzędnym szpitaliku.

— Zrobił pan wtedy wszystko, żeby mi się nie udało.

— To prawda. Ale to nie jest ważne. Gdybym to nie był ja, byłby ktokolwiek inny. Postępu nie można zahamować.

— Jeżeli to jest postęp?...

Egberg nie odpowiedział. Dopił swój kieliszek wina i chwilę milczeli.

— Więc wie pan już, doktorze, o co mi chodzi — powiedział Molnar i odsunął pełny jeszcze talerz. Czuł narastający, gniotący ból. Nie wolno mi myśleć tak o tych sprawach. Nie jestem już profesorem. Nie mam z tymi problemami nic wspólnego. Jestem zwykłym starym elektromechanikiem z warsztatu żeglugi przybrzeżnej, który chce mieć wszczepione sztuczne serce.

— Dlaczego wybrał pan mnie akurat, mój instytut?

— Z tych kilku, w których można to zrobić, na tej półkuli robi to pan najlepiej. Zresztą gdzie indziej nie miałby żadnych szans. Po prostu brak pieniędzy, doktorze.

— Są jeszcze normalne kliniki...

Wiem, co chce pan powiedzieć. Tak, tam przyjęliby mnie może nawet za darmo. Ale musiałbym podpisać zobowiązanie, że zgadzam się na eksperymentalne metody i wszystko, co się z tym wiąże. A to jest może niezupełnie jawna, ale jakaś forma doświadczeń na człowieku. Poza tym, jaką mi oni dają gwarancję, że po tych eksperymentalnych metodach będę sprawnym człowiekiem. A mnie

nie zależy na byle jakim przeżyciu. Chcę pływać, wiosłować, biegać po schodach, chcę żyć naprawdę.

— Zmienił pan zainteresowania. Dawniej tygodniami nie opuszczał pan instytutu. Mieszkał pan tam prawie.

— To, co było kiedyś, nie ma żadnego znaczenia. Wie pan, co teraz robię? Konserwuję automatyczne urządzenia nawigacyjne na statkach, które pływają od portu do portu i rozwiją drobnicę. Kończę pracę i resztę czasu mam dla siebie. Żadnych rozmyślań ani problemów. Czasem jakaś książka...

— Tak, rozumiem. Wolałbym, żeby pan miał pieniądze. Wtedy ja nie miałbym żadnych problemów. Zwyczajny pacjent...

— Wtedy zapewne nie zwróciłbym się do pana.

— Jest pan przynajmniej szczery, profesorze. — Zastanawiałem się długo, zanim do pana przyszedłem. Myślałem o drugiej półkuli. Tam robią to za darmo. Kiedyś, gdy byłem jeszcze profesorem Molnarem, zrobiliby to na pewno, ale dziś... Dziś z trudnością zebrałbym pieniądze na podróż.

— Rozważył więc pan wszystkie możliwości i zostałem ja.

— Właśnie.

Egberg nie odpowiedział. Talerze zostały tymczasem zmienione. To, co podano, było pieczenią z sarny, ale Molnar już nie jadł. Czuł, jak ból nasila się i promieniuje za obojczyk. Egberg nie nalegał. Jadł sam szybko i obaj milczeli.

— Uważa pan, że teraz moja kolej? — zapytał w końcu Egberg.

Molnar milczał.

— Nie odpowiem panu tak po prostu. Muszę się zastanowić...

— Oby nie za długo. Mógłbym tutaj panu umrzeć. Nie, nie sądzę, żeby miał pan jakieś kłopoty, nawet gdyby sprawdzili, kim byłem i co nas, mówiąc oględnie, kiedyś dzieliło. To w końcu dawne sprawy. Na wszelki wypadek w moich rzeczach jest adres mego lekarza. Zaświadczy, iż fakt, że żyłem tak długo, jest i tak znacznym odchyleniem od tego, czego należałoby oczekiwać.

— Dobry specjalista?

— Cóż, prowincjonalny lekarz w średnim wieku, ale i przypadek nie jest trudny.

— Mam już ten adres. Jutro otrzymam wszystkie dane, jakie on posiada.

— Przeszukał pan moje rzeczy.

— Jak pan widzi. Zresztą nie ja osobiście.

— Przynajmniej pan też jest szczery. To coś nowego. Nie przypuszczałem, że przychodzi to z wiekiem.

— Pan mnie zawsze źle oceniał, profesorze. Nigdy nie zwalczałem pana osobiście. Zwalczałem tylko pana poglądy.

— Rezultat był ten sam. Nie wracajmy zresztą do tych spraw.

— Słusznie. Czy napije się pan kawy? Moim zdaniem nie może to panu zaszkodzić.

— Zgoda.

— Przejdźmy więc do mego gabinetu.

Kawa i koniak już na nich czekały na niskim stoliku, ustawionym obok wielkich, krytych skórą foteli. Światło było żółte, przyćmione, jak w całym domu. W głębi Molnar zobaczył w mroku coś, co przypominało wielki pulpit sterujący. Pulpit był ciemny, tylko prawie

na jego skraju błyskało pojedyncze czerwone światełko.

— Przepraszam, profesorze, na moment. Coś się jednak w instytucie dzieje. — Egberg podszedł do pulpitu, nad którym w tej samej chwili rozbłysnęły dwie jasne, promieniujące dziennym światłem lampy. Na ekranie pojawiła się twarz człowieka w białym kitlu.

— Co nowego, Dorn? — zapytał Egberg.

— W porządku. Tylko szesnastka jest niespokojna. Dlatego niepokoilem pana.

— Próbowalesz dać napięcie polaryzujące?

— Tak. Nie pomaga.

— Dobrze, zaraz zobaczę — powiedział Egberg i odwrócił ekran tak, że Molnar nic już nie widział. Trzasnął przełącznik i Molnar usłyszał wycie, monotonne, niskie, prawie nieczłowiecze. Wstał i uważając, by nie potrącić stołu, podszedł do pulpitu. Egberg, pochylony nad ekranem, stał odwrócony do niego plecami. Był wyższy od Molnara i zasłaniał część ekranu. W pozostałej zobaczył jednak Molnar rękę kobiety, może dziecka. Dłoń rozwierała się i zaciskała kurczowo, potem było przedramię, a dalej metal, dziwna spleciona siatka prężąca i napinająca się w takt skurczów dłoni. Patrzył chwilę na rękę, a potem spojrział w głąb ekranu. Tam, w wielkim przezroczystym kloszu pływał mózg. Nie mógł się mylić, był neuronikiem. Nagle wycie ustało, ekran zgasł. Egberg odwrócił się i patrzył z góry na stojącego tuż przed nim Molnara.

— To był mózg — powiedział Molnar.

— Oczywiście.

— I ręka człowieka.

— Ręka była człowieka, ale mózg małpy. Steruje ręką człowieka jako urządzeniem lepiej wyspecjalizowanym od kończyn małpy. Podwójny układ hybrydowy.

Egberg zgasił światła nad pulpitem sterującym i Molnar widział już tylko fotele, stoliki i parującą kawę.

— Proszę, niech pan siada, profesorze. Prawdziwy naukowiec jest zawsze ciekawy, nieprawdaż?

— Ale po co... ten układ?

— Jakieś najprostsze usługi... podawanie płaszczy w szatni, zawijanie w papierki cukierków. Wszędzie tam, gdzie nie wymaga się nadmiaru myślenia, a ręka człowiecza jest sprawna... lub mile widziana. Gdybym jechał na jesienny kongres neuroniki, ustawiłbym tego cyboroga u wejścia i podawałby wszystkim wchodzącym dłón.

— Obłądny pomysł.

— Ma pan rację. Może w nie najlepszym tonie, ale reklama murowana. Niestety nie jadę na kongres...

Pili teraz kawę w milczeniu. Niepotrzebnie tu przyjechałem — pomyślał Molnar. — To było do przewidzenia, że nie da mi sztucznego serca. Zapewne myśli teraz, w jaki sposób mi odmówić, tak żeby później nie mieć do siebie żalu. Chociaż czy taki człowiek miewa w ogóle do siebie samego żal o cokolwiek, co zrobił, a tym bardziej o to, czego nie zrobił. Potem pomyślał o swoim metalowym łóżku, chrobocie owadów w ścianach swego domu i wyciu syren statków wychodzących w morze.

— Pójdę już chyba do swego pokoju — powiedział — i jutro rano

odjadę.

— Ależ profesorze, nie skończyliśmy naszej rozmowy.

— Obawiam się, że wynik jej i tak jest przesądzony.

— Przecież nie dałem jeszcze panu odpowiedzi.

— W tej chwili wydaje mi się to mniej ważne. — Zawsze pod wieczór ogarniają nas wątpliwości, których nie mamy rano. Dobranoc, profesorze. Moja sekretarka pana odprowadzi.

— Ta, co gubi sandały...

— Tak. Jest pan spostrzegawczy, profesorze — dodał po chwili.

Mag już stała w drzwiach.

— Dobranoc — powiedział Molnar i wyszedł za Mag.

Gdy został sam w pokoju, próbował otworzyć okno, bez rezultatu, tak jak poprzednio. Chciał wyrzeć na korytarz i zawołać Mag, by mu pomogła, ale drzwi nie ustąpiły. I wtedy po raz pierwszy pomyślał, że stąd już nie wyjdzie. Mógł zawołać Mag czy Egberga, ale pomyślał o gabinecie i pulpicie, na którym zapali się czerwone światelko. Zrezygnował. Zbudziło go pukanie. Delikatne pukanie do drzwi jak w zwyczajnym domu. Za oknem świeciło słońce i zaczynał się codzienny upał trwający tutaj aż do późnego popołudnia.

— Tak, proszę — powiedział i podciągnął prześcieradło z kocem, którym był nakryty, pod samą szyję.

Weszła Mag i przyniosła tacę ze śniadaniem. Poczł zapach kawy.

— Dziękuję. Dlaczego jednak pani, a nie tamten...

— Ja opiekuję się panem. Myślałam, że robię to dobrze.

— Wyśmienicie. Poproszę jeszcze panią o otworzenie okna.

— Teraz jest upał i pył w powietrzu. Może wieczorem...

— Wieczorem już próbowałem.

— Ach, to pewnie jest pokój izolowany.

— Izolowany?

Nie odpowiedziała.

Jest speszona — pomyślał Molnar — obawia się, że powiedziała już za dużo.

— Pani nie chce mi odpowiedzieć, Mag.

— Proszę zapytać doktora Egberga. To przecież pana przyjaciel...

— Tak, oczywiście. Zapytam.

Widział ją po raz pierwszy w pełnym dziennym świetle. Wtedy przy bramie był zbyt zmęczony, by się jej przyjrzeć. Naprawdę ładna dziewczyna. — Z tych, które nie zwracają na siebie uwagi, są zawsze w drugim szeregu pomyślał i poczuł nieokreślony żal, który odczuwał niekiedy w ostatnich latach, gdy widział dziewczynę taką jak ta.

— Przyjdę do pana po śniadaniu. Doktor Egberg chciałby się z panem zobaczyć.

Skinął głową, już pochylony nad tacą. Czekał, aż wyszła, a potem podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Drzwi poddały się po tej drobnej chwili, która potrzebna jest elektromechanicznemu sterowaniu do podjęcia decyzji. Potem wrócił do śniadania. Był głodny i chciał mieć coś w żołądku przed kilometrami drogi, które go czekały. Ogolił się jeszcze, zebrał swoje rzeczy i wsunął do torby. Był zdecydowany. Wyszedł na korytarz, a potem schodami w dół. Tak jak przypuszczał, nie spotkał nikogo. Alejka wiodąca do bramy była teraz w pełnym cieniu, bo słońce zasłaniał .dom. Szedł miarowym krokiem, który odliczał w myśli, Nie za wolno i nie za szybko. Gdy dochodził do

bramy, naprzeciw wyszedł mu odźwierny. — Ten sam co wczoraj — pomyślał Molnar. Chciał go wyminąć, ale tamten schwycił go za rękę.

— Dokąd? Nie wolno.

Nie odpowiedział, tylko wolną ręką z całej siły uderzył tamtego w żołądek. Już w momencie uderzenia wiedział, że to, w co trafia, nie jest ciałem. Odźwierny prawie się nie poruszył. Nie zmienił nawet wyrazu twarzy. Molnar poczuł tylko, że palce odźwiernego jak metalowe szczypcy rozgniatają mu ramię. Upuścił torbę. Tamten pchnął go lekko w pierś i puścił. Molnar zatoczył się.

— Nie wolno — powtórzył odźwierny.

Przejdę. Muszę przejść — pomyślał Molnar. Chciał zrobić krok w kierunku odźwiernego i nie mógł. Przyszedł ból taki, że nic poza nim nie było. Nie chciał upaść. Zacisnął zęby. — To przejdzie, zaraz przejdzie. — Potem widział już tylko wierzchołki sosen. Uderzenia upadku nie poczuł nawet. Wierzchołki sosen były rozmazane i coraz bardziej zlewały się z tłem nieba.

Gdy otworzył oczy, Egberg pochylał się nad nim. Ból, który znał i którego nadejście bezbłędnie rozpoznawał, znikł. Piekła go tylko skóra, gdzieś z wierzchu na klatce piersiowej. Spojrzał tam, ale był przykryty po szyję i zbyt słaby, by się poruszyć.

— Już wszystko dobrze — powiedział Egberg. — Miał pan szczęście, profesorze.

— Szczęście?...

— Gdyby nie to, że jest pan tu, w instytucie, już by pan nie żył. I tak ledwo zdążyłem. — To był już koniec.

— Tak.

— A teraz?

— Ma pan sztuczne serce:

— Więc jednak?

— Ratowałem pana życie.

— Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

— Ja też.

Mówienie męczyło go. Leżał nieruchomo i patrzył w sufit. Egberg milczał także. Molnar czekał, aż odejdzie.

— To trwało cztery, może pięć minut, zanim przywróciłem panu krążenie — powiedział jeszcze.

Jeszcze parę minut i byłbym odkorkowany pomyślał Molnar. — Wrak człowieka, którego komórki mózgu uległy rozpadowi funkcji.

Egberg zawahał się.

— Był pan lekkomyślny, profesorze, z pana sercem...

— Chciałem wyjść. Odejść stąd — powiedział cicho Molnar.

— Mógł mnie pan uprzedzić.

— I zostać w zamkniętym pokoju... izolowanym, jak pan to nazywa.

— Blokada przypadkowo włączyła się na noc.

A więc Mag powiedziała mu — pomyślał Molnar.

— Nie wierzę w takie przypadki, Egberg.

— Nie potrafię pana przekonać. Ale jak pan widzi — obawy były chyba nieuzasadnione... — Nie wiem.

— Żyje pan przecież!

— To fakt...

Egberg zawahał się, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie

powiedział już nic i wyszedł. Molnar przymknął oczy. — Teraz potrwa to kilka dni, zanim będę mógł stąd wyjść — pomyślał. — Nawet przy obecnych metodach szybkiego tworzenia blizn to musi trochę potrwać. I jednak uratował mnie. W tych warunkach nikt, nawet ja sam nie mógłbym mieć do niego pretensji, gdybym tu umarł. Widocznie jednak chciał mi dać to sztuczne serce. Pomyślał jeszcze o blokadzie drzwi i nie był już tego tak pewien. Potem zasnął.

Obudził się w nocy i czuł pragnienie. W pokoju było ciemno, paliła się tylko mała nocna lampka na stoliku przy łóżku. W jej świetle zobaczył Mag. Siedziała na fotelu, tym samym, niezbyt wygodnym, w którym jeszcze wczoraj sam siedział. Drzemała.

— Mag, panno Mag... — powiedział to cicho, a jednak się obudziła.

— Jak się pan czuje? — zapytała również szeptem.

— Świetnie — starał się do niej uśmiechnąć. — Napiłbym się wody.

— Proszę — podała mu kubek. Płyn miał smak soku pomarańczowego z dodatkiem czegoś, czego smak trudno było mu określić.

— Boli? — zapytała.

— Już nie.

— Goi się dobrze. Wieczorem doktor Egberg oglądał pana.

— Nie zbudziłem się nawet?

— Jest pan pod działaniem preparatu Brotkasa. To daje świetne wyniki — dodała.

— Jest pani, jak widzę, również wykwalifikowaną pielęgniarką.

— Sekretarką, asystentem i wszystkim. Ciekawa jestem, jaka będzie pana rola.

— Rola?

— No tak. Jest pan przecież nowym obiektem na farmie Egberga. My tak nazywamy między sobą jego instytut.

— Nie rozumiem.

— Nie mówił z panem?

Odruchowo chciał zaprzeczyć, ale pomyślał, że wtedy niczego więcej się od niej nie dowie.

— Wspominał tylko — powiedział.

— Pewnie dostanie pan coś ciekawszego ode mnie. Jest pan profesorem. Był pan kiedyś kolegą Egberga...

— Nawet jego szefem.

— Właśnie. Pewnie dostanie pan pracownię, intelektualną. Od miesiąca jest bez kierownika.

— A poprzedni... wyjechał?

— Wyjechał... — Mag powtórzyła to z dziwną intonacją, której nie potrafił określić. — Nie, on po prostu umarł.

— A co mu się stało?

— Znaleźliśmy go w bunkrze. Tam wewnątrz jest zanik pola energetycznego. Wie pan, ściany na dwa metry grube, z żelbetu. Ekranują i energia nie dociera.

— Jaka energia?

— Napędzająca serce. On miał to samo co pan.

— Nie rozumiem — Molnar powiedział to, mimo że już zaczynał rozumieć. Przymknął oczy i poczuł dziwny skurcz w żołądku, jak

wtedy, gdy w ładowni wielkiego statku kołysanego falą runęły z góry skrzynie roztrzaskując się koło niego.

— Będzie pan spał? — zapytała Mag po chwili milczenia.

— Nie. Wyspałem się już za wszystkie czasy — słuchał swego głosu i dziwił się, że jest tak zwyczajny. — I ta energia tutaj dociera? — zapytał.

— Oczywiście. Cały instytut i najbliższa okolica gdzieś w promieniu pół kilometra objęte są tym polem.

— A dalej?

— Co dalej?

— Jeśli chcę wyjść poza instytut, nad morze, czy pojechać do miasta — pytał, mimo że znał odpowiedź, ale chciał ją usłyszeć od tej dziewczyny, która mówiła o tym wszystkim tak zwyczajnie.

— Nie może pan. To śmierć. Przecież wie pan o tym. Podpisał pan zobowiązanie, to z notariuszem i całym zabawnym ceremoniałem.

— Nic nie podpisywałem.

Mag chwilę milczała, a potem powiedziała cicho:

— Nie zdążył pan. Ale pan podpisze. To przecież zwykła formalność.

Chciał powiedzieć, że nie podpisze, ale przypomniał sobie historię z blokadą drzwi i nic nie powiedział.

— Po to tu przecież wszyscy przyjeżdżamy — dodała Mag jakby z żalem. — Ja, zanim tu przyjechałam, byłam sekretarką w firmie eksportowej w Buenos Aires. Sekretarką drugiego dyrektora — dodała jakby z dumą. — Pracowałam na dwunastym piętrze w centrali firmy. Trotam and Co. Zna pan tę firmę?

— Nie. Nigdy nie byłem w Buenos Aires.

— To były czasy. W sobotę jeździliśmy nad morze... Wie pan, tutaj najbardziej brakuje mi pływania i morza. Czasem wieczorem, gdy wieje wiatr, czuję je. Stąd do brzegu nie jest daleko.

— Wiem.

— Pan jeszcze tego nie odczuwa. To dopiero zaczyna się po kilku miesiącach, czasem po pół roku...

— Co?

— Trudno to określić. Chyba niepokój. Chce pan wyjechać, koniecznie wyjechać...

— Tęsknota?

— Nie, za domem, za najbliższymi, za ludźmi w ogóle tęskni się od początku. Ale tamto jest inne, trudniejsze do określenia, jakieś bardziej pierwotne. Niepotrzebnie to chyba panu mówię.

— Dlaczego. Chcę wiedzieć o tym wcześniej. — Ja nie wiedziałam. Nie wyobrażałam sobie, że to będzie właśnie tak. Czasem myślę, że chyba nie przyjechałabym tutaj, gdybym wiedziała.

— A wtedy?...

— Pewnie bym nie żyła. W najlepszym wypadku w wózku na kółkach.

Wtedy okropnie się tego bałam, chyba więcej niż śmierci. Wyobraża pan sobie? Patrząc na to wszystko, na przechodniów, inne dziewczyny, ludzi jadących do pracy i wiedzieć, że jest się poza tym... na zawsze. Pozostanie tutaj to było jedyne wyjście. Chodzę, pracuję, czasem nawet pływam w naszym basenie. Z tym gorzej, bo nogi mam trochę sztywne, szczególnie stopy.

— Innego wyjścia nie było?

— Nie. Byłam u najwybitniejszych specjalistów. Nawet na drugiej półkuli, w Europie. Mój chłopak mnie wysłał. Odkładał na domek. Miałam wspaniałego chłopaka. Chciał się żenić, ale Egberg przyjmuje tylko samotnych. Zresztą nie wiem, czy i tak bym za niego wyszła. To nie miało sensu.

— A jak pani tu trafiła?

— Jeden z lekarzy, u którego byłam, gdy ośrodek oddechowy był już zagrożony, powiedział mi o tym. Mówił, że lecznica Egberga to jedyny ośrodek, który mógłby się podjąć zabiegu. Zastrzegł się przy tym, że nic mi nie radzi, po prostu informuje.

— A Egberg zażądał pieniędzy?

— Nie. Ta sprawa była zbyt nietypowa. Powiedział, że może się tego podjąć tylko eksperymentalnie. Wyniku nie gwarantował. Trzeba mu przyznać, że nie robił mi wielkich nadziei.

— I zgodziła się pani?

— A cóż miałam robić. Przeszłam przez te wszystkie formalności, podpisałam wszystkie upoważnienia i oświadczenia i... jestem. Żyję, jak pan widzi.

— A tamten?

— Kto?

— Ten w bunkrze.

— Ach, Bertold. On także wszystko podpisał. Nie miał po prostu pieniędzy. U niego było tylko serce.

— Kto to był?

— Elektronik. Starszy już człowiek. Kiedyś mówił mi, że pamięta

jeszcze czasy, gdy obwody elektroniczne składało się z oddzielnych tranzystorów.

— I długo żył?

— Kilka lat. Był już, gdy tu przyszłam. Nawet go lubiłam. Taki spokojny, małomówny człowiek, którego prawie nie ma. Siedział w swojej pracowni i nawet nie zawsze widywałam go na obiadach. Wtedy też nie przyszedł, a potem Josph znalazł go w bunkrze. Bertold wiedział, że wejście do środka to dla niego śmierć.

— Tak samo jak odejście zbyt daleko od instytutu? — Molnar zadał to pytanie specjalnie, mimo że odpowiedź już przewidywał.

— Niezupełnie, w bunkrze pole urywa się nagle. Jest tam dobre ekranowanie... i efekt taki, jakby serce nagle stanęło. Tak mówił Egberg, gdy kiedyś nas o tym uprzedzał. A odejście poza zasięg pola, to powolna agonia. Natężenie zmniejsza się nieznacznie z każdym metrem.

— I on wpadł do bunkra?

— Widocznie zsunął się po pochylni. Tam jest taka pochylnia — dodała. — Zasłabł, zanim zdążył wyjść, tak twierdzi Egberg.

— A pani?

— Co ja?

— Co pani o tym sądzi? — zobaczył, jak odruchowo spojrzała w ekran.

— Ja? Cóż, zasłabł. To był stary człowiek. Chyba tak — dodała ciszej. — Chce się pan napić? — zapytała.

— Nie, dziękuję — przymknął oczy. Myślał o starym człowieku, który umarł w bunkrze, bo jego sztuczne serce, nie otrzymało energii

z pola wytwarzanego w instytucie. Sztuczne serce stanęło, tak jak prawdziwe. Przypomnił sobie, wtedy przed bramą, upadek, którego już nie czuł, i wierzchołki sosen, tracące kontrast, rozplywające się na tle nieba. Potem zasnął.

Po kilku dniach już chodził po pokoju od łóżka do fotela. Egberg przychodził dwa razy dziennie razem z Dornem, swoim milczącym asystentem, którego Molnar widział wtedy po kolacji na ekranie. Zachowywał się jak lekarz, zwykły lekarz, i mówili o temperaturze ciała Molnara, jego ciśnieniu i oddechu. Zastanawiał się chwilami, kiedy Egberg mu wreszcie powie, że jest nowym nabytkiem jego farmy, ale tamten oglądał szwy i odchodził. Molnar zaś czekał. Był jeszcze słaby, zbyt słaby. Niekiedy przychodził sam Dorn, ale Mag nigdy. Molnar nie pytał o nią. Przemyślał wszelkie możliwości i nie pytał. Jeśli jej nieobecność była wynikiem decyzji Egberga, który słyszał ich rozmowę i uznał, że powiedziała zbyt wiele, pytanie o nią nie miało sensu. Jeśli zaś jej nieobecność była przypadkiem, w przyszłości mogła stanowić źródło informacji, jakich nigdy nie uzyska od Egberga czy Dorna, bo Dorn nie mówił prawie wcale. Raz tylko, gdy czerwonym ołówkiem naniósł nowe dane na kartę choroby Molnara, odezwał się doń zupełnie niespodziewanie.

— Uczyłem się kiedyś z pana podręcznika, profesorze.

— Naprawdę?

— Z tego nowego wydania. Ukazało się, gdy byłem jeszcze studentem.

Molnar pamiętał to wydanie. Wydawca odszukał go po kilku miesiącach poszukiwań. Pamiętał tego przedstawiciela firmy

wydawniczej w ciemnym ubraniu, z czarną teczką, z której wyjął przygotowaną umowę, siedzącego przy małym stoliku przykrytym przepalonym gdzieniegdzie obrusem z tworzywa sztucznego. Pot ściekał mu strużkami po twarzy. Wycierał twarz raz po raz wielką białą chustką i do końca nie był pewny, czy siedzi naprzeciw właściwego człowieka, profesora neuroniki, którego podręcznik chce wydać jego firma. Później Molnar otrzymał czek, który w jego warunkach był już bogactwem, i kupił łódź z silnikiem. Łowił potem ryby z własnej łodzi i mężczyźni, z którymi pracował, zazdrościli mu.

— Pamiętam tę książkę — powiedział Molnar. — Gdy ją wydawali, uważałem, że mogliby znaleźć coś lepszego, a na pewno nowszego.

— To był dobry podręcznik — powiedział Dorn. — Dzisiaj jest już inaczej, ale wtedy to było zupełnie dobre. Pan też tak uważa?

— Nie wiem, nie potrafię tego ocenić. Nie potrafiłbym już napisać nawet takiego podręcznika. A co dopiero zrobić coś naprawdę.

— Myślę, że tego się nie zapomina, tak jak pływania czy jazdy na rowerze. Oczywiście nie zapominają ci, którzy robią to, bo jest to jedyna rzecz, którą w życiu chcieliby robić.

— Też tak kiedyś myślałem, a od lat robię co innego — powiedział Molnar. — Zresztą oprócz chęci potrzebna jest praktyka, którą się ma tylko wtedy, gdy pracuje się dzień po dniu przez miesiące i lata.

— Nie chciałem pana urazić, profesorze powiedział Dorn. — Zresztą pan by to potrafił również teraz.

— Już nie. Jestem za stary. A pan jest zbyt młody, by to zrozumieć.

— Mimo wszystko myślę, że mam rację.

— A może po prostu pan nie ma wyboru.

— Nie rozumiem?

— Cóż pan może innego robić będąc obiektem na farmie Egberga.

— Ja... ja nie jestem obiektem. Pracuję tu tylko.

— Ale mieszka pan tutaj i zawsze pan jest.

— Uważam, profesorze, że każdy młody lekarz, który chce coś potem przez całe życie umieć, powinien kilka lat pracować tak jak ja, być zawsze na miejscu, wszystko robić.

— Pan jest lekarzem?! Niech pan nie kpi, młody człowieku. Jest pan eksperymentatorem, najgorszym rodzajem eksperymentatora, jaki istniał kiedykolwiek. Eksperymentuje pan na własnym gatunku, na ludziach, którzy mogliby być pana przyjaciółmi, rodzicami, dziećmi. Przeszczepy mózgów, zmiany osobowości. Człowiek z dnia na dzień przestaje być sobą, drapie się za uchem albo ma pragnienie wtedy, gdy przyciśnie pan klawisz. Odwraca się ze wstrętem od kochanej osoby lub zdolny jest do poderżnięcia jej gardła, gdy pan wykona odpowiedni ruch palcem.

— Pan przesadza, profesorze!

— Nie, ja mówię tylko prawdę, i to całą prawdę. Wszystko, co myślę o tych eksperymentach i ludziach takich jak pan. Nie fałszuję tej prawdy, jak wy to robicie.

Dorn nie odpowiedział. Włożył do kieszeni swego białego fartucha ołówek, który obracał w palcach, i wyszedł.

Będzie się teraz zastanawiał nad tym wszystkim, co mu, powiedziałem — pomyślał Molnar — oczywiście jeśli tacy ludzie jak on w ogóle zastanawiają się nad tym, co robią.

Późnym popołudniem wychodził do ogrodu i póki było jeszcze gorąco, spacerował wąskimi alejkami wśród gęstych krzewów, które posadzono tu wtedy, gdy zbudowano instytut. Gdy upał mijał, kładł się na trawie albo na kamiennym obmurowaniu basenu i patrzył w niebo. Godziny mijały i gdy nadchodził zmrok, wracał do swego pokoju, dokąd Josph przynosił mu kolację. Miał dużo czasu. Niekiedy Josph wyjeżdżał niewielką, krytą brezentem półciężarówką i wtedy kolację przynosiła mu Mag. Stawiała tacę na stoliku, czasem pytała, jak się czuje, ale już w drzwiach, wtedy gdy wychodziła. Nie patrzyła w ekran ani w wyłupiaste soczewki przekaźników wizyjnych, ale i tak Molnar wiedział, że one patrzą na nich oczyma Egberga, a może Dorna. Jedynie Josph zdawał się ich nie dostrzegać, ale on nie był obiektem, tylko człowiekiem, dla którego świat nie kończył się na ogrodzeniu instytutu. Był sprawny, silny i palił te same papierosy, które kiedyś palił Molnar. Ich dym zostawał w pokoju, gdy Josph wychodził, i Molnar czuł ich zapach jeszcze w nocy, kiedy zasypiał. Kiedyś wziął jednego z paczki, którą Josph położył na tacy. Szukał zapalek, ale ich nie miał. Josph zapalił swą wielką benzynową zapalniczkę i po chwili Molnar czuł w ustach smak dymu.

— Doktor nie pozwala, co? — zagadnął Josph.

— Sam przestałem palić.

— Mnie na to nie stać. Kiedyś próbowałem. A te są niezłe. Kupuję w miasteczku hurtem, z przemytu.

— Do tego trzeba jeszcze jeździć tam.

— Nie ma pan co żałować. Podła dziura.

— Może pan jeździć dalej. Samochodem nigdzie nie jest daleko.

— Nie mogę, doktor nie zezwala. Wszyscy tu musimy być ciągle na miejscu.

— A on sam jeździ?

— Kiedyś jeździł do rodziny, niedaleko stąd, pięćdziesiąt kilometrów. Teraz i on nie jeździ.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Mówią, że rozwiódł się z żoną.

— A naprawdę?

— On mi się nie zwierza — Josph wziął tacę.

— A panu jeszcze się nie znudziło?

— Może trochę. Ale praca dobra. Gdzieś trzeba pracować.

— Ma pan tu sporo pracy.

— Wszystko robię. Sam pan widzi.

— Ma pan wszechstronne kwalifikacje. Instytut to prawie fabryka, przynajmniej pod względem pobieranej mocy.

— Bez przesady. Raczej zdalne sterowanie i przesyłanie informacji.

Moce nie są tu takie duże. Poza tym do aparatury specjalnej przyjeżdżają z zewnątrz.

— Chciałbym kiedyś zobaczyć tę waszą aparaturę.

— Niestety, to niemożliwe. W tych sprawach mamy ścisłe instrukcje. Jakaś awaria i większość eksperymentów trzeba by powtarzać. Nie mówiąc już o materiale biologicznym, który tutaj jest dość kosztowny. Oczywiście mamy zabezpieczenia.

— Własne zasilanie awaryjne?

— Tak.

— Jasne. Przy niezbyt wielkich mocach to najprostsze wyjście.

Josph popatrzył na Molnara uważnie.

— Mówiono mi, że pan jest neuronikiem.

— Różne rzeczy mówią, ale moja specjalność jest dużo bardziej zbliżona do pana specjalności, niż się to panu wydaje — powiedziała nie zastanawiając się nad tym, co mówi. Myślał już o czym innym: o niewielkiej mocy pobieranej przez instytut, i zrozumiał, że jeden z nich, Egberg lub Josph, nie mówi prawdy. — Wyjaśnię to — pomyślał i wiedział już, jak to robi. Nie zauważył nawet, kiedy Josph wyszedł. Mag spotkał następnego dnia w ogrodzie. Zobaczył, jak szła alejką ku domowi.

— Mag... Ma pani chwilę czasu?! — zawołał.

Zatrzymała się niezdecydowana.

— Jedną chwilę... — podszedł do niej.

— Powinnam być w sekretariacie — powiedziała niepewnie.

— A może jest pani niezręcznie rozmawiać ze mną tutaj?

— Nie, dlaczego?

— Wydawało mi się, że rzadko się teraz spotykamy.

— Mam tu dużo zajęć.

— Nie zabiorę pani dużo czasu. Chcę wiedzieć jedno. Czy odczuwała pani, pani osobiście, skutki zaniku pola?

— Ja nie, ale Bertold...

— Nie mówmy teraz o Bertoldzie. Czy pani sama nic nigdy nie czuła?

Zawrotów głowy w częściowo ekranowanych pomieszczeniach, czegoś takiego?

— Nie. Dlaczego pan pyta? Molnar chwilę nie odpowiadał.

— Powiem pani — zdecydował się wreszcie. — Podejrzewam, że tego pola w ogóle nie ma.

— Jak to?

— Po prostu nie ma. A właściwie istnieje ono tylko w wyobraźni pani i jeszcze kilku obiektów farmy, jak wy to mówicie. Jest to doskonały w swej prostocie pomysł Egberga.

— Nie bardzo rozumiem...

— To proste! Czy pani, mimo wszystkich swych zobowiązań podpisanych wtedy, przed operacją, zostałaby tutaj na stałe, gdyby nie pole?

— Nie, oczywiście nie. Ach... rozumiem! Uważa pan, że on mógłby to zrobić? Zasugerować nam istnienie pola, którego nie ma?

— Mógłby na pewno. Pani nie docenia swego szefa. Ja znam go dłużej.

— I jest pan pewny, że tak właśnie postąpił?

— Nie... Szczerze mówiąc nie. I dlatego chciałbym zaproponować pani eksperyment, eksperyment z udziałem pani.

— A cóż ja mogę panu pomóc?

— Wejdzie pani do bunkra, Mag, na krótko: na dwie, trzy minuty.

Jeśli się pani nic nie stanie, będzie pani wolna. Patrzyła na niego uważnie. Pomyślał, że jest dużo bardziej opanowana, niż początkowo przypuszczał.

— Myślę, że wejście tam to śmierć. A ja nie chcę umierać.

— Chce pani zostać tu do końca życia? Kilka dni temu...

— Wtedy miałam zły dzień. To mi się czasem zdarza. Ale chcę żyć, nawet tu, jeśli nie mogę inaczej.

— Słuchaj, Mag. O śmierci nie ma mowy. Będę cię asekurował z zewnątrz. Wyciągnę cię stamtąd po prostu, gdybyś straciła przytomność. W sekundę się nie umiera. Przewiążę cię liną i wyciągnę.

— Inaczej tego sprawdzić nie można?

— Nie można. Więc jak?

Nie odpowiedziała. Stali na środku alejki i Molnar wiedział, że prędzej czy później nadejdzie ktoś, kto przerwie tę rozmowę, którą musiał dokończyć.

— To także dla ciebie szansa. Nikt poza mną nie odważy się spróbować. Wy wszyscy tutaj boicie się Egberga. Nie zaprzeczaj. To widać. A do tego eksperymentu jedna osoba nie wystarcza. Pomyśl o Bertoldzie. Gdyby ktoś go wtedy wyciągnął stamtąd, żyłby do dzisiaj. Ale on próbował sam.

— On próbował?

— Tak sędzę. Musiał zauważyć to samo co ja. — Boję się, profesorze — ale spróbuję. Jeśli się nie uda, będziesz miał mnie na sumieniu. Myślał, że się uśmiechnie, ale ona patrzyła na niego uważnie, tak samo jak poprzednio.

— Kiedy chcesz próbować, profesorze? — zapytała jeszcze.

— Zaraz. Możesz? Linę przygotowałem. Dobrze. Tylko zmienię sukienkę.

— Po co?

— Gdyby się nie udało. Ta nie jest najlepsza...

— Ależ Mag, bądź rozsądna. Chodźmy!

Teraz uśmiechnęła się do niego.

— Zgoda. Nie obawiaj się, profesorze. Ja się nie wykręcę. Wejść tam, to już postanowione.

Do instytutu wrócili osobno i spotkali się przy schodach prowadzących do podziemi. Było tu chłodno i Molnar czuł stęchły zapach wilgotnej piwnicy. Schody były szerokie, a obok nich prowadziła w dół betonowa pochylnia. Pochylnia ta kończyła się u wejścia do bunkra półkolistym otworem, w który wjeżdżały wózki z preparatami do naświetlań. Był tam poprzednio, i obok, w stercie opakowań, ukrył linę. Była związana solidnym marynarskim węzłem z dwu krótszych, które służyły do zasuwania zasłon w jego pokoju. Zdjął je o świcie, kiedy było jeszcze szaro, i przypuszczał, że ci, którzy mogliby go obserwować, śpią. Mag nie sprawdziła nawet węzła. Przewiązał ją w pasie silnie, tak że ledwo mogła oddychać, a potem szarpnął kilkakrotnie liną sprawdzając, czy wytrzyma jej ciężar. Chciał ją podnieść w górę na linie, tak jak poprzednio planował, ale był zbyt słaby. — Gotowe — powiedział. Nie zawahała się. Weszła do bunkra głęboko, aż lina się naprężyła.

Teraz czekał kilkanaście sekund.

— Co czujesz? — zapytał.

— Chyba nic. Jest mi tylko gorąco.

— To z wrażenia...

Patrzył na zegarek. Minęła minuta.

— A teraz?

— Nic. Naprawdę nic.

Gdy po pięciu minutach wyszła z bunkra, wiedział, że miał rację.

— Wygraliśmy, Mag — powiedział odwiązując linę. W półmroku

widział zarys jej twarzy.

— Więc jestem wolna?... — mówiła powoli, z trudnością.

— Tak.

— To... wspaniale, profesorze. — Odwróciła się gwałtownie i pobiegła pochylnią w górę, ku jasnemu prostokątowi wyjścia. Molnar zwinął linę, ukrył ją wśród opakowań i poszedł za Mag schodami. W połowie pochylni spostrzegł sandał.

Więc pola nie było. Mógł teraz po prostu przejść na drugą stronę ogrodzenia i zejść w dół do miasteczka. Jakiś statek zabrałby go na pewno i za pięć, sześć dni byłby już u siebie, jeśli jego pokój nie został w tym czasie wynajęty. Ale Bertold umarł i to go niepokoiło. Nie był już młody i nigdy nie działał pośpiesznie. Postanowił powtórzyć eksperyment.

Wejść do środka, a Mag będzie mnie asekurować — myślał. — Tylko czy jest ona dostatecznie silna, by mnie stamtąd wydobyć, jeśli stracę przytomność. Uznał, że zastanowi się nad tym dokładniej po kolacji. Ale po kolacji przyszedł Egberg.

— Myślę, profesorze, że powinniśmy porozmawiać — powiedział i usiadł w fotelu usuwając stamtąd jakieś rzeczy Molnara.

— Od dawna na to czekam.

— Wcześniej nie mogłem, bo nie znałem jeszcze wyników analiz i testów. Teraz mam już pełny obraz stanu pana organizmu.

— Pełny?

— Tak. Sprawdziliśmy to nadzwyczaj dokładnie. Okazało się, że moja decyzja była słuszna. Stan pana organizmu nie uzasadnia

wszczepienia autonomicznego układu serca.

— Jak mam to rozumieć?

— W tej chwili pana serce napędzane jest energią z zewnątrz, wytwarzaną w generatorze pola siłowego, tu w instytucie. Dlatego nie może pan opuścić instytutu.

— I nie ma pan zamiaru wszczepić mi autonomicznego serca?

— Nie.

— Lubię jasne odpowiedzi. Ale to jest bezprawie. Nie zgadzałem się na taki zabieg.

— Ratowałem panu życie. Wybrałem ten układ sztucznego serca, który miałem. Wie pan równie dobrze jak ja, że z tego powodu żaden sędzia nie skaże mnie nawet na grzywnę.

— Ale mam prawo wymienić to serce.

— Oczywiście. Jeśli zakupi pan układ autonomiczny oraz niezbędne usługi związane z jego wszczepieniem.

— To nierealne. Wie pan o tym, Egberg.

— Wiem.

— Więc jak długo chce mnie pan tu trzymać w instytucie?

— Odłączyć panu serca nie mogę, bo to zagrażałoby pana życiu, profesorze, i jest karalne. Mógłbym oczywiście przekazać pana do instytutów państwowych, ale to ze względu na naszą długotrwałą znajomość nie wchodzi w rachubę.

— Więc do śmierci?

— Mówmy otwarcie, nie ma pan długich perspektyw, profesorze.

— Po co ta szczerść? Zdaję sobie z tego sprawę.

— Nie mówię tego bez powodu. Pozostała część układu krążenia i

nerki w złym stanie. Poza tym podejrzewam nowotwór wątroby. W sumie dwa, trzy lata.

— Na więcej nie liczyłem.

Molnar wstał i chciał zapalić światło. W pokoju był już mrok i nie widział twarzy Egberga, a wiedział, że rozmowa jeszcze nie skończona.

— Niech pan usiądzie, profesorze. Jeszcze chwila. Nie zabiorę panu dużo czasu.

Molnar zawahał się i usiadł na poprzednim miejscu.

— Chcę panu coś zaproponować, profesorze — Egberg mówił cicho. — Przeszczep pana mózgu do młodszego i zdrowego ciała, absolutnie zdrowego. Zabieg eksperymentalny. O ile wiem, na świecie dokonano tylko kilku... tego rodzaju przeszczepów. Oczywiście wynik trudno gwarantować...

— Doktorze Egberg — Molnar przerwał mu — pan kpi sobie ze mnie. Wie pan nie od dziś, co o tym myślę...

— Teoretycznie, ale tu chodzi o pana życie! — A cóż pan sobie wyobraża, że z powodu kilku czy nawet kilkunastu lat życia zgodzę się na to? To, co pan proponuje, to jest zwykła, pospolita zbrodnia.

— Nic podobnego! Jeden człowiek umiera, bo w jego ciele funkcjonuje wszystko, tylko mózg ginie. A drugi ma zniszczone ciało i sprawny mózg. Z tych ludzi, dwu martwych prawie ludzi, tworzę jednego — zdrowego.

Tworzę człowieka! Człowieka, którego nie było.

— Pan jest pozbawiony wyobraźni, doktorze. To także kalectwo... A jeśli ten mózg, wszczepiony do nowego ciała, nie zechce wraz z tym

ciałem umrzeć i będzie szukał nowego, następnego nosiciela, a potem jeszcze następnego? Mieć zawsze dwadzieścia kilka lat, aż do śmierci mózgu, nigdy pan o tym nie marzył. Zmieniając pięciu, sześciu nosicieli, można to osiągnąć. Nigdy fizycznej starości. Młodość, wieczna młodość w kolejnych ciapach.

— Pan przesadza, profesorze. Zostaną ustalone przepisy...

— Tak zawsze można powiedzieć, ale to nic nie zmienia. Pasożytowanie na własnym gatunku, temu naprawdę służą pana eksperymenty.

— Słyszałem to już kilkanaście lat temu.

— Jak pan widzi, nie zmieniłem zdania. A teraz proszę wyjść.

Potem długo nie mógł zasnąć. Myślał o człowieku, w którego ciało Egberg chciał wszczepić jego mózg. Był to zapewne mężczyzna, młody mężczyzna, i Egberg w zapisie aktywności elektrycznej jego mózgu dostrzegł te zmiany, które poprzedzają śmierć. Pewnie miał kolegów, rodzinę, czytywał kronikę sportową i kiedy chciał być sam, wypływał w morze daleko od brzegu.

Molnar przewrócił się na drugi bok, potem wstał, przeszedł do łazienki i odkręcił kran z zimną wodą. Wsadził pod nią głowę i czuł, jak zalewa mu nos i uszy.

Zasypiał już naprawdę, gdy zbudził go Egberg pytając z ekranu, kiedy ostatni raz widział Mag. I wtedy wiedział już, że samotnie wejdzie do bunkra.

Wszedł tam bez wahania następnego dnia, rankiem. Nie mógł dłużej czekać. Wiedział, że Egberg nie rezygnuje ze swych planów. Zrobił dwa kroki w głąb. Staął. Czuł, że szybciej oddycha. To strach

— pomyślał. Ale potem poczuł zawrót głowy, ucisk i wiedział, że nie wyjdzie już z bunkra.

Zbudził się i leżał w ciemności. Zmuszał się do myślenia i czuł, że wymaga to wysiłku. Pamiętał wejście do bunkra i wiedział, że od tej chwili minęło wiele dni. Stan, w którym się znajdował, nie był więc anabiozą, bowiem jego mózg notował upływ czasu. Poza tym były jeszcze jakieś fragmenty obserwacji, ale nierealne, które rozpływały się, gdy koncentrował się na nich. Oddychał normalnie, nie czuł bólu. Po chwili zdał sobie sprawę, że ktoś dotyka jego głowy, a do żył rąk wtłaczany jest jakiś płyn. Nagle zaczął widzieć — zdjęto mu opaskę z oczu. Zobaczył Dorna.

— Widzi mnie pan? — zapytał Dorn.

— Widzę — odpowiedział, ale mówił z wysiłkiem, sylabizując.

— Słyszysz mnie pan dobrze?

— Tak.

Dorn wyjął igły z jego żył.

— Proszę spróbować wstać.

Molnar wstał. Całe ciało miał sztywne i ruchy nie skoordynowane.

Zrobił dwa kroki i zatoczył się.

— Jest pan osłabiony? — zapytał Dorn.

— Nie. Zesztywniałem.

— To brak koordynacji. Zdobędzie ją pan w ciągu kilku dni. Teraz przejdziemy do gabinetu.

Dorn otworzył drzwi i przeszli do gabinetu Egberga. Egberga tam nie było.

— Uratowaliście mnie? — zapytał Molnar.

— Tak.

— A Egberg?

— Zostawił panu list. Proszę, niech pan siądzie. — Dorn sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i podał Molnarowi zapieczętowaną kopertę.

— Jeśli czuje się pan dobrze, przejdę do sąsiedniego laboratorium.

Gdybym był panu potrzebny — proszę zawołać.

Molnar rozerwał kopertę. List był pisany ręcznie.

Szanowny Profesorze!

List ten jest kontynuacją naszej rozmowy, której wtedy nie dokończyliśmy. Otóż osobą, której ciało chciałem panu wtedy zaproponować, byłem ja sam. W tej chwili, jeśli pan list ten czyta, przeszczep udał się i jest pan mózgiem mojego ciała...

— Dorn! — krzyknął Molnar.

Dorn uchylił drzwi.

— Lustro!

— Mam przygotowane. — Dorn podał mu niewielkie lusterko i wtedy Molnar zobaczył odbicie twarzy Egberga. Była jakaś inna. Po chwili Molnar zrozumiał, że oczy są jego własne. Odłożył lustro.

...W moim przekonaniu — czytał dalej — postąpiłem słusznie. Stan pana organizmu przedstawiłem podczas naszej rozmowy w sposób obiektywny. U mnie natomiast stwierdzono guz mózgu, powiększający się

dość szybko, tak że musiałem się spieszyć z przeszczepem, jeśli sam miałem zaplanować i przygotować operację. Przyczyny mojej decyzji są dwojakie: po pierwsze osobiste, których nie zrozumie pan zapewne. W każdym razie, jeśli zaakceptuje pan ten przeszczep, czeka pana, przypuszczam, około dwudziestu lat życia, możliwość pracy naukowej w instytucie, który jest pana własnością. Wyrównuje to w moim przekonaniu pewne zobowiązania, które miałem względem pana. Moimi osobistymi sprawami pana nie obarczam. Z rodziną jestem rozwiedziony, rozłączony i materialnie jest ona zabezpieczona. Moja żona zna faktyczny stan rzeczy i z jej strony nie przewiduję żadnych kłopotów. Drugą przesłanką mojej decyzji jest fakt, że pana zawodowe przygotowanie umożliwi dalsze prowadzenie instytutu, a przede wszystkim dokonanie obserwacji subiektywnych odczuć przeszczepu. Sugerowałbym panu sporządzenie raportu o tej sprawie. Oczywiście decyzja należy do pana. Co do przebiegu operacji dokonał jej Dorn z asystą zewnętrzną. Moją zgodę znajdzie pan wśród innych dokumentów, a pan został potraktowany jako „ciało z wypadku”. Prawnie jest to w porządku, aczkolwiek ustawodawca nie przewidywał przeszczepień mózgu w tej konfiguracji. Ponadto uważam, że wszelkie inne zastrzeżenia, jakie mógłby pan mieć w stosunku do mojej decyzji, są o tyle nieuzasadnione, że w każdej chwili, w razie braku akceptacji z pana strony, może pan zlikwidować przeszczep i umrzeć. Ze spraw mniej istotnych pozostaje mi jeszcze jedno wyjaśnienie. Wejście do bunkra dowodzi, że nie wierzył pan w istnienie pola siłowego, generowanego w instytucie, dostarczającego energii pana sercu. Przypuszczenia pana są słuszne. Takiego pola nie ma. Serce pana zasilane było z baterii, zawierającej pierwiastki promieniotwórcze, wszczepionej

wraz z sercem. Natomiast rytm pracy serca regulowany był zewnętrznie, przez impulsy przekazywane bezprzewodowo z generatora instytutu. Gdy wszedł pan do bunkra, synchronizacja znikła. Efekty tego odczuł pan osobiście. Muszę się przyznać: przypuszczałem, że wejdzie pan do bunkra, że czekaliśmy tam na pana. Właściwie od momentu wyjazdu Mag wszystko stało się dla mnie jasne. Liny znalezione przy bunkrze stanowiły tylko potwierdzenie moich przypuszczeń. Nie mógł pan jednak wiedzieć, że Mag, która miała przeszczepiony rdzeń przedłużony, jest całkowicie niezależna od naszej synchronizacji, pan natomiast nie. Cóż, działał pan w pewnym sensie na swoją niekorzyść i odejście Mag jest dla pana stratą bardzo dobrej sekretarki. Ale tego pan nie mógł przewidzieć.

Jak już wspomniałem wcześniej, pozostawiam do pana decyzji sprawę ogłoszenia komunikatu dotyczącego przeszczepu. Innymi słowy może pan dalej żyć jako Egberg lub też pod własnym nazwiskiem. Wszystkie dokumenty, niezbędne w obu przypadkach, są przygotowane.

Egberg

Odłożył list i siedział nieruchomo nie myśląc o niczym. Po kilku minutach do gabinetu zajrzał Dorn.

— Jak pana samopoczucie? — zapytał.

— Doskonale.

— Jestem dumny z tej operacji — powiedział Dorn. — Czy będziemy ogłaszać komunikat?

Molnar nie odpowiedział.

— Co z moim ciałem? — zapytał po chwili.

— Spalone i pogrzebane. Już trzy miesiące temu. Taki przeszczep

to zabieg wielofazowy. Największe kłopoty...

— A jego mózg? — przerwał mu Molnar.

— Separowany.

— Żyje?

— Tak. Niech pan spojrzy.

Podszedł do pulpitu i wcisnął odpowiednie klawisze. W ekranie, w wielkim naczyniu, w bezbarwnej niemal cieczy pływał mózg. Widział połączone z nim oczy, z których jedno patrzyło na nich wprost z ekranu. W głośniku słyszał cichy szum pomp tłoczących odżywczy płyn, a potem zobaczył zapis przebiegów elektrycznych w mózgu Egberga. Był to zapis aktywności czuwającego mózgu. Ten mózg widział, myślał... i wiedział. Szklane ściany słoja, z którego nie ma wyjścia, to był jego cały świat.

— On tak zdecydował? — zapytał Dorna.

— Nie. Nic na ten temat nie mówił. Ale mózg był nam właśnie potrzebny do doświadczeń z zakresu sterowania ruchem rakiet towarowych do planet zewnętrznych. Opracowujemy tu taki temat.

— Ale jego mózg?

— Ten guz nie daje chwilowo większych efektów. Uwarunkujemy go?

— Więc nie godził się na to?

— Nie, ale fragmenty pooperacyjne zawsze wykorzystujemy.

— Dorn, jest pan zwykłym łajdakiem — powiedział Molnar. —

Która to sala?

— Siódma.

— Proszę klucze. Klucze Egberga.

— Ma je Josph.

— Niech pan je przyniesie.

— Ale...

— Powiedziałem. Ja tu decyduję.

Po chwili Dorn wrócił z kluczami. Molnar wziął je.

— Pan tu zostanie — powiedział.

Przeszedł korytarzem i otworzył drzwi sali siódmej. Wszedł i spostrzegł, że oczy mózgu go nie widzą. Uważając, by nie wejść w pole widzenia oczu, podszedł do pompy włączającej do klosza płyn i odłączył ją. — To będzie najlepsze wyjście — pomyślał. — Umrze z niedotlenienia nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Przecież mózg nie ma układów kontrolujących zawartość tlenu. Po prostu zaśnie i nie obudzi się już. Gdybym usunął płyn z klosza, umarłby wcześniej, ale wiedziałby, że umiera. Patrzył jeszcze przez chwilę na zapis aktywności mózgu w ekranie oscyloskopu, a potem wyszedł.

Zamknął drzwi i wtedy spostrzegł Dorna.

— Niech pan mi odda swoje klucze — powiedział.

— Nie... nie mam.

— Trudno. Zostawi je pan u portiera. Od dzisiaj nie pracuje pan już w instytucie.

— Dlaczego? Przecież ja...

Nie słuchał dalej. Schodami zszedł do podziemi. Zataczał się lekko i niekiedy wspierał się o ścianę. Brak koordynacji; jak to określił Dorn — pomyślał — ale muszę być teraz skoordynowany przynajmniej na kilka minut. Doszedł do drzwi komory zasilania. Zamek był skomplikowany, a palce miał niezbyt zręczne. W końcu wszedł jednak

do środka. Światła zapaliły się automatycznie. Zobaczył grube miedziane przewody, bezpieczniki i tablice ze skrzyżowanymi piszczelami. To była instalacja główna. Poszukał awaryjnej. Najpierw wyłączył akumulatory i zerwał przewody tej instalacji.

— Co pan robi?

To był Dorn.

— Proszę stąd wyjść! — powiedział Molnar.

— Ależ tak nie można, wszystkie doświadczenia... wszystko stanie.

Preparaty zginą...

Molnar sięgnął do głównych bezpieczników.

— Nie! — krzyknął Dorn i rzucił się na niego.

Odepchnął go z całej siły. Ręka Egberga była silna. Tam ten uderzył głową w płytę rozdzielczą i upadł. Leżał nieruchomy na kamiennej posadzce. Teraz Molnar wyrwał bezpieczniki. Światło zgasło. Bezpieczniki cisnął za skrzynię akumulatorów i wyszedł na schody. Gdzieś w górze buczała syrena alarmowa.

Preparaty zginą — pomyślał. Potem myślał jeszcze o trzymiesięcznym czuwaniu mózgu Egberga, nieustannym czuwaniu, szklanych ścianach klosza i oczach, które nie mają mięśni, by zmienić swoje położenie, o czekaniu ze świadomością, że nic poza czekaniem zdarzyć się nie może. Doszedł do bramy.

— Pan wychodzi, doktorze? — zapytał odzwierny.

— Tak.

— Czy mam pójść z panem?

Molnar spojrzał na niego uważnie:

— Dlaczego: „pójść ze mną”?

— Pan mi uratował życie, doktorze. I wychodzi pan, gdy jest alarm i słyszę syrenę. Pan wychodzi na dłużej?

— Tak, ale zostań... Sancho.

— Nazywam się Tomb.

— Ja też naprawdę nazywam się Molnar.

Skinął mu głowę, minął bramę i zaczął ścieżką schodzić w dół.

ELEKTRONOWY MIŚ

Kupiłem go na imieniny synowi. Wróżka skinęła swoją czarodziejską laseczką i automat przyniósł go śpiącego w ogromnym, perłowo opalizującym pudle. Potem uśmiechnęła się do mnie i powiedziała swym zawodowo melodyjnym głosem:

— Myślę, że będziesz z niego zadowolony.

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się także.

— Jesteś sam, bez syna, więc nie będę cię pouczała, że misia nie można krzywdzić, nie można mu wykręcać łap, wydłubywać fotokomórek ani wyrywać kondensatorów, ale nie zapomnij o tym powiedzieć synowi.

— Nie zapomnę — zapewniałem. — Poza tym możesz być spokojna, będę go traktował jak własne dziecko.

— No, to cieszę się, że mój wychowanek zyskał takiego ojca. Musisz go przeprogramować, by mówił do ciebie „papa”. Tym razem śmieliśmy się oboje i równocześnie pomyślałem, że ktoś wpadł na genialny pomysł zatrudniając w Domach Bajek takie właśnie dziewczyny jako wróżki. Skinęła mi swą różdżką na pożegnanie i wskoczyłem na ruchomy chodnik sunący ku wyjściu. Tłum dzieciaków z zazdrością dotychczas spoglądający na misia w pudełku

rozproszył się i pomknął ze śmiechem ku ogromnemu wideotronowi, gdzie rozmazaną pasami tarczą wisiał nieruchomo Jowisz. Grzmiący bas opowiadał, jak Tomcio Kosmonauta pokonuje górne warstwy jego atmosfery.

Po drugiej stronie lśniła w promieniach wideotronicznego słońca wideotroniczna szklana góra. Wznosiła się jakby tysiącem metrów wzwyż idealnie równą powierzchnią, po której bez wysiłku, jak mucha po szybie, wspinał się książę w skafandrze planetnika. Za górą rósł prastary, ciemny bór, przeniesiony jakby bezpośrednio w nasze czasy z ery „dymiących fabryk”. Między pniami, porośniętymi mchem, przemykały elektroniczne krasnoludki, fosforyzując czerwono swymi stożkowatymi czapkami. Na skraju lasu stała chatka Baby Jagi, a przed nią automat, odpowiadający na wszelkie dziecięce pytania, otoczony rozwrzeszczaną dzieciarnią, mającą już swoje problemy. Gdyby zbudować taki automat dla dorosłych, dopiero byłoby przy nim tłoczno...

Wyszedłem. Ogromny android w zbroi średniowiecznego rycerza pożegnał mnie przy wyjściu zapytując, czy nie zgubiłem swego dziecka. Widocznie nie był przyzwyczajony do dorosłych ludzi przychodzących tu samotnie. Nie, nie zgubiłem. Mój syn został w domu. Siedział zapewne w tej chwili przed ekranem wideotronu wpatrując się bezmyślnie w przesuwające się obrazy. Tak siedział każdego popołudnia.

Mają zdaje się rację psychologowie twierdząc, że w pewnym wieku dzieci nie należy zabierać z Ziemi. Mój syn przyleciał na Marsa zbyt wcześnie lub zbyt późno. Tam na Ziemi zostali jego towarzysze

zabaw, z którymi, bawiąc się w kosmonautów, przemierzał okoliczne wzgórza jako nieznanne tereny tajemniczej planety, został nasz ogród, gdzie znał każdy krzak, i dom o rozsuwanych ścianach pachnących drzewem sandałowym. Na Marsie dzieci były inne, bardziej przyzwyczajone do automatów niż do biegania boso po trawie. Kupiłem mu więc misia...

— Niech się nazywa... no powiedz, jak się może nazywać? zwrócił się do mnie, gdy po otworzeniu pudła, wysłuchując instrukcji, doszliśmy do miejsca, w którym powiedziano: „...Przed uruchomieniem należy go nazwać, a wtedy we wszystkich wolnych miejscach jego programu pozostawionych na imię nazwa ta zostanie trwale wpisana”.

— No więc jak? — powtórzył, gdy nic nie odpowiedziałem.

— Może Kation — poddałem.

Rozważył chwilę w myśli.

— Nie, tak można nazwać żywego psa, ale nie misia. Jego imię musi być zwykłe.

— No, to wymyśl coś.

— Mógłby być Bob — spojrzał na mnie pytająco.

— Świetnie, niech będzie Bob.

Nacisnąłem ukryty pod futerkiem klawisz zasilania i gdy martwe dotąd oczka misia zajarzyły się zielonym światłem, powiedziałem wyraźnie:

— Nazywasz się Bob. Wstań.

Jak wyrzucony sprężyną, miś wyskoczył z pudełka. Niewielka, metrowa może figurka o zabawnym pysku, obrośniętym rudawym

włosem. Staął, rozejrzał się wokoło, a następnie sięgnął do pudełka, wyjął stamtąd szczotkę i zaczął czesać swoje zmierzwiłone futerko. Gdy doprowadził je do porządku, zwrócił się do syna lekko się jękając:

— Ja jestem t... teraz t... twój miś?

— Tak.

— A kto to? — łapą wskazał na mnie.

— Mój ojciec.

— T... to dobrze.

— Słuchaj — zwróciłem się do syna — może go wymienimy. On się strasznie jęka.

— T... tylko trochę i wtedy, gdy jestem dłużej wyłączony. Ooo... Inne misie mają większe braki. Znałem t...takiego, co w łapie miał ponad sto woltów napięcia, b... bo był źle skonstruowany i wszystkim łapę podawał.

— No co, wymienimy? — ponowiłem pytanie.

— Nie zgódź się. Ja umiem grać w piłkę i rozwiązuję zadania z matematyki. Naśladuję głosy i umiem wideotron r...rozłożyć.

— No więc?

— Niech zostanie.

— Od razu widać, że jesteś miły chłopak. Będę dobrym misiem. Zobaczysz.

I został. Był to dziwny automat. Niejednokrotnie zastanawiałem się, dlaczego tak wszechstronny i zdolny układ myślący wmontowano w zabawkę dziecięcą. Bo o tym, że nie był to standardowy automat wytwarzany seryjnie do zabaw z dziećmi, byłem przekonany od

początku. Miś przejawiał pewne cechy ludzkie, które są dostępne tylko najbardziej skomplikowanym automatom. Był na przykład leniwy. Wypełniał oczywiście wszelkie polecenia, jak każdy automat, lecz wypełniał je w ten sposób, by poświęcać im jak najmniej czasu, unikając wszelkiej niepotrzebnej krzątaniny, tak charakterystycznej dla większości automatów. Potem, gdy nie miał już nic do roboty, godzinami trwał w bezruchu lub spał.

Po jakimś czasie odkryłem, że w pewnym sensie jest do mnie przywiązany i zawsze gotowy przerwać milczącą kontemplację swoich owłosionych łap i towarzyszyć mi, gdy wstawałem z biurka i przechodziłem do pulpitu sterujących moich podręcznych mnemotronów. Kiedyś rozwiązywałem nocą w swoim gabinecie problem wielograwitacyjnych pól sterowanych. Miś jak zawsze, gdy syn spał, towarzyszył mi tkwiąc nieruchomo w kącie. Godziny mijały jedna za drugą, a mimo to prawie nie posuwałem się naprzód. Mój mózg podręczny raz po raz sygnalizował mi przeładowanie pamięci i dawał niedwuznacznie do zrozumienia, że zagadnienie to powinienem rozwiązywać z dużo pojemniejszymi mózgami. Pochylony nad ekranami nie zwracałem uwagi na to, co dzieje się w gabinecie. Nagle usłyszałem chrząknięcie. Podniosłem głowę. Przedemną stał miś.

— Nie śpisz, Bob?

— Ja rzadko śpię.

— Jak to, przecież masz w programie rytm snu i czuwania.

— Tak, ale nie jest to program bezwzględny. Mogę go regulować.

— Naprawdę? — zapytałem z niedowierzaniem.

— W pewnych granicach o... oczywiście.

— I nie śpisz?

— Nie...

— A co robisz nocą?

— Myślę, rozwiązuję zadania...

— Co, udowodniłeś może twierdzenie Pitagorasa?

— Nie, roz...wiązałem wła...właśnie twój problem...

wielograwitacyjnych pól sterowanych.

— Żartujesz.

— N... naprawdę. Masz tu wynik.

Na małym prymitywnym funkcjografie mego syna, który trzymał w łapie, wyznaczona była zależność. Przez moment chciałem go wyrzucić z gabinetu. Pracuję już nad tym rozwiązaniem przez wiele godzin bez żadnego rezultatu, a nagle przychodzi ta zarozumiała zabawka i wypisuje mi rozwiązanie ze swego małego mózdzku. Opanowałem się jednak. Przecież to tylko automat i w dodatku miś mego syna.

— Dziękuję — powiedziałem krótko. — A teraz idź do pokoju. — Funkcjograf położyłem na biurku i wróciłem do pracy. Wynik otrzymałem nad ranem, gdy wielka kopuła marsjańskiej bazy bielą już w promieniach wschodzącego słońca. Był identyczny z rozwiązaniem podanym przez mego misia.

— Bob, Bob! — zawołałem.

Przyszedł po chwili, jakby z ociąganiem.

— Powiedz, jak tyś to zdołał rozwiązać? — zapytałem. Przecież to problem dla gigabitowych mózgów.

Milczał.

— Odpowiedz! — rozkazałem.

W ten sposób odwoływałem się niemal do osnowy jego programowania, do bezwzględnego posłuszeństwa człowiekowi.

— Mózg ten jest skonstruowany na specjalnej zasadzie, przy założeniu równoczesnej wielotorowości myślenia. W związku z tym jego pojemność myślowa jest dużo większa... siedziałem oniemiały, bowiem słowa te wypowiadał miś niskim, chropowatym głosem, w niczym nie przypominającym jego zwyczajnego miłego altu.

— Coś ty powiedział? — zapytałem szeptem dopiero po chwili.

— N... nic nie mówiłem... miś jąkał się w zwykły sposób.

— Jak to nic. Powtórz

— N... nic nie mówiłem.

— Ależ nie to. Coś przedtem powiedział?

— N... nie rozumiem.

Mówił prawdę. Więc to było poza jego świadomością. Nie wiedział nic o tym głosie. To wyglądało jak jakiś cytat z cybernetyki stosowanej. Ale jakieś wielotorowe myślenie... Nigdy o tym nie słyszałem. Podszedłem do wizofonu i wezwałem Tana, jednego z moich kolegów cybernetyków. Specjalizował się w teorii myślenia nieorganicznego i powinien był o czymś takim wiedzieć.

— Tan? Tu Andrzej. Powiedz mi, czy słyszałeś cokolwiek o wielotorowym myśleniu?

Uśmiechnięta na przywitanie twarz cybernetyka zgasła i odbił się na niej wysiłek myślenia. Dopiero w tej chwili spostrzegłem, że Tan jest zaspany i nie ogolony. Wyrwałem go widocznie z głębokiego snu.

A jednak uśmiechał się nawet. Faktem jest, że Tan słynął z uprzejmości, lecz tym razem sam sprawdziłem, jak bardzo opinia ta była uzasadniona.

— Wiesz, Andrzeju, niczego takiego sobie w tej chwili nie przypominam. Ale skąd tyś w ogóle wziął tę nazwę?

— Usłyszałem ją od automatu.

— To jakiś automat do programowania cybernetycznego? Zapytaj go więc o wyjaśnienie.

— Nie, to nie jest automat cybernetyczny...

— No, a co to jest?

— Miś mego syna.

— Co takiego?

— Mówię ci. Miś mego syna.

— Ależ niemożliwe. Przecież to są zupełnie prymitywne automaty.

— Sam słyszałem, Tan.

— Andrzeju — ciągnął Tan po chwili milczenia — a może ty się przepracowujesz. Na ogół ludzie już wstają, a ty się jeszcze nie położyłeś spać.

— Słuchaj, Tan. Mówię ci to wszystko zupełnie poważnie. Nie wierzysz, trudno.

— Ależ tak, wierzę... Sprawdzę nawet to wielotorowe myślenie w głównym akumulatorze informacji cybernetycznych. Jeśli coś znajdę, dam ci natychmiast znać.

— No, to dziękuję.

— Dobranoc, Andrzeju. — Tan uśmiechnął się i zniknął z ekranu.

Odwróciłem się ku biurku, lecz misia tam nie było. Wyszedłem z

gabinetu, by go poszukać. Siedział przed drzwiami dzieciennego pokoju i spał, jak gdyby przez całą noc nic innego nie robił.

Dni mijały i zapomniałem niemal o tej historii. Miś okazał się idealnym kolegą. Co dziwniejsze, zauważyłem, że inni chłopcy nie traktują go z pogardliwą wyższością, z jaką traktowali zwykle automaty. Z przerażającą szybkością rozwiązywał wszystkie ich zadania szkolne tak długo, aż zabroniłem mu kategorycznie tego robić. Potem miś błysnął wiedzą astronoma i razem z moim synem siedzieli długie godziny przy radioteleskopach. Miś bezbłędnie podawał z pamięci współrzędne sferyczne wszystkich gwiazd w każdej chwili dnia i nory. Ale przede wszystkim, co dało się dopiero zauważyć po dłuższej obserwacji, miś wykazywał ogromną celowość działania. Jeśli ruszył lewą łapą, to można było być pewnym, że będzie mu to do czegoś w przyszłości potrzebne.

W drugim tygodniu pobytu misia w naszym domu zobaczyłem na funkcjografie syna naniesiony zbiór elips o różnorodnych mimośrodkach i jednym ognisku wspólnym. Zaciekawiony zapytałem syna:

— Coś tu narysował?

— To nie ja, to Bob.

— Ale co to jest?

— Hipotetyczny układ planetarny Formalhauta, alfy gwiazdozbioru Latającej Ryby.

— Skąd on to wie?

— Bob wszystko wie! — powiedział to z takim przekonaniem, że spojrzałem nań zdziwiony.

— Nie wierz temu. To na pewno jedna z wielu bajek, jakie można znaleźć w pamięci każdego elekronowego misia. Muszą przecież coś opowiadać dzieciom. Ale to jeszcze nie powód, by tak duży chłopak, jak ty, wierzył w takie bajki.

— Nie wierz, jeśli chcesz, ale to naprawdę nie jest bajka — odpowiedział z uporem.

— Więc myślisz, że to jest prawda?

— Nie, to tylko hipoteza Gladstone’a — spojrzał na mnie poważnie, jak młody naukowiec.

— Kto ci to powiedział?

— Bob.

— Bob! — zawołałem głośno.

Przyczłapał po chwili.

— Czy to jest rzeczywiście układ planetarny Formalhauta?

— Tak twierdzi Gladstone w swojej hipotezie. Rozumowanie swoje opiera na charakterystycznym przesunięciu prążków w grawitacyjnym widmie tej gwiazdy.

— Bob — zapytałem cicho. — Skąd ty to wszystko wiesz?

— Posiadam pewne wiadomości kosmonautyczne pozostawione mi w celu popularyzowania kosmosologii.

— Jak to pozostawione?

— Pozostawione w moim programie.

— A w jakim zakresie znasz kosmosologię?

— W zakresie kursu podstawowego, na pewno.

Pod wpływem tej rozmowy siadłem w gabinecie i wystosowałem pełen pochwał telelist pod adresem Domu Bajek. Odpowiedź

otrzymałem jeszcze tego samego dnia. Dom Bajek cieszy się bardzo, że jestem zadowolony z elektronowego misia i że dzięki moim staraniom miś osiągnął tak wysoki, odbiegający od standardu innych misiów poziom inteligencji. Poza tym prosi mnie o podanie operacji cybernetycznych, jakim poddałem misia celem uzyskania tak wysokiej inteligencji przy stosunkowo niewielkiej pojemności pamięci.

A więc ani ja, ani też Dom Bajek nie zrobiliśmy niczego w kierunku rozbudowy mózgu misia. Ale ponieważ geniusze wśród automatów nie zjawiają się przypadkowo, tak jak wśród ludzi, Dom Bajek wezwał Ziemię, by sprawdziła, skąd pochodzą elektronowe misie. Odpowiedź miała nadejść za kilka dni. To nie tak prosto w wielomiliardowej masie mieszkańców Ziemi znaleźć tych, którzy wiedzieliby wszystko o elektronowym misiu wysłanym przed kilkoma miesiącami na Marsa.

Potem zapowiedział się wideotronicznie Tan i oczekiwałem go w południe. Był jak zwykle nadzwyczaj punktualny. Przeszliśmy do pokoju syna. Kończyli właśnie z misiem omawianie końcowego odcinka jakiejś kosmicznej podróży, gdy decelerowany statek przechodzi już z toru parabolicznego na eliptyczny. Tan przysłuchiwał się przez chwilę z zainteresowaniem. Potem zapytał mnie szeptem:

— Jak on się nazywa?

— Kto, syn?

— Nie, automat.

— Bob.

Słuchał jeszcze chwilę w milczeniu, a potem nagle zawołał rozkazująco:

— Bob, chodź tutaj!

Automat podszedł natychmiast.

— Co to jest elipsa? — zapytał.

Automat niemal bez zająknięcia podał definicję.

— Nie rozumiem. Wytłumacz mi.

I automat zaczął tłumaczyć, tak jak się tłumaczy łatwe zadania leniwemu uczniowi, powoli, krok za krokiem. Tan przerwał mu:

— Sądysz, że osiągnięcie innych galaktyk gwiazdolotami jest możliwe?

Automat jakby przez chwilę zawahał się, lecz zaraz potem odpowiedział:

— Nie wiem. Podaj mi dane, to obliczę.

Po tym pytaniu posypały się następne. Trwało to dość długo, aż mój syn podszedł do mnie i zapytał:

— Kiedy on pójdzie sobie, żebyśmy z Bobem mogli skończyć obliczenia?

Tan uśmiechnął się do chłopca i zadał misiowi ostatnie pytanie:

— Czy masz świadomość sprzężenia posłuszeństwa?

— Nie — odpowiedzi miś.

— No dobrze, możesz wrócić do swoich obliczeń. A. my — zwrócił się do mnie — chodźmy do twego gabinetu.

— To tylko przypuszczenia — powiedział. — Moim zdaniem, mózg misia został prawdopodobnie odrzucony przy psychicznej kontroli układu ze względu na pewną niestabilność zachowania i trafił do centrali odpadów. Tutaj założono mu dużą ilość sprzężeń stabilizujących: ograniczono możliwości zwiększając równocześnie

stabilność. Tan mówił to tak, jakby osobiście był obecny przy nakładaniu tych sprzężeń.

— Pamiętasz, pytałem go o możliwości dotarcia do galaktyk gwiazdolotami. Każdy normalny miś powiedziałby, iż jest to możliwe zgodnie z regułami wszystkich bajek, ale ten twój miś zażądał danych do obliczeń. Wydaje mi się, że on nie zawsze opowiadał bajki. Nie wezwałem automatu cybernetycznego bazy i nie rozłożyłem misia na części. Zrobiłbym to nawet może, ale wyobrażałem sobie zdziwione spojrzenie dyspozytora.

— Wzywasz automat do naprawy tej zabawki. Czy naprawdę sądzisz, że nie mamy nic innego do roboty?

Wy tłumaczyłbym mu zapewne, że nie chodzi tu o naprawę, że miś to nie jest zwykły miś, tylko bardzo dziwny miś, który zbyt wiele umie, by być zwykłą zabawką i niczym więcej, ale wątpię, czyby mi uwierzył.

W każdym razie nie zrobiłem nic.

Tymczasem miś z moim synem tworzyli nierozłączną parę, przesiadywali w obserwatorium albo zbierali marsjańskie kamienie w pustyni za bazą, w których kryształły kwarcu błyszcząły jak w ziemskich kamieniach z mego dzieciństwa.

Gdzieś pod koniec marsjańskiej zimy, gdy wzgórza na horyzoncie pociemniały od rozwijającej się wśród skał roślinności, kontrola łączności radiowej Marsa powiadomiła nas, że przechwyciła serię sygnałów, które według ich namiarów zostały nadane z naszej bazy.

Reno, kierownik sekcji łączności z Ziemią, zebrał nas u siebie. Byłem jednym z kilkunastu ludzi, którzy należeli do tej sekcji, i pełniłem obowiązki głównego inżyniera drugiej zmiany.

— To bzdura — powiedział Reno. — Kto i po co miałby od nas coś takiego nadawać. Namierzyli jakieś sygnały rakiet, jak zwykle niedokładnie, i teraz szukają winnego. Wiecie, jak oni tam pracują. Rozumiem, że muszą przedstawić jakieś osiągnięcia tej swojej placówki, ale dlaczego nas w to mieszają...

— Raport podaje dokładny czas i jest podpisany przez samego Twera...

— Nabrali go. Zwyczajnie nabrali. Ta banda, która przyleciała zaraz po studiach z Ziemi. Im się jeszcze wydaje, że Mars to tajemnicza planeta, na której dzieją się historie, jakie na Ziemi nie zdarzają się. Nie wiecie, jak to jest? Wszyscy przeszliśmy przez to.

Nikt nie oponował, bo Reno przeżył na Marsie tyle lat, ile wszyscy pozostali razem. Wyjaśnienie w tej sprawie przygotował nasz stażysta. Nie zawierało ono właściwie nic obraźliwego, ale sugestia, by dali nam święty spokój, była dość wyraźna.

Potem przez kilka dni nic się nie działo, aż przyszła do nas wiadomość z Ziemi. Kontrola radiowa Marsa po naszym „wyjaśnieniu” przesłała zapis sygnałów do Ogólnoplanetarnego Instytutu Szyfrów. Tekst po rozszyfrowaniu był lakoniczny: „Fragmentaryczny transfer zrealizowany”, natomiast sam szyfr był na tyle skomplikowany, że Instytut równocześnie z tekstem przysłał podziękowanie za tak interesującą i niespotykaną próbkę szyfru.

Na drugim zebraniu Reno dalej w nic nie wierzył, ale nie był już

tak pewny siebie. Po zebraniu poprosił mnie na chwilę do swego gabinetu.

— Widzisz, Andrzeju, ja w to wszystko nie wierzę, ale nie chciałbym, żeby ktokolwiek mógł powiedzieć, że zlekceważyłem tę całą sprawę. Chciałbym się ciebie poradzić, jak ich przekonać, że to nie od nas pochodzą te sygnały.

— To trudna sprawa. Niezbyt wiele wiemy o tych sygnałach.

— Mimo wszystko coś jednak wiemy — powiedział Reno. I wtedy zrozumiałem, iż nie jest tak zupełnie pewny, że sygnały te nie pochodziły z naszej bazy.

— Mam pewien pomysł... — powiedziałem i urwałem, bo wtedy właśnie w drzwiach gabinetu stanął miś.

— S... syn cię szuka — wyjąkał.

— Zaraz idę... — I wtedy spostrzegłem zdziwiony wzrok Rena.

— Co się stało? — zapytałem.

— Nie rozumiem... nie rozumiem, jak automat wejściowy przepuścił tę zabawkę.

Spostrzeżenie było proste, ale jakże trafne. Ja, przyzwyczajony do stałej obecności misia, nie zwróciłem na to uwagi. Ale Reno miał rację. Automat wejściowy jego gabinetu nie powinien przepuścić żadnego człowieka czy automatu bez specjalnego zezwolenia.

— Jak tu wszedłeś? — zapytał misia.

— Normalnie. Na dwóch łapach — odpowiedziała zabawka.

Reno poczerwieniał i wybiegł z gabinetu.

— Co się stało z synem? — zapytałem misia.

— Poparzył się prądem wysokiej częstotliwości.

— Coś poważnego? Już idę. Prowadź.

— Nic takiego. Możesz dokończyć rozmowę. Tylko ręka.

— A gdzie ją włożył?

Miś nie zdążył odpowiedzieć, bo wrócił Reno. Był blady.

— Automat... automat dostał zezwolenie na przepuszczenie tej... zabawki... Od kogo? Pytam się, od kogo?

— Nie ode mnie — powiedziałem.

— Więc od kogo? Może ty wiesz, kreaturo?

— Ja wszedłem i już.

— To wiem. Ale skąd?

— Reno, przecież to zwykła zabawka. Nie będzie tego wiedzieć. Pewnie jakieś przekłamanie z centralnego mózgu bazy. To się zdarza.

— Ale nie powinno.

— Oczywiście, ale automaty są zawodne.

— Nie powinny!

— Jasne, ale skończmy naszą rozmowę. Muszę już iść, bo mój syn poparzył sobie rękę prądem naskórkowym.

— Dobrze, cóż więc proponujesz?

— Założę zupełnie niezależną sygnalizację nadawania u siebie w gabinecie, odbierającą sygnały na zewnątrz bazy. Co o tym sądzisz?

— Chyba dobry pomysł. Tyle że nie wierzę, by w ogóle te sygnały się powtórzyły.

Wyszedłem z miśm i poszliśmy do syna. Jego rękę opatrzył już automed. Gdy podszedłem do fotela, w którym siedział, nie spojrzał na mnie.

— Muszę się uczyć — powiedział.

— Słusznie, ale skąd ta refleksja?

— Nie potrafię zrobić najprostszej rzeczy i nawet Bob się ze mnie śmieje.

— Gdzieś poparzył rękę? — zapytałem.

— Nie powiem — nadal nie patrzył na mnie.

— Ale zrozum, to trzeba zabezpieczyć. Inni także mogą się poparzyć.

— Nie powiem — powtórzył z uporem.

— Jak chcesz. Więc ty powiedz, Bob, gdzie to było?

— Nie wiem — odpowiedział Bob i wtedy spostrzegłem wzrok syna. Ze zdumieniem i chyba z odrobiną strachu patrzył na Boba.

Instalacje odbioru zewnętrznego założyłem dwie, zupełnie od siebie niezależne, jedną w gabinecie, drugą przy pulpitych mnemotronów. Myślę, że kierowało mną zwykłe wygodnictwo. Instalacje były proste, ich założenie nie przedstawiało żadnych trudności, a niewygodnie byłoby pracując przy mnemotronach nasłuchiwać równocześnie brzęczyka z gabinetu. Potem w wideotronii powiedziano, że kierowała mną przezorność starego inżyniera doceniającego zawodne działanie automatów. Ale to chyba nie było tak.

Wtedy minęła chyba północ. Siedziałem w gabinecie nad jakimiś wykresami, gdy nagle wydało mi się, że w sali mnemotronów słyszę brzęczyk. Nadśluchiwałem przez chwilę. Tak, nie było wątpliwości. To był brzęczyk założonego przeze mnie urządzenia alarmowego.

Już biegnąc do centrum nadawczego bazy uświadomiłem sobie, że

druga instalacja w moim gabinecie nie nadała sygnału alarmu. Pomyślałem wtedy, że po prostu niezbyt dokładnie ją sprawdziłem, i byłem zły na siebie, bo nie lubię niedokładnej roboty.

Dyżurny android centrum przepuścił mnie, gdy podałem hasło. Ten, który przeszedł tędy przede mną, także musiał znać hasło, a więc jest to jeden z nas, pomyślałem.

Biegłem teraz korytarzem do sali nadawczej, ale jej drzwi nie przepuściły mnie. Szarpnąłem dźwignie — daremnie. Drzwi zostały zablokowane, zablokowane centralnie ze sterowania bazy. Zrozumiałem, że ktoś, kto jest tam w środku i z naszej anteny wysyła w Kosmos sygnały, ma dostęp do centralnego mózgu bazy. I wtedy zacząłem się bać. Mimo to działałem optymalnie, z przyzwyczajenia zapewne.

Pobiegłem z powrotem korytarzem do drzwi wejściowych. Otworzyłem je i zablokowałem, tak że nie mogły być zamknięte na polecenie zespołów koordynujących bazy. Potem spojrzałem na androida. Musiałem mieć chociaż jeden automat do swojej dyspozycji. Daskoczyłem do niego i wyrwałem mu czułki odbioru sygnałów centralnych. Szarpnął się, ale nie zaatakował mnie, bo byłem człowiekiem.

Potem chciałem się połączyć wideotronicznie z Renem, ale łączności już nie było. Centralny mózg bazy zablokował kanały informacyjne. Spodziewałem się tego. I wtedy zrobiłem coś, co można zrobić tylko wtedy, gdy życie mieszkańców bazy jest w niebezpieczeństwie. Szarpnąłem dźwignię alarmu pierwszego stopnia. Przytrzymująca ją stalowa nić spięta plombą napięła się, lecz

wytrzymała. Wtedy uwiesiłem się całym ciężarem na dźwigni. Nic pękła raniąc mnie w rękę. Równocześnie usłyszałem narastające zawodzenie syren i głucho uderzenia zapadających gazoszczelnych grodzi. Towarzyszył temu jeszcze jeden dźwięk. Zewnętrznym korytarzem zbliżając się do centrum nadawania szły automaty. Wiedziałem, że mnie nie mogą nic zrobić. Byłem człowiekiem. Ale mogły mi zniszczyć narzędzia i jedyny android. Mogły... jeśli sterował nimi centralny mózg bazy.

Broni nie miałem. W bazie nikt nie nosi broni. Wyrwałem androidowi palnik do cięcia metali, zawarłem i zablokowałem drzwi, by automaty nie mogły natychmiast wedrzeć się do wnętrza centrum nadawania, i wraz z androidem pobiegłem korytarzem do sali nadawczej. Jej drzwi rozwarły się. Wydało mi się to podejrzane.

— Idź — powiedziałem do androida.

Automat wypełnił rozkaz bez wahania. Przekroczył drzwi. Wtedy z góry spadł na niego czarny przewód. Zobaczyłem błysk wyładowania i automat znieruchomiał.

Przewód zakołysał się. Nie czekałem, aż zostanie podciągnięty do góry. Wychyliłem się zza drzwi i nacisnąłem spust palnika, przesuwając regulację na pełną moc. Coś niewielkiego spadło z występu nad drzwiami, paląc się. Słyszałem przejmujący skrzek. To był miś... mój miś. Upadł na posadzkę, chciał się zerwać, ale przytrzymałem go w płomieniu, aż pancierz pękł z cichym trzaskiem i zabawka znieruchomiała. Tylko brązowe kudły na śmiesznym pysku tliły się jeszcze. Zrozumiałem, dlaczego nie działała instalacja w moim gabinecie. I wtedy... zobaczyłem syna. Siedział blady na

posadzce w kącie.

— Myśmy się tylko tak bawili... — wyszeptał.

Staliśmy nad otwartymi pokrywami centralnego mózgu bazy. Wewnątrz zawieszono w plątaniu przewodów luźno rozrzucone leżały nieforemne szare kryształy.

— To tutaj — powiedział Tan.

Dłoń, w której trzymał niewielki plazmowy nóż, wsunął aż po ramię między przewody. Zataczał ręką niewielkie półkole, a koniec noża płonął błękitnym żarem. Potem sięgnął drugą dłonią i wyjął dwa kryształy, z wyglądu podobne do innych.

— Już gotowe — powiedział. — Całe szczęście, że się udało.

— Myślisz, że mogło to zagrażać całej bazie?

— Teoretycznie tak. Centralny mózg bazy steruje niemal wszystkimi agregatami bazy.

— Ale jak ta zabawka...

— Przede wszystkim po co? Komu to miało służyć? A sama zabawka to jeden z bardziej skomplikowanych automatów, jaki widziałem w życiu. Jeżeli jeszcze uwzględnimy niewielką objętość tego automatu i nie wykorzystaną przestrzeń, w której przechowywane były kryształy przed zainstalowaniem ich w mózgu bazy... — tu wskazał dłonią na leżące na posadzce nieforemne, szare bryły.

— Sądzisz, że kryształy te były przechowywane we wnętrzu misia?

— Sprawdziłem to. Gdy zainstalowany został pierwszy kryształ, nadany został pierwszy komunikat.

— A treść drugiego komunikatu?...

— „Całościowy transfer zrealizowany”.

— To znaczy, że następnych komunikatów już by nie było.

— Tak. Miś bawiłby się z twoim synem, a my nawet nie podejrzewalibyśmy, że centralny mózg naszej bazy pracuje w takt sekwencji sygnałów zmagazynowanych w obcych kryształach.

— Dla kogo jednak przeznaczone były te komunikaty?

— Tego jeszcze nie wiemy. Ale nie martw się. Odkryją i to. Kilka milionów ludzi niczego innego nie robi w tej chwili prócz poszukiwania odbiorcy. Cała wideotronia pełna jest informacji o naszej bazie.

— Nie oglądałem.

— Żałuj. Jesteś za bohatera, który obronił samotną marsjańską bazę przed najeźdźcami z Kosmosu.

— Przesadzają.

— Jak zawsze. O inwazji z Kosmosu nie może tu być mowy. Ten miś to skomplikowany automat, lecz zwyczajny ziemski automat.

— Jesteś pewien?

— Najzupełniej. Częściowo użyte zostały nawet typowe układy produkowane seryjnie dla celów astronawigacji.

— Stąd jego wiadomości z tej dziedziny...

— Na pewno. Wiele wbudowanych informacji musiało pozostać w tych kryształach, mimo że użyte zostały w innym celu.

Milczałem chwilę. Nie wiedziałem, czy zapytać go o to, lecz w końcu się zdecydowałem.

— Powiedz, Tan, ale jak on tutaj mógł się dostać? Przecież to automat...

— Zapominasz, Andrzeju, o swoim synu. On go tutaj wprowadził. Na tym polega ogromna przebiegłość twórcy tego pomysłu, na razie nie znanego jeszcze twórcy. Zamknąć ten układ w dziecięcą zabawkę. A dziecko to też człowiek. Odpowiednio zaaranżowana zabawa, przechodzą do centralnego mózgu bazy, twój syn podnosi pancerne pokrywy, a zabawka precyzyjnymi ruchami kierowanymi ze specjalnego programu wbudowuje pierwszy kryształ, nazwijmy go przystosowującym. Jego zadaniem jest przystosowanie nie znanego mózgu — w tym wypadku centralnego mózgu naszej bazy — do przyjęcia właściwego kryształu informacyjnego. Musi on zostać przejęty przez sieć mózgu tak, ażeby nie było w sygnalizacji żadnych uszkodzeń.

— A potem?

— Potem wbudowany zostaje w ten sam sposób kryształ informacyjny i mózg zaczyna działać nieco inaczej.

— Przebiegłe... — chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale wtedy wszedł Reno.

— Już wiemy, skąd się wziął u nas miś — powiedział.

— Wykryli, kto to zrobił?

— Sam się zgłosił.

— Kto?

— Profesor Taropat.

— Ten z Instytutu psychiki Automatów? Przed laty słuchałem jego wykładów. Ależ on musi mieć już dzisiaj ze sto lat — powiedział Tan.

— Osiemdziesiąt kilka. Wycofał się kilka lat temu z czynnego życia naukowego i posiada własne małe laboratorium gdzieś w Australii.

— Po co to zrobił?

Reno wzruszył ramionami.

— Podobno, żeby wykazać na przykładzie, że automaty mogą być niebezpieczne, niebezpieczne dla ludzi... To jego obsesja, obsesja od lat...

POP RZEZ PIĄTY WYMIAR

Podobno cztery współrzędne wystarczą, aby jednoznacznie określić własne miejsce w czasoprzestrzeni. Zaczynam więc tę dziwną historię od współrzędnych. W samą historię wierzyć nie musicie. Zresztą, czy uwierzylibyście, nawet gdybym starał się was przekonać...

A więc było to jesienią, jesienią, która względem chwili, w której to piszę, jest przeszłością.

Tak więc współrzędną czasową już określiłem. Teraz miejsce. Historia zaczęła się w moim redakcyjnym pokoiku. Siedziałem za biurkiem i wystukiwałem na maszynie jakiś reportaż. Nie pamiętam nawet jaki, ale to nieważne. Dość że byłem w redakcji, w samym śródmieściu. Ulicą przejeżdżały samochody, oświetlone tramwaje, z kina naprzeciw wychodzili ludzie i biegli na przystanek; gdzieś nade mną w mieszkaniu grało radio. I właśnie wtedy zaczęło się. Zadzwonił telefon.

— Czołem, Jasiu. Dobrze, że cię złapałem — to był Kopot, fizyk.

— Jak się masz? Co się stało?

— Mój aparat gotów.

— Cieszę się, ale o czym mówisz?

— No, o titromie.

— Aha — powiedziałem to zdaje się bez specjalnego entuzjazmu, bo Kopot poczuł się urażony.

— No, chciałeś kiedyś przyjechać na próbę titroma. Zaczyna się za parę minut w Instytucie. Przepraszam, że tak późno ci o tym mówię, ale wiesz, jak to jest z przygotowaniem do doświadczeń. Zajmują zawsze dwa razy więcej czasu, niż możesz im poświęcić. Tym razem tak samo, ale mam nadzieję, że za to próba się uda. A wtedy masz murowaną bombę na pierwszą stronę.

— Dobrze, ale powiedz mi chociaż, do czego ten... no...

— Titrom.

— ...właśnie, więc do czego ten turom służy?

— Zobaczysz, jak przyjedziesz.

— Obawiam się, że i tak niewiele z tego zrozumie.

— Zrozumiesz na pewno. W każdym razie wyniki będą dla ciebie rewelacją, zresztą przemawiającą do każdego.

— Przestań się chwalić i powiedz chociaż dwa słowa, żeby nie wyszedł na zupełnego ignoranta przed twoimi kolegami. Pomyśl, przyjaciel wielkiego człowieka, to zobowiązuje, nawet wtedy, gdy wielki człowiek jest fizykiem.

— Przekonałbyś mnie może, ale jest już zbyt późno. Nie mam czasu. Muszę zaczynać doświadczenie. Przyjeźdź zobaczysz. No, to na razie. Czekam na ciebie.

— Jestem za chwilę! — krzyknąłem w słuchawkę. Porwałem płaszcz i wybiegłem w jesienny wieczór. Mżyło i moje buty na gumie ślizgały się po mokrych płytach chodnika. Latarnie świeciły w owalu rozproszonego deszczem światła. Po asfalcie z szumem opon sunęły

samochody.

W oświetlonym oknie kwiaciarni naprzeciw fioletowiały w ogromnym wazonie chryzantemy. Stałem na krawężniku, zatrzymując taksówki. Zajęta, znowu zajęta. Wreszcie jedna zwolniła i zjechała ze środka ulicy zatrzymując się przede mną.

— Instytut — rzuciłem kierowcy.

Latarnie, jedna za drugą, pozostawały w tyle. Długie, oświetlone rzędy sklepów, neony. Potem jakieś ogródki, kasztanowa aleja i żółte liście przyklepione do asfaltu, wreszcie podjazd przed Instytutem. W portierni za szybą drzemał staruszek z siwą, szczeciniastą brodą. Zapukałem w szybę.

— Którędy do pracowni doktora Kopota? Może mi pan powiedzieć?

— A jest... jest — staruszek podniósł się z krzesła.

— Ale którą tam się idzie?

— Prosto tymi schodami na pierwsze piętro, potem na lewo długim korytarzem, trzecie drzwi na prawo; tam jest laboratorium.

— Dziękuję... — niezupełnie przekonany, czy dobrze zrozumiałem, wszedłem na schody.

Pierwsze piętro, korytarz, drzwi. To chyba tu. Wszedłem. Pokój był pusty, ciemny. Tylko z boku przez uchylone drzwi wpadała smuga światła. W półmroku dostrzegłem pod ścianami jakieś aparaty. Zwoje kabli wiły się po podłodze i znikwały w oświetlonej sali. Brodząc wśród nich, dotarłem do drzwi. Tuż za drzwiami, dwa kroki ode mnie, leżała na podłodze gruba metalowa płyta. Oświetlona reflektorem, zdawała się być centralnym punktem sali. Ku niej zwracały się ryje kilku

dziwnych aparatów rozstawionych wokół. Dalej, pod ścianami, błyszczały punktami światła tablice kontrolne. Tam dostrzegłem Kopota i kilku innych mężczyzn. Ubrani w białe fartuchy, dyskutowali o czymś tak zażarcie, że z dala wyglądało to raczej na kłótnię. Słów nie słyszałem. Ginęły w basowym pomruku prądów. Nie widzieli mnie w ogóle. Chciałem do nich podejść, lecz wolałem nie zbliżyć się do dziwnych aparatów.

Zdecydowałem się przejść najkrótszą drogą wprost przez metalową płytę. Zaledwie jednak stanąłem na niej jedną nogą, światła na tablicach zamrugały. Wszyscy odwrócili się jak na komendę. Widziałem dokładnie twarz Kopota. Wykrzywił się niesamowicie. Chciałem się cofnąć. Nie zdążyłem. Poczułem ciepło przenikające każdą chyba komórkę mego ciała. Przed oczyma zajaśniała mi biała, jaśniejsza od słońca plama i straciłem równowagę. Zrobiło się ciemno i upadłem.

Leżałem na metalowej płycie. Czułem jej chłód pod palcami. W laboratorium zgasły lampy i nie widziałem już nikogo. W upiornej ciszy światło księżyca rysowało na podłodze krzyże okienne. Co się stało z Kopotem i z nimi wszystkimi? Czyżbym ich zabił? Jakieś wyładowanie... zresztą, czy ja wiem, co mogło się stać. Spojrzałem na miejsce, gdzie stali; wyżejając wzrok, wypatrywałem na podłodze zarysu białych fartuchów. Nie, tam na pewno nikt nie leżał. W całym laboratorium nie było nikogo. Nikogo!

Ostrożnie wstałem. Starąłem się zrozumieć, co się tu stało, i jednocześnie czułem, że zaczynam się bać. Wolno, krok za krokiem, rozglądając się na wszystkie strony, cofnąłem się ku drzwiom.

Nacisnąłem klamkę. Były zamknięte. Czyżbym znalazł się w pułapce? Czułem krople potu występujące mi na czoło. W kącie laboratorium coś trzasnęło. Nie wytrzymałem. Z całych sił zacząłem walić w drzwi. Echo uderzeń niosło się korytarzami a ja waliłem bez opamiętania. Nagle przestałem. A może tamte drzwi, którymi wszedłem, są otwarte. Przecież kable... Skoczyłem ku drzwiom. Zamknięte na głucho, nie drgnęły nawa pod moim naciskiem. I co najważniejsze, kable zniknęły.

Wtem, gdzieś na zewnątrz, na korytarzu, usłyszałem kroki, właściwie powolne człapanie. W zamku zgrzytnął klucz, drzwi się uchyliły i przez szparę wpadła smuga światła. Ktoś wszedł i przekręcił kontakt. Oślepiony światłem zamrugałem oczyma. W rogu stał staruszek z portierni.

— Co pan tu robi? Skąd pan się tu wziął? — W oczach jego dostrzegłem bezgraniczne zdumienie.

— Gdzie... gdzie Kopot? — wyjąkałem.

— O tej porze pewnie śpi w domu. Ale czego pan tu szuka?

— Kopot umówił się ze mną.

— Co, o pierwszej w nocy?

— No, nie...

— Ale jak pan tu wszedł? — staruszek podejrzliwie spojrzął na okna.

— Przecież sam mnie pan przed chwilą wpuścił.

Staruszek popatrzył na mnie, jakby dopiero teraz mnie zobaczył. Przyglądał mi się przez chwilę zastanawiając się widocznie, z kim ma do czynienia.

Potem powiedział zupełnie spokojnie:

— Panie, chcesz pan robić wariata ze mnie? Nie tędy droga. Wejść pan tu nie mógł, bo wszystko zamknięte. Mógł, pan tu tylko zostać z wieczora. Przyznaj się pan... Rozumiem, różnie w życiu bywa... — odłonił w uśmiechu spróchniałe zęby.

— To pan robisz ze mnie wariata. Przecież dziesięć minut temu wszedłem tutaj i sam mi pan pokazał drogę. A w ogóle powiedz pan, gdzie jest Kopot — równocześnie zdałem sobie sprawę, że nie mówię, tylko głośno krzyczę.

— Mówiłem już. O tej porze prawdopodobnie śpi.

— Ale widziałem go tu przed chwilą.

— Może pan do mego zatelefonować i sprawdzić — staruszek stał się podejrzanie uprzejmy.

— Po co mam do niego dzwonić? Przecież jeśli nawet wyszedł, to do domu jeszcze nie dojechał.

— Na to panu nic nie poradzę.

— Ale przecież wychodził przed chwilą?

— Owszem, widziałem, jak wychodził o jedenastej rano. O pierwszej w nocy nigdy w Instytucie go nie ma.

— O której? — O pierwszej.

Spojrzałem na zegarek.

— Ale przecież teraz dopiero dziesiąta.

Tym razem staruszek cofnął się o kilka kroków.

— Niewątpliwie powinieneś pan do niego zatelefonować — zaczął przymilnym tonem. — Chodźmy stąd. Zaraz pana zaprowadzę.

Otworzył drzwi i puścił mnie przed sobą. Zamykając uważał, by nie

odwrócić się do mnie tyłem.

Telefon był w portierni. Nakręciłem numer Kopota. Słyszałem brzęczenie sygnału. Dopiero po dobrej minucie ktoś odebrał.

— Z doktorem Kopotem... — zacząłem.

— Jestem przy telefonie — powiedział niewyraźnie jak człowiek zbudzony z głębokiego snu.

— Mówi Jasio. Zaprosiłeś mnie, ja przyszedłem, a tutaj...

— Gdzie ja cię zaprosiłem? — senność w głosie Kopota ustępowała miejsca nie ukrywanemu zniecierpliwieniu.

— Zaprosiłeś mnie na doświadczenie, ja przyjechałem...

— Na jakie doświadczenie?

— Nie wiem, powiedziałaś, że na bombowe...

— Jasiu, jeżeli nawet o czymkolwiek wspomniałem, to naprawdę nie powód, by mnie budzić w środku nocy...

— Ale sam chciałeś, żebyśmy natychmiast przyjechał.

— Jasiu, jesteś zalany. To się zdarza każdemu. Ale ja chcę spać. Nie dzwoń już więcej do mnie jutro pracuję od samego rana.

— Przecież o siódmej ty sam...

— To był na pewno ktoś inny. Proszę cię, Jasiu, jak przyjaciel, idź też spać.

— Po co w takim razie jechałem do tego Instytutu?

— Co? Jesteś w Instytucie? Skąd dzwonisz?

— Z portierni.

Na drugim końcu słuchawki Kopot milczał przez chwilę. Potem odezwał się swoim rzeczowym, spokojnym głosem:

— Daj mi do telefonu portiera.

Wręczyłem słuchawkę stojącemu obok staruszkowi. Kopot mówił coś przez chwilę, a staruszek raz po raz powtarzał:

— Tak jest, panie doktorze. Zrozumiałem.

Potem oddał mi ceremonialnie słuchawkę.

— Słuchaj, Jasiu. Na przyszłość wygłupiaj się na własny rachunek. Nie chciałbym w każdym razie, żeby się rozniosło, iż moi przyjaciele rozrabiają po wódce w Instytucie. Słuchaj więc, powiedziałem portierowi, że jesteś dziennikarzem piszącym reportaże o nocnych stróżach i w związku z tym badałeś jego czujność, rozumiesz? A teraz naprawdę idź do domu,

— Chciałem ci tylko opowiedzieć...

— Dobranoc — Kopot powiedział to stanowczym tonem i zaraz potem brzęknęła odłożona słuchawka. Wzruszyłem ramionami.

— Proszę bardzo, zaraz panu otworzę drzwi wejściowe — staruszek z kluczem w ręku poszedł przodem.

Z dworu powiało świeżym nocnym powietrzem. Nad kamiennymi schodami zapłonęła lampa. Wszedłem.

— Ale pan nie napisze, że mnie pan podszedł — w głosie staruszka wyczułem prośbę. — Wie pan, człowiek już stary, trochę się zdrzemnie, ale jakby się dowiedzieli, mogliby z pracy zwolnić.

— Nic nie napiszę... — bąknąłem.

— Serdecznie dziękuję, ale też pan wszedłeś jak duch... Jak duch.

— Ale ja rzeczywiście wszedłem jak duch, i co gorsza, w niezrozumiały dla mnie sposób. A może Kopot zrobił mi kawał? Ale coś by przecież teraz już powiedział. Zresztą w jaki sposób zdążyć do domu. Nie, to zupełnie niemożliwe. A może on jednak miał

rację i ja się po prostu zalałem. Ciekawe tylko, w jaki sposób i kiedy. Nic takiego nie pamiętam, ale to żaden dowód. Z drugiej strony, pamiętam jednak wszystko, i to logicznie, po kolei.

Przecież Kopot telefonował do mnie i zaprosił mnie. Nieładnie to z jego strony, że się teraz wypiera. Chyba musiałem przeleżeć na tej płycie kilka godzin. Przedtem padał deszcz... Tak, leżałem tam parę godzin, tylko dlaczego mnie nie cucili, nie ratowali? A może uznali mnie za martwego i chcieli tylko ukryć ciało? Zostawili mnie w laboratorium i czekali dogodnej chwili, żeby mnie wynieść. Ale w takim razie ten Kopot to zimny drań. Spać w takich okolicznościach albo udawać zaspanego! Tylko po co mieliby ukrywać ciało? Ostatecznie wypadek podczas doświadczenia to nie żadna zbrodnia. Pograżony w takich rozmyślaniach, doszedłem wreszcie do domu. Dozorca po otwarciu bramy przyjrzał mi się dokładnie.

— Naprawdę, panie redaktorze, zdawało mi się, że pan przed godziną przyszedł — odpowiedział na moje powitanie. Zrobiło mi się trochę niewesoło.

— Zdawało się panu — odpowiedziałem najpewniej, jak mogłem.

— Ależ oczywiście — zgodził się pośpiesznie. — Inaczej być nie mogło. Skoro pan teraz wychodzi, a przedtem nie schodził, to znaczy, że wtedy pan nie wchodził, a raczej ten kto wchodził, to nie był pan.

— Oczywiście — powiedziałem.

— Tylko kto to mógł być? — zmartwił się nagle dozorca. Zostawiłem go przy bramie, gdy rozwiązywał ten problem, i windą wjechałem na czwarte piętro. Przekręciłem klucz. Wszedłem do ciemnego korytarza. Drzwi do pokoju były uchylone i odniosłem

wrażenie, że tam ktoś jest. Wsunąłem się do pokoju, tuż przy ścianie, i usłyszałem w ciemności czyjś ciężki oddech. Rzuciłem się do kontaktu, potykając się w ciemności o jakieś buty. Zdawało mi się, że oddech słyszę tuż, tuż nad uchem. Przekręciłem kontakt. Ujrzałem łóżko. W łóżku leżał człowiek. Spał. Któż to mógł być?

Moje zaskoczenie było zupełne. Podszedłem do łóżka i spojrzałem w jego twarz. Krzyknąłem. On poruszył się niespokojnie. Tak, nie omyliłem się. Tym człowiekiem byłem ja. Wyskoczyłem z mieszkania i przesadzając po dwa stopnie naraz zbiegłem w dół. W bramie dzwoniłem długo. Dozorca wybiegł, dopinając płaszcz.

— Co się stało? Panie redaktorze, co się stało? — był przerażony.

Nie odpowiedziałem. Biegłem ulicą w dół, byle prędzej. Tam gdzieś za rogiem stały taksówki. Szarpnąłem drzwiczki auta i jednym tchem rzuciłem adres Kopota. To, co ujrzałem, przekraczało możliwości mojej wyobraźni. Przecież widziałem dokładnie jego, a właściwie moje włosy, mój nos, nawet moją marynarkę rzuconą na krzesło. Nie miałem wątpliwości, że to tylko fragment zdarzeń dzisiejszego wieczoru. Klucz do nich spoczywał w ręku Kopota.

Na dzwonek długo nikt nie odpowiadał. Wreszcie usłyszałem kroki i w drzwiach stanął Kopot w szlafroku.

— Co, znowu ty! — zawołał na powitanie. — Mówiłem ci, żebyś poszedł spać.

— Słuchaj, musisz mi coś wyjaśnić, ale przede wszystkim wierz mi, że nie piłem kropli alkoholu.

— Komu ty to będziesz mówił, Jasiu — Kopot filuternie zmrużył oko.

— Ależ ja naprawdę nie piłem! — Kopot spojrzał na mnie przenikliwie.

— Dotychczas nigdy nie starałeś się uchodzić za abstynenta. Chuchnij. Rzeczywiście, chyba nie piłeś. Ale w takim razie co tu robisz? Chyba stało się coś poważnego? — W jego głosie wyczułem niepokój. — Chodź do środka.

— Nie wiem, czy stało się coś poważnego, ale w każdym razie coś niesamowitego i niezrozumiałego — urwałem.

— Powiedz.

— Powiedz najpierw, czyś się nie umawiał dzisiaj ze mną o siódmej?

— Nie.

— Ale byłeś w Instytucie?

— Nie. Miałem zebranie Towarzystwa Astronautycznego.

— Ale jednak zaprosiłeś mnie na doświadczenie z tym aparatem, no, jak on się tam nazywa?

— Chodzi ci o titrom?

— O, właśnie. Więc zapraszałeś mnie?

— Nie. Miałem co prawda zamiar...

— Więc kto mnie zapraszał? Ale to jeszcze nie jest najdziwniejsze. Co powiesz na to, że cię widziałem po siódmej w Instytucie?

— Że ci się wydawało...

— Zgoda, ale czy potrafisz mi wytłumaczyć, dlaczego przychodząc do własnego domu znajduję we własnym łóżku siebie, pomimo że stoję obok łóżka? — widziałem, jak twarz Kopota ożywia się w miarę wypowiedzania przeze mnie tych słów.

— Więc działa... — powiedział to prawie z entuzjazmem.

— Nie wiem, co tam działa, lecz powiedz mi, czy mającę, czy zwariowałem...

— Nie, jak najbardziej nie. Pozwól, Jasiu, że cię uścisknę. Przynosisz mi fantastyczną wiadomość. Nic nie mogłoby mi sprawić większej radości. To wielki dzień. Chodź, napijemy się wina.

Kopot podszedł do barku, otworzył i wyjął z jego głębi butelkę. Patrzyłem zdumiony w najwyższym stopniu. Kopot, od kiedy go znałem, był stuprocentowym abstynentem, i to niezłomnym tak, że to wino można było zaliczyć do niesamowitych wydarzeń dnia.

— Nie wiem, z czego się tak cieszysz — powiedziałem, gdy ochłonałem z pierwszego zdumienia. — Ja w tym, że zobaczyłem drugiego siebie, nie widzę nic radosnego.

— Ty nie rozumiesz, ale to jest zapowiedź, gwarancja prawie, że moje doświadczenia się powiodą.

— A dzisiaj ci się nie udały?

— Dzisiaj nie robiłem doświadczeń. Zrobię je w niedzielę.

— W przyszłym tygodniu?

— Nie, w tym.

— Jak to?

— Po prostu, dzisiaj jest czwartek.

Spojrzałem na niego tępym wzrokiem.

— Ale przecież...

— Przecież co...? Przecież czwartek minął kilka dni temu lub będzie za kilka dni. To chciałeś powiedzieć?

— No... tak.

— Otóż niekoniecznie... Słyszałeś...

— Kopot!!!

To powiedział ktoś za mną. Odwróciłem się gwałtownie. W pokoju stało dwu mężczyzn.

— Kopot, ty się zapominasz.

— Ależ... — twarz Kopota stała się szara i bez wyrazu.

— Nie musisz się tłumaczyć, Kopot. Chciałeś mi wszystko powiedzieć.

— Wielki naukowiec... wielki fizyk, śmiechu warte — dodał drugi.

— Ja naprawdę słowa bym mu nie powiedział...

— Wystarczy, że go przeniosłeś w czasie. Zdaje się, już zupełnie zapomniałeś, że przyjechałeś tu na stypendium historyczne... Zaczynasz się bawić w geniusza z ich epoki...

— Ależ, panowie — przerwałem — co to wszystko ma znaczyć?

— Nie przeszkadzaj nam, chłopcze. Jesteśmy starymi przyjaciółmi Kopota — zaśmiał się. — Brzydko się zachowałeś, Kopot. Nie mówię już o tym winie... Zdziczałeś trochę.

— Gdybyśmy się w porę nie zjawili, zrobilibyś nam taki kawał jak Elias.

— Nic podobnego. Zresztą to przecież inna epoka.

— Parę tysięcy w tę czy w tamtą stronę nie zmienia postaci rzeczy. On też twierdził, że nic nie zrobił, tylko pounosił się trochę na antygravitorach. A oni mówią o nim do dzisiaj.

— Uważajcie — przerwał Kopot — przecież Jasio słucha...

— Nie szkodzi. Po ostatnich eksperymentach w Ameryce wiemy już przecież, że jeśli nawet jeden z nich wie coś o nas, reszta mu nie

wierzy.

— On jest dziennikarzem...

— Nie szkodzi. W tej epoce naukowcy i tak nie dopuszczą go do głosu. Wiesz co, Uon.— zwrócił się do drugiego proponując, żebyśmy z nim zrobili drugi eksperyment. Wie już przecież trochę...

— A sprawdziłeś, kto był jego synem, wnukiem?

Ten ich sposób mówienia zirytował mnie trochę.

— Może byście wreszcie powiedzieli, o czym właściwie mówicie. Słuchaj, Kopot, skąd wzięłeś takie typy...

— Daj spokój, Jasiu — Kopot był wyraźnie zdenerwowany.

— Zaraz ci wytłumaczę, Jasiu — ten, którego nazywano Uon, uśmiechnął się do mnie. — Otóż nasz drogi przyjaciel Kopot, specjalista od socjologii epok zamierzchłych, został wysłany na stypendium w dwudziesty wiek...

— Wysłany skąd?

— No, z naszej epoki... z przyszłości... Nie przemęczał się tu zresztą zbyt i używał dwudziestowiecznego życia. Widzisz, takie wino na przykład jest nie do pomyślenia w naszych czasach. Potem nasz drogi Kopot wystąpił z projektem zbudowania titroma... Nie wynika z tego, że jest wielkim naukowcem. Takie titromy buduje w naszej epoce każde dziecko już w przedszkolu. Chciał badać reakcje ludzi waszego stulecia na ten bądź co bądź interesujący dla was wynalazek. Oczywiście o przenoszeniu ludzi w czasie nie było mowy... i przenosząc ciebie nadużył zaufania.

— Ależ on wszedł przypadkiem, naprawdę przypadkiem.

— Powinieneś się być przed tym zabezpieczyć, nieprawdaż, Nou?

Ludzie z naszej epoki odpowiadają za swe pomyłki.

— Nie rozumiem — powiedziałem twardo.

— Czego nie rozumiesz? — zdziwił się Nou.

— Tego... przenoszenia w czasie.

— To przecież proste. Elementarna teoria „przeskoków”. Żyjemy w normalnej czterowymiarowej przestrzeni. Ludzie z waszej epoki potrafią się poruszać tylko w trzech wymiarach, natomiast czas płynie dla nich zawsze „naprzód”. — I cóż w tym dziwnego?

— To, że naprawdę przez piąty wymiar można się dostać w każdy punkt tej czterowymiarowej przestrzeni... można się przenieść do jutra, do wczoraj, do dnia narodzin swojej matki, w epokę lodowcową czy jeszcze odleglejsze czasy... — Jak można się przenieść do czegoś, czego przecież nie ma? Przecież nie w mówicie mi chyba, że dzień wczorajszy istnieje...

— Oczywiście, że istnieje. Tak samo jak dzień jutrzejszy...

— Bzdura — powiedziałem i roześmiałem się w nos temu Nou.

Nie zrobiło to na nim wrażenia.

— Czekaj. Spróbuję ci to wytłumaczyć przez analogię. Wyobraź sobie, że idziesz ścieżką wśród pól. Wyobraź sobie jeszcze, że nie potrafisz spojrzeć za siebie, nie potrafisz, żebyś nie wiem jak chciał. Idziesz więc ścieżką, a przy tej ścieżce rośnie drzewo. Wiesz, że istnieje, gdy do niego się zbliżysz; po prostu widzisz je. Lecz gdy je miniesz, przestaje dla ciebie istnieć. Nigdy więcej go nie zobaczysz, bo nie potrafisz się odwrócić. Zniknęło dla ciebie jak dzień wczorajszy...

Przez chwilę myślałem intensywnie, a potem zapytałem:

— Więc twierdzisz, że nie potrafimy się odwracać w czasie... do wczoraj, tak jak ten twój przykładowy gość nie mógł odwrócić się, by zobaczyć to drzewo...

— Wspaniale. Właśnie o to chodzi. Musisz wiedzieć, że w ogóle „odwracać się” można, ale niestety to nie jest takie proste. Trzeba umieć „odwracać się” w czasie. Nie możemy odwracając się nic zmieniać w waszym świecie, bo następstwa tego przenoszą się w przyszłość i zmieniają nasz świat...

— Jak to zmieniają?

— To po prostu sławny „paradoks dziadka”. Ach prawda, ty nie możesz jeszcze nic o nim wiedzieć. Więc wyobraź sobie, że przenosisz się kilkadziesiąt lat w przeszłość i zabijasz swego dziadka, gdy był jeszcze małym chłopcem. Potem wracasz do swoich czasów i co się okazuje... Jedno z twoich rodziców nigdy nie istniało. Ty sam nigdy się nie urodziłeś...

— Absurd.

— Tylko na pierwszy rzut oka. Każdy z ludzi w waszej epoce wie, że można kształtować przyszłość. Otóż przeszłość można kształtować zupełnie identycznie... i okazuje się, że właściwie nie różnią się od siebie niczym istotnym...

— Może... ale w redakcji tego i tak nie puszczą. Takie historie nie przechodzą nawet w ogórkowym sezonie... — Uon zaśmiał się radośnie.

— Z nimi właśnie tak jest. Gdy im się coś powie, po prostu nie wierzą. Muszą wszystko sami sprawdzić...

— To właśnie stanowi potęgę rodzaju ludzkiego, jego siłę... —

powiedział drugi.

— Ale pomyśl. Jesteśmy ludźmi, to widać, ale to według nich jest zbyt proste i dlatego uważają nas za Marsjan, Wenusjan czy w ogóle przybyszów z innych gwiazd. A fakt, że jesteśmy ludźmi, że jesteśmy ich potomkami, narzuca się sam. Przecież możliwość powstania na innej planecie istot rozumnych, zewnętrznie podobnych do człowieka, jest nieskończenie mało prawdopodobna...

— No cóż — Kopot wstał ze swego krzesła — po tym, co już powiedzieliście, możecie się spokojnie napić wina... To się w ogóle nie będzie liczyło w ogólnym bilansie waszych przewinień...

— Mylisz się. My robimy eksperyment. Mamy na to upoważnienie.

— A sprawdziliście, co Jasio będzie robił potem i jak dzisiejsza rozmowa może zmienić jego życie...

— Nie martw się. To już nasza sprawa.

— W każdym razie, jeśli coś się zmieniło w moich czasach, będę wiedział, gdzie szukać winnych.

Nou wzruszył ramionami, a Uon wyszedł. Po chwili wrócił, niosąc... Kopota, drugiego Kopota — martwego.

— Niech cię to nie przeraża — powiedział do mnie Nou — to tylko kopia. Ona nigdy nie żyła. Jest syntetyczna. Co prawda, jak na wasze warunki dość doskonała kopia i dysponując waszymi środkami nie można jednak wykryć żadnej różnicy między nią a Kopotem. Dlatego wasz lekarz stwierdzi, że Kopot umarł na serce...

Nou uśmiechnął się.

— No, czas na nas — Uon ułożył kopię na kanapie. — Chodźmy...

Wyszliśmy na balkon. Uon wyjął coś z kieszeni i w tej samej chwili,

bez żadnego dźwięku, zjawił się, dosłownie się zjawił, bo nie widziałem, skąd nadleciał, pojazd podobny kształtem do ogromnej meduzy...

Uon zniknął w jego wnętrzu. Stałem niezdecydowany, gdy nagle Nou położył mi rękę na ramieniu.

— Przełknij to — powiedział. Podał mi okrągłą pigułkę.

— Przełknij to, a o resztę my się zatroszczymy i wrócisz tam, skąd wyruszyłeś...

Przełknąłem ją... i stałem na metalowej płycie titroma. Ludzie w białych fartuchach stali przy deskach rozdzielczych jak wtedy. Jeden z nich mnie zobaczył.

— Proszę zejść z ekranu! — zawołał.

— Chyba nic mi się nie stało? — zapytałem, podchodząc do niego.

— Nie, to jeszcze nie działa, ale lepiej nie wchodzić na ekran.

— A kiedy uruchomicie aparat?

— Zaraz, jak tylko przyjdzie Kopot — spojrzał na zegarek. — Nie wiem, dlaczego się spóźnia. Powinien już tu być od godziny...

CZŁOWIEK Z AUREOLĄ

— Tak, to ciekawe... Uważa więc pan, profesorze, że pana złota klatka jest tyle warta co dziurawy garnek, że po ogrodzie przy pana laboratorium, po ogrodzie, przeznaczonym do rozmyślań o przestrzeni zakrzywionej, w tę lub tamtą stronę snują się podejrzani osobnicy. — Pułkownik przerwał swój spacer po gabinecie i stanął przy oknie.

— Powiedziałem nieznani. — Zza swego biurka profesor widział jego sylwetkę na tle dalekich, fioletowych, oświetlonych wieczornym słońcem gór.

— Obojętne, nieznani znaczy podejrzani. — Pułkownik chwilę jeszcze stał nieruchomo, a potem podszedł do kontaktu i zapalił światło.

Dopiero teraz profesor spostrzegł rozpięty guzik munduru pod szyją pułkownika.

— W pierwszej chwili pomyślałem sobie, że to nowy pomocnik ogrodnika.

— Wykluczone. Moi pracownicy są zdyscyplinowani. Pilnują pana w sposób niedostrzegalny i nigdy nie pozwoliliby sobie na tego rodzaju nietakt, by swoim widokiem zakłócać pana twórcze

rozważania.

W tej chwili znowu profesor Trot zdał sobie sprawę, jak bardzo nie cierpi pułkownika. Odpowiedział jednak spokojnie:

— Jak zwykle ma pan rację, pułkowniku. To nie był pomocnik ogrodnika ani ogrodnik, ani żaden z pana korpulentnych sprzątaczy. Nikt z personelu mego laboratorium.

— Przepraszam, profesorze — Trot spostrzegł, że pułkownik przygląda mu się badawczo. — Jeżeli dobrze pamiętam, był wtedy świt, szarawy świt. Wyszedł pan na taras, a on stał w odległości około piętnastu metrów pod krzakiem róży „Ramzes”.

— Podziwiam pana pamięć, pułkowniku Hogan.

— W każdym razie nie mógł pan widzieć jego twarzy. Personel laboratorium jest stale zmieniany, nie zna więc pan tych ludzi.

— Chce pan wiedzieć, dlaczego twierdzę, że to był człowiek z zewnątrz? Czy tak?

— To by mnie interesowało — pułkownik uśmiechnął się.

„Powiem mu, powiem mu, chociaż i tak zapewne mi nie uwierzy, ale wreszcie pójdzie do diabła i będę miał spokój” — pomyślał Trot i zrobiło mu się weselej, gdy wyobraził sobie minę pułkownika.

— Widzi pan — Trot mówił teraz cicho, tak cicho, że słyhać było szmer wentylatora wirującego na biurku. — Otóż ani moi asystenci, ani pana ludzie nie mają aureoli.

— Przepraszam, czego?

— Aureoli.

— Nie rozumiem. — Pułkownik był całkowicie zdezorientowany.

— Można to określić jako świetlisty krąg wokół głowy. Subtelna

światlista otoczka.

— Pan żartuje, profesorze.

„A teraz jest zły, naprawdę zły” — pomyślał Trot i sprawiło mu to wyraźną satysfakcję.

— Ja, pułkowniku, nie żartuję nigdy, prawie nigdy. — Nie patrzył już na pułkownika, lecz w okno na góry, które szarzały w przedwieczornym zmierzchu.

— To niemożliwe, profesorze. Ludzie nie mają aureoli.

— Przynajmniej większość ludzi — poprawił Trot i pomyślał, że teraz właśnie pułkownik wreszcie wyjdzie z gabinetu. Jednak Hogan nie wyszedł. Stał chwilę milcząc, a potem podszedł do biurka i patrząc z góry na profesora zapytał:

— I co pan wtedy zrobił?

Trot zawahał się przez moment.

— Krzyknąłem: „Niech pan chwilę zaczeka”, i wszedłem do laboratorium, by wziąć ze stołu aparat fotograficzny.

— Tak. Rzeczywiście. Usłyszał to jeden z moich... powiedzmy, z naszych pracowników. I co dalej?

— Niestety, nic. Gdy wróciłem z aparatem, w ogrodzie nikogo już nie było.

Dopiero teraz Trot spostrzegł, że Hogan poczerwieniał.

— Tam w ogóle nikogo nie było, profesorze. Pan sobie żartuje. Zamieszanie, raport do władz. — Głos jego stawał się coraz bardziej zduszony. — Laboratorium jest tak strzeżone, że to, co pan mówi, jest wykluczone, absolutnie niemożliwe. Tam nie mogło być nikogo! I jeszcze ta aureola...

— Próbuje mnie pan przekonać, pułkowniku?

„Jeszcze trochę i będę go mógł wyrzucić z gabinetu” — pomyślał Trot.

— Ależ, profesorze. Niech pan pomyśli: aureola! To przecież dziecinne. — Hogan siadł w fotelu i ujął głowę w dłonie.

„Gladiator, gladiator, któremu kazano myśleć”. Trot spojrział na Hogana beznamiętnie jak na aktora w ekranie telewizora.

— To typowe — powiedział. — Pan jest typowym dwudziestowiecznym racjonalistą, pułkowniku Hogan. Jest pan przekonany, że wszystko, co na tym świecie było do wyjaśnienia, zostało wyjaśnione, a reszta to bajki.

— Ależ, profesorze.

— Tak. Dokładnie tak. Ale na takich ludziach jak pan opiera się nasza cywilizacja — dodał ciszej Trot, a potem siedział jeszcze nieruchomo za biurkiem, gdy kroki Hogana ucichły już na korytarzu. I wtedy zauważył, że w rogu pokoju, tuż koło biblioteki, stoi człowiek z aureolą.

Lizi przyszła jak zwykle w południe. Trot czekał na nią zawsze ze śladem niepewności. Wiedział, że kiedyś nie przyjdzie, przypuszczał jednak, że prawdopodobieństwo tego jest jeszcze znikomo małe. Pracował trochę rano i jego biurko zarzucone było papierami. Lizi pozbierała fragmenty obliczeń rozrzucone po dywanie i wtedy dopiero siadła naprzeciw niego. Nacisnęła klawisz radia, a gdy głośnik przekazywał już dźwięki skrzypiec z pełnym natężeniem, powiedziała cicho:

— Porwano Topsis i Mulera.

— Skąd wiesz? — zapytał po chwili równie cicho.

— Od człowieka Hogana.

— Sądzisz, że teraz na mnie kolej?

— Niewykluczone — powiedziała zupełnie spokojnie i Trot miał jej to za złe.

Dźwięki skrzypiec stawały się coraz głośniejsze, nie do wytrzymania. Słuchał ich bawiąc się bezmyślnie ołówkiem.

— Zastanawiasz się, czy był sens zaczynać to wszystko? — zapytała.

— Nie, ta decyzja jest już poza mną. Podjąłem ją wtedy, gdy pierwszy raz rozmawiałem z tobą. Pamiętasz...

— Tak, tak sądzę. A co do nowej partii wzorów włożyłam je, jak zwykle, w drugi tom „Dzieł zebranych” Einsteina. Będziesz pamiętał?

— Tak, oczywiście.

— Musisz zdążyć. To najważniejsze. Te wzory prowadzą już bezpośrednio do syntezy antymaterii. Słyszysz?

— Tak.

— No, to świetnie — uśmiechnęła się. — Gdy je opracujesz, nasze dzieło zostanie zakończone.

— Nasze dzieło... Czy jesteś pewna, Lizi, że to jest właśnie... że o to nam chodziło?

— Nie rozumiem cię. Skąd nagle te wątpliwości? Przecież wiesz, mówiłam ci wielokrotnie, że antymateria to klucz do prawdziwie nowoczesnej techniki.

— Oczywiście, ale na przykład Hogan...

— Co Hogan?

— On i antymateria. Wyobrażasz to sobie?

— Niezupełnie ciebie rozumiem. Dobrze, niech będzie Hogan. W końcu taki jak wielu innych. Nawet dość przystojny.

— Och, Lizi. Żyjesz tu już tyle lat, a mimo to mam niekiedy wrażenie, jakbyś przyjechała dzisiaj... — przerwał i zaczął słuchać uważnie komunikatu, który zastąpił w radiu skrzypce.

„A teraz podajemy komentarze prasy. Przekazana dzisiaj rano przez agencję wiadomość o zniknięciu w ciągu ostatniej doby pięciu fizyków atomowych wzbudziła niepokój opinii publicznej. Joachim Reed omawiając tę sprawę na łamach »Up and Down« stwierdza, że mimo starannych poszukiwań nie natrafiono na najmniejszy ślad zaginionych. Szczególnie sensacyjna wydaje się sprawa doktora Topsa. Tops zniknął w czasie pracy ze swego strzeżonego gabinetu. Funkcjonariusz Dowel, który pierwszy zauważył nieobecność doktora i przeszukał gabinet, twierdzi, że spostrzegł na biurku dymiącą jeszcze fajkę oraz rozrzucone notatki. Gdy wrócił do gabinetu z wezwanym szefem ochrony, fajki ani papierosów już nie było...”

— Wyłączę to — powiedziała Lizi i nacisnęła klawisz wyłącznika.

— Pięciu, i to jednego dnia, to dużo. Musieli zdobyć jakieś nowe informacje. — Spojrzała na Trota. — Nie przejmuj się tym aż tak bardzo. W najgorszym wypadku na dorocznym zjeździe atomistów w Toropa brać będą udział sami emeryci. Pojadę tam jako... hm... wdowa po tobie.

— Bez głupich kawałów, Lizi.

— Nie lubisz prawdy w formie bezpośredniej. To dla twego wieku

charakterystyczne.

— Nie żartuj. Wiesz o tym, że teraz już moja kolej.

— Dopiero, gdy przekażesz wzory. Pamiętaj o tym.

— A reszta nieważna. Co dalej będzie, to cię nie interesuje? — zapytał i wiedział, że to jej rzeczywiście nie interesuje.

Wzruszyła ramionami.

— Cóż chcesz, mój drogi. W ciągu dwu lat stałeś się jednym z najwybitniejszych uczonych na tym kontynencie. To chyba warte jest tej ceny. Nie sądzisz?

— Przestań!

— W każdym razie masz spakowaną walizeczkę w swoim gabinecie. Kilka koszul, sweter, skarpetki. Ostatnio dołożyłam ci spinki do mankietów. Staram się być dobrą żoną, a ty tego nie zauważasz. Nie wiem tylko, czy pozwolą ci to wszystko zabrać. Chociaż jeśli Topsowi pozwolili zabrać fajkę...

Trot patrzył w jej twarz, wielkie szarawe oczy i wystające kości policzkowe. „Muszę być spokojny — powtarzał sobie. — Teraz i tak niczego już nie zmienię” — i w pewnej chwili poczuł, że jest już spokojny.

— Obawiam się — powiedział — że Tops będzie miał kłopot z tytoniem. Przepadał za dobrym tytoniem.

A gdy spostrzegł, że Lizi patrzy nań badawczo, dodał: — Wiesz, poproszę tu Hogana. Porozmawiamy sobie trochę na interesujące go tematy.

— Czy nie sądzisz, że byłoby lepiej, gdyby te wzory...

— Daj mi spokój ze wzorami. Na to też przyjdzie czas. Jesteś

niecierpliwa jak... zwyczajna kobieta.

Trot wcisnął klawisz wizofonu.

— Z pułkownikiem Hoganem... — powiedział.

— Jestem, profesorze — twarz Hogana wypełniła cały ekran.

— I co pan na to?

— Jest pan zaniepokojony, profesorze?

— Zaniepokojony? Skądże. Chciałbym jednak zobaczyć się z panem, tu u mnie.

— Dobrze, profesorze. Już idę. — Ekran zszarzał.

— Zaraz tu będzie. Porozmawiamy sobie. — Trot powiedział to z pewną satysfakcją.

— Może przekaż przez niego wzory. To może być ostatnia szansa.

— Przesadzasz, Lizi. Oni nie są wszechwiedzący.

— Ale są systematyczni, śmiertelnie systematyczni. To chyba ich najbardziej charakterystyczna cecha.

W drzwiach stanął Hogan.

— Jestem, profesorze. O, pani Lizi?!

— Od kiedy odizolowaliście go w sposób niemal absolutny, muszę go tutaj odwiedzać.

— Przykro nam, lecz to konieczne dla bezpieczeństwa profesora.

— Tak, oczywiście. Obawiam się tylko, że za kilka dni przestaniecie mnie tu wpuszczać. Czy nigdy nie wydawałam się panu podejrzana?

Hogan uśmiechnął się i był to uśmiech przeznaczony dla Lizi. „Ma atawistycznie rozwinięte kły” — pomyślał profesor.

— Szczerze mówiąc — Hogan uśmiechał się dalej — pani

przeszłość nie jest przejrzysta.

— Ależ, pułkowniku...

— Oczywiście. Źle się wyraziłem. Pani przeszłość jest po prostu nie do udokumentowania. Od urodzenia towarzyszy pani mniej dokumentów niż statystycznemu obywatelowi tego kraju. Ale w naszym demokratycznym państwie jest to dopuszczalne.

— Widzisz, mówiłam. Pewnego dnia nie wpuszczą mnie do ciebie.

— Oczywiście żartuję. Poznała pani profesora, zanim stał się dla nas tak niezwykle cenny. To w pewnym sensie stawia panią poza sferą naszych zainteresowań.

— A może — Lizi spojrzała na Trota — może dzięki mnie znalazł się on w tej pana sferze?

„Patrzy na mnie jak na tresowaną małpę” — pomyślał Trot i wtedy odczuł satysfakcję z tego, co się zdarzyło wieczorem, z drugiego spotkania z człowiekiem z aureolą.

— Oczywiście, była pani profesorowi natchnieniem w jego twórczości.

— W pewnym sensie. Prawda, profesorze?

Teraz wiedział już, że postąpił słusznie. „Ona nigdy, nigdy nie traktowała mnie poważnie. Byłem zawsze dla niej... zabytkiem” — pomyślał.

— Lizi — powiedział — mamy z pułkownikiem poważne sprawy do omówienia.

— Nie przeszkadzam. Mam nadzieję, że zobaczymy się jutro. Ja przyjdę na pewno. — Ostatnie zdanie zaakcentowała i Trot zrozumiał, że Lizi nie spodziewa się już jutro ujrzeć go w tym gabinecie.

Obejrzała się jeszcze przez ramię i wyszła.

— Zainteresowałem się aureolami — powiedział Hogan.

— Pan? Żartuje pan, pułkowniku.

— Mówię poważnie. Nie tylko pan, profesorze, widział człowieka z aureolą.

— A więc wierzy mi pan teraz?

— Czy to istotne? Ma pan rację. Miałem wątpliwości. Ale to już u mnie w pewnym stopniu skrzywienie zawodowe.

— I pozbył się pan tych wątpliwości?

— Tak.

— No i...?

— Cóż, przestudiowałem zagadnienie. O aureoli nie napisano zbyt wiele. W sztuce chrześcijańskiej pojawiła się gdzieś w czwartym wieku. Sam pomysł pochodzi z buddyzmu. To chyba wszystko.

— Ma pan zadziwiające wiadomości.

— Staramy się być wszechstronni.

— Tak, ja też się nad tym zastanawiałem. Oczywiście po amatorsku, bez wiadomości źródłowych. Nad panem mam może tę przewagę, że ja widziałem człowieka z aureolą.

— I jakie pana wnioski?

— Na najstarszych obrazach aureola występuje w postaci krążka, bez względu na położenie głowy, obojętne, czy twarz jest z profilu, czy en face. Wniosek jest oczywisty.

Teraz Hogan spojrział na profesora badawczo. „Ten gladiator nie jest taki głupi” — pomyślał Trot.

— Ciekawe — Hogan mówił teraz powoli. — To fakt, że aureolę

miewali ludzie co najmniej niezwykli, dlatego później kojarzono ją ze świętymi.

— Pan sprawnie myśli, Hogan — pochwalił go profesor. — Specjalnie pana w to wszystko wprowadziłem, żeby się pan mógł osobiście o wszystkim przekonać.

— Nie rozumiem. Czy chce pan przez to powiedzieć, że pan, profesorze, wie... — Hogan cofnął się ku drzwiom.

— Teraz przepadło. Pan wie i oni wiedzą o tym. Nie wyjdzie pan już stąd. Wciągnąłem w to pana i z tego nie ma wyjścia.

— Wolne żarty, profesorze — Hogan odwrócił się w kierunku drzwi, lecz w drzwiach stał człowiek, niski mały człowiek w szarym kombinezonie i z głową, która wyglądała na nieco zdeformowaną.

— Kto... kto pan jest? — Hogan wyszarpnął z kieszeni mały, czarny rewolwer. Wyszarpnięte z rewolwerem przedmioty: jakiś kalendarz i duża biała chustka, upadły na dywan.

— Schowaj, Hogan, tę sfluwę — powiedział człowieczek. — Będę ją musiał rozwalić i przypadkiem mogę ci rękę uciąć. No!

— Ręce na kark, bo strzelam! — Hogan powiedział to spokojnie i Trot pomyślał o nim, że ma zdrowe nerwy. Mały człowieczek wysunął z rękawa bluzy coś, co nie było ręką. Jego ruch był szybki, zbyt szybki jak na człowieka. Hogan nie zdążył nawet nacisnąć spustu, gdy niewidoczna siła wytrąciła mu rewolwer z dłoni. Cios był tak silny, że Hogan zachwiał się.

— Spokojnie, Hogan. Tylko bez wygłupów. Widzisz, że są lepsi od ciebie.

— Ma pan świetnie opanowany język współczesny — powiedział

Trot.

— Uczyłem się go z waszych książek. Powiedz temu Hoganowi, że nagły skok do drzwi nic mu nie da, tak samo jak próba zwałenia mnie z nóg. Niech zrozumie, że wsiąkł.

— On ma rację, pułkowniku — spojrzał na Hogana, który spokojnie masował swoją prawą dłoń.

— Jesteś wściekle przedsiębiorczy facet — człowieczek mówił teraz do Hogana — ale nie masz się po co gimnastykować. Kapujesz?

— Jak ten kryminalista się tu dostał? Jak pan myśli, profesorze?

— Normalnie. Przez piąty wymiar — człowieczek odpowiedział natychmiast.

— O czym on mówi?

— Słuchaj, Trot, ten facet jest zupełnie zielony.

— On jest, pułkowniku, z przyszłości. Rzeczywiście nie przypuszczam, żeby mógł pan coś na to wszystko poradzić.

— Zawołam ludzi!

— Ta przestrzeń jest w poślizgu czasowym i stąd nie wypryśniesz — człowieczek mówił to z wyraźną satysfakcją.

— Przypuszczam, pułkowniku, że on mówi prawdę. Jednakże zastanawia mnie brak aureoli u tego osobnika.

— Nie ma pan większych zmartwień, profesorze?

— W każdym razie to zastanawiające.

— No, spływamy stąd — człowieczek przerwał profesorowi w pół zdania. — Uwaga, rozpinam pole. Nie ruszać się.

Coś brzęknęło jak tłuczona szklanka i wtedy Trot zobaczył Lizi. Stała przy drzwiach.

— Android, stop! Wymazuj pamięć — powiedziała Lizi i człowieczek znieruchomiał.

— Zgłaszam stały program zamknięty. Jestem specjalizowany.

— Polecam: wymazuj! — powtórzyła.

— Wykonuję — odpowiedział człowieczek i Trot usłyszał delikatny szum, szum podobny do szumu mrowiska.

— Coś ty mu zrobiła? — zapytał.

— Nic wielkiego. Wymazałam mu pamięć. To tylko automat.

— Jak... jak pani to zrobiła...? Pani... pani jest stamtąd...

— Teraz już pan wie, pułkowniku.

— Zaraz... ja... — Hogan podszedł do drzwi.

— Nie wyjdzie pan stąd. Jesteśmy dalej w poślizgu czasu. Nie przekazałeś mi jeszcze wzorów? — spojrzała na Trota uważnie.

— Nie — odpowiedział Trot po sekundzie wahania.

— To świetnie. Wyślę go w przyszłość za ciebie.

— Nie rozumiem.

— Przeprogramuję automat i on zabierze Hogana. Musisz zinterpretować te wzory.

— Nie... ja protestuję, nie chcę. Nie dam się stąd zabrać!

— Przeniesie się pan w przyszłość, bez względu na to, czy chce pan, czy nie. W dwudziesty piąty wiek. To zresztą pana obowiązek bronić profesora z narażeniem życia. A pan nie zginie, pan będzie żył. W przyszłości są specjalne rezerwy dla ludzi z wcześniejszych epok. Polowanie, jazda konna. Żadnych trosk. Te rezerwy są wspólne dla ludzi z pierwszych dwudziestu wieków.

— Ja z jaskiniowcami z pierwszych wieków?!

— Pochodzi pan z okresu, w którym ludzie atakowali swój gatunek. Nic na to nie poradzę. Zresztą tam nie jest tak źle. Automaty likwidują większość konfliktów. Pozostawia się ich tylko tyle, by nie zatracić atmosfery i kolorytu tamtych czasów. — Lizi uśmiechnęła się pogodnie.

Wtedy Hogan skoczył. Skoczył ku Lizi, ale android był szybszy. Uderzenie zbiło go z nóg i zwałił się twarzą w puszysty dywan.

— Słuchaj, Lizi, czy to wszystko ma sens? Przecież oni i tak w końcu mnie znajdą.

— Nie znajdą. Zrezygnujesz z wszelkiej działalności. A jeśli nawet... Wtedy antimateria będzie już własnością ludzkości. No i ja... ja zostanę z tobą w tych czasach.

Trot chciał coś powiedzieć, lecz Lizi przerwała mu:

— Potem. Teraz muszę przeprogramować androida — podeszła do automatu i mocnym szarpnięciem odsłoniła jego szarawy pancerz. Android jednym ruchem rąk usunął pancerz i zamarł w nienaturalnej pozie.

– In–struk–cja sie–dem–dzie–siąt pięć – wysylabizował. Trans–tem–po–ry–za–cja czło–wie–ka dwu–dzies–to–wiecz–ne–go...

Trot patrzył na Lizi i androida. Nagle poczuł cios w głowę.

— Uważaj, Liz! — krzyknął, ale Hogan był szybszy. Znieruchomiały automat z otwartym pancerzem potoczył się pod ścianę...

— Nie ruszać się! — Hogan celował do nich ze swego małego rewolweru. Trot podniósł się wolno. „Działając pod wpływem strachu ten gladiator gotów jest nas zastrzelić” — pomyślał i nagle zdał sobie

sprawę z tego, że jest mu to obojętne.

— Pod ścianę. Ty też, profesorze. Słuchaj, dziewczyno, ja nie żartuję. Nie mam nic do stracenia.

Lizi podeszła do Trota.

— Jak się nazywa ten andro...

— Milcz! — Hogan krzychał prawie histerycznie.

Leżący pod ścianą android monotonnie sylabizował:

– I–den–ty–fi–kac–ja o–sob–ni–ka w pa–mie–ci do–dat–ko–wej. Lo–ka–li–zac–ja prze–strzen–na we–dług roz–po–zna–nia ko–or–dy–na–to–ra. Mo–je has–ło...

Wtedy Hogan strzelił do androida mierząc w czarny otwór wyjętego pancerza. Trot zauważył jeszcze małe błyszczące kryształki wypadające na zewnątrz, odłupane uderzeniem kul. Android zaczął bełkotać.

— Uszkodziłeś automat!

— Chciał podać swoje hasło, a to było ci potrzebne do czegoś, nieprawdaż? Nie ruszaj się!

— Prymityw — powiedziała Lizi.

Hogan, patrząc na nią uważnie, zaczął się wycofywać ku drzwiom. Nagle Trot spostrzegł, że noga Hogana została sprężysto odrzucona niewidzialną siłą. Hogan zachwiał się.

— Co to jest?! — zawołał i Trot zrozumiał, że Hogan boi się coraz bardziej.

— Poślizg czasowy, i co ty na to, pułkowniku?

— Zlikwiduj to!

— Ani myślę.

— Nie żartuj, bo...

— Zastrzelisz mnie?

Hogan zastanowił się przez moment.

— Nie, zabiję profesora.

„Zabije mnie” — pomyślał Trot.

— Liczę do pięciu. Raz... dwa...

— Czekaj, muszę zobaczyć, co z automatem — Lizi zrobiła krok naprzód.

— Stój! Sam zobaczę. Powiedz, co mam robić.

Lizi chciała odpowiedzieć i wtedy Trot usłyszał wysoki dźwięk podobny do dźwięku pękającej szklanki. Hogan krzyknął i zaczął znikać w białym, owijającym go kokonie. Po chwili widoczne były je tylko jego nogi, potem i one zniknęły. Kokon drgnął dwa razy podrzucany skurczami swego wnętrza i znieruchomiał.

— I widzisz, Lizjocjo, do czego zdolni są ci osobnicy.

Człowiek, który wypowiedział te słowa, stał pośrodku gabinetu. Był wysoki, w szarym opiętym kombinezonie, a przezroczysty subtelny hełm wokół jego głowy świecił aureolą.

Lizi milczała chwilę, a potem zapytała:

— Co zrobisz z nami?

— Odpowiedz najpierw: dlaczego nie nosisz hełmu? Wiesz, że to niedozwolone. Chcesz umrzeć na jedną z chorób tych wieków?

— Nie martw się, nie umrę. Chcesz nas zabrać w XXV wiek?

— Tak. To nie będzie dla ciebie miłe.

— Przypuszczam, ale to nieważne. I tak ja mam rację.

— Twierdzisz to nadal, nawet po doświadczeniach z Hoganem?

— To jest jednostka. Zresztą przyspieszenie rozwoju cywilizacji zmieniłoby ich.

— Wątpię. Przekazanie im technologii wytwarzania antymaterii spowodowałoby znaczne komplikacje. Jesteś historykiem–utopistą.

— Chciałam spróbować w rezerwatach. Nie pozwoliliście mi prowadzić tam eksperymentów.

— Ale to jeszcze nie powód, by przenosić się w przeszłość i podpowiadać dwudziestowiecznym fizykom wzory prowadzące do syntezy antymaterii. Trudno to nazwać głupotą. To zbrodnia, Lizjocjo! Na szczęście ci się to nie udało.

— Nieprawda. Wzory są już w tych czasach!

— Nie, Lizjocjo. Mam je tutaj. — Człowiek z aureolą wyjął z fałdów kombinezonu kilka kartek papieru i pokazał je Lizi. Trot wiedział, że to są te właśnie kartki.

— Skąd je masz? Skąd wiedziałeś, gdzie ich szukać?

— Po prostu niektórzy ludzie dwudziestowieczni podzielają nasz pogląd w sprawie antymaterii.

— Trot? Niemożliwe — Lizi spojrzała na profesora.

— Tak, Trot. Może bez ciebie nie byłby geniuszem, ale to prawdziwy naukowiec, odpowiedzialny za swoje odkrycia.

— Jak mogłeś? — teraz Lizi zwróciła się wprost do profesora.

— Przekonał mnie. Wierz mi, Lizi, to nie jest bezpieczne. Podał prosty sposób konstruowania pocisków zawierających antymaterię. Ty mówiłaś, że to nie jest możliwe.

— Nikt ich nigdy nie konstruował.

Trot chciał odpowiedzieć, lecz człowiek z aureolą przerwał mu:

— Na szczęście my wiemy, że mogłoby się zdarzyć inaczej.

— Nieprawda. Nie wierzę w to. Nie doceniacie ludzi.

— Nie masz racji, Lizjocjo. Doceniamy ich pracę i możliwości.

Wiemy, że za sto lat uzyskają antymaterię sami. Aha... a co do Hogana, zmieniłem decyzję. Zostanie umieszczony w rezerwacie ludzi przedhistorycznych. Myślę, że są tam warunki, w których z łatwością się zaaklimatyzuje.

GAŁUZEK HOMO SAPIENS

Ako wyłączył silnik i ledwie odczuwalna wibracja kadłuba ustała.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział. — Baza jest tam, za tym grzbietem — ręką wskazał piętrzący się w czołowym ekranie garb skalny. — Wolałem lądować tak, by nas nie widzieli — dodał.

— Wspaniale, że ci się udało. Kilka metrów dalej i zostalibyśmy na zawsze w tym miłym miejscu — War spojrzął na ostro oświetloną krawędź skalnej półki, na której wylądowali. Dalej zaczynała się przepaść, księżycowa przepaść, czarna jak sam Kosmos, z dnem nie oświetlonym ani jednym promieniem Słońca.

— Tak, dalej jest przepaść, głupie kilkadziesiąt metrów, widziałem na radarze — wyjaśnił Ako.

— Ty jesteś znany z takich wyczynów, Ako. Będę jeszcze na twoim pogrzebie.

Ako zaśmiał się.

— Nie masz racji, War. W instrukcji lotu mani wyraźnie powiedziane: wylądować w pobliżu bazy, w terenie niedostępnym bezpośrednio z niej obserwacji. To nie moja wina, że wszystkie takie tereny bardziej nadają się do wspinaczek selenistycznych niż na lądowiska rakiet. Jesteśmy na Księżycu, nie na Ziemi.

— W porządku. Nie ma o czym mówić.

— Ale miałeś emocje?

— To dopiero początek. Lądowanie na skraju przepaści, wędrówka wśród księżycowych skał, no i sama baza...

Także przypuszczam, że największe emocje są jeszcze przed tobą

— Ako powiedział to poważnie, mimo że War wypatrywał śladu uśmiechu na jego twarzy.

— Zobaczymy — powiedział w końcu.

— W każdym razie, pamiętaj, wracam do bazy i jesteśmy tam na nasłuchu na zarezerwowanej fali. I bardzo cię proszę, wiesz, tak zupełnie prywatnie, jak kolegę, jakby coś się tam zaczęło dziać, nadaj wezwanie. Nie czekaj, co z tego wyniknie.

— Do byle głupstwa nie będę was wzywał. Zresztą, co mi się w końcu może stać. Za dwa dni przylecisz. Poza tym biorę pojemnik z dezintegratorem — War wzruszył ramionami i sięgnął po hełm.

— Tego właśnie nie wiesz, co ci się może stać. Z Setem nie możemy się porozumieć już drugi tydzień.

War nie odpowiedział. Nałożył hełm i przekręcił zawory. Potem wstał z fotela, chwycił pojemnik, potężny aluminiowy walec, który tutaj prawie nic nie ważył, i wyszedł przez śluzy na zewnątrz.

Rakietka stała w cieniu skały i tylko jej wysunięte anteny świeciły oślepiającym blaskiem. War wszedł na nasłonecznioną część półki i skinął ręką na pożegnanie. Skała drgnęła, gdy Ako wystartował. War patrzył jeszcze chwilę w niknące ognie dysz, a potem ruszył wśród głazów, tuż nad przepaścią, ku oświetlonemu grzbietowi. Tam, za tym masywem górskim, w kotlinie leżała baza.

Zobaczył ją w drugiej godzinie marszu, gdy minął skały grzbietu. Leżała w dole — biała półkolistą narośl na szarym, chropowatym podłożu skał. Schodził ku niej długo, bo szedł po zaciemionym zboczu, którego nierówności widział tylko na małym ekranie odbiornika infraczerwieni, wbudowanym wewnątrz hełmu.

Wreszcie zszedł na względnie równe dno kotliny i wtedy nadał wezwanie:

— Kotlina Światła Skał na odbiorze...

Odpowiedź nadeszła po chwili.

Kobieta — pomyślał — to musi być ona.

— Tu War, selenista. Jestem przed waszymi śluzami. Wpuśćcie mnie do środka — mówiąc to podchodził coraz bliżej ku bazie.

— Otwieram śluzy i schodzę do ciebie — powiedział ten sam głos.

Wejście do śluz zaznaczone było jak zwykle białym fosforyzującym pasem. Gdy śluzy rozsunały się, wszedł do wnętrza i czekał w komorze przejściowej, aż ciśnienie powietrza osiągnie normę. Potem zdjął hełm.

Czekała na niego u wejścia do korytarza prowadzącego ku wnętrzu bazy.

— O, El, co ty tu robisz?

Wspaniale się dziwię — pomyślał o sobie z uznaniem.

— A więc to jednak jesteś ty. Od kiedy usłyszałam twoje nazwisko, zastanawiałam się nad tym. Cieszę się, że cię widzę — ucisnęła mu mocno dłoń i spojrzała nań z bliska. — Nic się nie zmieniłeś, War.

— Ty też. Ale powiedz, co tu robisz w tej bazie?

— Jestem asystentem docenta Woorra.

— Woorą mówisz. Wydaje mi się, że gdzieś słyszałem już to nazwisko...

Dobrze, War, coraz lepiej — pomyślał równocześnie.

— Możliwe... Pewnie jeszcze na Ziemi. Kierował placówką nasłuchu kosmicznego w Portos w Andach.

— Portos, mówisz? Czekaj, to tam była ta historia z odbiorem serii prawidłowych?

— To właśnie Woor — powiedziała to zupełnie spokojnie.

— Rzeczywiście, teraz przypominam sobie. Po tej mistyfikacji musiał zrezygnować z kierownictwa.

— To nie była mistyfikacja, War.

— Tylko co?

— On rzeczywiście odebrał te sygnały.

— Wiesz, El, trudno mi zabierać głos w tej sprawie. Nie byłem tam. Ale, jeżeli sobie dobrze przypominam, dalszy nasłuch nie doprowadził do niczego, a ta bajeczka z awarią automatów zapisu...

— Widzę, że interesowałeś się tą historią — przyjrzała się Warowi z uwagą.

— To była kiedyś głośna sprawa.

Błąd, popełniłeś błąd — pomyślał równocześnie. — Nie powinieneś był tak dobrze pamiętać tej historii.

— Dziwię się zresztą, że zgodziłaś się zostać jego asystentem.

— Tak się złożyło. Zresztą powiedziałam ci, ja wierzę, że on odebrał te sygnały.

— Możliwe. Wszystko jedno. W każdym razie cieszę się, że cię spotkałem. Wreszcie możesz być asystentem czyim zechcesz.

— Też tak sędzę. A teraz powiedz mi, co się z tobą działo przez te parę lat, odkąd skończyliśmy studia?

— Większość czasu siedziałem na Marsie.

— W Instytucie Marsjańskim?

— Tak. Robiłem tam różne dziwne rzeczy, jakie matematyk może robić na Marsie.

— Stajesz się tajemniczy.

— Nie, El. Odwalałem zwykłą usługową robotę, którą z równym powodzeniem można robić na Ziemi. No, a teraz jestem na urlopie.

— Selenistyka?

— Trochę. Ale tylko po niewidocznej stronie Księżyca. Może to śmieszne, ale nie sprawia mi przyjemności włożenie na najtrudniejsze nawet szczyty po tamtej stronie. Świadomość, że nawet historyczni astronomowie znali je na pamięć i oglądali setki razy, nie należy do przyjemności, przynajmniej dla mnie...

— W okolicach naszej bazy nie grozi ci to.

— Wiem i dlatego tu przyjechałem. Okolice bazy Światła Skał to jedno z najmniej znanych miejsc na Księżycu. Tak twierdzą wszystkie przewodniki turystyczne.

— I nie mylą się, War. My sami tych skał wokół bazy nie znamy.

— I nie badacie tych okolic?

— Nie mamy sprzętu.

— Jak to?

— Widzisz, nasza baza jest bazą bez żadnego znaczenia. Nie ma tu złóż metali. Nie przebiegają tędy żadne szlaki komunikacyjne. Nie wiesz zapewne, że tylko my, Woor i ja, stanowimy stały personel tej

bazy. Reszta to praktykanci, przybysze z Ziemi. Poza tym czasem zjawiają się turyści, tacy jak ty. Podejrzewam nawet, mimo że nikt tego nie powiedział oficjalnie, że ta baza jest czymś w rodzaju księżycowego schroniska. Peryferyjna baza bez znaczenia. Zresztą tylko dlatego Woor został jej kierownikiem po tej historii...

— I jak on to znosi?

El po raz drugi spojrzała na Wara uważnie.

— Przyzwyczał się — powiedziała. — No, chodźmy. Pokażę ci twoją kabinę.

Ruszyła przodem, a War niosąc pojemnik poszedł za nią. — Jest podejrzliwa, zdecydowanie podejrzliwa — pomyślał. — Nie rozumiem tylko, dlaczego. Przecież poinformowano mnie, że od przyjazdu Woor na Księżyc nie było w ogóle mowy o tym wszystkim.

— To tu — zatrzymała się i otworzyła drzwi. — Mam nadzieję, że będzie ci wygodnie.

— Na pewno — chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nagle ekran lokalnego telewizofonu rozjaśnił się i patrzyła z niego twarz, twarz, którą War znał ze stereofotogramu, twarz Woor.

— El, czy to Set wrócił? — zapytał Woor.

To dobrze — pomyślał War — to bardzo dobrze, że on pierwszy powiedział jego imię. Teraz wszystko będzie o wiele łatwiejsze.

— Nie, Seta nie ma.

Woor milczał, jakby czymś zaabsorbowany, i wreszcie po długiej chwili zapytał:

— Kto więc przyszedł?

— War. Nazywam się War. Jestem selenistą — powiedział War i

odwrócił się twarzą do telewideofonu.

— Selenista to nie zawód. Kim jesteś naprawdę?

— Matematykiem.

— Wszyscy jesteśmy matematykami. Mniej lub więcej, ale jesteśmy. Ja chcę wiedzieć, czym się zajmujesz?

— Pracuję w Instytucie Marsjańskim, w dziale poszukiwań. — Egzamin mi urzęda —pomyślał równocześnie — ale na to jestem przygotowany.

— To mój kolega — powiedziała El. — Kiedyś bliski kolega.

— Kiedyś? — War czuł się naprawdę dotknięty.

— Kiedyś na pewno.

— Dobrze — powiedział Woor — zajdź do mnie potem. Opowiesz nam o wielkim świecie.

— Nie byłem na Ziemi.

— Nie szkodzi. Dla nas wielki świat zaczyna się od centralnych baz Księżyca — zaśmiał się jakoś nieprzyjemnie. — No to do zobaczenia — ekran zgasł.

— On jest chyba trochę dziwny? — War odwrócił się ku El umieszczając równocześnie pojemnik w uchwycie.

— Wydaje ci się.

— Niewykluczone. A kto to jest Set?

— Praktykant, jedyny nasz praktykant. Ciekawy jesteś, War.

— Od urodzenia. No, ale w takim razie natłoku praktykantów nie macie.

— Nie mamy i nie będziemy mieć. Najlepsi tu nie trafiają.

— I ten Set, zamiast pracować, obija się i łązi po górach?

— Co gorsza, nie wraca już drugi dzień.

— Ale macie z nim łączność radiową?

— Nie.

— Dlaczego więc nie nadacie sygnału alarmu?

— Woor się nie zgodził.

— Jak to, drugi dzień i nie ogłaszacie alarmu? Przecież on może zginąć. To niesłychane — War podniósł głos. — Idę do Woor'a i powiem mu, co o tym myślę.

— Nigdzie nie pójdziesz. Ja... ja żartowałam... Set wyszedł przed chwilą do stacji automatycznego namiaru meteorów.

War spojrzał na El uważnie.

— Nigdy nie kłamałaś El, ale widzę, że się zmieniłaś. Nie wierzę ci.

— Ja naprawdę żartowałam. Zresztą idź do Woor'a i zapytaj go sam. Ośmieszysz się tylko. Poza tym on tu decyduje, nie ty. Jest kierownikiem tej bazy i do niego należy decyzja.

— Pójdę. Oczywiście, że pójdę. Jest chyba moim obowiązkiem wyjaśnić tę sprawę... I twoim, El — dodał.

El wzruszyła ramionami.

— Mówiłam ci, żartowałam. Ale jeśli uważasz to za swój obowiązek... Repertuar obowiązków selenistów jest, jak widzę, szeroki.

Odwrócił się i schwyciwszy pojemnik ruszył korytarzem w głąb bazy.

El szła za nim. Nie oglądał się i słyszał tylko miarowe uderzenia jej butów o akrynową posadzkę. Mijali rząd drzwi różnorodnych pracowni, które można znaleźć w każdej bazie księżycowej.

Dochodzili już do centralnej sali, gdy nagle War usłyszał tupot, szybki tupot kroków. Drzwi jednej z pracowni były uchylone. War stanął. Kroki na chwilę umilkły, a potem odezwały się znowu, rytmiczne, jednostajne, tak jakby chodził automat. Były to jednak kroki człowieka. War skoczył ku drzwiom.

— Nie, nie! — krzyknęła El.

Słyszał jej krzyk i wiedział, że go ostrzega, lecz nie zatrzymał się. W pracowni panował półmrok i w pierwszej chwili oślepiiony jasnym światłem korytarza nie widział nic. Potem zobaczył mężczyznę. Mężczyzna stał chwilę nieruchomo i nagle ruszył przed siebie drobnymi krokami, tupiąc w ten sposób, jak dzieci bawiące się w pociąg. War nie odrywając wzroku od mężczyzny sięgnął do kontaktu. Sufit rozjarzył się i wtedy zobaczył jego twarz:

— Set?

— Mówiłam ci, że jest tutaj.

To był głos El, spokojny, opanowany, w niczym nie przypominający krzyku, który jeszcze słyszał. Odruchowo spojrzał na El, ale ona patrzyła nad głową Seta, gdzieś w sufit.

— Mówiłam ci, że żartowałam — powiedziała.

Set zatrzymał się na chwilę i znowu ruszył tupiąc. Nie spojrzał nawet na nich.

— Set! Set! — powtórzył. Nie było odpowiedzi. — Coście z nim zrobili? — odwrócił się ku El. Jej twarz była bez wyrazu. Patrzyła tak, jak przedtem, nad jego głową, w sufit.

— Nie mówiłeś, że znasz Seta — powiedziała.

— Czy to ważne? Kobieto, co mu jest? — słyszał za sobą miarowy

tupot kroków.

— Kłamałeś więc, War. Nie powiedziałaś, że szczególnie nim się interesujesz.

— Nie powiedziałem jeszcze dziesięciu innych rzeczy. Ale powiem. Powiem! Słyszysz? Zostałem tu wysłany, żeby dowiedzieć się, co z nim się stało, żeby wyjaśnić, dlaczego od dwu tygodni przy każdej rozmowie z centralą Seta właśnie nie ma lub właśnie wyszedł. Spodziewałem się, że spotkam tu dziwaka i dziewczynę, którą znałem...

— Teraz wiesz wszystko — powiedziała. — Ale to już nie ma znaczenia. Nie chciałam, żebyś tu wchodził — dodała tym swoim spokojnym, beznamiętnym głosem.

— Nie chciałaś... — urwał. Położył rękę na ramieniu Seta. — Set, poznajesz mnie? — zapytał.

— Jestem kosmonautą wśród gwiazd. Najpierw osiągnę Syriusza, a w drodze z powrotem odwiedzę Aldebarana.

— Sam rozumiesz, że nie mógł rozmawiać z Ziemią ani z centralą — powiedziała El.

— Ale Woor będzie musiał rozmawiać! Idę do niego!

Rzucił pojemnik i wybiegł na korytarz. Słyszał jeszcze tupot kroków Seta i głos El, która coś mówiła. Wbiegł do sali centralnej, wpadł w korytarz, na końcu którego, wiedział o tym, były drzwi gabinetu Woor. Pomyślał, że gdy będą zamknięte — wyważy je. Ale drzwi były otwarte.

— Woor, jesteś tu?! — zawołał i zatrzymał się tak nagle, że prawie upadł.

Z fotela wstał Set.

— Słucham cię i witam w naszej bazie.

— Skąd ty się tu wzięłeś? Byłeś tam w pracowni.

— Byłeś już tam...

— A Woor? Powiedz, gdzie jest Woor? — stanął przed Setem i spojrzał mu w twarz.

— Woor nie ma.

— Bzdura, rozmawiałem z nim przy wejściu.

— Ach, o to ci idzie. To tylko nagranie wideotroniczne.

Podszedł do pulpitu i w ekranie telewizofonu War zobaczył twarz. To była twarz, którą widział przy wejściu — twarz Woor.

— No więc, gdzie on jest?

— W tej postaci — Set wskazał ręką na ekran — nie ma go i nie będzie.

— A co się z nim stało?

— W tej postaci chwilowo nie istnieje.

— I nie zawiadomiliście centrali. Jak mogłeś, Set?

— Widzisz, centralę zawiadamia się tylko w wypadku śmierci. A Woor nie umarł. Tak naprawdę ja nie jestem w stu procentach Setem. Prawdziwego Seta widziałeś w pracowni. Ja tylko mam ten sam kształt. Jestem jednokształtny z Setem. Natomiast moja psychika jest równoważna psychice Woor.

— Set, ty naprawdę nie jesteś całkiem normalny.

— Ja nie jestem Set...

— A więc dobrze, nie jesteś, jeśli tak chcesz. W każdym razie muszę ci wyjaśnić, że jestem tu oficjalnie, jako wysłannik centrali, i

mam prawo was stąd zabrać.

— To nie ma znaczenia. Nie zrobisz tego.

— Zrobię.

— Nie. Nie będziesz miał ochoty. Zapewniam cię.

— Dobrze, ale najpierw muszę jednak mówić z Woorem.

— Słuchaj, War. Czy nie możesz sobie wyobrazić, że oryginał może mieć kilka kopii?

— Oczywiście, że mogę, ale...

— Nie przerywaj. A czy sądzisz, że człowiek, cała informacja składająca się na daną osobowość nie może zostać przekazana dwu różnym osobnikom gatunku homo sapiens?

— Raczej nie.

— Dlaczego?

— Tego nie można zrobić.

— A może tylko ludzkość tego jeszcze nie potrafi?

— Więc ty twierdzisz, że dokonałeś takiej transformacji? — War spojrzał ciekawie na Seta.

Set nie zdążył odpowiedzieć, drzwi otworzyły się nagle i ciepły podmuch powietrza wraz z odgłosem głuchego stęknienia wtargnął do gabinetu. Zmiana ciśnienia była tak gwałtowna, że War przez chwilę nic nie słyszał.

— Co się stało? — Set podbiegł do drzwi.

— Raczej ty powinieneś to wiedzieć. Przypominało to eksplozję, gdzieś obok — urwał i pomyślał o pojemniku. W nim był dezintegrator.

— Tu nic nie mogło eksplodować. W żadnej pracowni. Nie

procedzimy eksperymentów. Mamy tylko gospodarczy reaktor zasilający.

— Zobacę, co się stało.

— Czekaj, ja sam zobacę — powiedział Set i skierował się ku drzwiom.

Wtedy War usłyszał terkotanie sygnalizacji alarmowej.

— Stój! — krzyknął do Seta. — Nastąpiło skażenie promieniotwórcze!

— Wywołam El — Set podszedł do mikrofonów. — El, jesteś u siebie? El, czy mnie słyszysz? — powtórzył głośniej.

— Pewnie wyszła z kabiny. Wołaj ją w całym systemie bazy — poradził War.

— Jeżeli system bazy jeszcze działa. Co tam się stało? El, tu Woor. Przyjdź do mojego gabinetu. Przyjdź natychmiast! Słyszysz?

— Nie ma jej. Chyba masz rację, Set. System łączności uległ awarii.

— Idę do śluz... — urwał. — Chyba ktoś biegnie...

Teraz także War usłyszał tupot w korytarzu.

Gwałtownie szarpnięte drzwi otworzyły się z trzaskiem.

— Zatrzymajcie go! On ma dezintegrator! — El całym ciężarem oparła się o ścianę.

— Kto?

— Set. Woor, sprawdź, może jest jeszcze nad nim kontrola!

Powiedziała Woor — pomyślał War.

— Nie ma, nie ma żadnej kontroli.

Tupot był coraz bliższy.

— Uciekajmy! — krzyknął. Oni trwali w bezruchu.

— Stąd nie ma innego wyjścia, War — powiedziała El.

Tupot umilkł i w drzwiach stał Set. Podpierał się dezintegratorem jak laską. War ugiął kolana i chciał skoczyć ku niemu, gdy Set uniósł dezintegrator. Mierzył wprost w pierś Wara.

— Set, słyszysz mnie, poznajesz — wyszeptał. —

— Ty jesteś rośliną, rośliną z Syriusza, zwaną... — zastanowił się chwilę — zwaną precetaporon. A tam są zwierzęta — przesunął dezintegrator. — Ja poluję na zwierzęta — dodał tonem wyjaśnienia, a potem War zobaczył błysk, niebieski błysk, który go oślepił.

— Kotlina Światła Skał — powiedział Ako — lądujemy, War. Tam już na ciebie czekają. Będziesz miał z nimi ciężką przeprawę.

— Tak myślisz?

— Jestem pewien. Tam jest Sorv, a wiesz, jaki z niego numer — urwał i patrzył w rosnącą w zewnętrznym ekranie białą kopułę bazy.

— Ako — War mówił powoli — jesteś pewien że znalazłeś mnie przy śluzie wejściowej dopiero w dwa dni później?

— Najzupełniej. Leżałeś z dociśniętym hełmem, ułożony jak niemowlę. Masz przerwę w życiorysie?

— I rozmawiałeś z Woorem?

— Tak. Był w ekranie i powiedział, żebym nie wchodził dalej, bo korytarze są skażone promieniotwórczo.

— I nie poszedłeś?

— Nie. Skoro ciebie znalazłem. Oczywiście, w przeciwnym wypadku pchałbym się dalej. Miałem skafander, który sporo wytrzymał. To nie były żarty. Zaraz po starcie dostałem z bazy

wiadomość, że nastąpił wybuch i trochę cię poturbowało...

War poczuł lekką zmianę przyspieszenia i rakieta wyhamowała przy platformie w bazie. Wychodzili już, gdy War położył rękę na ramieniu Ako.

— Słuchaj, czy nie wspominał ci, jak... jak powstało to skażenie?

— Mówił, że coś im eksplodowało w laboratorium i tyś w to wdepnął.

— A kiedy to się stało?

— Tuż przed moim przybyciem, tak powiedział Woor:

Śluzy zamknęły się za nimi. Był w tej samej komorze wejściowej i nagle zobaczył... El.

— El, cieszę się, że żyjesz — powiedział i urwał. — A może to jest Woor — pomyślał.

— Witaj, War — dawno nie widzieliśmy się.

— Nie trafił w was wtedy?

— Nie rozumiem, kto?

— No, Set.

— Dlaczego Set miał trafić?

— Jak to, wtedy tam, w gabinecie. Byłaś ty, on...

— War, ja wiem, że wdepnąłeś w tę naszą eksplozję w trzecim laboratorium. Bardzo ci współczuję.

— Nie zgrywaj się. Przecież wyemitował w was antyprotony.

— War, jest mi przykro, ale to właśnie Set zaniósł cię do śluzy.

— A gdzie on jest?

— W gabinecie Woor. Czekają na ciebie.

W gabinecie był Sorv z centralnej bazy. Oprócz niego kręciło się

jeszcze kilku mężczyzn i wśród nich War poznał Seta. Cofnął się odruchowo. Sorv patrzył na Wara uważnie.

— Przeczytałem twój raport — powiedział. — Ci ludzie badają to pomieszczenie. Śladów promieniotwórczości tu nie ma. Co prawda, to był jeden niewielki wybuch i minął już miesiąc...

— Miesiąc? — War zbladł. — A Set...? — zapytał niepewnie.

— Widzisz go.

— Napisałem w raporcie prawdę — powiedział cicho War. — I przecież mój dezintegrator...

— Jest w pojemniku. Wykryłem nikłe ślady promieniowania. Mógł być używany równie dobrze rok jak miesiąc temu.

— Tak, rozumiem — powiedział War. — Nic nie potwierdza mego raportu. Jeszcze tylko jedno pytanie, Sorv. Z tego wszystkiego wynika, że miałem halucynacje, jestem niepoczytalny. Dlaczego jeszcze nie odesłaliście mnie na Ziemię rakieta pogotowia psychiatrycznego?

— Słuchaj, War — Sorv mówił powoli — takie wypadki muszą zostawić ślady. Rozumiem, to był dla ciebie wstrząs. Miałeś wysoką gorączkę... majaczyłeś... Podwójni ludzie... przyznasz, że to nie wygląda sensownie.

— Ale ja to przeżyłem... Tak było naprawdę!

— Jesteś całkowicie tego pewien?

— Tak.

— Cóż, w takim razie będziesz musiał odpocząć w zakładzie zamkniętym.

— Sorv, wierz mi, nie miałem nigdy żadnych zaburzeń

psychicznych, mam wyniki badań lekarskich. Przeszedłem wszystkie testy... Naprawdę jestem zdrow.

— Rozumiem i... chcę ci pomóc. Dlatego cię tu wezwałem.

— Pomóc? W jaki sposób?

— Po prostu. Wycofaj swój raport. Niestety, nie zdołaliśmy zatrzymać go, powędrował już na Ziemię. Zdajesz sobie sprawę, że tam, na Ziemi, oni nie znają prawdziwych naszych warunków. Będzie się im wydawać, że wszyscy u nas są niezrównoważeni, a ty szczególnie...

— Nic na to nie poradzę. Napisałem tak, jak było — prawdę. Gdybym to odwołał... Nie, to niemożliwe. Nie odwołam. Tak było.

Sorv milczał, a potem zapytał:

— Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, dlaczego kotlina ta nazywa się kotliną Światła Skał?

— Nie żartuj, Sorv.

— Mówię poważnie. Otóż te skały świecą. Oczywiście wykryć to można tylko za pomocą przyrządów, więc nazwa jest nieco naciągana.

— Ale co to ma do rzeczy?

— Skały te zostały napromieniowane.

— Dobrze, ale...

— Zostały napromieniowane wiele lat temu, gdy jeszcze nie było tu bazy.

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— Silniki statków kosmicznych podchodzących do lądowania skażają teren...

— Gwiazdoloty tutaj? — War niedowierzająco patrzył na Sorva. — Przecież tu są skały i przepaście, nic więcej.

— Kiedyś był tu równy teren. Dno krateru niezupełnie wygasłego wulkanu. Nie tak dawno, trzysta, czterysta lat temu, ułamek sekundy w geologicznej skali czasu.

— Nie rozumiem, co to wszystko ma wspólnego z bazą...

— To proste. Tu ukryli swoją bazę. Umieścili ją w pieczarach sztucznie sfałdowanego terenu.

— Kto?

— Oni...

— Oni... Nie rozumiem, Sorv.

— Twój raport potwierdza tylko nasze przypuszczenia...

— Przypuszczenia?

— Przypuszczenia co do roli bazy Światła Skał. Czy wiesz, że ona nie odgrywała żadnej roli w systemie baz Księżyca?

— Przypominam sobie. El mówiła mi, że tu nic nie ma, że baza jest tylko schroniskiem selenistów.

— Miała rację. To jedyna niepotrzebna baza na Księżycu.

— Dlaczego więc ją zbudowano?

— To samo pytanie postawił sobie Anado.

— Kto to jest Anado?

— Twórca hipotezy rekonesansu, ale o tym później. Gdy przebywałeś w szpitalu, sprawy poszły naprzód. Baza ma dwieście lat. Chcesz się dowiedzieć czegoś bliższego o jej początkach? Sprawdziliśmy akta historyczne dotyczące wczesnego okresu kolonizacji Księżyca.

— No i co?

— Akt dotyczących bazy nie ma, zaginęły. Nikt nie potrafi odpowiedzieć, po co zbudowano tę bazę, której istnienie nie ma żadnego uzasadnienia, uzasadnienia z punktu widzenia ludzkości.

— Nie rozumiem...

— Jeszcze nic nie rozumiesz? Po prostu przybysze z Kosmosu.

— I sądzisz, że oni?

— Nie ja. Tę hipotezę wysunął Anado.

W gabinecie było cicho. Wszyscy wyszli. Został sam z Sorvem. Nagle poczuł się nieswojo. „To skojarzenia — pomyślał — to miejsce kojarzy mi się z Setem i dezintegratorem”

— Wy tłumaczę ci do końca — powiedział Sorv. — Oni po prostu stawali się człekopodobni. Przyjmowali ludzki kształt. W ten sposób mogli najłatwiej obserwować nas, ludzi. Ale nie potrafili całkowicie sztucznie syntetyzować człowieka. Musieli wykorzystywać do tego wzory żywych ludzi.

— Zabijali ich?

— Nie, powielali. Na to potrzebowali żywego człowieka i trochę czasu. Potem wymazywali z pamięci wzoru fakty związane z powielaniem i człowiek-wzór żył dalej, niczego nie podejrzewając.

— I miał sobowtóra?

— Tak. Jednego lub kilku. Tym sobowtórem był, mówiąc najogólniej, układ należący do ich cywilizacji, nie człowiek.

— To... to nieprawdopodobne!

— A czy nigdy nie słyszałeś o wypadkach zdumiewającego podobieństwa między ludźmi, którzy się nawet nie znają?

— I sądzisz, że jeden z nich...

— W świetle hipotezy Anado jest to bardzo prawdopodobne.

War siedział chwilę w milczeniu.

— Ale po co, po co oni to robią? — zapytał w końcu.

— Rekonesans. Tak twierdzi Anado. Zresztą oni to robią od setek lat. Wśród miliardów ludzi są ich tysiące.

— Ale ośrodki, w których się powielają. Gdzie one się znajdują?

— Jesteś w jednym z nich. Samotna baza bez znaczenia, do której przyjeżdżają samotni praktykanci. Opuszczają ją po jakimś czasie — powieleni. Te ośrodki muszą działać ciągle, powielać nowych nie ludzi, bowiem ci ich nie ludzie są śmiertelni.

— Więc Woor rzeczywiście nie żyje?

— Żyje w postaci Seta, powielonego Seta, którego ty widziałeś. A może ma już postać El.

— A tamten Set?

— Trafiłeś na moment powielania. Może jego pamięć, pamięć Seta-człowieka ulegała wtedy wymazaniu. Może człowiek zachowuje się wtedy tak jak on właśnie.

— A skąd wiesz, że to są oni, nie ich kopie?

— A skąd wiem, że ty jesteś ty, a ja jestem ja? Nie wiem.

— Ale Woor był jednym z nich?

— To jest pewne. Gdy w kraksie raketowej zginął poprzedni kierownik tej bazy, nieczłowiek, trzeba było zastąpić go innym nieczłowiekiem. Wtedy Woor wymyślił historię z seriami prawidłowymi. Za takie rzeczy posyłano do opuszczonych baz, bez znaczenia, a w tej bazie było wolne miejsce.

— Wiesz, Sorv — War powiedział to po chwili — a może, może ja nie jestem człowiekiem?

— Ty jesteś.

— Skąd wiesz?

— Wiem. Inaczej nie mówiłbyś tego wszystkiego.

— Chyba masz rację. Teraz, gdy już wszystko wiem...

— Nie wiesz najważniejszego.

— Czego nie wiem?

— Że Anado przebywa w zakładzie zamkniętym.

— Dlaczego?

— Chyba nie sądzisz, że ktoś, kto głosi takie poglądy, nie wymaga leczenia klinicznego?

— Przecież są dowody, mój raport choćby...

— Ale o tym lekarze nie wiedzą i nie dowiedzą się. Dlatego ty musisz wycofać raport.

— Jak to?

— Nie można dopuścić do poszukiwań innych ośrodków powielania. Nie można dobrowolnie zrezygnować z tak doskonałej metody obserwacji gatunku homo sapiens.

War wpatrywał się przez chwilę w Sorva i wtedy zrozumiał...

— Więc ty, ty jesteś także?...

— Tak.

War zacisnął dłonie na poręczach fotela.

— Dlaczego mi to mówisz, dlaczego powiedziałeś mi to wszystko?
— głos jego drżał lekko.

— Bo chciano wiedzieć, co się tam stało, wtedy w bazie. Tamci

zginęli, wszyscy z wyjątkiem ciebie. Ci, których tu widziałeś, to tylko kopie, któreś tam z rzędu kopie wyjęte z magazynu.

— Przecież mój raport...

— Nie wiadomo, czy wszystko napisałeś w raporcie, a sprawa była poważna. Wyobraź sobie naszą sytuację. Otrzymujemy sygnał alarmu. Przybywamy tutaj. Oni, ci nieludzie, których mieliśmy do dyspozycji w tej bazie, są zniszczeni. Żyjesz tylko ty — człowiek. Paradoksalna sytuacja. Niebezpieczna sytuacja. Ludzie w ostatnich kilkuset latach zrobili ogromny krok naprzód i zaczynają niekiedy nam dorównywać.

— A Set?

— Spalił się sam dezintegratorem. W każdym razie zastaliśmy go już martwego. Musieliśmy bazę doprowadzić do porządku. Wyciągnęliśmy z magazynów kopie El i Seta. Widziałeś je. Potem chcieliśmy powielić ciebie.

— No i co?

— Nie zdążyliśmy. Dostaliśmy wiadomość, że Ako wystartował po ciebie. Wtedy jeszcze baza nie była gotowa, więc musieliśmy ciebie wypuścić stąd, żeby nie mieć kłopotów z Ako. Ale, jak widzisz, jesteś z powrotem. Zresztą wszystko, co wiesz, nie jest już dla nas niebezpieczne. Za chwilę zapomnisz o tym i pamiętać będziesz tylko podmuch, gorący podmuch wybuchu, gdy wszedłeś do śluz.

War chciał zaprotestować, ale czuł się zmęczony, tak zmęczony jak człowiek, który przebył długą drogę w górach i wreszcie dotarł do schroniska, w którym jest ciepło i bezpiecznie.

— Czujesz senność? — zapytał Sorv. — Jesteś w zasięgu emitera.

— Czekaj,.. powiedz... po co... dlaczego wy to robicie?

Sorv uśmiechnął się.

— Bo homo sapiens jest interesującym gatunkiem. Tylko dlatego. Zbyt interesującym. Zbyt szybko się rozwija. Jest coraz więcej takich wypadków jak ten. Zmniejszacie dystans między naszymi cywilizacjami, a wasza jest o kilkanaście milionów lat młodsza. Osiągnęliście już granice układu słonecznego i za kilkaset lat może zechcecie ruszyć ku gwiazdom i osiągnąć naszą Ataridę...

Nie słyszał trzasku otwieranych drzwi. Twarz Ako zobaczył nagle tuż przed sobą... Sorv coś krzyknął, ale War nie zrozumiał tego. Oślepił go błękitny błysk, a potem poczuł orzeźwiającą woń ozonu... Odrętwienie, które odczuwał, mijało. Widział teraz znowu twarz Ako.

— Zapomnieli sprawdzić, nie wiedzieli o włączonym nadajniku, który włożyłem ci do kieszeni skafandra... Daruj, że nie wyrwałem cię stąd wcześniej, ale chciałem nagrać całą tę waszą rozmowę. To będzie uzupełnienie, wyczerpujące uzupełnienie twego raportu.

ZEROWE ROZWIĄZANIE

Łoskot, huk pękających spoiw i zgrzyt rwanego pancerza wszystko to już minęło. Cisza, ta cisza, w którą wsłuchiwała się Emi, była zwykłą księżycową ciszą. Widziała twarz Korota wykrzywioną grymasem za przezroczystą powłoką hełmu, twarz Nora pochyloną nisko nad stołem na tle ekranu zewnętrznego, w którym oślepiająco jasne skały rzucały wyjałowione ze szczegółów czarne cienie. Wiedziała, że oni również czekają, nasłuchując syku, ledwo słyszalnego syku uchodzącego na zewnątrz powietrza.

— Trzyma — powiedział wreszcie Korot. — Ta stara, zmurszała księżycowa puszka od konserw jednak wytrzymała.

— Gazoszczelne grodzie zwały się automatycznie po uderzeniu. — Nor wyprostował się i spojrział w ekran. — Nie uderzył więc w sterowanie bazy.

— Sądziysz, że to był bolid?

— Na zderzenie z Ziemią to nie wyglądało.

— No, a urządzenia dezintegrujące bazy, całe zabezpieczenie?

Dezintegratory mają zasięg setek metrów.

— To był bolid, bolid — powtórzył raz jeszcze — nie żaden drobny meteor, parujący w siłowym polu dezintegratora.

— Ciekawe. Nie było przecież sygnału alarmu. — Korot wstał i zsunął z głowy hełm.

„To nie jest istotne — pomyślała Emi. — Przynajmniej nie w tej chwili”.

— Czy to istotne? — zapytała. — Sprawdźmy lepiej urządzenia nadawcze.

Teraz Nor spojrział wprost na nią.

— Spójrz w ekran, Emi. Widzisz, tam za tym kamieniem? To głowica emitera nadawczego. A jeśli to był bolid, powinni go byli zaobserwować na satelitach pogotowia meteorowego i zbadać miejsce jego upadku.

Wiedziała już: nie wywołają centrali i nie usłyszą przytłumionego głosu dyżurującego automatu. Spojrzała na Korota i zrozumiała, że on też w tej chwili dopiero spostrzegł wyłamaną głowicę.

— I tak dobrze, że byliśmy tutaj — powiedziała pierwsza, zanim Korot zdążył się odezwać. — To dlatego, że mieliśmy wysłuchać audycji z centrali. Centrala właściwie dobiera czas audycji. — Starła się uśmiechnąć, ale oni tego nie zauważyli. — Że też musiał uderzyć w bazę... — Korot krążył tam i z powrotem między niszą, gdzie wisały próżniowe skafandry, i ścianą z matowo błyszczącymi ekranami telewizyjnej łączności z centralą. — Na Ziemi spaliłby się w atmosferze dziesiątki kilometrów nad jej powierzchnią... — Stanął i spojrział na nich. — Tak, ale prawdopodobieństwo trafienia w bazę... — Emi urwała.

— Prawdopodobieństwo... — Korot pochylił się nad jej fotelem. Nie masz w tej chwili większych zmartwień? Zachowujesz się, jakbyś

siedziała jeszcze w audytorium w Akademii Kosmonautycznej na Ziemi. Tu jest Księżyc, rozumiesz.

— Spokój, Korot, wiemy o tym — Not nie odwrócił się nawet i dalej patrzył na skały w ekranie.

— Jak się słucha tego wszystkiego...

— Nie denerwuj się, Korot. W tym stanie zużywasz więcej tlenu — patrzyła na niego, aż wyprostował się i odszedł, a potem spojrzała w ekran, „Nor też patrzy tam, na skały i tak jak ja ma nadzieję, ale prawdopodobieństwo...

— Jest trochę duszno — powiedział Korot.

— Stężenie dwutlenku węgla podnosi się. — Nor pochylił się nad przyrządami. — Wskaźniki mam tutaj, ale regeneratory zostały po tamtej stronie.

— Wszystko zostało po tamtej stronie, awaryjna radiostacja także.

„Awaryjna radiostacja jest w automatycznym rozrzędzie bazy. Rozrząd nie został zniszczony, bo uruchomił gazoszczelne grodzie. A więc zniszczone zostało tylko przejście i urządzenia zewnętrzne bazy”. Emi wiedziała, że stało się tak właśnie.

— Że też musiał trafić w przejście.

— Wolałbyś, Korot, żeby trafił w kopułę? — Tym razem Nor patrzył wprost na Korota.

„Wtedy nas by już nie było” — pomyślała Emi.

— Ile mamy jeszcze tlenu? — zapytała, bo nie chciała, aby Korot odpowiedział.

— Tu na jakieś trzy godziny i jeszcze na sześć w pojemnikach skafandrowych próżniowych.

— Znajdą nas?

— Wątpię... — Nor odpowiedział dopiero po chwili.

— Więc wyjdźmy na zewnątrz. Chyba w tej komorze nie mamy nic do roboty. Tu są tylko śluzy wyjściowe i szafy ze skafandrami próżniowymi.

— Na to, Korot, mamy zawsze czas.

„Nor ma rację — pomyślała Emi — stracilibyśmy powietrze, to powietrze, którym jeszcze oddychamy”.

— Ale na zewnątrz moglibyśmy wystrzelić race, wzywać pomocy przez nadajniki naszych skafandrów. — Korot mówił coraz głośniej.

— Jesteśmy na niewidocznej z Ziemi stronie Księżyca. Tu ruchu rakiet praktycznie nie ma. — Nor podkreślał w charakterystyczny dla niego sposób końcówki wyrazów.

— Tak więc prawdopodobieństwo, by ktokolwiek odebrał nasze słabe sygnały z nadajników skafandrów, jest znikomo małe.

— Zaczynasz tak jak Emi. Prawdopodobieństwo. Cóż mnie obchodzi prawdopodobieństwo. Siedząc tutaj tracimy tylko tlen!

— A sygnały świetlne — Nor nie zmienił tonu — sygnały świetlne byłyby po prostu niedostrzegalne. Jesteśmy po oświetlonej stronie Księżyca. „Ma rację” — pomyślała Emi.

— Nor ma rację — powiedziała.

Korot zatrzymał się, siadł w fotelu i zapytał cicho:

— Więc co robimy? — A po chwili dodał: — W przyszłym tygodniu miałem być na seminarium w bazie centralnej.

— Może będziesz — powiedziała Emi. — Mamy pewne szanse. — Ale mamy równą szansę na zostanie tutaj. Słyszysz! „Rozkleił się —

pomyślała. — Rozkleił się jak pierwszoroczniak w kabinie ciszy”.

— Kosmonauci nie mówią bzdur — powiedziała. W Akademii Kosmonautycznej nie uczono cię takich rzeczy, Korot. Już od czasów Gagarina wiadomo, że najistotniejszą cechą kosmonauty jest opanowanie.

— Daj spokój, Emi. Przemawiasz jak stary Zodiak na wykładzie. Tu nie Akademia.

W tym rzecz, praktykancie Korot. To już nie Akademia i nie ma się co wygłupiać. Przedstawienie możesz urządzać na Ziemi w rodzinnym gronie. Jasne?

Mówię za głośno, stanowczo za głośno — pomyślała równocześnie. — A Korot nie będzie robił cyrku w rodzinnym gronie. Ma na to małe szanse. Ja także. Pewnie teraz na Ziemi jest wieczór i matka zmywa talerze po kolacji. Okno w kuchni wychodzi na rzekę, a nad rzeką wisi sierp księżyca. — Widzisz, Dei, tam jest twoja siostra Emi — mówi matka. A tu jest duszno. Ciekawe, jak z tlenem?

— Jak z tlenem?

Nor nie odpowiedział. Patrzył w ekran.

Patrzy zbyt uważnie, tak jakby rzeczywiście mógł tam zobaczyć coś jeszcze oprócz skał, gwiazd i czarnego, kosmicznego nieba.

— Chodźcie tutaj, szybko! — Nor patrzył nadal w ekran. Korot był pierwszy, a Emi stanęła za nimi.

— Wydaje mi się, że coś tam widzę, na tle tej wielkiej skały...

Porusza się. „Nic nie widzę — pomyślała Emi. — Tam jest tylko skała i jej cień”.

— O tam, z lewej strony... To chyba pojazd gąsienicowy. — Aha,

widzę!... widzę!...— Korot krzyczał.

Teraz Emi widziała go także. Minął cień iglicy skalnej i pełzł wśród z rzadka rozrzuconych głazów.

— Dokąd on jedzie? .

— Przypuszczam, że to automatyczny pojazd z obsługi sieci selenofizycznej — powiedział Nor.

— Zatrzymamy go. On się tu zbliża...

Patrzyli przez chwilę w milczeniu w ekran. Metalowy żuk wypełził teraz z cienia i sunął przez nasłonecznioną płytę skalną.

— Nie, mylisz się, Korot. On omija bazę szlakiem pod skałami. — Nor odwrócił się od ekranu i spojrzał na nich.

— Te automaty — Emi mówiła wolno — odpowiadają na wywołanie na fonii.

— Kto je tam wie — Korot wzruszył ramionami.

— Odpowiadają. Pamiętam. Ty pewnie latałeś wirolotem, zamiast siedzieć na zajęciach.

— Wszystko jedno. Lepiej chodźmy na zewnątrz. Trzeba jakoś zatrzymać ten automat. — Korot chwycił hełm i zacisnął uszczelniacze. „Pojazd odjedzie — pomyślała Emi — znajdzie się poza zasięgiem naszych nadajników i nie zatrzymamy go”.

— Chodźmy, Nor — powiedziała.

— Nie wszyscy. Ja idę, wy zostajecie.

— Dlaczego? Ja także idę! — Korot stał już przy wejściu do służby zewnętrznej.

— Zostajesz. Nie jesteś tam potrzebny.

— A ty?

— Ja przynajmniej wiem, jak działa ten automat. Zresztą zasadą jest, że jak najmniej ludzi powinno opuszczać bazę.

— Zostajesz, Korot. Nor ma rację — rzekła Emi i pomyślała, że mogłaby zostać sama w ciszy zniszczonej księżycowej bazy. Korot stanął niezdecydowany.

— Podaj mi przewód, Emi — powiedział Nor. — Zostawię na zewnątrz radiostację, po prostu jeszcze jeden hełm od skafandra, w który jest wbudowana, i będziemy się mogli porozumiewać... Pomóż mi włożyć skafander, Korot.

Nor w bazie nigdy nie wkładał skafandra, naśladowując starych kosmonautów, wierzących w swe przeznaczenie i szczęście.

„Gdyby gazoszczelne grodzie nie wytrzymały, nie żyłby już” pomyślała Emi.

— Jeszcze hełm — Nor zacisnął uszczelniacze, podniósł hełm z radiostacją i wyszedł do śluz. Trzasnęły grodzie wyjściowe, a potem słyszała jeszcze uderzenia ciężkich próżniowych butów o pancerną wykładzinę śluz.

— Nie ma, w ekranie go nie ma — powiedział Korot. — Co on się tak guzdrze?

— Pewnie otwiera śluzy.

— Nie zdąży. Ten automat odjedzie i Nor nie dogoni go... No nareszcie, wyszedł.

Emi patrzyła na sylwetkę w skafandrze, sunącą wielometrowymi skokami naprzód, odrywającą się za każdym razem od swego cienia czerniejącego wydłużoną, zdeformowaną projekcją na skałach. Nastroiła odbiornik i słyszała w nim świszczący oddech Nora.

— Stacja automatyczna... stacja automatyczna!... — wołał Nor.

„Woła, gdy jest w wierzchołku tej paraboli, którą zakreśla jego hełm przy każdym skoku — pomyślała Emi. — Wtedy między nim a odbiornikiem stacji nie ma skał”.

Stacja odezwała się po trzecim wywołaniu.

— Tu czwarta stacja południowe—wschodniego odcinka sieci selenofizycznej, na odbiorze. — Urządzenia głosotwórcze automatu były prymitywne i głos był zniekształcony, płaski.

— Wykonaj „Stop”, wykonaj „Stop”, wykonaj „Stop”... — Nor biegł i monotonicznie powtarzał wezwanie.

— Zatrzymał się?

— Nie wiem, automat jest dość daleko — odpowiedział Korot i nadal patrzył w ekran. — Tak, stanął. Stanął! Teraz widzę wyraźnie. Nor też to spostrzegł i teraz szedł już.

„Jest dość daleko i wygląda jak mała poruszająca się skałka pomyślała Emi. — Dojdzie do automatu, nada wezwanie pomocy”.

— Nada wezwanie pomocy i zabiorą nas stąd — powiedziała. — I po co były te wszystkie historie?

— Skąd mogliśmy wiedzieć, że zaraz zjawi się jakiś automat.

— Kosmonauci powinni byli wziąć tę możliwość pod uwagę.

— Tak, kosmonauta zawsze wszystko powinien. — Korot roześmiał się. — Zupełnie jakbym rozmawiał z Zodiakiem.

— Nie żartuj. Zodiak był łysy i wyższy ode mnie o głowę.

— Ale poza tym jesteście ludzako podobni.

— Lepiej zobacz, co z Norem — powiedziała Emi i była zła.

— Rzeczywiście, grzebie się coś długo przy tym automacie. Korot

podszedł do mikrofonu. — Nor, czy mnie słyszysz? Jak tam u ciebie?

— Źle — Nor nie powiedział nic więcej.

— Co źle?

— Co się stało, Nor? — Emi wyrwała Korotowi mikrofon. — Główny nadajnik automatu uszkodzony.

— Ładna historia... Nie możesz nadawać?

— Nie.

— Naprawiasz?

— Sprawdzalem właśnie, ale wątpię, czy mi się to uda. Ten automat spadł gdzieś ze skał. Cały bok ma wgnieciony, uszkodzone zespoły nadawcze.

— A więc siedzimy i zdechniemy tutaj! — Korot rzucił się na fotel, aż gwizdnęły amortyzatory.

„I nic z tego. Automat zepsuty, baza rozbita i cisza, cisza w odbiorniku, cisza w próżni, księżycowa przeklęta fisza” pomyślała Emi i chciało jej się płakać. Ale przypomniała sobie, że jest kosmonautką, i zapytała tylko: — Więc co zrobisz? Co zrobimy, Nor? — Czekaj. Muszę go dokładnie obejrzeć. — Duszno mi — powiedział Korot.

— Sprawdź stężenie dwutlenku węgla... Albo nie, nie sprawdzaj. To i tak niczego nie zmieni.

— Nie, tu nic nie naprawię. — Nor odezwał się wreszcie.

— I co dalej?

Nor milczał chwilę, a potem powiedział:

— Myślę, że poprowadzę ten automat do najbliższej stacji automatycznej.

— Ależ to kilkanaście godzin drogi. Nie wystarczy na to tlenu ani tobie, ani nam. To nie jest rozwiązanie, Nor.

— Pojadę, Emi, na przełaj, a nie zwykłą drogą automatu.

— Zabłądzisz!

— Nie ma obawy. Jest księżycowy dzień, a ja mam mapy.

„Całe szczęście, że księżycowe mapy są tak dokładne — pomyślała Emi. — Na Ziemi nie przejechałby przez te wszystkie przełęcze, kierując się tylko podług mapy. Ale tu są i urwiska”.

— Urwisk nie ominiesz. To nie jest bezpieczne — powiedziała.

— A widzisz inne wyjście? — odezwał się z tyłu z fotela Korot.

— Ale dlaczego... dlaczego ty, Nor?

— Bo jestem już na zewnątrz. Wyjście każdego z was to nowa strata tlenu z bazy.

— Logiczne — mruknął Korot.

— Ale niesprawiedliwe! Chyba zdajesz sobie sprawę, na co on się naraża.

— Dajcie spokój dyskusjom. Będę się starał utrzymać z wami łączność, przynajmniej tak długo, dopóki się to uda.

— Życzymy ci więc powodzenia — powiedział Korot.

— Powiedziałbyś, jak w budzie: „złam kark”, ale boisz się, że mogę to potraktować zbyt dosłownie.

Emi słyszała obcy śmiech Nora, zniekształcony przez mikrofon. „A może on się rzeczywiście tak śmieje?” pomyślała. Korot wstał i podszedł do ekranu.

— Już odjechał. Pojechał wprost ku górą — powiedział.

— Widzisz go jeszcze?

— Zniknął już za skałami.

Nie patrzyła w ekran ani na mrugające czerwonym światłem alarmu wskaźniki stężenia dwutlenku węgla.

— No, słyszysz mnie? — zapytała.

— Słyszę cię doskonale — odpowiedź nadeszła natychmiast. Przedemną jeszcze kawałek równiny, a potem góry. Jeżeli mi się uda, za trzy godziny powinienem dotrzeć do automatycznej stacji. Wywołaj mnie za chwilę. Nie chcę wyczerpywać akumulatorów. — Trzy godziny i godzina, zanim nadejdzie pomoc — rzekł Korot. — Jeżeli w ogóle nadejdzie.

„Tak, on ma rację, jeżeli w ogóle nadejdzie. Te góry, białe płonące w słońcu szczyty i czerń dolin, której nie rozpraszają żółte światła pojazdu”.

— Boję się o niego — powiedziała. — Jesteś przecież selenistą. Chodziłeś w księżycowe góry. Pamiętasz te przepaście i wąskie półki skalne, głazy bezszelestnie spadające z góry, stręcane najlżejszym wstrząsem... On .nie przejedzie przez te góry.

— No, to zostawi automat i pójdzie pieszo.

— Nie zostawi. Znam go. Będzie próbował przejechać. Pieszo nie osiągnie stacji za trzy godziny.

— Może spotka jakiś automat.

— Tam, w górach? Przecież w góry nawet automaty sieci selenofizycznej nie docierają.

Korot nie odpowiedział.

„On też nie wierzy, że się Norowi uda — pomyślała — a może po prostu nie zastanawiał się jeszcze nad tym”.

Odczekała jeszcze chwilę, a potem wywołała Nora.

— Słyszę cię. Wjeżdżam pod górę.

Odbiór był zniekształcony, tak że Emi z trudnością rozróżniała poszczególne słowa.

— Gdy wjadę wyżej i skały nie będą przesłaniać bazy, usłyszysz mnie wyraźniej. Muszę uważać, teren jest dość nierówny.

— Może zostaw automat i spróbuj przejść pieszo.

— Nie, Emi, nie jest tak źle. Zwykle nierówności, trochę skał.

— A jak dalej?

— Nie wiem. Do przełęczy jeszcze daleko... — urwał nagle.

— Coś się stało?

— Tak. Widzę raketę. Zbliża się.

Chciała coś odpowiedzieć, ale Korot odepchnął ją od mikrofonu.

— Wołaj ją! Wystrzel racę! Słyszysz! — krzyczał.

— Tu... — Nor urwał raptownie. Emi usłyszała jeszcze tylko przenikliwy chrobot.

„A więc stało się” — pomyślała Emi.

— Nadawaj! — ryczał Korot.

„Nie, on się nie odezwie” — teraz Emi była już pewna.

— Nor, odezwij się. Nor! Nor, słyszysz?! — powtarzał Korot.

— Co on tam robi? Chyba nic mu się nie stało?

— Automat. Wezwij automat na fonii — powiedziała Emi.

— Stacja automatyczna... Stacja automatyczna... Czy mnie słyszysz? — wołał teraz Korot.

Odpowiedź nadeszła po chwili, krótkiej chwili.

— ...tu czwart... stac... tu... czwart... stac... tu... czwart... stac...

Korot znieruchomiał pochylony nad mikrofonem.

„On też zrozumiał” — pomyślała. Automat powtarzał.

— ..au czwart... stac... tu... czwart... stac...

— Spadł w przepaść — powiedziała. — On zginął!

— Wycisz, wycisz ten automat.

Patrzyła bezmyślnie przed siebie.

— A może... może tylko stracił przytomność i nie możemy mu pomóc — odruchowo zmniejszyła wzmocnienie i automat umilkł.

— Nie wywołał rakiety a teraz nie mamy już żadnych szans... żadnych... Tlen się już kończy.

„Tak, muszę to zrobić. Zrobię to... Zresztą i tak wszystko jedno...”

— Emi wstała i sięgnęła po hełm.

— Dokąd idziesz? — Korot mówił teraz cicho.

— Po niego. Trafie śladami gąsienic.

— Proszę pozostać w bazie. Już dość tych nieprzemyślanych decyzji...

— To nie był głos Korota.

Fotele były miękkie, głębokie, takie jak w rakietach dalekiego zasięgu. Siedzący w nich mężczyźni nie mieli skafandrów, bo baza była wielka, bezpieczna, głęboko osadzona w skałach i bardziej przypominała małe miasto niż księżycową bazę. Obok nich na stoliku stał podręczny mnemotron i bliżej siedzący mężczyzna jednym ruchem wygasił jego ekran.

— To wszystko, Iv — powiedział.

— A co się dalej stało?

— Zabraliśmy ich.

— I to mają być kosmonauci... — Iv pokiwał głową i nadpił łyk kawy ze stojącej obok filizanki. — I pomysł tej dziewczyny...

— Trzeba ją zrozumieć. To był dla niej szok.

— Zgoda, ale gdyby to wszystko naprawdę im się przydarzyło?

— Zginęliby. Kosmonauci czasem giną.

Milczeli chwilę, a potem Iv znowu zapytał:

— A ten drugi, Korot. Dlaczego on nic nie wymyślił?

— To poczciwy chłopak, ale na Akademii nigdy nie błyszczał.

— To go nie tłumaczy. Aha, Got, przypominam sobie w tej chwili, czy ten Zodiak, którego wspominali, to ty?

— Mhm... Każdy u nas w Akademii ma jakieś przezwisko. Ja akurat takie. Uważasz, że złe?

— Nie, zupełnie gustowne. Bywają gorsze.

— No, ale wracając do rzeczy. Co z tym fantem zrobimy?

— Ich sprawa jest jasna. Ale co z Norem? Odważny chłopak.

— Odważny — Got wzruszył ramionami — ale odwaga to nie wszystko, przynajmniej nie u kosmonauty. Na szczęście nic poważnego mu się nie stało. Stracił przytomność, a teraz ma nogę w gipsie. Proponuję potraktować całą trójkę jednakowo.

— Zgoda.

Got nacisnął klawisz.

— Emi, Korot i Nor wzywani są przez komisję egzaminacyjną — ogłosił na korytarzu automat.

Weszli i siedli rzędem na przygotowanych krzesłach.

— Witajcie — powiedział Got. — Cieszę się, że was widzę. No cóż,

jak z twoją nogą, Nor? Chodzisz jeszcze z trudnością. Pociesz się, że z automatem gorzej. Poszedł na złom. Tobie się udało... A wracając do waszego egzaminu, muszę wam powiedzieć, że wasi koledzy rozwiązywali tę sytuację na ogół lepiej... Mówię: na ogół... Chciałbym tutaj wspomnieć o najciekawszych rozwiązaniach sytuacji, którą dla was wyreżyserowaliśmy, rozwiązaniach waszych kolegów... Pierwsza grupa rozwiązań to próby dotarcia do wnętrza bazy do radiostacji awaryjnej. Grupa Roanda zrzuciła na pancierz bazy skałę ze stoku góry, o którą opiera się baza. Przez powstały otwór w pancierzu dotarli do środka. Grupa Toza natomiast odblokowała korytarz używając jako materiału wybuchowego ładunków rac świetlnych i płynnego tlenu z butli skafandrów.

— To nawet proste — Nor powiedział cicho.

— Proste, gdy już zostało wymyślone. Zaoszczędziliście nam, co prawda, naprawiania bazy, lecz nie przynosi wam to zaszczytu. Druga grupa rozwiązań dotyczy pojazdu automatycznego, który był zawsze wysyłany, oczywiście z zepsutą radiostacją.

— Nor go chyba wykorzystał — Emi powiedziała to głośno i spojrzała na Gota wyczekująco. Got uśmiechnął się samymi kącikami ust.

— Wykorzystał, ale nie w najwłaściwszy sposób. Jak słusznie zauważyłaś, Emi, jeszcze tam w bazie, prawdopodobieństwo, słyszysz, Korot — tu spojrzał na Korota — prawdopodobieństwo przedarcia się na nim przez góry praktycznie nie istniało.

— No, to co z nim robić? — zapytał Korot.

— Grupa Watary wyzyskała jego stos atomowy wywołując

niewielki wybuch termojądrowy. Został on zresztą zarejestrowany na trzeciej części powierzchni Księżyca i oprócz naszych rakiet zleciała się tam cała chmara innych z różnych stron. Najczęstsze są jednak próby staranowania pancerza bazy pojazdem i dotarcia w ten sposób do jej wnętrza. To się nie zawsze udaje, ale takie rozwiązanie uznajemy za wystarczające. Pozostaje jeszcze jedna grupa, grupa zerowa rozwiązań. Do niej należą te rozwiązania, które nie zawierają w sobie nic konstruktywnego, wasze również. Przykro mi, ale komisja uznała, że wasza trójka nie zdała egzaminu.

— Gdyby się to wam naprawdę przytrafiło, nie wyszlibyście z tego z życiem — dodał Iv.

— Nie dostaniecie więc dyplomu Akademii Kosmonautycznej. Wyślemy was na dalszą praktykę na księżycie Jowisza.

— I tam zrobicie nam egzamin?

— Tak. I mam nadzieję, że tym razem wasze rozwiązanie nie będzie zerowe. Cóż, w przeciwnym razie nie będziecie kosmonautami, nigdy! W kosmosie nie można się w ogóle mylić. Każda pomyłka jest ostatnia. Na egzaminie można się mylić raz, jeden raz.

TEŃ, KTÓRY TRWA NAD GRANICĄ DWU CZASÓW

Od setek lat egzaminy zdaje się w maju. Nie jest to pomysł najszczęśliwszy, ale za to uświęcony tradycją. Oczywiście w Akademii Marsjańskiej fakt ten nie ma znaczenia, ale na północnej półkuli ziemskiej należałoby to zreformować. Akademia Kosmonautyczna, w murach której — cytując Cyfraka — „staję się kosmonautą”, leży w centrum Europy i w związku z tym wkuwam wtedy, gdy kwitną kasztany i pierwsze podmuchy ciepłego, letniego już wiatru kładą trzciny u brzegów jeziora, a specjaliści od pogody organizują ciepłe księżycowe noce.

Mieszkam w wieżowcu tuż za starą akademią i widzę zawsze jej ciężkie, szare mury przygniecione grawitacją, której nie mogli pokonać starożytni budowniczowie. Jest tam teraz muzeum robotów i w nisko sklepionych salach stoją rzędy automatów, które kiedyś czemuś służyły. Zachodziłem tam dawniej i lubię tę ciszę, półmrok przeszklonych prostokątów, zwanych oknami, i ledwo wyczuwalny zapach tworzyw, z których budowano kiedyś automaty — zapach przeszłości. Byłem tam niedawno, kilka dni temu, z Taffem, Lili i Wortem. Spotkałem się z nimi przed salą egzaminacyjną. Szukałem

Worta. Przyszedłem właśnie, gdy automat swym schrypniętym głosem wzywał Taffa na egzamin. Na chwilę gwar ucichł i wtedy usłyszałem głos Worta:

— Sat, gdzie lecisz, protonie, tu jesteśmy. Stał z Lili pod kolumną informatora.

— Sat, chodź na chwilę i powiedz, jak było.

Lili złapała mnie za rękaw, aż tworzywo silnie ściśnięte błysnęło czerwono. Uświadomiłem sobie wtedy, że wczoraj zdawałem egzamin, a oni nic jeszcze nie wiedzą.

— W ogóle nie było — powiedziałem. — Załatwili mnie odmownie...

— Jak to?

— Zwyczajnie. Pytali mnie o starożytne hipotezy dotyczące Czerwonego Kontynentu Jowisza. Hipoteza jakiegoś Wildta czy jak mu tam... Nigdy nie byłem w stanie zapamiętać wszystkich tych wyrafinowanych przypuszczeń naukowych szanownych pradziadków.

— No i co? — Lili nie puściła mego rękawa.

— A co ma być? „Niech się pan tego nauczy, drogi kolego” — powiedział Cyfrak tym swoim głosem zdezelowanego automatu i otworzył pole wyjściowe.

— Cyfrak ma zawsze takie zagrania — stwierdził autorytatywnie Wort. — „Proszę kolegi”, „...dziękuję, kolego...”, a piła, jakich mało. Nie przejmuj się, Sat...

— Zawsze trochę głupio.

— Co on się ma przejmować — Lili wzruszyła ramionami — może jeszcze raz zdawać u Cyfraka. Mnie już została tylko półautomatyczna

komisja.

— Nie martw się. Taff mówi, że nie masz to jak automaty starałem się ją pocieszyć.

— Taff to nie ja. Taff ma podejście do automatów. Podobno studiował kiedyś psychologię automatów homoidalnych.

— Buja — stwierdził Wort — wylali go z tamtego wydziału i trafił do nas.

— Ale zna się na tym. W Muzeum Robotyki Starożytnej zna większość automatów...

— ...a z niektórymi jestem nawet na ty.

— To był Taff. Podszedł do mnie i klepnął mnie po ramieniu.

— Co, Taff, już zdałeś?

— Mhm. Cyfrak pytał mnie o roboty warujące i pojękliwe. Ponieważ znam osobiście kilka takich, więc sami rozumiecie...

— Jak to? Zamiast z zagadnień układu Jowisza, zdawałeś z robotyki? — Lili patrzyła nań z niedowierzaniem.

— Wręcz przeciwnie. Zapytał mnie, kto uratował osiedle Sagan, gdy bitoptery rozpuściły klapę odźwierną. Wiesz, ten wypadek na księżycu Jowisza, Europie, siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat temu...

— Nie znasz nawet dokładnie daty i zdałeś?

— Jakoś nie rozmawialiśmy na temat dat. Opowiedziałem natomiast Cyfrakowi, jak robot warujący wyczuł bitoptery i bohatercko narażając się na rozpuszczenie zastymulował pojękliwe. Pojękliwe zaczęły od częstotliwości akustycznych, ale potem przeszły na ultradźwięki i gdy kosmonauci nadbiegli, nie było już

bitopterów...

— Naprawdę nie było? — zapytał rzeczowo Wort.

— Tak naprawdę to nie wiem, ale Cyfrak też nie wiedział, więc pokiwał głową w prawidłowy sposób i zdałem.

— Ty to masz szczęście.

— To nie jest szczęście, tylko wszechstronna znajomość przedmiotu i znajomości wśród robotów z Muzeum Starożytnego.

— Ale co z tego? — zapytałem, bowiem nie spostrzegłem jakoś związku między muzeum a egzaminem.

— Bardzo wiele. Jest tam taki stary automat do opowiadania bajek. Opowiadał mi kiedyś podobną historię o ziemskim mieście Rzymie i automatach pojękliwych o jakiejś takiej dziwnej nazwie.

Wort myślał przez chwilę, a potem powiedział:

— Myślałem, że mówisz poważnie. Osiedle Sagan uratował warujący, pojękliwych tam w ogóle nie było...

— Ale mogły być — Taff nie speszył się nawet. — Zresztą, czy warto sprzeczać się o detale?

— Wiesz, Taff, może ja bym się wybrała do tego twojego muzeum — zaproponowała nagle Lili.

— Po co? Przecież szczególnie ty, jako współczesny neuronik, nie lubisz się zadawać ze starymi automatami.

— To fakt, zawsze pachną nadpaloną izolacją. Ale może by mi to coś pomogło...

Popatrzyłem na Lili zdziwiony, bo nigdy nie podejrzewałem jej o takie pomysły.

— W czym? — Taff był też zdziwiony.

— Ty jeszcze nie wiesz, zdaję półautomatyczny komisyjny. Jak obleję, to w ogóle nie mam czego szukać w akademii. — Taff zastanowił się chwilę.

— Rzeczywiście, przykra sprawa. Tylko nie wiem, czy te roboty zechcą z tobą rozmawiać.

— Dlaczego?

— Nie lubią dziewcząt.

— Z jakiego to powodu?

— Bez powodu. Po prostu nie są do nich przyzwyczajone. W dawnych czasach roboty były budowane i wychowywane prawie zawsze przez mężczyzn.

— A kobiety?

— Miały tyle innych zajęć. W każdym razie robotami nie interesowały się nadmiernie.

— Bzdurzysz — Wort przerwał Taffowi. — Mamy przecież przykłady w historii...

— A mamy — zgodził się Taff. — Ale roboty nie są przekonane.

— No to nie pójde do tego muzeum — Lili wzruszyła ramionami.
— Co by mi zresztą te stare pudła mogły pomóc?

— Masz rację, Lili. My, normalni ludzie, nie mamy tam nic do roboty przy tych tranzystorowych trupach. Co innego taki ich beniaminek jak Taff — powiedział Wort i spojrzał na Taffa.

— Zresztą wszystko mi jedno. Zdaję jutro w południe. I tak niewiele się nauczę. Jak nie zdam, odprowadzicie mnie na kosmodrom i polecę na ziemską zieloną trawkę...

— Więcej optymizmu, Lili — było mi jej żal.

— Mam minimalne szanse. Wiecie o tym tak samo dobrze jak ja, więc co mnie pocieszacie. Wyleją mnie i koniec. Nie martwcie się, nie będę beczeć przed tymi automatami i Cyfrakiem...

— Cyfrakowi też już niewiele zostało z człowieka, ale nie o to idzie. Nie możesz, Lili, się poddawać. Tak nie wolno. W ten sposób na pewno oblejesz swój egzamin — powiedziałem to z całym przekonaniem, na jakie mnie było stać.

Nagle odezwał się Taff:

— Słuchajcie, mam myśl.

— Uwaga, przyjaciel tranzystorowej trumny wpadł na pomysł. Nieczęsta to rzecz w dzisiejszych czasach — Wort nie był entuzjastą pomysłów Tafia.

— Przestań się wygłupiać, mówię poważnie.

— Co za pomysł? — zapytałem.

— Zastrzegam sobie tylko, że wygłupiać się możecie dopiero, jak skończę. W porządku?

— Ależ my jesteśmy poważni, prawie jak dostojne automaty — nie wytrzymał Wort.

— No, mów.

— Więc umowa przyjęta?

— Przyjęta, mów.

— Otóż trzysta lat temu — zaczął Taff — w osiedlu Ata na Marsie żył stary cybernetyk...

— Z długą białą brodą — dodał Wort.

— Nie, brody nie miał, a ty nie będziesz miał wszystkich zębów, jak się nie uspokoisz.

— Panowie, tylko bez rękoczynów. Od tego są automaty.

— Otóż pod koniec życia — ciągnął Taff — cybernetyk ten skreślony został z listy członków Słonecznego Towarzystwa Cybernetycznego i mimo że był znanym w swoich czasach cybernetykiem, wydano polecenie, by imię jego wymazały ze swej pamięci wszystkie automaty, mnemotrony i inne akumulatory informacji. Tak się też stało...

— To skąd ty o tym wiesz? — zapytałem.

— Czekajcie, dojdę i do tego.

— Dajcie mu mówić — Lili przerwała Wortowi, który chciał już coś dodać.

— Kara ta spotkała go za to, że nie uszanował powagi Towarzystwa, że znieważył wszystkich jego członków i wiedzę swą spożytkował dla stworzenia automatu niegodnego tego miana, automatu bałamutnego i kłamliwego. Automat ten niegodny ów starzec miał czelność przedstawić Towarzystwu i dopuścić do tego, że sam przewodniczący zadawał w dobrej wierze pytania temu automatowi — kłamcy.

— No i powiedz wreszcie, co to był za automat? — nie wytrzymałem.

— Starzec ten, dla którego automat stanowił dzieło jego życia, opuścił wtedy osiedle Ata i zamieszkał w Dwunastej Bazie nad Zatoką Uśmiechu. Kilka lat jeszcze przeżył w małej kabinie na peryferiach bazy, umieszczonej tam, gdzie zużyte zespoły automatów wyrzucano na usypisko. Potem umarł. Mówiono o nim, że z cybernetycznego szmelcu konstruował przedziwne automaty, z którymi wiódł dyskusje,

lecz po jego śmierci nie znaleziono żadnego.

— Pewnie gadał sam do siebie — stwierdził krótko Wort. — Być może. Faktem jest jednak, że w tydzień po jego śmierci do centrum zdezinformowanych automatów zgłosił się przedziwny robot. Wtedy nie skojarzono tego ze śmiercią starca. Zresztą tyle robotów, nie mogących znaleźć swego miejsca w świecie, zgłasza się ciągle do centrum. Ten jednak robot miał wymazaną pamięć i nie powiedział, do czego służy. Przegląd techniczny zrobił mu sam naczelny cybernetyk centrum, ale także do niczego nie doszedł.

— Jak może cybernetyk nie wiedzieć, do czego służy robot? — Wort był sceptycznie nastawiony do całej historii.

— To jest proste, gdy robot służy do pieczenia ciastek lub odtwarzania piosenek, lecz ten robot był zupełnie inny. Chciano go nawet oddać na złom, ale ze względu na swą niecodzienną konstrukcję trafił do muzeum.

— I jest pewnie twoim znajomym? — Wort nie dawał za wygraną.

— A żebyś wiedział. Jak się domyślacie, jest to automat starca. Przez ponad dwieście lat nie chciał się ujawnić, ale kilkadziesiąt lat temu po raz pierwszy wyznał prawdę.

— No i co? — Lili była zaintrygowana.

— A nic. Gadaniem starych robotów nikt się przecież nie przejmuje.

— Ale do czego on służy?

— Powiem wam, ale zachowajcie powagę. On służy do przepowiadania przyszłości.

— Pyszny kawał! — ryknął Wort i zaczął się śmiać tak głośno, że

najbliższe grupy studentów umilkły.

— Bzdura, ty naprawdę w to wierzysz? — starałem się zachować powagę.

— Nie taka bzdura, jak wam się wydaje — Taff był urażony. — Przepowiedział mi trafnie kilka różnych rzeczy...

— Co na przykład? — zapytała Lili.

— No, choćby to, że dzisiaj zdam egzamin. Nic się przecież nie uczyłem.

— To może być przypadek — zauważyłem.

— Przepowiedział mi, że zabłądzą w próżni...

— Naprawdę? Słyszałem o twojej przygodzie...

— W każdym razie ja mu wierzę.

— A innym ludziom też coś przepowiedział? — Wort przestał się wreszcie śmiać.

— Oczywiście. Przepowiedział Kobarowi klęskę jego twierdzeń o koncentracjach zwojów sterujących.

— Komu? Kobarowi? Temu cybernetykowi sprzed trzystu lat?

— Temu samemu, Kobar był wtedy przewodniczącym Słonecznego Towarzystwa Cybernetycznego. Przepowiednię swą automat wygłosił publicznie. Rozumiecie teraz, dlaczego starzec i jego automat zostali wyklęci. Wtedy jeszcze twierdzenia Kobara stanowiły podstawę teoretyczną dla cybernetyków konstruktorów i nic nie zapowiadało ich upadku.

— A imię tego starca?

Nie przekazał ci tego ten automat? chciałem usłyszeć wreszcie coś konkretnego.

— Nie. Starzec posłuszny decyzji najwyższego zgromadzenia cybernetyków wytarł swoje imię z pamięci swego automatu.

— Więc nikt nie zna jego imienia? — zdziwiła się Lili.

— Nikt.

— Nieprawdopodobne. Przecież ten bezimienny starzec to jeden z największych cybernetyków wszystkich czasów.

— O ile to wszystko jest prawdą — Wort nie był przekonany.

— Zawsze możemy się przekonać — powiedziałem i spojrzałem wyczekująco na Tafia.

— Jeżeli będzie chciał z wami rozmawiać. On jest mocno dziwaczny. Zanim do mnie przemówił, przez trzy dni z rzędu polewałem go dziesięcioprocentowym roztworem soli kuchennej. Jego sąsiad z muzeum, nadstratosfer gończy, zdradził mi, że on to bardzo lubi...

— A jak się nazywa ten twój dziwny automat? — próbowała dowiedzieć się Lili.

— W tym sęk, że on się w ogóle nie nazywa, przynajmniej w naszym pojęciu.

— Ale jakoś się do niego mówi? — Lili nie ustępowała.

— Tak. Należy zwracać się do niego: „O ty, który trwasz nad granicą dwu czasów”.

— Trochę długie.

— Długie, ale inaczej w ogóle nie reaguje. Traktuję to jak nieszkodliwe dziwactwo.

— Dlaczego nad granicą dwu czasów? — zainteresowałem się tym dziwnym określeniem.

— Na styku przeszłości i przyszłości — wyjaśnił Taff — On to tłumaczy dużo bardziej zawile, ale taki mniej więcej jest sens.

— Co ta nazwa ma wspólnego z przepowiadaniem przyszłości?

— Bardzo wiele. Nie powiedziałem wam najważniejszego, jak on to robi.

— Chyba nie wróży z ręki, co, Taff?

— Oczywiście — Taff nie spojrział nawet na Wortę. — Poza tym on nie wróży, tylko przepowiada, a to jest różnica.

— No, więc jak on to robi?

— Przenosi się w przyszłość, rozumiecie? To przepowiadanie nie ma w sobie nic z magii. Przeciwnie, jest oparte na naukowych podstawach. Automat przenosi się w przyszłość, tam się dowiaduje, jak i co, potem wraca w przeszłość i przepowiada. Gdy zechce wygłosić przepowiednię w sprawie twego egzaminu, przeniesie się w przyszłość, sprawdzi, czy zdałaś, i wiadomość tę nam przekaże...

— Więc on się nigdy nie myli? — Lili się zamyśliła.

— Nigdy! Tylko nie zawsze chce przepowiadać.

— A w mojej sprawie, myślisz...

— Nie wiem. Zrobię, co będę mógł. Proponuję, spotkajmy się o czwartej przed muzeum.

— Wcześniej nie można?

— Nie. Muszę zjeść obiad. Rozmowa z nim wymaga kosmicznej cierpliwości.

Lili chciała jeszcze o coś zapytać, ale Taffa już nie było. Powiedział „cześć” i zaczął się przepychać ku wyjściu.

— I co o tym myślicie? — zapytała Lili.

- Zobaczymy — odpowiedziałem.
- Bzdura — stwierdził autorytatywnie Wort.
- To nie przychodzisz po południu?
- Przyjdę... czego się nie robi dla kolegów.

Czekaliśmy na Taffa przed głównym wejściem, na starożytnych kamiennych schodach. Pogoda była słoneczna i szare kamienie balustrady grzały dłonie przy dotknięciu.

— Nie przyjdzie... Nabzdurzył, a teraz nie przyjdzie stwierdził Wort, gdy czwarta minęła.

Wtedy właśnie usłyszałem pogwizdywanie Taffa. Szedł wolno aleją wśród starych drzew. Doszedł do schodów i przeskakując po dwa stopnie wspiął się do nas.

— Chodźmy — powiedział krótko i przez stare, drewniane drzwi weszliśmy do budynku.

Szliśmy długim korytarzem, poznaczonym plamami słońca świecącego przez otwory zwane oknami.

— To tu — Taff zatrzymał się wreszcie przed jedną z sal. Wewnątrz było ciemno, lecz rozróżniłem zarysy automatów stojących pod ścianami.

— To już ta sala?— szeptem zapytała Lili.

— Tak, ale nie pchajcie się — Taff odpowiedział półgłosem.

—Ale trupy! Że też ludzkość coś takiego — produkowała Wort przyglądał się uważnie automatom.

— Ciszej. Wbrew pozorom one mają świetny słuch.

Nagle coś trzasnęło i usłyszałem dziwny dźwięk

— Pum Pum Pum.

— Co to? — Lili zatrzymała się w pół kroku.

— To nadstratosfer gończy. Nudzi się i symuluje polowanie na meteory — wyjaśnił Taff.

— On tak stale? — zapytałem.

— Nie, tylko czasami. Dysponuje szerokim zakresem częstotliwości akustycznych i wydaje różne dźwięki. Najchętniej naśladuje krowy.

— Krowy?

— No, takie zwierzęta z dawnych epok. Powinieneś kiedyś pójść do ZOO i je zobaczyć.

— Ale dlaczego właśnie krowy? — zainteresowała się Lili.

— Tym automatom wszelkie białkowe stworzenia ogromnie imponują.

— Czy ludzie też?

— Przede wszystkim, ale przyznawanie się do tego jest według nich w złym stylu.

— To co, temu przepowiadaczowi przyszłości też imponujemy? Świetnie! — ucieszył się Wort.

— Ciszej. On tam stoi.

— Co, to nadrdzewiałe pudło? — Wort patrzył na automat z dezaprobatą.

— To patyna czasu, która korzystnie odróżnia szlachetne automaty z minionych epok od współczesnych, oprawionych w tandetne i tanie pancerze — Taff mówił to głośno, bardzo głośno.

— Za to te pancerze są niezniszczalne, a to rozsypie się za następne sto lat — uzupełnił Wort.

— Jeszcze coś w tym stylu i będziemy mogli spokojnie stąd wyjść
— Taff powiedział to twardo. — One są bardzo wrażliwe na tego rodzaju uwagi.

Niespodziewanie zawył nadstratosfer gończy.

— Taff, daj mu rozkaz, żeby się uspokoił albo żeby się wyłączył — zażądał Wort.

— Widać, żeś się wychował w naszym wieku. Zupełnie nie interesuje cię psychologia robota...

— Wykład z psychologii tych przemiłych układów zrobisz nam następnym razem. Nie po to przyszliśmy tu.

— Pomówmy nareszcie z tym, co trwa — zaproponowała Lili i podeszła do automatu.

— Nie podchodź za blisko — ostrzegł ją Taff. — Z nim rozmawia się z odległości co najmniej pięciu metrów.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Inaczej nie odpowiada.

— No, już stoimy dokładnie tak, jak szanowny robot sobie życzy — zauważyłem — zaczynajmy wreszcie.

— To, Taff, zaczynaj — poparła mnie Lili.

Taff nabrał powietrza w płuca i rozpoczął z emfazą

— O ty, co trwasz nad granicą dwu czasów, przyszliśmy do ciebie...

Robot nie odpowiadał. Chwilę staliśmy w milczeniu.

— No i co? — zapytała wreszcie Lili.

— Powtórz jeszcze raz — poradziłem.

— O ty, który trwasz nad granicą dwu czasów, przemów do nas! —

zawołał Taff.

— Odezwij się wreszcie — Wort mówił normalnie i być może to właśnie poskutkowało.

W automacie coś szcęknęło i po chwili usłyszeliśmy głos, niski, metaliczny nieco głos:

— Co chcecie wiedzieć? Czy to, że nadejdzie epoka lodowa, czy to, kiedy Słońce zmieni się w supernową, czy też to, kiedy kosmoloty osiągną układ Syriusza? A może chcecie znać największy dzień waszego życia, dzień sukcesu lub klęski? Ten dzień, który zadecyduje o reszcie dni waszych...

— Nie... ja... chciałabym tylko wiedzieć, czy jutro zdam egzamin — odpowiedziała mu nieśmiało Lili.

— Egzamin życiowy, czy zachowasz się na nim tak, jak i z definicji zachowuje się człowiek... — automat urwał.

— Nie... egzamin z zagadnień układu Jowisza... zdaję przed półautomatyczną.

Tym razem nie było odpowiedzi. Taff kręcił się niespokojnie, aż wreszcie odezwał się:

— Daruj, że niepokoimy cię, o ty, który trwasz nad granicą dwu czasów, sprawą tak błahą, ale ona jest jedynie pozornie błaha. Naprawdę jest bardzo istotna, tylko ty, który trwasz nad granicą dwu czasów, nigdy nie byłeś studentem i nie wiesz tego...

Automat nie przerywał milczenia.

— ...to znaczy, źle powiedziałem, że nie wiesz, tylko po prostu tobie, o ty, który trwasz nad granicą dwu czasów, trudno na to spojrzeć z punktu widzenia studenta... Bo widzisz... — jąkał się Taff.

I nagle automat przemówił:

— Nie rozumiem. Nie rozumiem, co znaczy półautomatyczna?

— Komisja egzaminacyjna, w skład której wchodzi ludzie i automaty — Lili odpowiedziała natychmiast.

— Nie rozumiem, co tam robią ludzie, skoro tam są automaty, ale to pewnie jeszcze jedno dziwactwo współczesności. W moich czasach byłoby to nie do pomyślenia.

— A więc, o ty, który trwasz nad granicą dwu czasów, czy możesz nam już powiedzieć to, o co cię prosimy? — Taff postąpił krok naprzód, ale cofnął się natychmiast.

— Spełnię wasze życzenie — automat powiedział to głośniej, a może nam się tylko zdawało. Potem zaszumiał i... znikł.

— Gdzie on jest? — Wort zawołał pierwszy.

— Zniknął. Co się z nim stało? — Lili postąpiła krok naprzód, ale Taff schwycił ją za rękę.

— Przeniósł się w przyszłość. Uważaj, teraz nie można tam wchodzić.

— Jak to się przeniósł? — zapytałem.

— To jest zasada jego działania, przenosi się w przyszłość i sprawdza. Mówiłem wam o tym — Taff powiedział to tak, jakby opisywał zasadę działania rakiety.

— A kiedy wróci? — niecierpliwiła się Lili.

— Za chwilę. Wysłaliśmy go do dnia jutrzejszego. Pokonanie stu lat zajmuje mu już trochę czasu...

— I pomyślcie, że już trzysta lat temu... — Wort chciał coś powiedzieć, ale głos jego zagłuszył szum. Automat stał na swoim

miejscu.

— Wrócił! — krzyknęła Lili. — Wrócił!

— Rzeczywiście, jest już z powrotem — potwierdził Taff, a potem zwrócił się do automatu:

— O ty, który trwasz nad granicą dwu czasów, czy możesz nam już odpowiedzieć na nasze pytanie...

Automat milczał.

— Dlaczego on nic nie mówi?! Na pewno oblałam.

— Może się uszkodził — podsunąłem.

— O ty, który... — zaczął Taff od początku, ale automat przerwał mu:

— Młodziży, chwileczkę, dajcie się zregenerować staremu automatowi...

— No, ale co z Lili? — zapytałem.

— Zda, jeżeli w dniu jutrzejszym nie będzie dotykać dłonią... metali kolorowych.

Automat powiedział to cichym, jakby zmęczonym głosem.

— Co to ma znaczyć? — Lili popatrzyła na nas zdziwiona.

— Przepowiednia jak każda inna — Taff wzruszył ramionami.

— Nie rozumiem. Co to ma znaczyć? Wytłumacz mi, automacie! — krzyczała Lili.

— No, koniec — zawyrokował Taff.

— Czego koniec? — Lili jeszcze nie rozumiała.

— Koniec dzisiejszej rozmowy. Nazwałaś go automatem, teraz już się nie odezwie.

— Ale on musi mi wyjaśnić...

— Nic ci już nie wyjaśni. Ostrzegalem was. Teraz przypadlo. Dziękujemy ci, o ty, który trwasz nad granicą dwu czasów... — Taff zwrócił się wprost do automatu.

— Mamy stąd spływać? — zapytywał domyślnie Wort.

— Właśnie.

— No to cześć, stare pudło — powiedział Wort i wyszliśmy z sali.

Następnego dnia tłok przed salą egzaminacyjną był jeszcze większy. Rozpoczęły się egzaminy przed komisją półautomatyczną.

Spóźniłem się trochę i gdy przepychałem się w tłumie, usłyszałem, jak automat wywołuje Lili:

— Uwaga, Tom Lili proszona jest na półautomatyczną egzaminacyjną.

Spostrzegłem Wortę i Taffę. Stali z boku.

— Trzymam za nią kciuki — powiedział Wort.

— Myślisz, że zda? — zapytałem. Nie byłem o tym przekonany.

— Nie wiem — odpowiedział niepewnie Wort. — Neuronik z niej niezły, ale mnemotronem doskonałym z zagadnień układu Jowisza to ona nie jest.

— Automat powiedział, że zda — zauważyłem.

— Wierzysz w to? — zaśmiał się Wort.

— Sam nie wiem. Niby widzieliśmy, jak przeniósł się w przyszłość.

— Widzieliśmy, jak zniknął — powiedział Wort.

— Ci starożytni wiele potrafili w tych czasach, kiedy jeszcze istnieli genialni rzemieślnicy nauki...

— No, skończcie już wymianę zdań na temat możliwości — przerwał Taff — Ze swej strony chciałbym jeszcze dodać, że były

większe, niż dzisiaj na ogół przypuszczamy...

— Zobaczymy, Taff, czy Lili zda — Wort powiedział to poważnie.

— W przeciwnym wypadku gotów jestem oddać szanowny automat do składnicy cybernetycznego złomu.

— Jeżeli w ogóle go tam przyjmą. Takie truposze wyrzuca się po prostu na śmietnik.

— Zda, jeśli nie dotykała dłonią metali kolorowych. Tak on powiedział?

— Mogę cię zapewnić, Taff że nie dotykała. Od rana nosi dzisiaj rękawiczki.

— Myślisz, że jej to pomoże? — Taff zaśmiał się. — Automat mówił o dłoni, nie precyzował natomiast, czy w rękawiczkach, czy bez.

— Przecież bez rękawiczki wcześniej czy później musiałaby czegoś dotknąć...

— Powinna była uważać... — Taff chciał jeszcze coś dodać, ale przerwała mu Lili. Śmiała się radośnie jak dziecko, które pierwszy raz leci wiroplanem.

— Zdałam! Zdałam! Słyszycie?

— Błyskawicznie.

— Gratuluję.

— Cyfrak był za silny, automaty gadały między sobą, a potem, zanim coś zdążył powiedzieć i jednogłośnie pozytywnie oceniły moją wypowiedź.

— Więc jednak ten, który trwa, mówił prawdę — stwierdził Taff.

— Tak. Zresztą wybrałam się dzisiaj przed południem do niego raz

jeszcze — Lili zaśmiała się głośno.

— I cóż ci truposz powiedział? — zapytał Wort.

— Chciał z tobą w ogóle rozmawiać? — Taff spojrzał na nią podejrzliwie.

— Ależ oczywiście. Zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi.

— Lili, ty nie żartujesz? — Taff był chyba lekko zaniepokojony.

— Jak bym mogła. Kochane tranzystorowe truchło tyle mi pomogło. Jak bym mogła kpić z drogiego przyjaciela... — Taff stanął tuż przed nią.

— Nie zgrywaj się, Lili, co on ci powiedział?

— Rozmawialiśmy na różne tematy.

— No i co?

— Nic. A, zapomniałam. Kazał cię pozdrowić. Rozpływał się nad tobą i twierdził, że takich grzecznych chłopców, jak ty, w dzisiejszych czasach w ogóle się nie spotyka. Mówił coś jeszcze, ale nadstratosfer okropnie go zakłócał...

— Jak... jak mam to wszystko rozumieć? — Taff poczerwieniał.

— Sam go najlepiej zapytaj. Idę mu podziękować za wspaniałą, opartą na naukowych przesłankach, przepowiednię. Może pójdziecie ze mną?

— Zgoda. Chodźmy — zaproponowałem. Nadstratosfera gończego słyszeliśmy już z daleka.

— Nie zwracajcie na niego uwagi — powiedziała Lili tonem starego bywalca.

— Gdzie... gdzie jest automat? — zapytał Taff i wtedy ja także spostrzegłem, że automatu nie ma. Na posadzce ciemniejszą plamą

szarzało miejsce, gdzie stał.

— Jak ty o nim mówisz? — obruszyła się Lili. — Dobrze, że go nie ma.

— Ale gdzie on jest? — Taff był natarczywy.

— Zaczynam rozumieć. On jeszcze nie wrócił...

— Skąd nie wrócił? — Taff zrobił krok w kierunku plamy na posadzce.

— Nie wchodź tam! — krzyknęła Lili.

— Nie żartuj. Gdzie go ukryłaś .

— Zapytałam go, kiedy będzie koniec świata i przeniósł się w przyszłość, żeby odpowiedzieć mi na to pytanie.

— W ten sposób on nigdy nie wróci — zauważyłem.

— Słusznie.

— Nie żartuj, Lili. Gdzie go ukryłaś? To mój ulubiony automat — Taff mówił teraz spokojnie.

— Słyszałeś, powiedziała ci przecież — Wort patrzył na Taffa.

— Ona sobie kpi, rozumiecie?

— Nic nie rozumiem — powiedziałem i było to zgodne z prawdą.

— Ja też — zgodził się Wort.

— Ten automat to po prostu zabawka — wyjaśnił Taff.

— To znaczy, że on nie przepowiada przyszłości?

— Nie.

— I nie przenosi się w czasie?

— Nie, nie przenosi się...

— Więc zwyczajnie nas nabrałeś — Wort powiedział to twardo.

— Nabrałem. Chciałem poprawić Lili samopoczucie.

— No dobrze, ale jak on znika? — zapytałem.

— Wytwarza wokół siebie pole, przez które nie przenikają promienie światła. To cała jego tajemnica. To jest starożytny automat rozrywkowy.

— A historia z zapomnianym cybernetykiem? — nie dawałem za wygraną.

— Reklamowa bajka. Ale opowiada ją sam automat. Ja jej nie wymyśliłem. Lili, coś ty z nim zrobiła? Lili wzruszyła ramionami.

— Rozłożyłam go na części pierwsze. Jestem neuronikiem i chciałam się przekonać, jak zbudowany jest ten automat...

— Nie protestował? — zdziwiłem się; bo pamiętałem wrzaski demontowanych automatów.

— I jak jeszcze. Przepowiadał mi rychłą i gwałtowną śmierć.

— I nie bałaś się? — spojrzałem na Lili uważnie.

— Trochę się bałam — przyznała — ale skoro raz postanowiłam to zrobić... Jestem neuronikiem i działałam w imieniu nauki.

— Ja bym mimo wszystko tego nie zrobił — powiedział Wort.

— Ja może też, ale zwróciłam się do kustosza tego muzeum...

— No i co? — tym razem Taff był także zainteresowany. — Dał mi zezwolenie na demontaż tego grata. A potem mnie o coś zapytał. Wiesz o co, Taff?

— Nie, i mnie to nie interesuje. Zepsułaś najlepszy automat...

— Zapytał mnie, czy jestem nową dziewczyną Taffa. Podobno zawsze przychodzi z nimi tutaj, do automatu, który przepowiada przyszłość. Ta przyszłość, o której opowiadał automat, była programowana przez Taffa, ale biedactwa nie wiedziały o tym.

— Jednym słowem, podrywanie na automat, co, Taff?

Wort zaśmiał się głośno.

— I że musiałaś go zniszczyć. A mówił mi mój automat, żebym unikał kobiet neuroników...

KONSTRUKTOR

— Widzisz już tę planetoidę? — zapytał Marp.

— Nie i jeszcze długo jej nie zobaczę...

— Zupełnie, jakbyśmy podróżowali do układu Toliman. Leci się i leci. Nie nudzi ci się?

— Trochę. Możesz włączyć program wideotronii ogólnoukładowej.

— Nie warto. W programie na pewno znowu ziemskie grzybobranie w ziemskim lesie albo ziemska dziewczyna unosi się na antygravitorach w podmuchach ziemskiego wietrzyku... To dobre dla nostalgicznych marsjańskich kolonistów, przeżywających przed ekranem papkę z chlorelli, ale nie dla nas — Marp wstał z fotela i przeszedł się tam i z powrotem wzdłuż ścian kabiny. — Że też nie mieli gdzie zbudować tej bary. Peryferie strefy środkowej... W porównaniu do tej planetoidy Mars to centrum Układu Słonecznego... A w dodatku teraz, gdy znajduje się ona w najbardziej odsłonecznym punkcie swej orbity, lot do niej to zupełny absurd.

— Nie narzekaj, Marp. Mogli cię wysłać na księżyc Saturna. Nie jest jeszcze najgorzej. Baza na planetoidzie to w pełni zautomatyzowane marzenie kosmonauty. Podobno, jeśli nie chcesz oglądać gwiazd, możesz ich nie widzieć całymi tygodniami. Automaty

karmią cię, kołyszą do snu i nie mówiąc ci nawet o tym, spełniają każde twoje życzenie...

— Jednym słowem, opowieści z tysiąca i jednej podróży kosmicznej. Może mi w takim razie powiesz — Marp spoważniał nagle — dlaczego ci się nie odzywają już drugi tydzień...

— Może jest im tak dobrze, że zapomnieli o Ziemi i o nadawaniu sprawozdań...

— Nie kpij, Tor. Ta historia wcale nie wygląda zabawnie. — Zapewne... Może to jednak nic poważnego. Mógł im jakiś większy meteor trzepnąć w antenę...

— Naprawiliby już do dzisiaj. Soto, wiesz, ten, który jest naczelnym kosmikiem w tej bazie, nie siedziałby z założonymi rękoma czekając na nas. Znam go...

— To dobrze, że go znasz. Będziesz mu mógł przynajmniej po starej znajomości powiedzieć kilka ciepłych słów, jeśli się okaże, że niepotrzebnie tam lecimy — Tor przeciągnął się w fotelu. — Za chwilę zaczniemy ich wywoływać... Może się odezwą.

— Wątpię.

— To niech się nie odzywają. I tak tam wylądujemy. Chyba że jakiś bolid trafił wprost w bazę. Jak mnie uczono, zdarza się to z prawdopodobieństwem jedynki na siódmym miejscu za przecinkiem, ale jednak się zdarza. To byłoby fatalne. Nie moglibyśmy się tam zatrzymać, a powiem ci szczerze, że dość już mam tego lotu. Człowiek nie jest przystosowany do życia w kosmolocie. To dobre dla automatów...

— Wolę podróżować kosmolotem niż siedzieć bez przerwy w bazie,

nawet w takiej bazie jak ta, do której lecimy.

— Entuzjasta próżni się znalazł. Najlepiej włóż skafander i wyskocz na zewnątrz. Kosmonauta Marp, nowy satelita Słońca.

Marp wzruszył ramionami i usiadł w swoim fotelu. Tor tymczasem pochylił się nad ekranem.

— Zobaczymy, czy ich lokalna stacja nadawcza pracuje — powiedział.

Chwilę manipulował przełącznikami i nagle w głośniku odezwał się wysoki, dźwięczny ton.

— To oni? — zapytał Marp.

— Tak.

— No, to w takim razie jesteście tuż koło nich...

— Niezupełnie. Oni mają mocną radiostację lokalną, wiesz, ze względu na próby, które przeprowadzają...

— Z nowo konstruowanymi kosmolotami?

— Tak.

— Słyszałem, że ten ich ogromny automat, wiesz, ten, którego nazywają Konstruktor samodzielnie projektuje te wszystkie ich kosmoloty.

— Niezupełnie sam. Założenia przesyłają z Ziemi.

— Tylko założenia. Całą resztę, łącznie z latającym modelem kosmolotu, wykonują sami. A jest ich trzech, tylko trzech...

— No i Konstruktor. To jeden z największych automatów w Układzie Słonecznym. Właściwie on wykonuje całą pracę, a oni są tam, wiesz... no...

— Jak to? Oni nadzorują całą pracę. Soto, ten kosmik, opowiadał

mi nawet, że mają z tym Konstrukтором sporo kłopotów...

— Też tak słyszałem — Tor skinął głową.

— Trzy tygodnie temu, gdy się z nim spotkałem, wracał z Instytutu Sieci Podprogowych. Oni w tym Instytucie zajmują się najbardziej skomplikowanymi układami. Chciał się z nimi konsultować częściej, ale ta komunikacja... Że też nie mogli tej bazy zbudować gdzieś bliżej.

— Nie... nie mogli — Tor spojrział na Marpa i uśmiechnął się — bo widzisz, oni przeprowadzają tam próby tych nowych kosmolotów, a jeśli się próba nie uda, to kończy się to małym wybuchem termojądrowym. Powiedzieli mi przed odlotem, abym uważał przy podchodzeniu do planetoidy...

— Będziemy uważać.

— Nadam im sygnał, że już tutaj jesteśmy. Przypuszczam, że poczekają z próbami do naszego lądowania.

Tor odwrócił się do pulpitu sterujących i nacisnął klawisz wezwania. Widział błysk wskaźnika, który potwierdził emisję energii z anten kosmolotu.

— Tor — Marp przerwał spacer po kabinie i zatrzymał się przed pulpitem kosmogacyjnym — Tor, oni przerwali nadawanie...

— Nie rozumiem. Jak mogli przerwać...

— Nie ma ich sygnału.

— Ale w takim razie...

— Przede wszystkim nasz automat kosmogacyjny nie odnajdzie ich planetoidy...

— Tragedii nie ma. To jest kosmolot dalekiego zwiadu i mamy

odpowiednie przyrządy, by ich odszukać. Niestety, będziesz musiał trochę popracować, Marp.

— Zgoda, Tor. Ale nie wszyscy latają na kosmolotach dalekiego zwiadu, zaopatrzonych w te wszystkie urządzenia..

— Nie wszyscy...

— A gdybyśmy byli w zwykłym kosmolocie, nie znaleźlibyśmy nigdy tej planetoidy, ani za rok, ani za dziesięć, ani za sto lat. Chyba przypadkiem.

— Gdybyśmy byli zwykłym kosmolotem, nie mielibyśmy również paliwa na powrót, minęlibyśmy tę planetoidę i pomknęli w próżnię wzywając pomocy tak długo, ażby nas stamtąd wyciągnęli.

— W tym pustkowiu? Przecież tu nawet automatyczne rakiety—sondy rzadko docierają.

— Na pewno usłyszeliby nas na planetoidzie. Ale jeśli oni by nam nie pomogli, nie nadali swego sygnału lub nie odszukali swoim kosmolotem... no cóż, Marp, wpisano by nas na listę zaginionych w Kosmosie...

Następne dwie godziny pracowali intensywnie, tak jak rzadko tylko pracuje człowiek w epoce automatów. Tor planetoidy był zapisany w pamięci ich automatów, a swoje położenie wyznaczyli z sygnałów z księżyców Jowisza.

Automaty przeliczające sterowały bezpośrednio silnikami i tylko częste zmiany przyspieszenia dowodziły, że jednak poruszają się wśród trwających w wiecznym bezruchu gwiazd.

— Złożę raport i wyleją tego Soto na jakąś peryferyjną marsjańską

bazę, gdzie będzie mógł uprawiać sałatę pod w emiterem agrotechnicznym — Marp odwrócił się od pulpitu, na którego ekranach bezskutecznie wypatrywał sygnału bazy. — I całą załogę bazy razem z nim — dodał. — Takich ludzi w ogóle nie powinno wysyłać się w Kosmos.

— Niepotrzebnie się denerwujesz. Nawet wśród automatów zdarzają się wybrakowane egzemplarze, a cóż dopiero wśród ludzi, którzy bądź co bądź nie przechodzą przed urodzeniem kontroli technicznej. Raport oczywiście wyślemy... przerwał nagle —...o, widzisz, jest! Jest planetoida! — Tor wskazywał na ekranie drobny rozbłysk. To powracało echo radaru odbite od powierzchni planetoidy.

— To tak, jakbyśmy byli w domu... — powiedział Marp i usiadł z rozmachem w fotelu.

— Jeszcze te głupie pół miliona kilometrów. Podaj współrzędne automatowi kosmogacyjnemu.

— A oni, dranie, się nie odzywają.

— Nie usłyszeli na pewno naszego sygnału — Tor powiedział to bez przekonania.

— Absurd. Przecież mają całą sforę automatów na nasłuchu. I jeszcze jedno. Zauważyłeś, kiedy ich radiostacja zamilkła... — Marp nachylił się nad Torem i spojrzał mu wprost w twarz — zauważyłeś... Wtedy kiedy myśmy się odezwali... Oni specjalnie ją wyłączyli, a to by znaczyło... — Ależ to niemożliwe, Marp...

— A to by znaczyło, że nie życzą sobie, byśmy ich odwiedzali, że woleliby nawet śmierć w Kosmosie od naszych odwiedzin.

— To nie może być prawdą.

— Mówię o faktach. Oni nie wiedzieli, jakim kosmolotem nadlatujemy i jaki mamy zapas paliwa...

Planetoida była drobnym okruchem skalnym, w który wtopiona została baza. Szczyt bazy tworzył białą kopułę odcinającą się wyraźnie na brunatnym tle skał.

— Spójrz, Marp — powiedział Tor, gdy byli już blisko widzisz bazę. Cała planetoida to jej obudowa. Trochę skał wydrążonych od środka, a w ich wnętrzu, tam w głębi, pracuje Konstruktor. Skały chronią go przed meteorami i eksplozjami silników nieudanych kosmolotów...

— To tam... widzisz...

— Tam są stocznie kosmiczne, w których budowane są prototypy... Jeżeli to, co oni tam budują, jest kosmolotem, to jest to najdziwniejszy kosmolot, jaki widziałem w życiu.

Marp przyjrzał się dokładnie kosmolotowi i pomyślał, że Tor ma rację.

— Oni nad tym pracują. Widzisz błyski palników automatów — powiedział.

— Jeżeli pracują, to nie będą chyba równocześnie przeprowadzać prób. Lądujemy?

— Ląduj.

Tor ściągnął ku sobie dźwignie sterujące, poczuł charakterystyczną zmianę przyspieszenia i biała plama kosmodromu zaczęła gwałtownie rosnać w ekranie. Autopilot ominął wierzchołki anten, a potem

kosmolot drgnął lekko w zetknięciu z płytą lądowiska.

— Wkładamy skafandry? — zapytał Marp.

— Tak... i może — Tor zawahał się — może na wszelki wypadek weź dezintegrator.

— Więc zgadzasz się ze mną, że tam nie wszystko może być w porządku...

— Nie, ale ostrożność...

— Dobrze, dobrze. Dezintegrator to jest argument uniwersalny, argument dla wszystkich automatów — dodał, gdy spostrzegł, że Tor chce zaprotestować.

— Zamknij dokładnie właz — powiedział Tor i wyszedł pierwszy.

Marp docisnął zawór hełmu i ruszył za nim. Po chwili stali już na białej płycie kosmodromu.

Przeszli do śluz wejściowych bazy odrywając z trudem podeszwy butów skafandra od chwytiliwej powierzchni kosmodromu. Grawitacja na planetoidzie była niewyczuwalna i gdyby nie zabezpieczenia, każdy krok groziłby uleceniem w próżnię.

Przy śluzach wejściowych Tor zatrzymał się na chwilę. Wiedział, że tam musiały zostać wbudowane automaty nadsluchujące wezwań na falach przewidzianych dla nadajników skafandrów.

— Halo, Soto, przylecieliśmy z Ziemi. Słyszeliście nasze wezwanie? — zapytał.

Przez chwilę nie było odpowiedzi, a potem głośnik szczęknął

— Nareszcie jesteście. Wejdźcie. Jestem w laboratorium.

— Czekaliście na nas?

Nie było odpowiedzi.

- Odezwił się, Soto. Pamiętasz mnie? Marp jestem...
- Wejdźcie, jestem w laboratorium — powtórzył głośnik.
- Nie mogę powiedzieć, żeby ten twój Soto był zbyt rozmowny.
- Zdziwaczał tutaj. Zgadzasz się ze mną, Soto?
- Zdziwaczałeś? — powiedział wprost do mikrofonu.
- Jestem w laboratorium — powtórzył głośnik.

Marp wzruszył ramionami.

— Chodźmy — powiedział Tor i wszedł pierwszy. Śluzy zatrzęsnęły się za nimi automatycznie, komora napełniła się powietrzem i wreszcie mogli zdjąć hełmy.

— Gdzie może być to laboratorium? — zapytał Tor.

— Znajdziemy.

Ruszyli w dół lekko opadającym korytarzem, którego ściany fosforyzowały niebieskawą poświatą lucytu.

Pod ścianami nie kończącym się rzędem stały awaryjne automaty, gotowe w razie alarmu do wyjścia na zewnątrz, w mroczną próżnię planetoidy. Gotowe na każdy rozkaz Konstruktora. Korytarz łączył się z wielką salą — centralnym pomieszczeniem bazy. Sala ta sprawiała wrażenie fragmentu Ziemi przeniesionego na tę daleką planetoidę. W górze zamiast sklepienia błękitniało fantomatyczne niebo, z którego prawdziwym ciepłem promieniowało fantomatyczne słońce przesłaniane od czasu do czasu fantomatycznymi cumulusami. Tylko rośliny były prawdziwe i prawdziwy był zapach późnego lata.

— Hej, hej... Jest tu kto? — zapytał Marp.

Zza krzaków wyskoczył mały androidalny automat.

— Tak jak poprzednio dalszych sygnałów nie ma — powiedział

krótko.

— O czym on mówi, Tor?

Tor wzruszył ramionami.

— Wyjaśnij — polecił krótko.

— Zgodnie z poleceniem jestem w kontakcie z automatami nasłuchu. Sygnały kosmolotu osłabły poniżej poziomu szumów. Nasłuch przejęły automaty specjalne. Obecnie brak sygnałów.

— Szukali nas odbiorem podszumowym, jakbyśmy byli miliony kilometrów od bazy, a myśmy lecieli wprost na nich. Zabawne, co? — Marp śmiał się, ale widać było, że jest zły.

— Dziwne...

— Dziwne? Absurdalne! Oni się tutaj bawią w kosmonautów, jak mali chłopcy na boisku szkolnym... — Chodźmy do Soto — Tor powiedział to poważnie.

— Chodźmy. Odszukajmy to laboratorium. Myślę, że będziemy mu mieli sporo do powiedzenia. W każdym razie kosmikiem dłużej nie będzie.

— Laboratorium. Gdzie jest laboratorium? — zapytał Tor automatu.

— Laboratorium chemiczne, druga kondygnacja, pierwszy korytarz — automat odpowiedział natychmiast.

— Chemiczne? Soto nie jest chemikiem, Marp?

— Nie. Jest cybernetykiem.

— Wskaż inne laboratoria.

— Innych nie ma.

— Jak to nie ma? — zdziwił się Marp.

— On ma rację. Teraz przypominam sobie. Przed odlotem wspomniano mi, że w odróżnieniu od innych baz tu nie prowadzą badań.

— Nawet dla codziennych potrzeb?

— Nie, tu wszystkim kieruje Konstruktor. To laboratorium chemiczne też powstało niedawno. Rozpoczęli badania pyłu kosmicznego...

— Rzeczywiście. Przypominam sobie, że gdy widziałem Soto, wspominał mi, że mają nowego chemika, który wtedy właśnie został w bazie. Podobno zdolny chłopak.

— To będzie już gdzieś tu...

— Tak, tym korytarzem, ale druga kondygnacja.

Przeszli jeszcze kilkanaście kroków.

— Jest laboratorium! — zawołał Marp. Weszli.

— Czujesz ten swąd? — zapytał nagle Tor. — Tak. Swąd pożaru. Ale ledwo się go czuje.

— Doskonała klimatyzacja. Patrz... — stanęli w przejściu do drugiego pomieszczenia.

— Tak, tu gaszono pożar — zgodził się Marp — ta biała skrzepła piana pokrywająca wszystko... Musiało się tu nieźle palić.

— Marp, automat pożarowy jest na miejscu. — Co w tym dziwnego?

— Spójrz. Piana wyschła i kruszy się. Zastygła co najmniej tydzień temu, a automat jest, nikt go nie odesłał. Widzisz, zobaczył nas i odchodzi...

— Nie rozumiem...

— Po ugaszeniu pożaru wolno mu odejść dopiero, gdy przyjdą ludzie.

— To znaczy... ta piana...

— Tak, tu nie było nikogo co najmniej od tygodnia... mimo pożaru nikt tu nie zaszedł...

— A więc kto nas tu wzywał? — Marp rozejrzał się podejrzliwie i zsunął z ramienia dezintegrator.

— Nie wiem. Tu coś się wydarzyło, Marp.

— A oni... gdzie oni są? Musimy ich znaleźć — ruszył ku wyjściu.

— Czekaj. Najpierw pomyślmy. Co spowodowało pożar?

— Nieważne, szukajmy ich!

— Co najmniej od tygodnia tu nie byli, więc kilka minut nie ma znaczenia.

— Ale może oni w tej chwili właśnie...

— Uspokój się. Spójrz, tutaj wszystko jest wypalone. Ten szerniały przyrząd to był kiedyś analizator związków chemicznych.

— To nie może wybuchnąć.

— Wybuchnąć nie może. Masz rację... Może się zapalić...

— Wątpię... Chyba żeby pracował bez przerwy kilkadziesiąt godzin.

— I miał do tego bezpieczniki niezupełnie w porządku. Tak, dziwnie to wygląda — Tor stał bez ruchu pośrodku laboratorium.

— A jednak nas tu wzywał...

— Tak. Jak on mówił?

— Czekaj. „Wreszcie jesteście. Jestem w laboratorium”, tak jakoś...

— Ciekawe. Wygląda na to, że czekali na nas. Tylko to

laboratorium... Nie, to nie ma sensu.

— Co nie ma sensu?

— Ten Chemik mógł to, cośmy słyszeli, przekazać automatowi.

— Po co?

— Żebyśmy mu nie przerywali doświadczenia, tylko przyszli do laboratorium. Rozumiesz? Czekał. Nie było sygnałów, chciał zaczynać doświadczenie...

— I przekazał to automatowi wejściowemu...

— No właśnie.

— To sprawdzmy zawartość pamięci automatu wejściowego — zapalił się Marp.

— Niestety, Marp. On mógł to przekazać automatowi przed pożarem, co najmniej tydzień temu. A wtedy my sami nawet nie wiedzieliśmy jeszcze, że tu przylecimy.

— Precyzyjnie to wymyśliłeś. Stąd wynika, że słowa te nie były przeznaczone dla nas.

— Więc dla kogo?

— Sprawdźmy najpierw, czy rzeczywiście są tam nagrane — Marp podszedł do mikrofonu. — Automat wejściowy — zażądał.

— Na odbiorze — automat odpowiedział natychmiast.

— Podaj zlecenia zapisane w twojej pamięci.

Głośnik szcęknął:

— Nareszcie jesteście. Wejdźcie. Jestem w laboratorium.

Milczeli chwilę.

— Tak. Mieliśmy rację... — pierwszy odezwał się Tor. — Ale co z tego? Gdzie jest ten chemik? Dla kogo przeznaczone były te słowa?

Gdzie Soto i ten drugi inżynier od kosmolotów...

Tor wzruszył ramionami. Patrzył w ekran zewnętrzny, w którym czernią na tle gwiazd odcinał się poszarpany zarys o kilkaset metrów odległego horyzontu planetoidy. Wtem cały horyzont, wszystkie szczyty skał rozbłysły na moment tym oślepiającym, trwającym ułamek sekundy blaskiem, który daje wybuch jądrowy. A potem przez całą bazę od fundamentów przeszło drżenie.

— Eksplozja jądrowa! — krzyknął Marp.

— Ten dziwny statek, który widzieliśmy na zewnątrz, został rozerwany na kawałki.

— Nic dziwnego. Tworząc takiego dziwoląga, można się było tego spodziewać.

— Tak, to był dziwny statek... — Tor zamyślił się. — Marp? Ale nie, to przecież niemożliwe.

— Co?

— Wydawało mi się, że zaczynam rozumieć. Przyszło mi na myśl, że tamten statek, który eksplodował, mógł zostać zbudowany tylko przez nie kontrolowanego Konstruktora... — W każdym razie źle kontrolowanego. Żaden inżynier do tego by nie dopuścił...

— Nie, dobrze powiedziałem, nie kontrolowanego!

— Jak to?

— Przypuszczam, że tu w bazie nie ma nikogo! Nikogo! Rozumiesz? I to nie ma co najmniej od tygodnia. Powiedz, kiedy widziałeś się z Soto?

— Ponad trzy tygodnie temu... — a po chwili dodał: — Sądziś, że oni nie wrócili?

— Tak.

— Że zaginęli w Kosmosie?

— Tak.

— I dlatego nie otrzymywaliśmy na Ziemi sprawozdań... — milczał chwilę.

— Ale dlaczego zaginęli?

— Sam chciałem to wiedzieć.

— A z chemikiem? Co się stało z chemikiem?

— Spróbuję sprawdzić odczyt w pamięci Konstruktora. Może tam zostało coś zapisane.

— Chcesz tam zejść... do układów pamięci, na samo dno bazy?

— A czy widzisz, Marp, jakiegokolwiek inne wyjście? — Zeszli korytarzem w dół i znowu byli w fantomatycznym ogrodzie. Lecz tym razem chmury przesłoniły niebo i wiatr stał się chłodniejszy.

Nagle usłyszeli za sobą kroki. Odwrócili się obaj, ale to był tylko automat. Mały androidalny automat, ten sam, co poprzednio.

— Czego chcesz? — zapytał Marp.

— Tak jak poprzednio dalszych sygnałów nie ma — powiedział automat.

— Mówiłeś już to — zauważył Tor.

— Otrzymałem polecenie powtarzania. Czy zmieniasz polecenie?

— Nie — odpowiedział Tor, a potem z nagłym zainteresowaniem dodał: — Wyjaśnij!

— Przecież już raz wyjaśniałem...

— Nie przerywaj, Marp.

— Zgodnie z poleceniem jestem w kontakcie z automatami

nasłuchu. Sygnały kosmolotu osłabły poniżej poziomu szumów. Nasłuch przejęły automaty specjalne. Obecnie brak sygnałów...

— Mówił to już przecież — Marp był zniecierpliwiony.

— Ależ, Marp, nie rozumiesz jeszcze? To on informował chemika o sygnałach rakiety Soto. To, co słyszysz, to ostatni komunikat... Rakietą Soto tak oddaliła się od planetoidy, że jej sygnałów nie można było dalej odbierać. Zauważ, najpierw była bliżej bazy, sygnały były wyraźne, ponad poziomem szumów. Potem zaczęła się oddalać i sygnały cichły.

— Odchodziła w Kosmos...

— Tak.

— Ale dlaczego?

— Sądzę, że znamy przyczynę.

— Brak sygnałów z bazy.

— Przypuszczasz, że gdy nadali wezwanie ze swej rakiety...

— Planetoida umilkła, tak jak umilkła, gdy myśmy ją wezwali.

— Ale Soto miał zwykły kosmolot, w którym nie było już paliwa...

— Myślisz, że nie mógł odszukać planetoidy i kosmolot minął planetoidę w swej drodze ku krańcom Układu Słonecznego...

— Tak. Na pewno. Nadawali wezwania pomocy...

— ...których nikt nie odbierał. Odbierała je planetoida i milczała.

Marp zastanowił się chwilę.

— No a chemik? — zapytał.

— Właśnie, co zrobił chemik? Tego musimy się dowiedzieć powiedział Tor. — I dlaczego zginął? — dodał po chwili.

— Zginął?

— Tak przypuszczam.

Teraz szli korytarzem w dół, w głąb bary. Minęli wielkie pancerne śluzy odgradzające pomieszczenia mieszkalne od układów Konstruktora i weszli do jego wnętrza. Korytarz stał się wąski i przypominał raczej ścieżkę leśną niż normalny korytarz bazy kosmicznej. Ściany jarzące się błękitem lucytu zniknęły, a ich miejsce zajęły splątane w przedziwną gęstwinę kryształów układów Konstruktora wiązane płataniną przezroczystych, różnokolorowych połączeń. Z kryształów tych wydobywała się słaba, zielonkawa poświata, której natężenie zmieniało się w bezładnym, chaotycznym rytmie. Co kilkanaście metrów odchodziły w bok wąskie ścieżki, którymi człowiek nie zdołałby się przecisnąć.

— To są przejścia dla automatów naprawczych — powiedział Tor.

— Ogromny jest ten Konstruktor. Tysiące metrów korytarzy.

— Tak, on jest potężny — zgodził się Tor — ale z drugiej strony, pomyśl, zawarta jest w nim cała wiedza ludzkości o lotach międzyplanetarnych, cała astronomia, kosmogocja, wiadomości o atmosferach planet.....

— Poza tym on podejmuje decyzje...

— I nie tylko podejmuje decyzje. On się uczy, uczy się od razu, gdy człowiek tylko raz skoryguje jego decyzje. Nigdy nie powtarza swoich błędów...

— Zdolny automat. Nie śmieję się, ale Soto mi mówił, że Konstruktor nie lubi, gdy zmienia się jego decyzje...

— Jak to nie lubi? Nie może się przecież sprzeciwić żadnej decyzji człowieka. Ma wbudowany układ bezwzględnego posłuszeństwa.

— Tak, ale Soto mówił, że stara się po prostu nie dopuszczać do sytuacji, w których człowiek zmieniałby jego decyzje. Właśnie dlatego Soto konsultował się z Instytutem Sieci Podprogowych.

— Ciekawe.

— Soto też tak mówił.

Zatrzymali się.

— A tam są zespoły pamięci.

Tor pochylił się nad okrągłym otworem szybu. Wiało stamtąd zimnem i mimo klimatyzacji oddech zmieniał się w parę.

— Nie jest tam za ciepło...

— To płynny hel. Mimo izolacji cieplnej i całej tej klimatyzacji wszystko wyziębia.

— Schodzimy?

— Tak. Wezwiemy tylko automaty.

— Przypuszczasz, że on tam może być?

— Chemik?

— Tak.

— Nie wiem. Może... Gdyby był cybernetykiem, znaleźlibyśmy go tam. To oczywiste, że przyczyną musiała być decyzja Konstruktora. Decyzja ta musiała zostać zapisana w pamięci...

— Ale on był chemikiem.

— Właśnie. Przypuszczam, że nie potrafiliby nawet przejrzeć zawartości pamięci takiego automatu.

Automaty naprawcze nadeszły po chwili, niewielkie, stożkowate, z dziesiątkami specjalizowanych wypustek operacyjnych wysuwających się na żądanie ze stożka. Przepuścili je przodem i schodziły one

kolejno w głąb szybu.

Nagle tuż za nimi odezwał się wewnętrzny głośnik Bazy.

— Nareszcie jesteście. Wejdźcie. Jestem w laboratorium.

— Co... co to było... — wyszeptał wreszcie Marp — on gdzieś tam jest i nas wzywa...

Tor nie odpowiedział.

— Chodźmy, Tor... on nas wzywał. Słyszałeś przecież. Chodźmy, na co czekasz?

— Przypuszczam — Tor odpowiedział po chwili — że właśnie o to chodzi, byśmy tam wrócili...

— Wzywał nas.

— To nie chemik. Przypuszczam, że to Konstruktor polecił automatowi wejściowemu odtworzyć te słowa i przekazać je do wewnętrznej sieci bazy tak, byśmy je tu usłyszeli...

— Konstruktor? Po co miałyby to robić?

— Nauczył się, że po tych słowach idziemy do laboratorium. Odtwarzaliśmy je dwa razy. Raz poszliśmy potem do laboratorium, a za drugim razem znajdowaliśmy się we wnętrzu tego pomieszczenia. Teraz... teraz chce, żebyśmy tam poszli znowu...

— Ale po co?

— Nie chce, abyśmy weszli do zespołów pamięci. Zatrzymać nas nie może. Nic prawie o nas nie wie, tylko to, że po tym haśle idziemy do laboratorium...

— Tak sądzisz...

— Tak. To jest samouczący się automat. Sam mówiłeś, że Soto wspominał, iż Konstruktor stara się nie dopuścić do pewnych sytuacji.

Masz. To jest właśnie przykład takiego zachowania...

— I co zrobimy?

— Idziemy... idziemy do jego pamięci. On może robić takie kawały, ale naprawdę zatrzymać nas nie może. W swojej pseudopsychice ma wbudowane układy bezwzględnego posłuszeństwa człowiekowi.

Tor zszedł pierwszy, a za nim Marp. Kilkadziesiąt kroków oszronionym korytarzem i byli w centrum pamięci.

— Człowiek czuje się tu jak w lodówce.

— Jeżeli jest ci zimno, włóż hełm i włącz ogrzewanie skafandra.

— Co, wewnątrz bazy mam chodzić ubrany jak w próżni? Nigdy! Zaczynamy lepiej tę robotę. — Zacznę od przejrzenia ograniczeń narzuconych na budowane kosmoloty. To jest główne zadanie Konstruktora, jego przeznaczenie, i to może być źródłem największych konfliktów automatu.

— Konfliktów?

— Tak. W fundamentach jego pseudopsychiki jest wbudowana dążność do przewycięzania trudności na drodze do zrealizowania nowego kosmolotu.

Mówiąc to Tor równocześnie przy pomocy automatu zdjął płytę pancerną. Za nią błyszczały tysiące niewielkich kryształków zlepionych w nieforemną bryłę. Do tej bryły elastycznymi mackami przyssał się mały, wyspecjalizowany automat odczytu.

— Tak — powiedział po chwili — można się było tego spodziewać. Największym ograniczeniem dla Konstruktora był inżynier.

— Jaki inżynier...

— Nie znam jego nazwiska. Konstruktor określa go jako „czynnik ludzki”. Pewnie ten inżynier, który leciał wtedy z Soto.

— Dobrze. Ale dlaczego był ograniczeniem?...

— Bo nie zgadzał się na liczne koncepcje Konstruktora. Zapewne część jego sprzeciwów miała racjonalne podstawy, a część wynikała z przyzwyczajień do konwencjonalnych konstrukcji, konwencjonalnych silników. Koncepcje Konstruktora odnośnie rozwiązań technicznych kosmolotów musiały być bardzo śmiałe...

— Tę ostatnią, wykonaną bez udziału Inżyniera widzieliśmy.

— Właśnie. W niczym nie przypominała kosmolotu. Wszystkie takie koncepcje Inżynier odrzucał, a Konstruktor musiał być mu posłuszny.

— To jest normalne. Z tego jeszcze nic nie wynika...

— Tak, ale Soto i inżynier odwiedzali kilkakrotnie Instytut Sieci Podprogowych. Sam mi o tym wspominałeś.

— Odwiedzali. Ale co to ma do rzeczy?

— Po prostu, w czasie gdy ich nie było na planetoidzie, Konstruktorowi nikt nie przeszkadzał w jego działalności. Nie było inżyniera... Ale nie w tym rzecz. Istota sprawy leży gdzie indziej. Otóż Konstruktor, automat uczący się, zauważył, że każdemu powrotowi inżyniera towarzyszy wcześniejsze wezwanie radiowe, odbierane w bazie. Wezwanie to włączało nadajnik bary, jeżeli nie pracował. Rozumiesz teraz? Po prostu Konstruktor doszedł do wniosku, że włączenie nadajnika jest konieczne do powrotu inżyniera, który stanowi ograniczenie w swobodzie jego działania...

— I wyłączył nadajnik...

— Tak, wyłączył nadajnik bazy, gdy nadchodziło wezwanie nadane z przybywającego kosmolotu... Nam także wyłączył... Pamiętasz?

— Pamiętam.

— Sposób okazał się skuteczny. Inżynier nie wrócił...

— Więc on potraktował inżyniera jak obiektywną trudność w realizacji projektu... tak jak traktował trudności techniczne, dla których znajdował rozwiązanie.

— Tak.

— I nie przypuszczał, że oni zginą...

— W jego pamięci nie jest zapisane, że odejście kosmolotu w próżnię może narazić człowieka na niebezpieczeństwo. Gdyby to wiedział, nigdy by nie przerwał nadawania. Nie mógłby, bo byłoby to sprzeczne z podstawowymi prawami jego pseudopsychiki...

— A chemik? Co się stało z chemikiem?

— Nie wiem. Myślę, że czekał na Soto i inżyniera... Oni nie przylatywali. Rozpoczął doświadczenia... Przekazał automatowi wejściowemu słowa, które słyszeliśmy, a mały androidalny automat informował go o sygnałach kosmolotu Soto...

— Dobrze, ale co się z nim stało? To jest istotne.

Tor milczał chwilę.

— Przypuszczam, że zrozumiał w końcu, że coś jest nie w porządku, wtedy gdy automat przekazał mu wiadomość o słabnięciu sygnałów. Zostawił doświadczenie i nie wyłączając aparatów pobiegł do centrum odbioru. Tam usłyszał cichnące wezwania pomocy kosmolotu Soto...

— I co dalej?

Tor wzruszył ramionami.

— Nie wiem...

— Ale coś przypuszczasz?

— Przypuszczam, ale to za mało. Przypuszczam, że popełnił błąd, przez który wszyscy zginęli. Myślał widocznie, że rakieta została uszkodzona przez meteor i oni tam giną, a automat kosmogacyjny samoczynnie nadaje wezwania pomocy. Przypuszczenie dobre jak każde inne... Faktem jest, że nie wzywał przez radio kosmolotu Soto. Myślę, że wybiegł na kosmodrom i wystartował awaryjnym kosmolotem kierując się na ich sygnały...

— Rozumiem — Marp mówił cicho, zupełnie cicho myślisz więc, że gdy planetoida zniknęła z ekranów jego radarów, znalazł się w tym samym położeniu co Soto i inżynier...

— Tak, planetoida nie nadawała sygnałów, a bez nich nie można jej było znaleźć, chyba przypadkiem... A przypadek ten się nie zdarzył — Tor spojrział na automat umocowujący pancerną płytę na swoim miejscu i poszedł ku wyjściu.

— Tor! — zawołał za nim Marp. — Musimy jeszcze przekazać do pamięci Konstruktora informację, że odlot ludzi w Kosmos grozi im śmiercią.

— Nie, Marp. Nie zrobimy tego — Tor zatrzymał się. — Nie zrobimy tego, ponieważ mielibyśmy poważne trudności z opuszczeniem bazy. Konstruktor starałby się temu zapobiec wszystkimi dostępnymi mu sposobami. To jest automat i jednym z jego podstawowych założeń jest ochrona życia człowieka...

PLOXIS

Czy to naprawdę nie jest możliwe? — patrzyłem niemal błagalnie w oczy układocełnika.

— Nie, w żadnym wypadku! — Był niewzruszony.

— Ależ to przecież tylko trzy puszki. Wyłącznie do osobistego użytku.

Wzruszył ramionami.

— Mnie na tym bardzo, ale to bardzo zależy...

Tym razem przyjrzał mi się uważnie.

— Nie, to naprawdę niemożliwe — pozbył się swego oschłego, urzędowego tonu. — Wiesz przecież, że wszystkie rzeczy pozaziemskiego pochodzenia, nie wyszczególnione w żadnej taryfie, nie mogą być przewożone na Ziemię bez specjalnego zezwolenia komisji wwozowej.

— A kiedy zbiera się ta komisja...?

— Za miesiąc chyba — układocełnik odpowiedział po chwili wahania.

— Dlaczego tak rzadko?

— Biorą w niej udział sami profesorowie z różnych ziemskich ośrodków i trudno ich razem zebrać.

— A po cóż aż profesorowie?

— Żeby zdecydować, czy to, co się wwozi, nie jest niebezpieczne.

— Niebezpieczne?

— No tak. Gdyby nie oni, ludzie przywoziliby z planet wszystko, a potem byłby kłopot na Ziemi. Tak jak z tą rdzenicą, rośliną z Wenus. Przywieźli, żeby ją hodować, a ona tymczasem zaczęła wędrować...

Skinąłem ze zrozumieniem głową i wysłuchałem do końca historii o rdzenicy. Potem zapytałem:

— A może Ploxis był już kiedyś wwożony? Tylko trzy puszki...

— Nie. Nie ma w spisie... — znowu przybrał urzędowy ton i patrzył na mnie, jakbym był przezroczysty.

— No, trudno... — wyjąłem ze swego bagażu trzy metalowe puszki do złudzenia przypominające konserwy i zamknąwszy autokufel, pozwoliłem mu powędrować do raketki odwożącej bagaż na Ziemię.

Rakieta nasza po powrocie z Marsa krążyła od kilku godzin po ślepych, eliptycznym torze wokół Ziemi. Pasażerowie wysyłali najpierw swoje bagaże, a potem sami małymi, kilkusobowymi raketami odlatywali na ziemski kosmodrom. W wielkim bocznym ekranie obserwowałem, jak coraz to nowe rakiety, błyskając błękitnym ogniem gazów wylotowych, schodziły ku brunatnej bryle Ziemi.

Co robić? Wziąć po prostu trzy puszki jako osobisty bagaż? Niemożliwe. Niezawodne automaty układocełników odkryją je na pewno. I znowu nie pozwolą zabrać mi ich na Ziemię. A zostawić puszek w rakiecie także nie mogłem. Nie mogłem zawieść zaufania Borda. Bord był czymś więcej niż tylko moim przyjacielem, był dla

mnie autorytetem i wyrocznią.

Wszedłem do swojej kabiny. Crash był już tam i właśnie wkładał swój skafander. Uśmiechnął się do mnie, szczerząc jak zwykle swoje duże zęby.

— No co, stary, nareszcie tak jakbyśmy byli na Ziemi!

— Tak jakby...

— Coś ty taki smętny? — Crash przyjrzał mi się uważnie. — Czyżby nostalgia za Marsem? Byłby to pierwszy wypadek tej choroby w historii ludzkości — roześmiał się znowu.

I wtedy właśnie nadeszła ta decydująca chwila. Postanowiłem prosić Crasha o pomoc. Co prawda znaliśmy się tylko tak długo, jak długo trwała podróż z Marsa, ale Crash wzbudzał zaufanie.

— Słuchaj, Crash, mam kłopot, poważny kłopot — dodałem, by zgasić uśmiech na jego twarzy.

— Czy dziewczyna nie wyszła na kosmodrom? — śmiał się znowu.

— Nie, to naprawdę poważna sprawa.

— No to powiedz wreszcie, co się stało?

— Układocelnicy nie chcą mi zezwolić na wwóz Ploxisu — wymawiając nazwę, ściszyłem głos.

— Czego?

— Ploxisu.

— A co to takiego?

— Nie wiem.

— No, to wyjaśnia częściowo sprawę. Ale po co chcesz wwozić coś, o czym nie wiesz, czym ono jest?

— Bord prosił mnie o to.

— Bord, ten areograf?

— Ten sam.

— A skąd on wziął ten, no, Ploxis?

— Nie wiem.

— I co ty masz z tym zrobić?

— Oddać jego przyjacielowi Covertowi z Instytutu Areobotaniki.

On już wszystko będzie wiedział.

Wyjąłem trzy puszki i postawiłem na stole.

— To właśnie to? — zainteresował się Crash.

— Tak.

— Wygląda jak konserwa. Ciekawe, dlaczego tak to opakowali?

— Pewnie, żeby nie było dostępu powietrza i światła.

— Może... A czy to jest trujące, żrące, wybuchowe?

— Chyba nie... — odpowiedź moja nie wypadła zbyt pewnie.

— Najlepiej odeślij to Bordowi z powrotem — zaopiniował Crash.

— Nie mogę. Przyrzekłem mu dostarczyć to osobiście Covertowi.

— Więc co zamierzasz zrobić?

— Nie wiem. Sądziłem, że może razem wymyślimy...

Crash zamyślił się. Potem przyjrzał się z uwagą puszkom.

— Automaty układocełników wykryją je.

Skinąłem głową.

— Ale wiesz, mam myśl... — Crash wyprostował się gwałtownie.

— Przypominają do złudzenia puszki z kompotem pomarańczowym.

Weźmiemy więc skrzynkę kompotu i trzy puszki zamienimy.

— To wzbudzi podejrzenie. Nikt przecież nie transportuje kompotów z rakiet na Ziemię.

— Zapominasz, że sprawdzać będą automaty. Automaty się nie dziwią.

— A jeśli sprawdzać będzie człowiek...

— To odkryje zamianę. Ale z drugiej strony, czy widzisz inną możliwość przewiezienia Ploxisu?

— Nie.

— Więc nie ma się nad czym zastanawiać. Przynieś skrzynkę kompotu.

Gdy po chwili wróciłem, dźwigając skrzynkę z trzydziestoma konserwami, zastałem Crasha wpukującego jedną z moich puszek.

— Coś tam się rusza — powiedział.

Wziąłem puszkę ze stołu i przytknąłem do ucha. Początkowo nic nie słyszałem, lecz gdy wstrząsnąłem puszką, zabulgotała i coś jakby poruszyło się w środku.

— Zostaw to lepiej — powiedział Crash. Diabli wiedzą, co ten twój Bord mógł tam wpakować do środka. Może jakieś wyżej zorganizowane beztlenowce marsjańskie?

— Niemożliwe, przecież mogłyby się na Ziemi błyskawicznie rozplenić...

— Gdyby to było coś zupełnie zwykłego, ten Ploxis, Bord posłałby go zwyczajnie kosmopocztą.

— Oddajmy to w ręce Coverta, a tej miary specjalista żadnego głupstwa nie robi.

— Zapewne.

Crash odkleił z trzech konserw kolorowe etykiety. Podałem mu puszki z Ploxisem. Po naklejeniu etykietek niczym nie różniły się od

zwyczajnego kompotu.

— Trzeba je jakoś zaznaczyć — dodał Crash. Ostatecznie wydrapaliśmy na ich dnach znak w kształcie trójkąta.

— A teraz pijmy kompot — zaproponował Crash.

— Ja nie lubię pomarańczy.

— Ale pić musisz. Chcesz zdekonspirować całe przedsięwzięcie? — zaśmiał się Crash, otwierając ostatnią konserwę. — Pod nasz Ploxis! — dodał i podniósł puszkę do ust.

Piliśmy kompot, podczas gdy automat wynosił naszą skrzynkę. Potem zeszliśmy na dół do śluz rakiety. W tunelu wyrzutni czekała już na nas rakieta. Obok niej stał układocełnik. Jego automaty sprawdzały nasze osobiste bagaże. On sam przypatrywał się nam uważnie, zbyt uważnie. A może odkryli już Ploxis wśród pomarańczowych kompotów, może odczytali nadawcę w pamięci autokufców i układocełnik za chwilę mnie zapyta: „To ty jesteś właścicielem tych trzech puszek?” Nie odpowiem nic, bo gdy tak zapyta, to znaczy, że wie na pewno, że nim jestem, i żadne tłumaczenia nie pomogą. A prawo ziemskie surowo karze za planetarny przemyt. Tym bardziej że tam jest Ploxis... Lecz co to jest ten Ploxis? Jaka może być kara za przemyt Ploxisu? Myśl ta nie opuszczała już mnie do końca odprawy. Nagle celnik powiedział coś do Crasha, czego nie dosłyszałem. Crash zaprzeczył.

— A ty? — zwrócił się do mnie celnik.

— Co ja? — bąknąłem zmieszany.

— Czy nie przewozisz nic, co byłoby sprzeczne z ziemskim statutem wwozowym?

— Nie... nic takiego...

— No, to możecie lecieć — układocełnik obojętnie skinął nam głową.

Jedna chwila i byliśmy w rakiecie. Zatrzasnęliśmy właz, pole magnetyczne wyrzuciło nas w próżnię.

— Nasz Ploxis ląduje już na Ziemi — zaśmiał się Crash, spoglądając na zegarek.

Ja, wyciągnąwszy się wygodnie w fotelu, nie myślałem już o Ploxisie. Za półtorej godziny będę w domu, w prawdziwym, ziemskim domu...

I wtedy właśnie milczący zawsze głośnik, służący jedynie do łączności z kosmodromem w nagłych wypadkach, zachrypiał głosem dowódcy portu:

— Ogłaszam zamknięcie arowarskiego kosmoportu. Wszystkie rakiety skierować do kosmoportu w Nori...

Głośnik zamilkł, a my, minąwszy ogromną białą chmurę, wyszliśmy nad arowarski kosmodrom. Autopilot, posłuszny radiowemu wezwaniu, poderwał raketę w górę, zmienił kurs i skierował się do Nori. Kilka minut i kosmodrom zniknął za horyzontem. Czułem pustkę w głowie i strach. Chciałem zapytać Crasha, co on o tym myśli, ale wystarczyło spojrzeć na jego twarz. On wiedział to samo co ja. Przeklęty Ploxis!

Do Nori dolecieliśmy nie zamieniwszy ani słowa. Nori leży w Azji Mniejszej, a nad Azją Mniejszą tego właśnie dnia świeciło słońce. Nasza raketka wyhamowała kilkaset metrów przed gmachem portu

kosmicznego, zajmując przeznaczony dla niej kwadrat, zarysowany wielometrowej wielkości cyfrą. Gdy tylko wysiedliśmy, poderwała się jak konik polny w górę i zniknęła za wieżą kontroli ruchu.

Skierowaliśmy się ku budynkowi portu. Od betonoidalnej płyty kosmodromu, nagrzanej słońcem, bił żar. Ludzie poruszali się .leniwie, w przeciwieństwie do automatów, które prawem kontrastu zdawały się niezwykle ruchliwe. Po kilkunastu krokach byliśmy zlanii potem. Budynek był jednak coraz bliżej, a w nim klimatyzacja, chłodne napoje i wszystko to, co w razie upału stosuje nasza cywilizacja. Budynek wychodził nam na spotkanie cieniem gigantycznej werandy, ukrytej pod bajecznie kolorowym materiałem, miarowo podnoszącym się i opadającym, spełniającym rolę wielkiego wachlarza. Na tej werandzie siedzieli ludzie czekający na przylatujących. Na nas nikt nie czekał. Jednak gdy doszliśmy do połowy werandy, zza stolika podniosło się czterech mężczyzn, wraz z czterema towarzyszącymi im automatami podeszli do nas.

Myślę, że Crash zorientował się pierwszy. Staął, rozejrzał się w obie strony, jakby szukając drogi ucieczki między stolikami, momentalnie opanował się jednak i zatrzymał, czekając na nadchodzących. Ja pojąłem wszystko nieco później, gdy byli o kilka kroków od nas. Otoczyli nas i jeden z nich zapytał mnie:

— Ty jesteś Wor?

Nie przeczyłem. Pytanie było formalnością: Wiedzieli, że to ja jestem ja, a ich automaty znały mnie lepiej niż najbliżsi przyjaciele. Ilość informacji, przekazana ich mózgom w ciągu kilku minut, była niemal równa tej, jaką życie przekazało mi w ciągu wszystkich lat od

urodzenia:

— Jesteś zatrzymany pod zarzutem przemytu kosmicznego.

— To nie była moja wina... — bąknąłem.

— My o tym nie decydujemy.

— Ale naprawdę.

— Chodź z nami. Wszystko na pewno się wyjaśni.

— Za co go zabieracie? — Crash zdawał się oburzony.

— Słyszałeś.

— Ale dowody?

— Dowody na pewno są. W przeciwnym wypadku nie zatrzymywalibyśmy was w ogóle.

— Ja jednak mam prawo wiedzieć...

— W stosunku do ciebie nie ma żadnych zarzutów.

— O tym ja wiem najlepiej, ale tu chodzi o niego.

— Jeśli niewinny, sprawa dziś jeszcze się wyjaśni.

— On jest na pewno niewinny.

— Jeśli tak, to umówcie się gdzieś dziś wieczorem.

— Nie wieczorem, tylko zaraz. Lecę z wami. Muszę jedynie zawiadomić instytut o swoim powrocie.

— Nie możemy na ciebie czekać. Masz tu nasz faloadres. Możesz przylecieć, kiedy zechcesz.

Crash zapamiętał faloadres w swym podręcznym mnemotronie i niemal biegiem ruszył ku stacji dalekich połączeń wideotronicznych. Mnie poprowadzono w drugą stronę, ku bijącej żarem płycie kosmodromu. Rakieta stała niedaleko. Zanim wszedłem do jej wnętrza, stanąłem i spojrzałem w niebo, w niebieskoszare niebo

upalnych ziemskich dni, z oślepiającym białym słońcem w zenicie. Podobno na Plutonie, dokąd wysyłają skazanych, Słońce jest tylko jedną z wielu gwiazd czarnego nieba i w jego świetle skały nie rzucają cieni.

ON mieścił się w pokoju, który zamiast okien miał ekrany, w nich czasem pojawiali się ludzie mający coś do powiedzenia o sądzonym. Gdy świadkowie nie byli potrzebni, w ekranach płonęły dalekie gwiazdy zagubione w czerni Kosmosu. Może miały one obrazować wieczność, a może nicość człowieka... Nie wiem. Wiedział to zapewne wideotronik programujący to wszystko. Bo gwiazdy w ekranach były także częścią JEGO. Gdy wszedłem do tego pokoju, zobaczyłem GO od razu w szarym, wydobywającym się zewsząd i znikąd świetle. Myślałem w pierwszej chwili, że to jest człowiek, chciałem podejść bliżej i wtedy zobaczyłem, że to jest ON, czarny, nieruchomy obelisk ludzkiego wzrostu, ON — ogromny mózg znający człowieka i jego historię, znający budowę ludzkiej tkanki i prawidłowości w prądach krążących w ludzkim mózgu.

Właściwie znajdowałem się w jego wnętrzu, w potężnym gmachu zawierającym jego zespoły i zasilanie. Ten obelisk to tylko symbol, do którego może mówić sądzony. Gdyby go usunąć, człowiek mówiłby do pustych ścian i nie wiedziałyby, czy one go słuchają. A sądzony musi wiedzieć, że się go słucha, że jego racje zostaną rozważone.

Stałem nieruchomo w szarym świetle nocy, aż oczy moje przyzwyczały się do mroku i wtedy dostrzegłem Wege płonącą w jednym z ekranów. Równocześnie ON się odezwał:

— Ty jesteś Wor?

— Tak.

— Znam ciebie. Znam twoje dzieciństwo i młodość. Dziwię się, że się spotykamy.

— Także się tego nie spodziewałem.

— Czy uznajesz się winnym?

— Nie.

ON milczał chwilę, a potem powiedział:

— Zadam ci teraz pytanie, na które odpowiesz zgodnie z prawdą. Wiesz przecież, że mnie oszukać nie można. Odkryję każdą najmniejszą sprzeczność w tym, co powiesz. Nie będzie to korzystne dla ciebie, jestem bowiem zarówno twoim oskarżycielem, obrońcą i sędzią, najbardziej obiektywnym sędzią, na jakiego stać było ludzkość.

— Wiem o tym — odpowiedziałem.

— Dobrze. Powiedz mi więc, jak długo byłeś na Marsie?

— Pół roku.

— Tęskniłeś za Ziemią?

— Tak... chyba tak.

— Widziałeś w wideotronii bazy na Plutonie?

— Tak.

— Wiesz, kto do nich leci na wieloletni pobyt?

— Wiem.

— To dobrze — milczał chwilę. — Co zatrzymano w twoim bagażu?

— Może Ploxis. Nie wiem...

— A co to jest Ploxis?

— Nie wiem dokładnie. Nazwa czegoś.

— Czego?

— Nie wiem. Można chyba znaleźć ją w akumulatorach informacji.

— Nie można.

— Szukałeś? — tym razem zapytałem ja.

— Szukałem, nie ma.

— Ja nie wiem, co to może być. Może jakiś specjalistyczny termin?

— Skąd wziąłeś ten Ploxis?

— Dostałem od Borda.

— I co miałeś z nim zrobić?

— Oddać Covertowi.

— W swoim bagażu przewoziłeś jakiś kompot, czy tak?

— Tak.

— Po co?

— Tam właśnie był Ploxis.

— Układocelnikom wydało się to podejrzane. Wysłali automat, by sprawdził zawartość puszek.

— I co?

— Jak to, nie wiesz? Przecież sam poprzednio powiedziałeś, że w twoim bagażu jedynie Ploxis mógł zostać zatrzymany.

— Tak, chyba tylko Ploxis.

— Ale jeśli się domyślałeś... wiedziałeś, jakie mogą być tego konsekwencje.

— Gdybym się domyślał, nie prosiłbym układocelnika o pozwolenie wwozu Ploxisu.

— Prosiłeś, ale może przypuszczałeś, że on nie będzie wiedział, co to jest?

— Prosiłem go, by poszukał...

— Może wiedziałeś; że nie znajdzie?

— I sądziłem, że nie znalazłszy pozwoli mi go przewieźć na Ziemię? Przecież to nonsens.

— Tak, jeżeli nic nowego się nie dowiem w tej sprawie — ON zgodził się natychmiast.

— A czego nowego możesz się dowiedzieć?

— Tego nie wiem.

— Ja ci w każdym razie powiedziałem wszystko.

— To się okaże. Zrobimy kopię twego mózgu...

— Jak to kopię?

— Wierną kopię twego mózgu, tylko zamiast komórek tkanki nerwowej użyjemy elementów nieorganicznych.

— No i co z tego?

— Taką kopią potrafimy sterować. Jeśli wiesz coś o Ploxisie, możesz tego nie wypowiedzieć, ale engram zawierający tę informację zostanie w twoim mózgu niezależnie od twojej woli. Taki właśnie engram odszukamy w kopii i sprawa będzie wyjaśniona. Rozumiesz?

— Tak.

— Widzisz więc, że jeżeli wiesz, co to jest Ploxis, dalszy upór do niczego nie prowadzi. Pogarsza tylko twoją sprawę...

— Ale ja naprawdę nie wiem, co to jest Ploxis, naprawdę, słyszysz?
— zorientowałem się, że niepotrzebnie krzyczę.

— A możesz mi powiedzieć... przepraszam zamilkł na chwilę. —

Właśnie mi doniesiono ciągnął — że przybyli Crash z Covertem, by złożyć wyjaśnienia. Włączę ich zaraz na ekrany.

Rzeczywiście w tej samej chwili rozjarzyły się dwa ekrany. W jednym dostrzegłem twarz Crasha, z drugiego patrzył mężczyzna o ogromnych oczach rozstawionych szeroko w małej twarzy. Na głowie miał tradycyjny turban, którego już prawie nikt nie nosi w naszych czasach.

— Sprawa Ploxisu wyjaśniona — krzyczał Crash — Covert wszystko wyjaśnił.

— Tak, Ploxis to rodzaj rośliny marsjańskiej. Bord przysłał mi ją w puszkach do dalszych badań. Ona, to znaczy Ploxis — dodał i uśmiechnął się — jest zupełnie nieszkodliwa.

— Tej nazwy nie ma w żadnym akumulatorze informacji. Dlaczego? — zapytał ON.

— To nowa nazwa. Praca o tej roślinie nie została jeszcze opublikowana.. Jednakże w mnemotronie centralnym naszego instytutu znajdziesz tę nazwę.

— Sprawdzę. Co prawda w tej chwili przyszła odpowiedź Borda identyczna z twoją.

— Pytałeś go o to? — zdziwiłem się.

— Zaraz gdy tylko podałeś mi jego nazwisko. — Wszystko dobrze, Wor, nieporozumienie się wyjaśnia — Crash, szczerząc zęby, śmiał się do mnie z ekranu.

— Rzeczywiście, informacja taka jest w mnemotronie instytutu — ON odezwał się znowu. — Czy chciałbyś coś wiedzieć jeszcze? — zapytał Covert.

— Nie. Teraz już wiem wszystko. — Pomyślałem, że Sokrates powiedział kiedyś coś wręcz przeciwnego i że ON musiał na pewno wiedzieć więcej ode mnie o Sokratesie.

— Żegnaj, Wor — powiedział ON. — Przykro mi, że musiałeś ze mną rozmawiać. Wiem, że to żadna przyjemność, ale tak się po prostu złożyło.

— Do widzenia — odpowiedziałem i jednocześnie pomyślałem, że jednak lepszym zwrotem byłoby „żegnaj”.

Spojrzałem na ekrany. Nie było już w nich nikogo. W tym, gdzie przed chwilą widziałem Coverta, jasno płonąła Wega.

Crash czekał na mnie na lotnisku przy helikopterach. Z wesołości, jaką popisywał się na ekranie, nie zostało śladu.

— Dziękuję ci — uścisnąłem mu rękę. Gdyby nie twoja interwencja, co najmniej skopiowano by mój mózg.

Sądziłem, że wybuchnie śmiechem i powie jak zwykle coś zabawnego, ale Crash pozostał poważny i nagle zdałem sobie sprawę, że tak poważnego nie widziałem go od początku naszej znajomości.

— Co się stało? Od kiedy zostałeś ponurakiem? — Wor, to nie moja sprawa i chciałbym, żebyś raczej ty o wszystkim zdecydował — patrzył mi prosto w oczy.

— Jaka sprawa? — zdziwiłem się.

— Chodzi o Ploxis.

— O tę roślinkę...

— Roślinkę... — Crash uśmiechnął się jakoś dziwnie.

Czekałem, co powie, ale milczał, więc ja odezwałem się pierwszy:

— Nie rób tajemniczej miny, tylko powiedz, o co chodzi?

— Widzisz, gdy przyleciałem do Coverta, pracował właśnie w swoim ogrodzie. Powiedziałem mu, co się stało. Covert zbladł i usiadł z wrażenia na grządce między różami. Chciałem biec do jego domu i wezwać automeda, ale zatrzymał mnie. Zamknął oczy i przez kilka minut, zdaje się, intensywnie myślał. Potem powiedział, że wszystko to razem jest nieporozumieniem, które on wyjaśni. Ja poleciałem tutaj. On miał przylecieć za kilka minut. Kiedy leciałem, przyszło mi do głowy, że dobrze by było, gdyby Bord zechciał złożyć JEMU telewizytę z Marsa i wszystko wyjaśnić osobiście. Wezwałem fale Coverta. Właśnie rozmawiał. Chodź, posłuchaj! — wciągnął mnie do kabiny swego helikoptera.

— Odtwórz — rozkazał automatowi.

Pomyślałem, że wcześniej poinformował automat, co ma odtwarzać.

— Przekazniki planetarne gotowe... — to powiedział automat przekazujący wiadomości.

— Informacja pilna na Marsa... — to już mówił Covert, podał fale Borda. Sama treść była krótka: — Ładunek nie doleciał. Ploxis roślina, dawnej Arat. Koniec. — Chwila ciszy i zaraz Covert rzucił wezwanie: — Mnemotrony Instytutu Astrobotaniki.

— Gotowe — odpowiedziały automaty.

— W informacji dotyczącej Arat, formalnie słowo Arat zmienić na Ploxis. Koniec — Covert przestał mówić i automat odtwarzający zamilkł.

— I co ty na to? — zapytał mnie Crash.

— Więc Ploxis...

— Ploxis to roślina, której nigdy nie było.

— Ale kontrola...

— Kontroli nie ma żadnej. Nie zapominaj, że te mnemotrony są tylko mnemotronami instytutu, a nie powszechnymi. Była tam zapisana zaczęta praca naukowa Coverta o roślinie zwanej Arat. Nic prostszego niż nazwać tę roślinę Ploxis. Wiadomo od razu, co ta nazwa znaczy, i można to w każdej chwili w tych właśnie mnemotronach sprawdzić — zamilkł na chwilę.

— Ale Ploxis...

— Czekał — przerwał mi. — Jeszcze nie skończyłem. Otóż jest jeszcze Bord, dla którego Ploxis znaczy zupełnie co innego, Bord, którego o Ploxis na pewno zapytają. Donosi się więc Bordowi, co teraz znaczy Ploxis, i to jest pierwsza rozmowa Coverta.

— Tak, rozumiem. Ale... co to właściwie jest Ploxis?

— Nie wiem, ale jednego jestem pewien. To nie jest czysta historia, Wor.

— Tak, chyba masz rację...

— Reszta należy do ciebie.

Podszedł do automatu, włożył rękę do szczytowej komory i wyjął kryształ.

— W tym kryształku zawarty jest głos Coverta. Daję ci go — wcisnął mi kryształ do ręki. Możesz o tym zapomnieć, wszystko będzie jak dawniej. Istnieje jeszcze jedno wyjście, ale ty sam musisz o tym pomyśleć, a ja na razie lecę do domu, teraz już naprawdę — uśmiechnął się po raz pierwszy od początku naszej rozmowy.

Uścisnąłem mu rękę i wyskoczyłem z kabiny:

Śmigło jego helikoptera natychmiast ruszyło i kabina uniosła się w górę, by zniknąć nad wierzchołkami drzew pobliskiego lasu. Zanim jednak zniknęła, zobaczyłem, jak czerwone światełko zabłysło na końcu kadłuba. Zapadał zmrok i autopilot zapalił światło pozycyjne. Było już na tyle ciemno, że nie mogłem odróżnić poszczególnych pni odległego o sto kroków lasu. Czułem jednak jego zapach. Wtedy po raz pierwszy, od kiedy opuściłem raketkę, pomyślałem, że jestem na Ziemi i że tam, gdzie mieszkam, jest teraz lato. Zaraz za moim domem zaczyna się wiklina, a dalej rzeka, wielka rzeka, po której można pływać żaglówką.

Odwróciłem się ku budynkowi, gdzie czuwał ON. Pod palcami, w zagłębieniu dłoni, czułem mały, ostry kryształ...

Nie poszedłem jednak do NIEGO. Wcześniej musiałem się dowiedzieć, co właściwie stało się w arowarskim kosmoporcie. Wróciłem do stacji terroplanów i w kilkanaście minut później byłem już w powietrzu. Gdy zobaczyłem w dole światła Arowaru, była już późna noc. Z informatora pokładowego wiedziałem, że kosmoport jest nadal zamknięty. Lądowałem na małym zapasowym lotnisku, na którym mój terroplan wyhamował z trudnością. Poza pasem, kilkadziesiąt metrów dalej, czekał już na mnie helikopter wezwany przez radio jeszcze z terroplanu. Nim właśnie poleciałem do miasta.

W Arowarze miałem kolegę Torksa. Byliśmy kiedyś razem na wstępnym kursie konstrukcji kosmodromów. Nie skończył go nawet, przeniósł się na astronawigację i w końcu został reporterem

wideotronii. Spotkałem go kilka miesięcy wcześniej w bazie wschodniej na Marsie, dokąd przyleciał z wycieczką wideotroników: Zostawił mi wtedy swój faloadres. Nie przypuszczałem wówczas, że odwiedzę go w tak krótkim czasie.

Wylądowałem według faloadresu. Mieszkał w niewielkim domku, już na przedmieściu. Schodząc z płyty helikopterowej jego domu wąską, nie oświetloną ścieżką zatrzymałem się, by zapalić papierosa. Byłem nieco zdenerwowany. Nie wiedziałem, mówiąc szczerze, jak przeprowadzić tę rozmowę. Wtedy usłyszałem kroki, ktoś biegł w moim kierunku. Instynktownie usunąłem się ze ścieżki. Biegnący zobaczył jednak ognik mego papierosa i zatrzymał się.

— To ty przy leciałeś tym helikopterem? — zapytał.

— Ja.

— Można ci go zabrać? Ogromnie mi się spieszy.

— Niestety.

— Odlecisz tym, który wezwałem. Powinien tu być za kilkanaście minut.

— Mnie także się spieszy. Czy wracasz od Torksa?

— Ja jestem Torks.

— Torks. Nie poznałem cię. To ja, Wor.

— Wor?! Witaj. Co cię do mnie sprowadza o tej porze? Inna sprawa, że jeszcze kilka minut i nie zastałbyś mnie. Cieszę się, że cię widzę.

— Chcę z tobą chwilę porozmawiać.

— Może poczekaś na mnie w domu? Spieszę się teraz.

— Jeśli chcesz, polecę z tobą.

Torks zawahał się jakby przez moment.

— Dobrze. Jak chcesz. Tylko nie będę ci mógł poświęcić zbyt dużo czasu. Jestem zajęty zawodowo. Mamy małą sensację lokalną.

— Co się stało?

— Jakaś przedziwna heca w kosmoporcie — chwycił mnie pod ramię i zawróciliśmy w kierunku płyty helikopterowej. — Biegnę zrobić o tym reportaż. Może wejdzie do dziennika lokalnego, a może nawet ogólnopolskiego... W każdym razie sensacja.

Zatrzasnął za mną drzwiczki helikoptera i silnik zawarczał. Światła domów pozostały w dole.

— Powiedz wreszcie, co się stało.

— Układocelnicy sprawdzali dzisiaj ładunki z Marsa. Coś tam otworzyli. Widziano w ich budynku obłok, biały obłok pary. Potem jeden z układocelników, który przyjechał właśnie z miasta, zaszedł do nich i zastał ich pogrążonych we śnie.

— Nie zbudzili się?

— Czekaj... Początkowo myślano, że to jakiś zamach na układocelników. Przemyt z Marsa na dużą skalę z uspieniem celników. Co prawda ostatnia taka heca zdarzyła się dwieście lat temu, ale nigdy nic nie wiadomo. Zarządzono więc alarm i zamknięto kosmoport. Zatrzymano wszystkich pasażerów, którzy przesyłali cokolwiek rakietą towarową, wiozącą ładunki z marsjańskiej rakiety. Oczywiście nic nie znaleziono.

— A celnicy?

— Obudzili się i zaczęli odpowiadać na nie wypowiedziane jeszcze pytania.

— Nie rozumiem.

— Po prostu. Wystarczyło pomyśleć pytanie i już odpowiadali. Między sobą w ogóle nie rozmawiali na głos. Gwałtowny wzrost zdolności telepatycznych. Rozumiesz?

— O ile pamiętam, telepatia to odbiór fal elektromagnetycznych, fal wytwarzanych podczas pracy mózgu...

— W tej chwili jestem ekspertem od tych spraw. Zanim mnie spotkałeś, łączyłem się z domu z informatorem szczegółowym. Cała historia polega na tym, że fale te odbiera mózg odbiorcy poniżej poziomu szumów, bez względu na to, jak byłyby słabe, a więc można je odbierać ze znacznych odległości.

— I oni tak...

— Właśnie. I to wszyscy. Odpowiadają na pytania ludzi z innego domu, z innego miasta... Nie wiadomo niekiedy nawet, kim są pytający...

— To bez sensu. W ten sposób trudno się porozumiewać.

— Dlatego też telepatia jako środek porozumiewania się jest u ludzi w zaniku.

Usłyszałem zmianę tonu pracy silnika i helikopter zaczął opadać na dużą, ograniczoną prostokątem, płaszczyznę helidromu.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział Torks. — To Instytut Bioniki, w którym przebywają pod obserwacją.

— Mogę tam z tobą wejść?

— Spróbujemy. Najwyżej cię nie wpuszczą. — Przeszliśmy płytę helidromu. Potem Torks przeprowadził mnie przez korytarz i weszliśmy do sali, którą Torks określił jako salę wykładową. Ściany

tej sali stanowiły ekrany.

— To oni — powiedział szeptem Torks wskazując ludzi w ekranach.

Siedzieli nieruchomo, ubrani w białe kombinezony. Jeden człowiek w ekranie, widocznie pracownik instytutu, przechodził od jednego do drugiego, dotykając jego głowy. W końcu spojrzął na salę wprost z ekranu.

— ...tak więc w siedem godzin po zaobserwowaniu pierwszych objawów, na czole u wszystkich badanych wyodrębniają się dwa symetryczne, szybko rosnące zgrubienia. Równocześnie stwierdziliśmy wzrost selektywności odbioru... Następny komunikat za godzinę.

Ekran zgasł i zapłonęło światło. Dopiero teraz spostrzegłem, jak wiele ludzi jest na sali.

— Telepatyczny odbiór selektywny, to może czemuś służyć — powiedział ktoś tuż obok mnie. — Te narośle poprawiają im odbiór. Przedziwna technika — skomentował Torks.

Odwróciłem się ku niemu i wtedy spostrzegłem Coverta. Nigdy nie spostrzegłbym go, gdyby nie jego turban, którego nikt nie nosi w naszych czasach. I to była chwila olśnienia. Bez słowa podszedłem do Coverta i szarpnąłem z całej siły biały materiał upięty na jego głowie. Nie myliłem się! Pomiedzy rzadkimi czarnymi włosami z jego czoła wyrastały dwie symetryczne, stożkowate narośle. Przed uderzeniem zasłoniłem się automatycznie, z nawyku nabytego podczas długich miesięcy treningu. Nie uderzył powtórnie. Ludzie stojący wokół zacieśnili krąg, tak że nie można było nawet ruszyć ręką. Wszyscy

patrzyli na jego głowę.

Przepchałem się ku wyjściu. Torks został wewnątrz i wychodząc słyszałem jeszcze jego głos wybijający się ponad szmer sali.

Wiedziałem już, do czego miał służyć Ploxis. Przechwytywanie myśli ludzi. Ludzi nieświadomych tego. Zdobywanie informacji o nich samych wbrew ich woli. Jeśli wierzyć starożytnym legendom, nie po raz pierwszy Ploxis trafiał na Ziemię...

I teraz mogłem już lecieć do NIEGO. Sięgnąłem do kieszeni i pod palcami wyczułem kryształ, który dostałem od Crasha, mały, ostry kryształ...

WSPANIĄŁE PIWO

NA WIGILIJNY WIECZÓR

Kiedy wyszedł z cienia drzew na słońce, zobaczył swój dom. Poprzez koszulę czuł lekki wiatr, który wiał ze wzgórz o tej innej zieleni aż tu, gdzie z czerwonej gleby wyrastały drzewa o fioletowych kwiatach zamiast liści. Tutaj była pełnia lata, jak zawsze w grudniu. W czerwonej glinie podjazdu prowadzącego pod dom zauważył ślady opon, więc domyślił się, że przyjechał Greg. Od drzwi poczuł już zapach jego cygara. Greg siedział przy stole nad kuflem piwa, obok stała skrzynka butelek.

— Przywiozłem ci Tuskera — powiedział — najlepsze piwo na Wigilię. Jeszcze je robią tam, pod równikiem. Zagrzało się w drodze, ale włożyłem już do lodówki tyle, ile się zmieściło.

— Dobrze, że przyjechałeś. To naprawdę dobry pomysł — patrzył na rzadkie włosy i spocone czoło Grega z pierwszymi brunatnymi plamami wieku.

Greg nalał do jego szklanki piwa. Było ciepłe i smakowało Europą.

— Cholernie daleko do ciebie z tej mojej pustyni — powiedział Greg — dziewczyn też jakoś nie widzę...

— Jestem sam, wiesz...

— Nic się jakoś u ciebie nie zmienia, Stef, tak jakby dla ciebie czas się zatrzymał — Greg bawił się cygarem. — Co teraz robisz?

— Jak zwykle, mierzę opady. Wieczorem chodzę do klubu.

— A potem...?

— Nic.

— I dlatego w wigilijny wieczór siedzisz sam, chyba że przyjedzie do ciebie stary przyjaciel?

Stef patrzył w swój kufel.

— Przed następną butelką chcę ci jeszcze pokazać, co przywiozłem — Greg podniósł się. —

Nie, nie dla ciebie, dla tych z muzeum.

— Wykopałeś?

— Tak.

Wyszli przed dom i zbliżyli się do landrovera. Greg otworzył drzwi i wszedł do środka.

Wysunął skrzynkę i wtedy Stef zobaczył kości oraz fragmenty czaszki z resztkami zębów, owinięte w cienką plastikową siatkę.

— To był mężczyzna — powiedział Greg. — Zginął ponad półtora miliona lat temu. Może zdążył wcześniej przekazać swe geny i jest twoim lub moim przodkiem... Tu, właśnie tu wszystko się zaczęło. Oni opuścili las dla sawanny i potem zostali ludźmi.

— Ty szukasz początku, ja mierzę radioaktywność opadu, a w środku te półtora miliona lat.

— Długo...

Wzruszył ramionami i nie patrzył już na kości, tylko w dół ponad krzakami ogrodu, na pola golfowe rozciągnięte łąką w dolinie aż do

czerwonych dachów miasta pokrytych tarczami anten satelitarnych mierzących w niebo.

— Masz coś do jedzenia? — zapytał Greg.

— Otworzę puszkę. Miałbym coś więcej i kupiłbym ci jakiś prezent, ale nie wiedziałem, że przyjedziesz.

— Ode mnie dostaniesz fragment kości przodka — Greg trzymał w ręku szary okruch — będziesz pamiętał, że wróciłeś tam, skąd wyszliśmy, i że na północy byliśmy tylko gośćmi.

Stef wsunął okruch do kieszeni koszuli.

— Prezenty rozdane. Czas na Wigilię — powiedział.

— Zamiast choinki weźmiemy jakąś kwitnącą gałąź.

— Zostaw. To nie to samo. Nie lubię protez.

— Naprawdę?

— ...w każdym razie nie protez choinki.

— Jestem głodny — powiedział Greg.

— ...a tam dwanaście dań czeka. Wiesz, jak byłem chłopcem, na stół kładło się u nas siano, a na nim obrus. Pamiętam śnieg i mróz. Kiedy nie było chmur, dzieci wychodziły przed dom i patrzyły w niebo szukając pierwszej gwiazdy. Gdy zapłonęła, zaczynało wieczerzę.

— A potem nasza cywilizacja na bestii z numerem rejestracyjnym 666 wdepnęła w to wszystko i nie mamy już takich problemów.

— Myślę, że wołowina z tutejszym kurzym grochem będzie ci smakowała.

— Z piwem nie będzie zła — powiedział Greg i ruszył ku domowi.

Kiedy Stef grzał wołowinę, Greg wypił jeszcze dwa kufle piwa.

Puste butelki stawiał rzędem na stole, zwrócone etykietami ze słoniem w tę samą stronę.

— Wesołych Świąt — powiedział, gdy Stef postawił talerze. Chciał wstać, ale nie mógł unieść się z krzesła, więc zrezygnował.

— Wesołych Świąt — powtórzył i wyciągnął rękę z kuflem.

Stef wziął swój kufel i uderzył nim w tamten, aż piwo chlusnęło na stół.

— W ten sposób nastroju nie poprawisz — powiedział Greg.

Potem jedli wołowinę, kurzy groch i popijali piwem.

— Mogliśmy jeść pieczeń z bociana — powiedział Greg i otworzył następną butelkę.

— Z bociana?

— Tak, zamiast pieczeni z indyka. Sprzedają je u mnie na targu patroszone.

— Prawdziwe bociany?

— Dolatują aż do równika, bo na północy nie mają czego szukać. Przylatują i giną. Sezonowa potrawa, mimo że trudno jadalna. Ludzie też do nas ściągają. Coraz ich więcej. Wracają do swej kulebki, synowie marnotrawni...

Liczba słoni na stole po stronie Grega zwiększyła się.

— Nie pijesz — powiedział Greg. — Specjalnie dla ciebie wiozłem ten cały majdan.

— Będę dzwonił.

— Ciągle jeszcze dzwonisz?

— Tak.

— Za dużo zarabiasz przy tych swoich opadach. Za ten abonament

mógłbyś mieć nie jedną, lecz dwie dziewczyny na stałe.

— Tak jak jest, jest dobrze.

— Dziwaczejesz.

— Nie ja jeden. Teraz zadzwonię, a potem ci dorównam. Tusker to dobre piwo.

Wstał i przeszedł do swojej sypialni, gdzie oprócz łóżka był tylko stolik, na którym stał telefon.

Drzwi zamknął za sobą starannie. Potem wycisnął dwunastocyfrowy numer. Sygnał był krótki i zaraz usłyszał jej głos:

— To ty! Miło, że dzwonisz.

— Wiedziałaś przecież, że zadzwonię...

— Tak. Postanowiłam, że świece na choince zapalę po twoim telefonie.

— Jest już ciemno?

— Tak, ale gwiazd nie widać...

— Wiesz, co ci chcę życzyć?

— ...żebyśmy byli razem.

— Tak.

— Pewnie kiedyś przyjedziesz.

— Przyjadę.

— ...znowu miałam ten telefon.

— I co? Odłożyłaś słuchawkę, jak prosiłem?

— Tak... a właściwie nie od razu. Myślałam, że to ty.

— I co mówił?

— Że mnie nie ma.

— I coś jeszcze?

— ...że domu i miasta też nie ma.

— Tak cię prosiłem...

— Muszę odbierać. To możesz być ty. Wiesz, jest śnieg, dużo śniegu. Spadł rano, odgrzebują samochody i gałęzie są jeszcze białe...

Potem był trzask i w słuchawce słyszał tylko bliską ciszę przerwane połączenia. Począł na sygnał i znowu wycisnął dwanaście cyfr. Po chwili milczenia głos automatu powiedział:

— ...w tym mieście nie ma takiego numeru...

Próbował jeszcze raz. Za trzecim razem, gdy usłyszał to samo, wolno i wyraźnie zażądał operatora.

— Nie mogę dostać połączenia — powiedział, kiedy tamten się odezwał.

— Widocznie nie ma tego numeru.

— Przecież właśnie przed chwilą rozmawiałem. To autentyczny numer.

— Jest pan pewny? Pan wie, że my nie zakładamy numerów, których nie było. To nasza zasada.

— Wiem. Ale może pan sprawdzić... — podał mu swój numer i adres domu.

— Chwileczkę — powiedział operator — sprawdzę w tych starych książkach, nie w komputerze. To będzie pewniejsze.

Czekał i przez okno patrzył w dolinę, na którą nasuwał się cień wzgórz.

— Przepraszam — powiedział po chwili operator — ale obsługujemy tyle byłych miast, że naprawdę trudno tu coś znaleźć. Rzeczywiście, ma pan rację. Pana numer jest niewątpliwy. Adres też

się zgadza. Widocznie awaria naszego systemu. Oczywiście odliczymy ten dzień od rachunku.

— A jutro?

— Jutro awarię usuniemy. Ma pan oczywiście próbkę głosu?

— Mam — powiedział i pomyślał o taśmie, którą dla niego nagrała wtedy, gdy wyjeżdżał.

— To świetnie. W ostateczności z tego odtworzymy. Oczywiście żadnych dodatkowych kosztów. Na pewno będzie pan mógł zadzwonić do domu przed Nowym Rokiem. A dzisiaj: Wesółych Świąt!

— I co? — zapytał Greg, gdy wrócił. — Rozmawiałeś?

— Tylko przez chwilę. Awaria w systemie... Ty także do niej dzwoniłeś, Greg.

— Wiesz to. — Greg wpatrywał się w słonia wśród złotych liter „Tusker”. — Ona nie chciała ze mną rozmawiać... nawet przez chwilę. A ja chciałem jej tylko życzyć Wesółych Świąt.